Laureat Nagrody Bookera
Autor światowego bestsellera *Ścieżki Północy*

RICHARD FLANAGAN

Pierwsza osoba

„Przejmująca, niepokojąca, wzruszająca".
„THE AUSTRALIAN"

RICHARD FLANAGAN
Pierwsza osoba

Przełożył
Maciej Świerkocki

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Przypisy

Tytuł oryginału: FIRST PERSON

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK
Redakcja: KAMIL BOGUSIEWICZ
Korekta: BIANKA DZIADKIEWICZ, JACEK BŁACH
Projekt okładki: CAROL DEVINE CARSON
Opracowanie okładki na podstawie oryginału: ROBERT KLEEMANN
Zdjęcie na okładce: © Jimmy Turrell/Heart Agency
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Infomarket

Copyright © 2017, Richard Flanagan
All rights reserved
© Copyright for the Polish translation by Maciej Świerkocki
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2019

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-06738-3

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Dla Nikki Christer

Protokół zeznania
Komisja do spraw Transportu Skazańców
Londyn, 5 maja 1837

Pytanie: Czy jest tam wiele księgarni?

Wielmożny Pan James Mudie: Wydaje mi się, że w Sydney może ich być z pół tuzina.

Pytanie: Jakie książki sprzedaje się w tamtejszych księgarniach? Czy są na innym poziomie niż te, które można kupić w Londynie?

Wielmożny Pan James Mudie: Na pewno gorsze; na przykład jest dużo powieści. Sam chodziłem na licytacje książek, tam zwane wyprzedażami, i za każdym razem zauważałem, że naprawdę wartościowe rzeczy kosztują znacznie mniej niż w Anglii. Pamiętam też, że raz na sali rozległa się pospolita wrzawa, gdy wystawiono na sprzedaż *Newgate Calendar*, bo wszyscy wołali: „Ach, muszę to kupić!”.

Nie przypominam sobie, za ile poszedł, ale za jakąś znaczną sumę... Poza tym oni lubią opowieści o bandytach i wszelkie inne tego rodzaju historie.

Z dokumentów Parlamentu Brytyjskiego

1

1.

Nasza pierwsza sprzeczka dotyczyła jego narodzin. Chciałem umieścić je w książce, a on nie. Kłóciliśmy się przez półtora dnia. Twierdził, że ta sprawa nie ma żadnego znaczenia. Później zrozumiałem, co miał na myśli, ale wtedy wydawało mi się, że to po prostu uprzedzenie do współpracy i przejaw niewytłumaczalnego oporu – jak gdyby nie chciał, żeby te wspomnienia w ogóle powstały. Zresztą tak naprawdę wcale ich nie chciał, owszem, chociaż nie o to mu chodziło. Absolutnie nie. Tylko że z tego zdałem sobie sprawę dopiero później, znacznie później, gdy zacząłem się bać, że początek tej książki stanie się moim końcem.

Innymi słowy, za późno.

Dzisiaj wystarczają mi telewizyjne reality shows. Jest jakaś pustka, samotność, która boli i szokuje. Przestrasza. Przeraża mnie, bo powinienem był żyć, a właściwie nigdy nie żyłem. Reality TV nie sprawia, że żyję naprawdę.

Wtedy jednak nic z tego nie rozumiałem. Byli tacy, którzy bali się, że mógłbym wrócić do literatury. Przez literaturę rozumiem alegorię, symbol, tropy tańca czasu; książki pozbawione wyraźnego początku i końca, a w każdym razie takie, w których początek i koniec nie występują w normalnej kolejności. Przez takich, którzy się bali, rozumiem mojego wydawcę, Paleya, o zaskakującym imieniu Gene. W kwestii pisania wyraził się bardzo konkretnie: miałem opowiedzieć prostą historię w prosty sposób, a tam, gdzie nie byłaby prosta – gdzie mówiłaby o skomplikowanych szczegółach spektakularnego przestępstwa – miałem

ją upraszczać, ilustrować anegdotami i nie używać zdań dłuższych niż dwie linijki.

W wydawnictwie szeptano, że Paley boi się literatury. I nie bez powodu. Po pierwsze, nie sprzedaje się ona zbyt dobrze. Po drugie, można słusznie zauważyć, że zadaje pytania, na które nie jest w stanie odpowiedzieć. Dzięki niej ludzie dziwią się sami sobie, a to w sumie rzadko przynosi pożytek. Przypomina im, że życie polega na porażce, a prawdziwą niewiedzą jest nie zdawać sobie z tego sprawy. Może w beletrystyce jest jakaś transcendencja – albo mądrość, przynajmniej w niektórych dziełach – Gene Paley jednak nie widział siebie w roli uczestnika transcendentalnej gry. Był z całej duszy zwolennikiem książek, które w kółko powtarzają czytelnikowi jedną czy dwie rzeczy. Ale najlepiej jedną.

Jak chcesz sprzedawać, mawiał, to musisz opowiadać.

Znowu otworzyłem maszynopis i raz jeszcze przeczytałem początek.

„Siedemnastego maja 1983 roku podpisałem zgłoszenie na stanowisko p.o. kierownika ds. bezpieczeństwa (naczelnika) (klasa 4/5) w Australian Safety Organization imieniem i nazwiskiem Siegfried Heidl i w ten sposób zacząłem nowe życie".

Minęło sporo czasu, nim dowiedziałem się, że Siegfried Heidl nie istniał, dopóki nie podpisał tego zgłoszenia, a zatem ściśle rzecz biorąc, powiedział mi prawdę. Przeszłość jednak jest zawsze nieprzewidywalna, a jak się miałem jeszcze zorientować, wcale nie najmniej ważną cechą Heidla jako dobrego oszusta było to, że rzadko kłamał.

Ziggy Heidl uważał, że jego liczący dwanaście tysięcy słów maszynopis – cienki stosik kartek, który często naciskał wyciągniętą ręką jak piłkę do koszykówki, by odbić ją od podłogi i wprowadzić znów do gry – zawiera wszystko, co ktokolwiek mógłby chcieć przeczytać o Ziggym Heidlu. Moje zadanie jako pisarza, ciągnął, polegało na tym, by oszlifować jego sformułowania i może tu i ówdzie coś za niego rozwinąć, rozbudować.

Powiedział to – podobnie jak wiele innych rzeczy – z tak niezachwianą wiarą, pewnością siebie i przekonaniem, że niełatwo przyszło mi zauważyć, że w tekście nie ma ani słowa na temat jego dzieciństwa czy rodziców, ba, brakuje nawet daty urodzenia. Pamiętam tę odpowiedź do tej pory, mimo że minęło tyle lat.

Życie to nie cebula, którą się obiera, nie palimpsest, który da się wymazać z wierzchu, żeby dotrzeć do jakiegoś oryginalnego, prawdziwszego znaczenia. Życie jest niekończącą się konfabulacją.

A kiedy na to wyrafinowane stwierdzenie zrobiłem chyba zdziwioną minę, dodał takim tonem, jak gdyby wskazywał mi drogę do najbliższej toalety publicznej: Tebbe. Tak brzmi jeden z jego aforyzmów.

Jeśli brakowało mu faktów, nadrabiał je nienachalną pewnością siebie, a jeśli brakowało mu pewności, nadrabiał ją faktami, choćby w większości zmyślonymi, wyglądającymi jednak na tym bardziej prawdopodobne, że rzucał nimi swobodnie, przyjmując nieoczekiwany punkt widzenia.

Wielki niemiecki instalacjonista, powiedział Heidl. Thomas Tebbe.

Nie miałem pojęcia, czym może być palimpsest. Ani kto to jest Tebbe, ani czym się zajmują instalacjoniści, i powiedziałem mu o tym. Nie zareagował. Być może, jak poinformował mnie przy innej okazji, czerpiemy z naszej i cudzej przeszłości, żeby wykreować się na nowo, i wtedy zyskujemy także nową pamięć. Tebbe, którego przeczytałem dopiero wiele lat później, ujął to najlepiej: Może to cudza krew wsiąka w piach, napisał, ale ja jestem tym piachem.

Podniosłem wzrok.

Tak z czystej ciekawości, zapytałem, to w której części Niemiec się wychowałeś?

Niemcy? – odpowiedział, wyglądając przez okno. Pojechałem tam dopiero, kiedy skończyłem dwadzieścia sześć lat. Mówiłem ci już. Wychowałem się w południowej Australii.

Masz niemiecki akcent.

Tak jest, odparł. A gdy zwrócił swoją pełną twarz z powrotem ku mnie, próbowałem nie gapić się na maleńki mięsień w jego poza tym nalanym policzku, rozedrgany niczym napięty węzeł pośród obwisłości, kiedy Heidl się uśmiechał – pojedynczy, naprężony, pulsujący mięsień.

Wiem, że to dziwne, ale tak właśnie było… Wychowywali mnie niemieckojęzyczni rodzice i nie miałem się z kim bawić. Mimo wszystko byłem wtedy szczęśliwy. Napisz to.

Uśmiechał się.

Jego uśmiech: fala-cofka wciągająca mnie złowieszczo we współudział.

Co? – zapytałem.

To.

Co?

Że byłem szczęśliwy.

Ten straszny uśmiech. Ten drgający policzek.

Bum bum, pulsował cicho. Bum bum.

2.

Pracowaliśmy w narożnym gabinecie dyrektora wykonawczego w głównej siedzibie wydawnictwa w Port Melbourne. Być może był to gabinet szefa redakcji albo kierownika działu sprzedaży, który niedawno przeszedł na emeryturę lub został zwolniony z pracy. Kto wie? Tego nigdy nam nie powiedziano, ale dzięki temu gabinetowi Ziggy Heidl czuł się ważny – i to się liczyło, a nie to, że ja mogłem się czuć skrępowany. Był rok 1992, niedawne, chociaż bardzo już odległe czasy, kiedy dyrektorzy wykonawczy wciąż mieli takie pokoje, a w nich barki pełne alkoholu. Działo się to jeszcze przed Amazonem i e-bookami, zanim w użycie weszły tego rodzaju pojęcia jak „szczegółowa analiza", „zaspokojenie klienta" i „regulacja łańcucha dostaw", które połączyły się ze sobą niczym coraz ciaśniejsze sploty szubienicznego sznura, i zanim nieubłaganie wzrosły ceny nieruchomości, a krach na rynku wydawniczym zmienił gabinety wydawców w coś w rodzaju masarskich linii produkcyjnych: wszyscy pracownicy siedzieli ciasno obok siebie na długich ławach, przywodzących na myśl, dajmy na to, kantynę czerwonoarmistów w Kabulu około 1979 roku.

I podobnie jak wtedy Armia Czerwona, branża wydawnicza wchodziła w okres kryzysu i stagnacji, których nie rozumiano jeszcze jako kryzysu czy terminalnej choroby. Tymczasem pod krzesłami, które zajmowali pracownicy domów wydawniczych, reorganizacje wynikające z nadmiernego zatrudnienia drążyły mnóstwo otworków, z wolna tworzących jedną wielką dziurę odpływową jak w zlewie, przez którą kilka

lat później nagle i nieoczekiwanie runęły wyższe piętra, z hukiem zbijając się w już tylko jedną, parterową kondygnację. I ona zaczęła się jednak szybko kurczyć, kiedy biurową przestrzeń zalała wzbierająca fala nowych spółek oraz firm finansowych i internetowych – przypływ oceanu zniszczenia – w końcu więc z parteru została jedynie połowa. Na tej znikającej wyspie książki były już wyłącznie towarem, a pisarze stali się tylko jego dostarczycielami, kimś w rodzaju robotników napełniających worki z piaskiem, którzy spadali coraz niżej i niżej w hierarchii społecznej, o ile coś takiego było jeszcze w ogóle możliwe. Zdaje się to sugerować, że piszę z niejaką nostalgią i że ten gabinet w Port Melbourne miał jakiś szczególny urok albo charakter.

Bez nostalgii.

Nie miał.

Owszem, stały tam półki z książkami, ale kiedy przyjrzeć im się bliżej, przypominały ówczesny świat wydawniczy – i wywoływały zniechęcające wrażenie. Regały zrobiono z płyty paździerzowej, pokrytej niby tekowym lakierem o nieprzyjemnie fekaliowym odcieniu brązu, a w rzeczywistości, jak się okazało, po prostu okleiną. No i książki! Jedynymi tytułami na tych półkach były publikacje potężnego wtedy wydawnictwa Schlegel TransPacific (czy jak je też wtedy nazywano, TransPac albo STP). Książki o czekoladzie, ogrodnictwie, meblarstwie, historii wojskowości i zmęczonych celebrytach; nużące wspomnienia i powieści wagonowe. Tylko niewielka część dochodów, jakie przynosiły, szła na wydawanie nielicznych prawdziwych – moim zdaniem – książek: powieści, esejów, poezji oraz zbiorów opowiadań, których na tych lśniących półkach nie dało się uświadczyć. Oprócz wymienionych już pozycji oraz książek kucharskich, wydawnictw albumowych i słowników czy encyklopedii, na które wciąż istniał popyt, stały tam też dzieła zebrane Jeza Dempstera, każdy tom w kolorze popiołu z wytłoczonym wielkimi złotymi literami nazwiskiem JEZ DEMPSTER. Był to straszny szajs. Zresztą wszystkie te książki wydawały mi się bardzo zniechęcające. Już na samym początku odniosłem wrażenie, że moja koncepcja literatury i pisania obejmuje tylko maleńki i raczej niecieszący się powodzeniem podzbiór tego, co w STP nazywano – w pokrętnie enigmatyczny sposób – „branżą".

„Branża” tłumaczyła wszystko. Wprawdzie określenia w rodzaju „tak to już bywa w branży” albo „w branży jest ciasno” niczego nie mówiły, uznawano je jednak za wszechwyjaśniające. A ja od pierwszego dnia rozumiałem, że „branża” w pewnym sensie uważa moją historię o Heidlu za o wiele prawdziwszą książkę od tej, którą jak mi się do tamtej chwili roiło, pisałem, czyli mojej niedokończonej wówczas pierwszej powieści.

Wydawało mi się to absurdalne, ale absurdalna okazała się „branża”. Było na przykład kompletnie bezsensowne, że wspomnienia Heidla – z powodów, których nigdy nie udało mi się ustalić – trzymano w tajemnicy. Nikt w wydawnictwie nie mógł się z nimi zapoznać, nie licząc kilku ludzi pracujących z nami nad tą książką – czyli samego Gene’a Paleya, który robotę zostawiał jednak w większości redaktorce, Pii Carnevale, i jeszcze jednej czy dwóch osób. Wszystkim poza nimi mieliśmy mówić, że współredagujemy antologię średniowiecznej westfalskiej poezji ludowej. Nie jestem pewien, czyje to było kłamstwo – Heidla czy Paleya, a może to ja je później wymyśliłem – w każdym razie wyglądało na równie imponujące, jak idiotyczne. O ile mi wiadomo, nikt nigdy nie zapytał, dlaczego mielibyśmy podjąć taki projekt. W tej dziedzinie, pełnej różnych niezwykłości, było to po prostu jeszcze jedno dziwactwo – ale czyż nie tym właśnie charakteryzowała się „branża”?

Do bombastycznej tandety wydawniczej pasowały meble – replika laminowanego dyrektorskiego biurka z czasów edwardiańskich, zza której Heidl bez przerwy gdzieś telefonował, była za duża, a stół konferencyjny, przy którym pracowałem, za mały, żeby mógł pełnić wyznaczoną mu funkcję. Nieco poplamione fotele klubowe, w których siedzieliśmy, kryła żakardowa tapicerka z nylonu, przetykana łososiową i szarą nicią. W dotyku tkanina sprawiała takie wrażenie, jak gdyby się częściowo rozpuściła. Udręczona kolorystyka nie wiedzieć czemu zawsze przywodziła mi na myśl obrazy Francisa Bacona. Wydawało mi się, że siedzę w samym środku niemego, przeraźliwego krzyku.

3.

Gene chciałby się z tobą zobaczyć, Kif, powiedziała młoda kobieta, stając w drzwiach naszego gabinetu. Chce, żebyś podpisał umowę.

Paley wcale niczego takiego nie chciał; umowę podpisałem od razu pierwszego dnia, tak dawno temu, że trudno było uwierzyć, że w poniedziałek, a teraz przyszła dopiero środa. Domyślałem się, że raczej pragnie się dowiedzieć, jak idzie nam robota.

Powoli, powiedziałem, stawiwszy się przed Gene'em w jego wyglądającym niczym apartament gabinecie; wpatrywał się w zalegające na biurku papiery z podajnika. Heidl po prostu nie chce mówić... o żadnych szczegółach.

Wczesne dzieciństwo?

Niejasne historie o tym, że miał niemieckich rodziców i przyszedł na świat w południowej Australii, w zapadłej górniczej dziurze o nazwie Jaggamyurra.

To wszystko? – spytał Paley, wciąż nie podnosząc wzroku.

Mniej więcej.

Mmm.

Raczej mniej.

A oszustwa? Jak mówiłem, Heidl nie bez powodu został przestępczym celebrytą. Siedemset milionów dolarów. Największy przekręt w dziejach Australii. Opowiedział ci, jak tego dokonał?

Niejasno.

A o CIA?

Jeszcze bardziej niejasno.

Mmm, wymamrotał znów Paley i zamilkł. Jego rozmowy często były punktowane właśnie takim nieznacznym, opadającym mruknięciem, jak gdyby każde poprzedzające je zdanie oznaczało porażkę. Mruknięciem albo powtórzeniem „Jak mówiłem". W ogóle wyrażał się dość niezwyczajnie, krótkimi zdaniami, rzucanymi najpierw szybko, a potem wypowiadanymi powoli, dlatego często brzmiał niczym psujący się teleks.

Dobrze… – odpowiedziałem, słysząc jednak w swoim głosie wahanie.

Na jednej z płacht papieru szerokości małej szosy podmiejskiej Paley naniósł kilka starannych znaczków; mokry czarny atrament jego wiecznego pióra wyraźnie odcinał się od jasnoniebieskiej kartki w białe paski i popielatych rozmazów kropek drukarki igłowej, składających się na szeregi cyfr.

To ciekawe historie, powiedziałem. Tylko trochę…

Niejasne?

Niejasne? Chyba tak.

Jak mówiłem, umiesz pisać, stwierdził Paley, nadal śledząc wzrokiem szereg liczb. Ale musimy nakłonić go do zwierzeń.

Oczy miał dziwnie przesłonięte powiekami, co w połączeniu z jego drobną twarzą, zakrzywionym niczym dziób nosem, wonią przypominającą zapach pudru i moją obawą, że w każdej chwili mogę zostać przez niego dotkliwie i niespodziewanie zaatakowany, przypominało mi o należącej do Suzy papużce, aleksandretcie, która nie pomijała żadnej okazji, żeby mnie dziabnąć.

Heidl musi mi powiedzieć coś więcej, stwierdziłem. On… On po prostu nie jest zainteresowany tą książką.

Paley podniósł wzrok i zmierzył mnie nieprzejednanym spojrzeniem.

Mmm, mruknął, po czym komicznym gestem wyciągnął rękę, w której trzymał przesadnie wielkie wieczne pióro, wytworne i absurdalne jak chromowana rura drenażowa na polu, a potem upuścił je na kilka kilometrów cyfr, pokrywających płachty papieru. Żył wśród takich liczb przez wiele długich lat – wśród nieprzebranych liczb oznaczających egzemplarze wydrukowane, sprzedane, zwrócone i pozostałe w magazynie, liczb, które podawał jako marżę księgarzom, liczb, o których kłamał innym wydawcom i prasie, liczb piekielnie autentycznych, wymarzonych, prawdziwych, fałszywych, straconych w zachłannych sieciach księgarskich, liczb wydartych bezmózgim autorom i pyszałkowatym agentom i będących rozpaczą, pięknem oraz czystą alchemią; ich liczb, naszych liczb, liczb złych, dobrych, a nawet, na litość boską, opisujących inne liczby – i z czasem wszystkie one wryły się w duszę Paleya tak głęboko, że stały się dla niego czymś prawie jak szósty zmysł:

oznaczały możliwość zysku i makabrę straty. I właśnie ten zmysł już wtedy, w tamtej chwili, sprawiał, że Gene drżał z niepokoju, a może nawet ze strachu.

Twoja umowa nie obejmuje jedynie napisania książki, powiedział, wciąż sympatycznym, ale w pewnym sensie bardziej stanowczym głosem – bardziej zdecydowanym. Miałeś ją napisać dla nas razem z nim. Twoim zadaniem jest zmusić go do mówienia. Jak nie będzie gadał, to z książki nici. A bez niej za sześć tygodni nie będzie dla ciebie kasy. Ani centa. Nie. Tak?

Nie, odparłem. Tak.

Nie, powtórzył Paley. Ani centa.

Tak, odpowiedziałem. Nie.

Wciąż ze mną rozmawiając, złożył papierowe płachty w schludny prostokąt, wstał i bez żadnego wstydu czy skrępowania zdjął koszulę, odsłaniając biały podkoszulek, wiszący luźno na jego kościstym białym ciele.

Podobno istnieją tylko trzy zasady, które mówią, jak napisać książkę, oświadczył, uciekając się do anegdoty opowiadanej już tyle razy, że wydawała się kompletnie wyświechtana. Tylko że nikt nie może ich sobie przypomnieć.

Lekko obwisłą skórę pod chudymi ramionami Paleya znaczyło kilka jasnoczerwonych pieprzyków, niewiele większych od kropek zrobionych długopisem, wyrosłych na skórze ciała, które na oko nie zaznało nigdy pracy fizycznej. Ten człowiek, z pozoru ani trochę nieprzejmujący się tym, że ma na imię Gene, był, zdałem sobie sprawę, kimś wykraczającym poza stereotypową męską niewiarę w siebie, w każdym razie tak jak mnie nauczono ją rozumieć. Już po trzech dniach pracy nad wspomnieniami Heidla zorientowałem się, że hołduję jeszcze wielu podobnym szablonom myślowym. Mimo to nie mogłem się oprzeć refleksji, że to wstyd odsłaniać takie ciało, tors jamnika zwieńczony łbem czubatej papugi. Żeby oddać sprawiedliwość takiej aparycji, trzeba byłoby być Arcimboldem.

Paley otworzył szafkę i wyjął z niej świeżo wyprasowaną koszulę.

Najpierw spróbuj jednak skończyć pierwszy draft, powiedział. Szybko. Dobrze ci radzę.

Nie krępując się moją obecnością ani tym, co mógłbym o nim pomyśleć, włożył nową koszulę, dorzucając tylko jedno słowo, które najwyraźniej miało mi wystarczyć jako wyjaśnienie.

Lunch, powiedział, zapinając guziki. Z Jezem Dempsterem.

Książki tego autora sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy. Może w milionach. Jez Dempster był „duży w branży".

Jak mówiłem, pisarz twojego typu może się bardzo wiele nauczyć od takich Dempsterów, zauważył Paley. Prawda?

Prawda, odparłem albo powtórzyłem, wszystko jedno. Na przykład czego...?

Tego, że jeśli tylko zaczniesz pisać dość kiepsko, będziesz mógł zarobić kupę forsy. A ty żyjesz alternatywą takiej możliwości.

Dobrze piszę?

Nie zarabiasz kasy.

Chociaż w słabym uśmiechu i nieco osłoniętym powiekami spojrzeniu Paleya kryła się łagodność, a nawet – może – uprzejmość, to w jego chudym kadłubie i sflaczałych ramionach mieszkał przypominający sztylet instynkt, doskonale wyostrzony na pozycję społeczną i pieniądze. Głównie na pieniądze. Może to właśnie było w nim najlepiej rozwinięte: niemal szamański nos do forsy, doskonałe wyczucie jej potrzeb i wymagań, uniesień i męczarni, błagalnych zaklęć i rozmaitych działań, których żądała od Paleya jako pośrednika między jej i naszym światem. Była w nim jakaś stanowczość, która – co rozumiałem już wtedy – mogła się łatwo przerodzić w okrucieństwo, bo mężczyzna, który nie przejmował się, co o jego konstytucji fizycznej pomyśli inny facet, nie przejmował się też tym, co ludzie myślą na wszystkie inne tematy, i nie obchodził go również cudzy los.

Jez Dempster powiedział mi, odezwał się Paley, rozpinając spodnie, a potem i rozporek do połowy masztu, że klasyka to literatura, która nigdy nie kończy tego, co chce powiedzieć.

Schował poły koszuli i zapiął spodnie.

A ty nie piszesz klasyki, dodał. Tylko bestseller. Chcę, żebyś powiedział w nim wszystko, co ktokolwiek miałby kiedykolwiek ochotę przeczytać o Siegfriedzie Heidlu. I chcę mieć tę książkę gotową za sześć tygodni.

Muszę przyznać, że widok zmieniającego koszulę Paleya odebrał mi odwagę. Coś w jego zachowaniu – jak w zachowaniu królów, którzy przyjmowali dworzan, wysłuchiwali próśb poddanych i rozstrzygali sprawy państwowe, srając na nocniku – ujawniało różnicę w naszej pozycji na drabinie społecznej o wiele wyraźniej niż wszystko, co mógł mi powiedzieć. Do tego, co uznawałem za prawdziwą męskość, wiele mu brakowało, a przecież było oczywiste, że uważa się za lepszego ode mnie. I chociaż strasznie mi się to we mnie nie spodobało, przekonałem się, że swoją nieporadną postawą i nerwowymi odpowiedziami zdaję się poniekąd potwierdzać tę oczywistość, choć powtarzałem sobie, że w nią nie wierzę.

To nie jest tak, że on się uważa za kogoś lepszego, dodał później Ray, kiedy opowiedziałem mu o tej zmianie koszuli. On o tym po prostu wie. Wie, że jest kimś lepszym. Tacy jak on zostają odpowiednio wychowani, żeby mieć tego świadomość.

Twoje buty, powiedział ubrany już Paley, wskazując mi ręką drzwi.

Spuścił wzrok na moje stopy; podeszwa prawego adidasa się odklejała. Może niezupełnie się rozpadał, w każdym razie nie do końca, miałem więc nadzieję, że jeśli będę podnosił nogi, zamiast nimi szurać, to wytrzyma jeszcze te sześć tygodni.

Nie masz innych?

Przez cały ten czas, kiedy na niego patrzyłem, przyglądał mi się badawczo i zdałem sobie sprawę, że jego zdaniem czegoś mi brakuje. A prawda wyglądała tak, że nie miałem innych butów i nie było mnie na nie stać, ale za bardzo się wstydziłem, żeby mu to powiedzieć albo w ogóle się odezwać. Wszystko, co mogłem zrobić, to tylko jeszcze bardziej postarać się skłonić Heidla do mówienia, bo wtedy by mi zapłacili i dostałbym trochę pieniędzy na, między innymi, nowe adidasy.

4.

Wróciłem długim korytarzem, lekko kulejąc, bo chciałem, żeby but wytrzymał jeszcze trochę, i skręciłem do coraz bardziej deprymującego gabinetu dyrektorskiego, gdzie Heidl stał za dyrektorskim biurkiem i rozmawiał przez dyrektorski telefon. Pomachał mi ręką gestem, który najlepiej można by określić jako „gest menedżera" – jednocześnie lekceważącym, władczym i swobodnym; gestem władzy. Ponownie usiadłem przy niewielkim stole konferencyjnym z jego trzema prostymi fotelami, może, jak mi się teraz pomyślało, podobnymi nie tyle do skomplikowanych portretów Francisa Bacona, ile do prostych *Krzyków* Edvarda Muncha, i kiedy uruchamiałem swój komputer Mac Classic, przyjrzałem się Heidlowi. Odłożył telefon i natychmiast zaczął znów opowiadać o toksoplazmozie, czyli o „tokso", jak nazywał tę chorobę.

Fascynowała go naprawdę albo po prostu tak twierdził. W każdym razie stanowiła dla niego częsty temat rozmów – mówił na przykład o tym, jak pasożyt tej choroby działa na mózgi szczurów, które tracą wrodzony strach przed kotami. Szczury odważne zostają pożarte przez koty, te zaś stają się nosicielami pasożyta, który rozmnaża się w nich na kolejnym etapie cyklu rozrodczego. Później koty zarażają ludzi, przekazując im pasożyta w odchodach.

Najbardziej fascynowało Heidla właśnie to, jaki wpływ tokso – która zmieniała zachowanie szczurów, przynosząc im śmierć – może mieć na ludzi. Godzinami snuł dywagacje o tym, że wariaci często trzymają bardzo dużo kotów. Czyżby tokso wykorzystywała takie osoby, żeby opiekowały się kotami i w ten sposób zwiększały jej szanse przetrwania w kocich nosicielach? Czy ci obłąkańcy byli umysłowo chorzy już wcześniej, czy też tracili rozum wskutek aktywności pasożyta? Twierdził, że toksoplazmoza ma znaczny udział w samobójstwach i schizofrenii. A pytanie, na które nikt nie umiał odpowiedzieć, brzmiało: dlaczego pasożyt miałby aż tak drastycznie manipulować ludźmi?

Gdyby można było tylko stać i go słuchać, to Heidl był na swój sposób uroczym gawędziarzem, choć niemal nic z tego, co mówił, nie było mi przydatne. Gdy zaczął opowiadać, że nawet delfiny zarażają się już

pasożytami tokso, wpływającymi do morza ze ściekami z gospodarstw rolnych, zacząłem się bać, czy on sam nie jest jak ta toksoplazmoza, która tak go zafascynowała. Na chwilę przyszła mi do głowy idiotyczna myśl, że coś może zawładnąć moim umysłem i zmusić go do działania wbrew jego woli oraz interesom. Wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo już się boję i jak nienormalny jest mój strach.

Postanowiłem skupić się na tym, żeby do końca dnia zanotować jeszcze choć kilka słów. Heidl opowiedział mi wtedy po raz drugi o koźlątku – a może po raz pierwszy? – tylko że teraz rzekomo postrzelił je w łeb w taki sposób, że umierało bardzo powoli, a on musiał się temu przyglądać.

Tego też można było nauczyć się od Heidla: jak łatwo jest pamiętać, a jak trudno określić, czy choćby w jednym wspomnieniu kryje się prawda. Jak szczerość wspomaga niezbędne ludziom kłamstwo i jak to kłamstwo im ułatwia życie.

5.

Pamiętam, że po tej koziej historii podszedłem do okna po raz pierwszy, albo może ostatni, i wyjrzałem na zewnątrz. W oddali ze znużeniem pochylały się żurawie dźwigowe, a za nimi na horyzoncie przetaczało się nisko czerwone słońce, lejąc szarość i krwawy blask na świat w dole. Trzy piętra niżej kilku robotników w kombinezonach khaki kopało piłkę. Zazdrościłem im ich dziwnej wolności. Nie wiedziałem, że ja też jestem jeszcze wolny. Opuściłem spojrzenie na wejście do siedziby STP i daleko w dole zobaczyłem Raya w skórzanej kurtce lotniczej; ze znudzoną miną skręcał papierosa.

Kiedy się odwróciłem, Heidl wisiał znowu na telefonie. Pokazałem mu gestem, że robię sobie przerwę, wyszedłem z gabinetu i zbiegłem trzy piętra w dół do recepcji, pod główne wejście.

Na zewnątrz, tak jak i wewnątrz, wszystko było nowe. Pas zieleni wzdłuż chodnika czysty i bez petów. Na szarym betonie płyt magazynów i hurtowni nie rozkwitły jeszcze rysunki graffiti, nie pokryły też

adamaszkowym wzorem umbrowych i oliwkowych tynków niskich biurowców, których oszałamiająca jednakowość wypełniała ulicę i dalszy pejzaż miejski jak okiem sięgnąć. Wszystko wyglądało na uporządkowane i jasne, czekało dopiero na monotonną erozję i było takie nowe, że niektóre okna w budynku naprzeciwko oblepiała wciąż folia ochronna, a jej pokręcone niebieskie ogony plątały się tu i tam.

Zasrana dziura, powiedział Ray, to zbyt interesujące określenie dla takiej zasranej dziury jak ta.

Wszystko było takie nowe, a przecież coś już się tu skończyło. Takie miałem wrażenie. Pragnąłem mnóstwa innych rzeczy – podniecenia, pomysłów i emocji, jakie mógłbym uruchomić, żeby wyobrazić sobie wyimaginowane dzieciństwo Heidla. Odczuwałem jednak tylko olbrzymią nudę. Gdybym był prawdziwym pisarzem, może znalazłbym tutaj jakieś postmodernistyczne piękno albo choć kilka zdań, z których wynikałoby, że dostrzegam urodę tej okolicy. Byłem jednak wyspiarzem z wyspy na krańcu świata, gdzie miarą wszystkiego, co ważne, nie był człowiek, i tego rodzaju widoki, napędzające współczesną literaturę, mnie nie wzruszały. Pochodziłem z nudnego, prowincjonalnego zaścianka i nie wiedziałem nawet, jak trzeba patrzeć, skąd więc mógłbym wiedzieć, jak należy pisać?

To zwyczajny syf, dodał Ray.

Opierał się o długą, betonową skrzynkę na kwiaty, sięgającą mu piersi. Na przedniej ściance skrzynki ciągnął się arkusz aluminium z sitodrukowym napisem STP PUBLISHING i słynnym logo firmy, czyli wyskakującym z wody stylizowanym białym wielorybem.

Powiedziałem, że Heidl znowu gada przez telefon.

Wiatr wiał chaotycznymi podmuchami, a kiedy uderzył mnie w twarz, okazało się, że niesie piasek. Dzień pachniał wilgotnym kamieniem. Wokół rozbrzmiewały chyba jakieś dźwięki, ale żadnych nie pamiętam. Może był to odległy ruch uliczny. Może nie. W takim miejscu nigdy nie znajdzie się nic imponującego, żadnego odgłosu czy ciszy.

No to tym razem udało nam się dotrzeć do Australii, nie ryzykując głową, odezwał się Ray.

Byłem Australijczykiem, ale o Australii właściwie nic nie wiedziałem, wychowywałem się bowiem na Tasmanii, o której nikt nic nie wie,

a zwłaszcza Tasmańczycy, ponieważ dla nich ta wyspa staje się tylko coraz większą tajemnicą. Melbourne zgodnie z opinią własną i kilkoma cudzymi okazało się pewnym siebie, wspaniałym miastem, powstałym ponoć w wyniku gorączki złota, a nie inwazji kolonistów z Ziemi van Diemena, do jakiej doszło na kilka lat przed znalezieniem złota na kontynencie, ludzi, którzy przeszli do historii jako twórcy szwadronów śmierci na tasmańskich granicach. Tropili miejscowych Aborygenów i masakrowali ich nocami przy ogniskach.

Niektórzy Tasmańczycy powiadali, że Melbourne jest jak Tasmania, tylko większe, co teraz wydało mi się równie głupie, jak powiedzenie, że Tasmania przypomina Nowy Jork, tylko że jest mniejsza, byłoby to bowiem tak samo prawdziwe i tak samo idiotyczne. Naprawdę, świat wypełniały różne idiotyzmy, ale o czym byśmy rozmawiali, gdyby nie one? Być może jedyną różnicą między człowiekiem i zwierzęciem jest ludzka zdolność do sycenia swoich dni i życia całym kosmosem głupstw, aż wreszcie przychodzi jedyna realna rzecz na świecie – śmierć – aby skończyć ten nonsens. Ostatnio zazdroszczę każdemu cierpiącemu na śmiertelną chorobę. W chwilach większej nadziei modlę się o raka.

Idę się przejść, powiedziałem.

Asfalt na szosie był czarny i czysty jak kuchenny blat w luksusowym apartamencie, świeży betonowy pył matowił wciąż jeszcze jasnoszare krawężniki, a galwanizowane kratki lśniły srebrzystą perlistością. Widziałem to, co Gene Paley podkreślił w czasie naszego pierwszego spotkania: że wszystko na tych ulicach świadczyło o tym, jaki rozkwit przeżywa nasz kraj, i że – pomimo recesji i wysokich stóp procentowych – Australia się rozwija, a w każdym razie gospodarka wychodzi już na prostą. W tamtych latach dużo się mówiło o gospodarce, była niczym Zbawiciel; ludzie wciąż w nią wierzyli, jak dawniej w politykę i Pana Boga, hazardziści opowiadali nawet przy papierosie o krzywych J i płynnych kursach wymiany, jak gdyby te określenia tłumaczyły ich samych i ich życie.

Ale kiedy stanąłem na pierwszym skrzyżowaniu – zastanawiając się, czy na czas pisania tej książki nie wrócić do palenia – jedyną krzywą, jaką zobaczyłem, było powiększające się wybrzuszenie mojego prawego skórzanego adidasa, już trochę bardziej niż przedtem oderwanego od podeszwy. Wszędzie dookoła ciągnęło się więcej identycznych ulic,

labirynt monotonii tak totalnej, że przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem ani jak mam wrócić do wydawnictwa, od którego dzieliło mnie przecież zaledwie dwieście metrów. Pokuśtykałem z powrotem powoli, bo uszkodzony but przeszkadzał mi w chodzeniu, i poprosiłem Raya o fajkę.

Ja pierdolę, powiedział Ray, najpierw powinieneś wymienić sobie staw biodrowy, a potem prosić o szluga.

Przyglądał się tym robotnikom, którzy grali w nogę na ulicy. Jeden z nich miał na głowie kapelusz kowbojski: kiedy przymierzał się do kopnięcia piłki, przystawał, prostował się, pochylał, podciągał skarpetki, rzucał garść piasku i kamyczków na wiatr i dopiero wtedy z wielką powagą podawał do kolegi. Z kolei ten przed podaniem najpierw biegał w kółko po ciasnym łuku, zwycięsko kiwając wyprostowanym palcem.

Co pierdolisz? – spytałem.

Kurwa, wycedził Ray. Potrafił nadać pojedynczemu, bezsensownemu słowu wagę i tajemniczość niczym laureat Nagrody Nobla omawiający teorię strun.

Co?

O to chodzi, stary.

O co?

O to, powtórzył.

Nie miałem pojęcia, do czego zmierza, ale rzadko rozumiałem Raya.

Wiesz, stary, powiedział, nachylając się ku mnie.

Uśmiechał się, skręcał mi papierosa z tytoniu Champion Ruby i przeszywał mnie wzrokiem, jak gdyby wygrał kolejną bójkę w pubie. Albo jakby miał ją zaraz zacząć.

Wiesz, kurwa jego mać, powiedział i mrugnął. Podał mi fajkę, po czym nachylił się jeszcze bliżej, tak że nasze głowy prawie się stykały. Rozejrzał się ukradkiem dookoła i syknął:

Heidl myśli, że chcą go zabić.

6.

Umarli pragną mówić. O zwykłych, codziennych sprawach. Wracają do mnie nocami, a ja ich wpuszczam do domu. Pozwalam im używać ich języka. Mówią o tym, co oglądamy, widzimy, słyszymy i czego dotykamy, wolni jak księżyc przemierzający najprawdziwszą noc. Bezcielesne przestworze, napisał kiedyś Melville. Ale Ziggy'ego Heidla nie ma. Nie ma też Raya. Nie ma kilku innych osób. W tamtych czasach, zanim jeszcze cokolwiek napisałem, wiedziałem o literaturze wszystko. Teraz nie wiem nic. O żyjących? Nic. O życiu? Nic. Kompletnie nic.

2

1.

Bankowcy, powiedział Heidl czwartego dnia, jak gdyby w odpowiedzi na moje uporczywe myśli. Chcą mnie zabić.

Po wzruszeniu, nadziei i ekscytacji pierwszych trzech dni robota utknęła w miejscu. Heidl w najlepszym wypadku odpowiadał irytującymi zagadkami, w nieco gorszym był rozkojarzony, a w najgorszym całkowicie niezainteresowany pisaniem. Martwił się głównie o to, jak skłonić Paleya, żeby wypłacił mu następną ratę zaliczki.

Ciebie? – spytałem. Dlaczego, na litość boską, bankowcy mieliby zabić akurat ciebie?

Ze względu na to, co zrobiłem. I na to, co wiem. Bo wiem dużo rzeczy, które mogłyby im... Hmm... Zaszkodzić. Ważnym osobistościom. Potężnym ludziom.

Prawie mruczał, urzeczony romantycznością swojego losu, kiedy, jak to często mu się zdarzało, uderzyła go kolejna myśl i nagle się ożywił.

Myślisz, że Paley wypłaciłby mi teraz połowę kasy, gdybyś mógł mu już pokazać kilka stron tekstu?

Odpowiedziałem, że nie mam żadnego tekstu.

Czy ta robota nie należy do ciebie?

Pokręciłem głową.

Pisanie... Nie tym się zajmujesz? Nie po to tutaj jesteś?

Zasugerowałem, że gdyby mi opowiedział coś o swoim życiu, byłbym w stanie przelać to na papier, i wtedy Paley mógłby nam zapłacić.

Puścił moje słowa mimo uszu, o ile w ogóle słuchał, co mówiłem.

Żaden bankowiec nie chciałby cię zabić, powiedziałem, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Przecież niedługo i tak cię wsadzą do więzienia.

W takich chwilach Heidl rozglądał się konspiracyjnie, pochylał i niby zwierzał.

Chodzi o różne sprawy, o których wiem, że nie chcą, żebyś ty wiedział. Skąd wiadomo, co mogę powiedzieć w sądzie?

Na przykład?

Zaśmiał się. W jego policzku tworzył się wściekły dołeczek.

Nic ci nie powiem. Ale oni myślą, że właśnie tobie powiem. I niektórzy podsycają ich strach.

Kto?

Na przykład Eric Knowles. On wie o moich znajomościach. Koneksjach.

Z kim?

Z ludźmi.

Jakimi?

Z ludźmi, wysyczał. Pogardliwie wydmuchnął powietrze przez nos i pokręcił głową nad naiwnością człowieka, który nie wie, kim są „ludzie".

A ja w jakiś sposób poczułem się zakłopotany, że nie od razu kojarzę, kim oni są, podobnie jak nie kojarzyłem wielu innych rzeczy.

Nie twierdzę, że oni żyją w twoim świecie, ciągnął Heidl. Ale istnieją. I w naszym, prawdziwym świecie, trzeba się z nimi zadawać albo mieć kogoś, kto będzie nas reprezentował w kontaktach z nimi.

No i co z tego?

To, że może i ja byłem kimś takim.

Jeżeli masz na myśli CIA, Siegfriedzie, to muszę od ciebie usłyszeć, że chodzi o CIA.

Pracowałem dla nich bezpośrednio tylko na początku lat siedemdziesiątych. W Laosie. W Republice Federalnej Niemiec. Później już nie. I nie tutaj, nie w Australii.

No to co robiłeś dla nich w Laosie? – spytałem, a Heidl znowu zaczął się uciekać do swoich eufemizmów, zagadek oraz retorycznych wybiegów,

mogących znaczyć wszystko albo nic.

Albo wszystko i nic.

W Chile, odpowiedział, jak gdyby chcąc mnie jeszcze bardziej udręczyć.

Mój kryptonim, uzupełnił, brzmiał Jago.

Znowu jednak mówił z wahaniem w głosie, jakby niepewny, co powinien wiedzieć i ile wie naprawdę. Zawsze wydawał się zdolny ewokować tajemnicę, ale kiedy tylko próbowało się ją zgłębić, starał się uciec od tego, co właśnie zasugerował. Jego pierwsza finta polegała na tym, że jak gdyby pomagał budować zagadkę, starał się mnie w nią wciągnąć, przytakując i zachęcając do rozmowy. Starał się, żeby jego kłamstwa wymyślał ktoś inny. I na początku dawałem się na to nabierać za każdym razem. Na końcu chyba zbyt rzadko. Chyba sam stałem się taką tajemnicą.

Nie jestem, czym jestem, odezwałem się.

Co?

Jago.

No przecież mówiłem, że Jago.

Tak się wyraził. W *Otellu*. Własne me serce przypnę do rękawa na żer dla kawek. Nie jestem, czym jestem, powiedziałem[1].

Dokładnie tak, odparł Heidl. To ja.

Wspaniała postać.

Wspaniała historia!

I znowu powróciliśmy do punktu wyjścia, znów się zagubiliśmy, kręcąc się w tym wirze, który mógł być tą tajemnicą albo jeszcze nią nie być, który może nią nie był albo jest, który nią był albo który nią nie jest.

Nie upieram się, że musimy wiedzieć wszystko o twoim życiu prywatnym, powiedziałem.

Nie, odrzekł Heidl.

Byłoby jednak dobrze, gdybyśmy mogli zobaczyć je choć trochę z twojej perspektywy.

Tak. Ale ja nie mam żadnej.

No to twoje życie w ogóle. Po pierwsze, czytelnicy tego chcą. A po drugie, sprawiasz wtedy wrażenie sympatyczniejszego. Kogoś, kto myśli o życiu,

o swoim życiu. Trzeba zastanawiać się nad sobą i innymi, bo życie bez tego nie jest godnym życia…

Sokrates.

…a tym bardziej lektury, dodałem zdziwiony, że Heidl dostrzegł aluzję.

Problem, odpowiedział, polega na tym, że życia, któremu już się przyjrzeliśmy, nie warto kontemplować.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wsunęła głowę Pia Carnevale.

Kif, Gene chciałby się z tobą zobaczyć, powiedziała. Chce, żebyś przejrzał z nim jakiś dokument.

2.

Paley nie chciał ode mnie nic takiego. Znowu próbował się tylko dowiedzieć, jak nam idzie robota.

Gorzej, powiedziałem.

Stałem z nim na podziemnym parkingu wydawnictwa. Pokazywał mi jeden ze swoich dyrektorskich samochodów, który wkrótce miał pójść na sprzedaż, nowy model nissana skyline GT-R, bardzo pożądany wóz w tamtym czasie. Pozwolił mi nim jeździć, póki pracowałem w Melbourne.

Zrobimy to w ten sposób, powiedział, bębniąc cicho o dach samochodu swoimi niezwyczajnie białymi paluszkami, które przypominały łapy torbacza. Do piątku chcę od ciebie dostać pierwszy rozdział. Do tego czasu możesz uważać, że jesteś na warunkowym. Jeżeli okaże się, że ten rozdział to nie jest to, o co nam chodzi, uznamy, że nasz eksperyment dobiegł końca. Jak wyczytałeś w umowie, w przypadku zerwania kontraktu dostaniesz pięćset dolarów. Jeżeli, na co mamy nadzieję, twój rozdział przejdzie próbę, będziemy pracować dalej.

Nie takiej propozycji się spodziewałem. Zresztą nie czytałem tego ani innych punktów umowy. Początkowo sądziłem, że w wydawnictwie powitają mnie czekiem albo pękatą kopertą pełną banknotów. Tak się jednak nie stało.

Chciałem poprosić o zaliczkę gotówką, bo Suzy i ja mieliśmy na koncie w banku już tylko dwieście dwadzieścia dolarów, których nie śmiałem tknąć. Nie wiedziałem, jak można niearogancko rozmawiać o takich sprawach. W każdym razie wszystko to zaczynało przypominać rozważania czysto akademickie, bo przecież nie miałem pojęcia, jak zdołam wyciągnąć z Heidla do piątku choćby jeden rozdział. Czułem, że mój język się porusza, że próbuję jakoś powiedzieć o tym Paleyowi, staram się rozsądnie dać mu do zrozumienia, że muszę z czegoś żyć. Ale mój wydawca był taki mądry, taki stanowczy – miał mnóstwo zalet, a kim lub czym byłem ja?

Nie powiedziałem więc nic.

Wziął moje zakłopotane milczenie za oznakę podziwu dla tego auta. Wyczuwał wiele rzeczy. Zapytał, czym jeżdżę w domu.

Holdenem EH kombi, odpowiedziałem.

Roześmiał się. Kto by tego nie zrobił na jego miejscu? Prawie trzydziestoletnie auto, zbyt popularne, by je kochać, i za stare, żeby mogło nie być niebezpieczne. Tak prymitywne technicznie, że nawet ja umiałem je naprawić. Nie powiedziałem Paleyowi, że zamontowałem nową podłogę z włókna szklanego, bo stara przerdzewiała. Nie powiedziałem, że samochód przecieka w czasie deszczu, że nie działa nawiew, dzięki któremu można odmrozić zimą okna, ani jak niebezpieczny jest holden na mokrej nawierzchni.

Wskakuj, powiedział Paley, poklepując lśniący dach nissana. Wypróbuj go.

Na sportowym siedzeniu poczułem się jak w kokpicie samolotu. Gene usiadł na miejscu dla pasażera, pochylił się, lekko chwiejąc, wbił wzrok w coś albo w nic i nagle dostrzegłem w nim bladą obojętność tajnego policjanta, seryjnego mordercy albo zarządcy funduszu inwestycyjnego.

Jeśli chcesz, powiedział, mogę ci zapłacić tą bryką zamiast gotówką. Zgoda?

Rozmawialiśmy z Suzy o tym, co moglibyśmy zrobić z dziesięcioma tysiącami dolarów – połowę wykorzystalibyśmy jako dużą ratę za dom, kupilibyśmy podwójny wózek dziecięcy, drugą kołyskę i tysiąc i jeden

drobiazgów, jakich potrzeba dziecku. Tych, których potrzeba rodzicom, byłoby tysiąc i dwa.

Nie szukam samochodu, odpowiedziałem, chociaż nie bez żalu. Tylko gotówki.

Mmm, mruknął Paley, rozciągając usta może w uśmiechu, a może w grymasie pogróżki. Spuścił wzrok, jak gdyby grawitacja albo nuda zniszczyły skąpe zainteresowanie, które początkowo mi okazywał.

A ja nie szukam literatury, odpowiedział, podnosząc na mnie swoje smutne oczy. To ma być książka, od której nie można się oderwać, Kif. Ten wóz to dobra zapłata za taką biografię.

Wróciliśmy do jego biura. Zaczął przepatrywać półki w poszukiwaniu wspomnień jakiegoś piłkarza, które chciał mi dać jak gdyby na wzór i jako przykład tego, czego oczekuje, kiedy zadzwonił telefon. Odebrał. W słuchawce zatrzeszczał czyjś daleki głos i twarz Paleya stężała w nagłym skurczu.

Jez Dempster! – zawołał, wymawiając każdą sylabę tak, jakby właśnie dopadł go nieznośny koszmar, którego miał nadzieję uniknąć.

Machnięciem wolnej ręki pokazał mi drzwi.

3.

Przy niewielkim stole konferencyjnym, przy którym pracowaliśmy, Heidl wydawał się małym, zmęczonym krętaczem. Sprawiał wrażenie osoby znikomej fizycznie i pozbawionej jakiegokolwiek znaczenia. Widziałem jego fotografie setki albo więcej razy w telewizji i gazetach, ale naprawdę nie potrafiłem sobie nic o nim przypomnieć. Nawet pracując razem z nim, trudno było zobaczyć go naprawdę. Pamiętam, że miał rzadkie włosy i był w nieokreślonym wieku, niski i trochę krępy, ale poza tym – i jego drgającym policzkiem – trudno coś o nim powiedzieć. Ray czasami nazywał go chochlikiem. Nie umiałbym lepiej nazwać tego małego czarownika. Od samego początku przez cały czas był na miejscu, a przecież nigdy nie można go było znaleźć.

Ale kiedy wróciłem od Paleya i zastałem Heidla siedzącego za dyrektorskim biurkiem, był jakby innym człowiekiem. Wydawał się większy, wyższy, bardziej władczy i jakoś pewny siebie. Wyglądało na to, że sygnały władzy, które generowało duże biurko, pozwalały mu zachowywać się tak, jak gdyby był potężny, gdy tymczasem ja, siedzący w fotelu klubowym przy stole, nie byłem już równy jemu, zmieniłem się bowiem w żałosnego pachołka, stenografa, służalczego urzędasa. Jeśli kryła się w tym jakaś tajemnica, to miałem przynajmniej nadzieję, że da się ją wykorzystać w dobrym celu.

Heidl wstał i już miał wrócić na miejsce przy stole konferencyjnym, kiedy zaproponowałem, żeby został za biurkiem.

To o wiele wygodniejszy fotel niż te tutaj, powiedziałem, i była to prawda. Poza tym tam będziesz mógł spokojnie załatwiać inne sprawy, które masz na głowie oprócz książki.

Uśmiechnął się, odwrócił i już bez dalszych ceregieli usiadł z powrotem w dyrektorskim fotelu za dyrektorskim biurkiem. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy widzę go na takim luzie. Jak gdyby urósł, zmienił język, zaczął się wyrażać bardziej nieformalnie i odniosłem wrażenie, że potrafi znaleźć równowagę pomiędzy zwykłą pogawędką o niczym i tym trudnym zadaniem, jakim było odpowiadanie na moje pytania. I jakimś sposobem pozostał większy ode mnie. Wprawdzie wciąż robił uniki – w swoim stylu – ale można było przypuszczać, że zachowuje się wreszcie tak, jak chce, i że jest tym, kim chciał być – czyli, jak mi się wydaje, kimś znaczącym, choć przy tym konformistą, człowiekiem, którego można nie zauważyć w tłumie.

Odwalasz świetną robotę, Kif, stwierdził, rozpierając się w fotelu. Powiedziałem Gene'owi, że mi zaimponowałeś.

Dzięki, odparłem tonem podwładnego, stukając w klawiaturę, kiedy to mówił.

Heidl złączył dłonie, splótł palce i rozprostował je z trzaskiem, kołysząc się z wolna w fotelu. Pomyślałem, że pies na tronie jednak nie przypomina króla, po prostu wszyscy się zgadzają, że to już nie jest pies. Może już wtedy w moim sercu rosła nienawiść do niego.

Teraz naprawdę musimy w końcu zacząć pracować, powiedziałem.

Oczywiście. W jakim innym celu bym tu przychodził?

Co z CIA? Powiedz mi, jak to było.

Już mówiłem.

Laos. Sekretna wojna. Powiedz mi o tym.

Nigdy nie byłem w Laosie. Kto ci tak powiedział?

A Langley?

Sądzisz, że odpowiem?

No… tak, stwierdziłem, tak sądzę. Z powodu tych dwustu pięćdziesięciu kawałków, które ci za to płacą. Nie musisz mówić wszystkiego, ale chociaż trochę. Może. A Niemcy?

Rozmawialiśmy, a ja rozpaczliwie szukałem w pamięci swojej szczątkowej wiedzy o Republice Federalnej Niemiec z początku lat siedemdziesiątych.

Pewnie rozpracowywałeś grupę Baader-Meinhof?

Znałem Szakala. Carlosa, jak go nazywali. Ale to tylko do twojej wiadomości. Skupialiśmy się głównie na Stasi.

Ten Szakal jest dobry.

Co? – powiedział Heidl i ja też już się zorientowałem, że cokolwiek zawisło na chwilę w powietrzu, właśnie prysnęło.

Podszedł do przełącznika światła i popatrzył na niego podejrzliwie.

Wiesz, co oni robią kapusiom? – zapytał.

No, co?

Podszedł do biurka, śmiejąc się, i podniósł aparat telefoniczny.

Musisz coś zrozumieć, powiedział. Życie nie tworzy sukcesu. Spójrz na Papę Doca. Na Augusto Pinocheta, na Walta Disneya. To sukces tworzy życie, którego potrzebuje jako wytłumaczenia.

Walt Disney?

Zgadza się. O tym właśnie mówię.

Dlaczego?

Dlaczego?! – krzyknął nagle i z trzaskiem odstawił telefon. Dlaczego! Dlaczego! Żyjemy w epoce, której się wydaje, że każde zachowanie można jakoś wyjaśnić. Ale tak nie jest. Dlaczego to? Dlaczego tamto?

O co ci chodzi?

Nie ma żadnego dlaczego! – wrzasnął.

4.

Był wielkim nekromantą, więc jego wściekłość zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, a jej miejsce niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zajęło coś, co wyglądało na podarunek dla mnie.

Okej. Powiem ci jedną rzecz, odezwał się Heidl. Tylko jedną. Bo to i tak nie jest tajemnica.

Czekałem. A on opowiedział mi historię tej małej kózki po raz drugi, pierwszy albo ostatni.

Koza, powiedział. Mała koza... Jak się taką nazywa?

Koźlątkiem.

Wycelował we mnie palcem. Właśnie. Koźlątko! No więc dają ci koźlątko, żebyś się nim zajmował.

CIA dało ci kozę?

Tak jest, potwierdził pewniejszym tonem. Czyste wariactwo, nie? Ale chodzi o to, żebyś się czegoś nauczył.

Trzeba ją karmić z ręki?

Spojrzał na mnie jak gdyby zdziwiony.

Kozy to miłe zwierzaki. Inteligentne.

To tylko kozy.

Są bardzo inteligentne. Jak na kozy. I przyzwyczajają się do człowieka. A człowiek do nich. A potem pewnego dnia każą ci je zastrzelić.

Żeby nauczyć was zabijać?

Nie. No, może. Ale nie w tym rzecz.

W co każą wam strzelać? W łeb?

W łeb.

Wyglądało na to, że się waha.

Czy w jakąś inną część ciała?

Zastanawiał się, co mogłaby oznaczać „inna część ciała". Zadrgał mu policzek. Czas mijał. W końcu Heidl odpowiedział:

W brzuch.

Dlaczego?

Milczał. Przesunął palcem w górę i w dół biurka. Chyba myślał o czymś innym, choć trudno było określić, czy przyszło mu do głowy jakieś kolejne wspomnienie czy może nowy pomysł. Z nim nigdy nie było nic wiadomo. Zawsze nad czymś pracował: nad tobą, światem, jakąś kolejną historią. Najczęściej właśnie nad kolejną historią.

Żeby… żeby umierało, odparł.

Powoli?

Powoli? Tak, dodał z wahaniem. W brzuch. Żeby umierało powoli.

Wydawał się smakować te słowa, nie mówić. I nagle przybrał pewny siebie, wręcz asertywny ton.

A ty musisz patrzeć.

To straszne, podsunąłem.

Tak. Straszne! Uśmiechnął się. Straszne! A koźlątko wydaje takie różne dźwięki, jak umiera. Okropne. I ten smród! Kurwa, kozie gówno. Szczyny.

Kiedy to było?

Okropne dźwięki. Jak konające dziecko.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie przychodziło mi do głowy żadne odpowiednie pytanie.

To coś okropnego, ciągnął Heidl. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo…

Kiedy kazali ci to zrobić?

Uniósł ręce do góry.

I tak już za dużo powiedziałem.

Daty.

Rzecz w tym, wiesz, że słyszysz, jak ta koza umiera. Skamle jak…

To było w siedemdziesiątym? W siedemdziesiątym pierwszym?

…jak… jak obdarty ze skóry człowiek, a ty musisz patrzeć na jego śmierć. Nie wiem, czy jesteś sobie w stanie wyobrazić coś takiego.

Czy pod koniec lat sześćdziesiątych?

Nie mogę powiedzieć.

Gdzie cię szkolili? Powiedz.

A co to za różnica? – odparł, na chwilę wpadając w złość. Rzecz w tym, że mamy kozę, małą kózkę…

Koźlątko.

Koźlątko, tak, i słyszysz, jak ono umiera, a oficer, który kazał ci je zastrzelić, co chwila do ciebie zagląda.

W Stanach?

Jak tam koza? – pyta. To taki sprawdzian, rozumiesz.

W Laosie?

Nie dostałbyś kozy w Laosie. Laos to był teren w pełni operacyjny, nie szkoleniowy. Bo rozumiesz, monitorują cię.

W Niemczech?

Nie chcą psychopatów, w każdym razie nie do takiej roboty jak moja, nie chcą ludzi pozbawionych uczuć. Chcą, żebyś czuł i zrozumiał, że musisz panować nad swoimi emocjami.

Przestałem zadawać mu pytania na ten temat… Straciłem nadzieję, że dostanę choćby maleńki szczegół, który mógłby nadać mojej opowieści cień autentyzmu. Zrezygnowałem z tej kozy, tak jak już wcześniej zrezygnowałem z bardzo wielu rzeczy, z których prawdziwy *ghost writer* nigdy nie powinien rezygnować. Ale się nie poddałem.

W tym momencie Heidl podniósł wzrok, spojrzał mi w oczy, a ja mu uwierzyłem. Może jedynie na krótką chwilę, ale uwierzyłem. I chociaż nie potrafiłbym wam powiedzieć dokładnie w co, to próbowałem skorzystać z tego, co mówił, a co, jak sądziłem, mogło doprowadzić mnie do jakiejś prawdy.

Żebyś wiedział, że dla nich każdy jest jak ta koza. Żebyś wiedział, że nie ma nikogo na świecie, kto nie mógłby konać powoli, jeśli oni wydadzą taki rozkaz.

Na Filipinach?

Nie chciałbyś być tym koźlątkiem.

Urwał; jego źrenice wyglądały jak dwa czarne guziczki przyszyte do twarzy.

I nie chciałbyś być tym, kogo się zmusza, żeby to oglądał.

5.

Opowieść o koźlątku była wspaniała. No, może nie wspaniała, ale to było już coś. Jednak gdy ją spisałem i przedstawiłem Pii Carnevale, usłyszałem, że efekt nie jest taki, jaki powinien być. Jej zdaniem brakowało zakotwiczenia w kontekście. Wiedziałem, że ma rację.

Nie pomagało mi to, że ta historia zdawała się nieprawdziwa tylko w mojej wersji, a brzmiała autentycznie, gdy opowiadał ją Heidl. Podobnie było z wieloma innymi jego opowieściami, z których przez dziwną akumulację cudzych sugestii, nadziei i lęków wyrastała wersja Ziggy'ego, jak przeciwieństwo zagadki, ale żadnej z nich nie udało mi się przedstawić w taki sposób, żeby zadziałała na papierze. Opowieści Heidla w formie pisemnej jakby unosiły się w powietrzu i właściwie nigdy nie schodziły na ziemię; nie było w nich żadnego brudu, nie było szczegółów. W usłanej papierem grocie, służącej mojej redaktorce za gabinet, pośród piętrzących się wokół maszynopisów, przypominających stalagmity, Pia podniosła dłonie o długich, ciemnych palcach i przebierając nimi w powietrzu, powiedziała: Dobry pisarz musi mieć brudne ręce, Kif.

Kiedy wróciłem do naszego pokoju, poczułem, że nie dam rady. Stanąłem przy oknie i wyjrzałem na dzielnicę przemysłową w dole i ciągnące się dalej żałosne bulwary Port Melbourne. W jedną stronę śmignęła ciężarówka, w drugą skuter. Zwykle panował tu niewielki ruch. Miasto żyło dalej, jak to miasto, znikając w nieczystym świetle wśród kwartałów ulic i przedmieść, odległe o całe eony.

Jesteś oszustem, powiedziałem, odwracając się tamtego późnego czwartkowego popołudnia do Heidla, który siedział przy wtedy już swoim biurku i rozwiązywał krzyżówkę.

Naprawdę?

Nie odezwałem się. Co mogłem odpowiedzieć?

Wszyscy jesteśmy oszustami, stwierdził Heidl. Wszyscy wiemy, że nie jesteśmy ludźmi, których udajemy. Dlaczego ja miałbym być inny pod tym względem?

Igrał w ten sposób z ogniem, prowokując, żebym go nacisnął jeszcze mocniej.

Ponieważ przez cały tydzień bezskutecznie walczyłem z nim o jakieś istotne szczegóły, dotyczące jego wczesnego dzieciństwa, zdecydowałem, że lepiej będzie nie zawracać sobie głowy takimi opowiastkami z przeszłości i powiedzieć mu o tym.

Nie obchodzi mnie, gdzie się urodziłeś, oznajmiłem.

Przewidywalnie nieprzewidywalny, poczuł się urażony. Pokręcił głową, nieznacznie, ale szybko.

Nie obchodzi cię to?

Nie.

Ale przecież chcesz znać takie detale?

Odpowiedziałem, że nie. I zdałem sobie sprawę, że naprawdę nie chcę.

Przyjął zdumioną postawę. Przyjmował wiele postaw, czasami tak dużo, że nie mógł się kryć za nimi wszystkimi naraz. Zdumienie należało do tych emocji, których udawanie wychodziło mu gorzej. Wykrzywił groteskowo twarz i pomyślałem, że wygląda jak strzegący złomowiska pies, który się szamocze na łańcuchu.

Ale przecież chcesz wiedzieć, gdzie się urodziłem? Chcesz, prawda?

Może wyczuł, że rzucam wyzwanie jego autorytetowi. A może po prostu chciał sprawdzić, co w tym momencie będzie w stanie ze mną zrobić, chciał się zorientować, jak daleko może się posunąć w relacji ze mną, do tej chwili twierdził bowiem, że jego narodziny są nieważne, teraz jednak upierał się, że powinienem wiedzieć, gdzie przyszedł na świat.

Mam nowy pomysł na początek, powiedziałem, chociaż nie miałem żadnych pomysłów. Skończyły mi się.

Ale ty jako ty chcesz o tym wiedzieć, prawda?

Nic mnie to nie obchodzi, Siegfriedzie.

Była to prawda. Miałem już dość Heidla, zmęczyły mnie jego gierki.

I musisz to włączyć do tekstu. Miejsce i datę moich urodzin, musisz.

Już nie. Gene Paley kazał mi po prostu skończyć książkę.

Urodziłem się…

Wiesz co?

Urodziłem się, brnął dalej mimo wszystko, na południu Australii, w górniczym miasteczku Jaggamyurra, na pustyni.

Ja właściwie wcale tak bardzo się tobą nie interesuję, powiedziałem w nadziei, że zniewaga może wywołać jakąś reakcję. Prawdę mówiąc, wydajesz mi się nudny.

Dzisiaj nikt tam nie mieszka. Bezludne miasteczko.

Opowiadał mi o tym już wcześniej, a ja wszystko sprawdziłem.

Ostatnie narodziny dziecka w Jaggamyurra odnotowano urzędowo w roku 1909, powiedziałem.

Milczał. Może mnie nie usłyszał.

Ładnie się starzejesz.

Moich narodzin nie odnotowano, odpowiedział, podnosząc wzrok znad gazety, by wreszcie spojrzeć na mnie z lekkim, smutnym uśmiechem. To było niemożliwe. Setki mil od cywilizacji. Moi biedni rodzice uważali, że to straszne miejsce.

Nie odpowiedziałem, a Heidl kontynuował swoją wypowiedź, która wydawała mi się natchnioną improwizacją.

Jak możesz mi nie wierzyć? – spytał. Uniósł wyprostowane ręce niczym ksiądz błogosławiący wiernych. Jak możesz?

Jaggamyurra?

Niezwykłe miasteczko, stwierdził.

Byłeś tam kiedyś?

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym, odrzekł.

Kiedy zdał sobie sprawę, że go wpuściłem w kanał, dodał pospiesznie: Pojechałem pokazać je żonie i dzieciom.

Czyli chcesz, żeby wspomnieć o nim w książce?

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem. No… Tam się urodziłem.

Oczywiście, odpowiedziałem. Jak tam było?

Dużo piasku.

Dużo piasku?

Tak.

Coś jeszcze? Przyjaciele? Jakieś opowieści? Życie rodzinne?

Tylko piasek.

Wszystko to nie prowadziło donikąd. Nie chciał powiedzieć mi nic, z czego mógłbym skorzystać. A ja z tego jego piasku miałem wyczarować dzieciństwo i książkę. Z narastającym przerażeniem zrozumiałem, że nie wiem, jak napisać wspomnienia Heidla i zainkasować honorarium. Nie miałem pojęcia, jak zacząć, a tym bardziej jak skończyć tę biografię, jeżeli chciałem sobie kupić nowe adidasy i wrócić do domu, do Suzy i naszej mającej się powiększyć rodziny, z pieniędzmi, dzięki którym moglibyśmy jakoś żyć, dopóki nie skończę tej swojej niemożliwej do ukończenia powieści autorskiej. Co gorsza, nie miałem pojęcia, kim jest Heidl, mój bohater, i nie wiedziałem, co mam robić dalej. Zapadła długa cisza, w której poczułem tak całkowity paraliż duszy i umysłu, że przez chwilę nie byłem w stanie mówić. Musiałem jednak spróbować ten jeden ostatni raz.

Jakim dzieckiem byłeś? – zapytałem.

Dzieckiem? – odrzekł, przerzucając najnowsze wydanie „Woman's Day". I nie podnosząc wzroku, dodał: Dzieckiem, tak. Dzieckiem? Nie mam pojęcia. Zaginąłem zaraz po urodzeniu.

Wrócił do czytania.

Wystukałem na klawiaturze: „Zaginąłem zaraz po urodzeniu".

Wpatrzyłem się w to zdanie. Potem usunąłem je z końca dokumentu, przewinąłem tekst i wkleiłem tę wypowiedź na początku, tuż poniżej nagłówka „Rozdział pierwszy". Pochylając się nad początkiem tego, z czego, jak ośmielałem się mieć nadzieję, mogła jeszcze wyjść książka, przeczytałem to zdanie ponownie.

Dało się je czytać, było to coś, chociaż nie wiadomo co. Przypominało jakby głos na pustyni. Nie mając do dyspozycji nic innego, postanowiłem iść za nim. Czułem, że to zdanie coś we mnie porusza, a ściślej mówiąc, słyszałem je i właśnie ta linijka, właśnie to zdanie sprawiło, że zacząłem słyszeć inne, najpierw jedno czy dwa, potem więcej, aż wreszcie było ich tyle, że wypełniły mi głowę.

Wykasowałem wszystko, co dotąd napisałem. Zrozumiawszy, że mam zarówno pierwsze zdanie, jak i być może klucz, którego potrzebowałem do całej książki, zacząłem wstukiwać te jego wypowiedzi do komputera tak, jak je słyszałem. Niektóre były zlepkiem różnych fraz, które wymyśliłem wcześniej, teraz jednak zostały podane na nowo i z innej perspektywy, jak gdyby zawsze zachowywały ważność, choć wiele fragmentów tekstu powstawało z konieczności na nowo. W ten sposób zacząłem pisać prawdziwą historię Siegfrieda Heidla, najsłynniejszego oszusta w dziejach Australii.

6.

Następnego dnia, w piątek po południu, kilka minut po czwartej, wszedłem do gabinetu Gene'a Paleya i wręczyłem jego sekretarce laserowy wydruk pierwszego rozdziału. Nie wiedziałem, co Paley o nim powie. Wiedziałem już jednak coś innego. Że pisząc o Heidlu, spotkam samego siebie. Nie było innego sposobu, żeby napisać tę książkę. Ja i ja. Mnie i mnie. Czy już na samym początku domyśliłem się, jakie przestępstwa popełnię? Jeśli tak, to nie chodzi o to, że nie przyznałem się do winy przed światem, tylko o to, że nie dopuszczałem jej do świadomości nawet sam przed sobą. Myślę jednak, że Heidl już wtedy wiedział. To on był pierwszą osobą, może tego najbardziej w nim nienawidziłem.

3

1.

Skończyłem trzydzieści jeden lat, kiedy czar prysnął i zadzwonił telefon, chociaż jak się zaraz przekonacie, nie odbyło się to w takiej kolejności. W słuchawce odezwał się Ray, zapytał, co słychać.

No wiesz, odpowiedziałem. Dobrze.

Może stwierdziłem jednak, że daję sobie radę. Moja odpowiedź naprawdę nie ma znaczenia. Może zapytałem, jak mu leci, a on mi opowiedział, że właśnie skończył robotę na dalekiej tropikalnej prowincji, w Cape York. To, co mówił Ray, też jest nieistotne, ale lepiej będzie się czytać tę książkę, jeżeli jemu także damy kilka kwestii. Rzecz w tym, co zamierzał powiedzieć, najpierw jednak spytał: Ciągle chcesz być pisarzem?

Uważał, że aby zostać pisarzem, wystarczy pójść na coś w rodzaju mistrzowskiego kursu nurkowania, który skończył kilka lat wcześniej, żeby pracować jako przewodnik płetwonurkowy na Wielkiej Rafie Koralowej: najpierw krótkie wyjaśnienie problemów teoretycznych, a potem umiejętności techniczne, których się trzeba nauczyć i które należy opanować, zanim człowiek zabierze się do tych pierdolonych brytolskich turystów z plecakami dziesięć metrów pod wodą, wśród ławic graników i babek.

Pamiętam, że był wieczór, i to zimowy, kiedy Ray zadał mi pytanie, które naprawdę chciał zadać. Wspomnienia są jednak jak rak, rozprzestrzeniają się, aż wreszcie niemożliwie splatają ze wszystkim, z tym co złe i dobre, prawdziwe i fałszywe. Czy pamiętam, jak słuchałem Raya w ciasnocie małego saloniku, do którego wycofywaliśmy się na te długie, ciemne

wieczory, gdzie stał tani żeliwny tajwański piecyk na drewno, który sam tam zainstalowałem, żeby ocieplał chociaż tę część naszego domu, czy tylko tak mi się wydaje? Chodzi o to, że próbowałem napisać powieść, w ogóle nie mając pieniędzy, i nie szło mi. I nie wiedziałem o tym, a jeżeli wiedziałem, to nie zwracałem na to uwagi.

Zaczynało ogarniać mnie jednak jakieś przeczucie, przypominające ponury świat za oknem tamtego dnia. Stałem ze słuchawką przy uchu, tyłem do piecyka. Żeliwna obudowa stękała, rozprężając się od płonącego w środku ognia, i parzyła mnie w nogi. Było niejasne, dokąd zmierzam i gdzie wylądujemy – my, to znaczy ja, Suzy i Bo, nasza trzyletnia córeczka, która naprawdę miała na imię Brigid.

Jeżeli mam być szczery, to nie układało się nam najlepiej. Nie panikowałem, ale trzeba powiedzieć, że wyczuwałem rosnący cień i robiłem wszystko, co mogłem, żeby trzymać się od niego z daleka. Należy też powiedzieć, że jak to leżało w naszym charakterze, mieliśmy ambicje odpowiednie do naszego miejsca i czasu, które dawały nam szczęście, chcieliśmy tworzyć rodzinę i żyć w naszym wyspiarskim domu, bo jak sobie wmówiliśmy, kochaliśmy go. Ray był bardziej sardoniczny.

Kochać Tasmanię to jak kochać piękną narkomankę, powtarzał, a wiedział, co mówi. „Nie można na niej polegać, bo ma paskudne nałogi".

Były to dobre lata, chociaż wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Przyszłość kryła całe mnóstwo rzeczy, o których nie wiedzieliśmy, wiele niewiarygodnych i niedobrych zdarzeń, ale dla nas nie był to powód do zmartwień. Byliśmy bez grosza, perspektyw i mienia, a przecież słusznie sądziliśmy, że życie jest „słodkie". Mieliśmy tak niewiele, że nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że nie mamy prawie nic. Nie obchodziło nas to. Wszystko, czego nam brakowało, było nieciekawe i nieistotne. Przyszłość stanowiła nieskończony horyzont, nad którym słońce wciąż lśniło wczesnoporanną obietnicą. Wszystko czymś pachniało, a każdy zapach był świeży – poranne powietrze, rozgrzany słońcem asfalt, wieczorny deszcz. Istniał tylko dzień dzisiejszy i wydawało nam się, że to jest więcej niż dość.

Koncepcja „zła", całego tego „zła", które czai się w świecie, zła, które pewnego dnia, prędzej, niż myślisz, wtargnie do środka i wejdzie nawet w ciebie, była wtedy jedynie, no cóż, zaledwie bajką, przypominającą te,

które czytałem co wieczór naszej Bo. Niemieckie bajki o wilkach w owczej skórze, niosących dary.

Przewrócimy stronicę i zobaczymy, co dalej? – pytałem. Buu! – mówiłem, a Bo zamykała oczy i instynktownie łapała mnie za rękę. I popatrz tylko! Wilk przebrał się za drwala! Patrz! Drwal udaje, że pomaga chłopczykowi! Patrz! Wilk pożera go w całości! Bo piszczała i śmiała się, a ja przewracałem kolejną stronicę.

Później, w nocy, kiedy leżałem wtulony w plecy Suzy, zamykałem oczy i widziałem, jak unosimy się w powietrzu, wyginamy, fruwamy spleceni w objęciach, a pod nami wiruje szalony świat jak na obrazie Chagalla, wilki, dzikie zwierzęta i płomienie. Dopóki jednak trzymaliśmy się razem, nie podlegaliśmy prawu grawitacji, byliśmy bezpieczni od wszystkiego, co czekało na zewnątrz. Wczesny geniusz Chagalla prześlizgnął się z czasem w radosny kicz z wyższej półki. Być może gdybyśmy dostali chociaż cień szansy, nam też by się to udało.

W każdym razie nie znajdowaliśmy się na płótnie Chagalla, tylko w Hobart na Tasmanii, a wspólne fruwanie w uścisku niczym wstążki na wietrze przestało być takie proste, bo Suzy zaszła w bliźniaczą ciążę. Zdumieliśmy się na wiadomość, że wkrótce możemy zostać rodzicami tak nadzwyczajnych i cudownych istot jak bliźnięta. Ponieważ jednak mieliśmy już jedno dziecko i wiedzieliśmy, co to znaczy, ile kosztuje pracy, pieniędzy i czasu, trochę się przestraszyliśmy. Ciąża była już zaawansowana i nie ma co ukrywać, że Suzy nosiła przed sobą naprawdę ogromny brzuch.

Przeglądaliśmy książki – były to jeszcze czasy, kiedy można było normalnie pójść do biblioteki i wypożyczyć książki na ważny dla was temat, jak na przykład zbliżające się narodziny bliźniaków – i wzdychaliśmy, i śmialiśmy się z ilustracji oraz źle wydrukowanych fotografii kobiet w bliźniaczej ciąży, kobiet, które szczerze mówiąc, wyglądały niczym wieloryby, tak bardzo miały wzdęte brzuchy, biedaczki. Może one i tak wyglądają, mówiliśmy sobie, ale z nami będzie inaczej. Bo widzicie, wtedy jeszcze wciąż rozmawialiśmy ze sobą w ten sposób, wciąż myśleliśmy o sobie jako o… Jako o „nas”, no. I że my nigdy nie będziemy tacy grubi, chociaż Suzy wkrótce się rozrosła i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu jej brzuch ciągle się powiększał.

„My”.

Wspaniały, słodki zaimek pierwszoosobowy.

W nocy, kiedy Suzy się budziła i próbowała odwrócić, musiałem wsuwać pod nią obie ręce, dźwigać ją, udając podnośnik widłowy, i przekręcać na bok najpierw jej brzuch, a potem resztę ciała. Zrobiła się tak wielka, że odsuwaliśmy przednie siedzenie holdena najdalej do tyłu, jak to było możliwe, a mimo to brzuszysko mojej żony wciskało się w kierownicę. W siódmym miesiącu ciąży była już taka wzdęta, że musiała zrezygnować z pracy, a teraz zostały jej tylko trzy tygodnie do porodu.

Wiązaliśmy koniec z końcem dzięki pieniądzom, które zarabiałem, pracując fizycznie kilka dni w tygodniu, a poza tym miałem posadę portiera w radzie miejskiej. Nie przynosiłem do domu wiele i stawało się jasne, że nie wystarczy nam środków na życie. W dni, kiedy nie było roboty, wieczorami, jeśli nie czułem się zbyt zmęczony, i wcześnie rano, jeżeli udawało mi się do tego zmusić, pisałem, usiłując przetworzyć chaos notatek, pomysłów i anegdot w coś spójnego, co mogłoby stać się powieścią. Nie chodziło o to, że chciałem być pisarzem. Chodziło o to, że w i e d z i a ł e m, że nim jestem. Nie była to najmniejsza z moich ambicji, ale na pewno najbardziej zapierała mi dech w piersi.

Miałem tyle do powiedzenia o pisaniu, byłem pewien tylu rzeczy o literaturze i znałem tyle prawd o niej, że w innym czasie i kraju mógłbym pewnie zostać gwiazdorskim produktem jakiegoś uniwersyteckiego kursu twórczego pisania, kilku takich kursów albo skoro już o tym mowa, akademickim nauczycielem pisarstwa. Mogłem też uprawiać każdy inny zawód.

Nie udawało mi się jednak zostać pisarzem.

Musiałem bowiem zmierzyć się z niewygodnym problemem, polegającym na tym, że nie wiedziałem, jak napisać powieść, oraz z rosnącym i niewypowiedzianym strachem, że może nie potrafię tego zrobić. Zapisywałem słowa. Zapisywałem anegdoty, teorie, liryczne kawałki prozy, które w chwilach złudzeń wydawały mi się dobre. Ale tylko wtedy, kiedy ulegałem tym złudzeniom. Poza tym wiedziałem, że to knoty. Nic nie napisałem. Miałem za to nienapisane życie, uczucia, wspomnienia, sny – cały kosmos! Jak to możliwe, że pod moim piórem rozpływał się w słowną nicość? Wyobrażałem sobie, że w tych moich zmaganiach nabędę

może mądrości, wydawało mi się jednak, że tylko coraz szybciej idiocieję. Moje pisarstwo to były jedynie słowa. Brakowało im historii. Duszy. A to, co nadawało powieści duszę, pozostawało dla mnie tajemnicą.

Jeżeli jakimś cudem udałoby mi się kiedyś znaleźć tę duszę, to nie wiedziałem, jak mógłbym doprowadzić do wydania książki. A jeśli jakimś kolejnym cudem zdołałbym doprowadzić do jej publikacji, to tym bardziej nie wiedziałem, jak mógłbym później żyć z pisania, tak żeby wydobyć nas z biedy. Nie chcę powiedzieć, że nie miałem planu awaryjnego. Nie miałem żadnego planu.

2.

Mimo wszystko były to dobre lata. Rozpoczęła się wielka globalna feta, runął mur berliński, nadszedł kres historii i wszystko się dopiero zaczynało. Ponadto zaczynałem się, jak sądziłem, także ja. A jeśli kraj na chwilę zboczył ze ścieżki wzrostu z powodu krótkotrwałej ostrej recesji na początku lat dziewięćdziesiątych, to wkrótce wszystko znowu miało być lepiej. Wskutek dekoniunktury wzrosły ceny kredytów, co wprawiło społeczeństwo w nastrój mściwej wściekłości. Jak się jednak okazało, partia rozwoju gospodarczego miała rządzić Australią jeszcze przez dwie dekady. Recesja była tylko chwilowym dołkiem, spalonym bezpiecznikiem we wzmacniaczu. Impreza miała trwać o wiele dłużej, nic nie jest jednak tak niemile widziane na zabawie, jak poczucie, że dobiega końca, chociaż dopiero co się rozpoczęła.

Australia ze szczególnym rozgoryczeniem odnosiła się do tych menedżerów z lat osiemdziesiątych, którzy zaledwie kilka krótkich lat wcześniej byli bohaterami narodowymi, wygrywali światowe regaty jachtowe i wykupywali studia filmowe w Hollywood. Ale w roku 1992 bogaczom powinęła się już noga, a ich przedtem wielce podziwiana ekonomiczna hucpa została zdemaskowana jako przestępcza sieć matactw, oszustw i kradzieży. Banki upadały z powodu zbyt wysokich pożyczek, jakich udzielały swoim klientom, a każdy Australijczyk

z kredytem mieszkaniowym – przez moment wydawało się, że nie ma w tym kraju nikogo bez kredytu – poczytywał sobie za osobisty afront, że stopy procentowe idą w górę. Jak gdyby to ci menedżerowie własnoręcznie okradli ich z prawa własności jako Australijczyków i celowo wywołali kryzys. Tego, że wszyscy wykupywali udziały w tej samej piramidzie finansowej za coraz bardziej absurdalnie wysokie ceny, właściwie nikt nie chciał słuchać.

Nie inaczej było z nami. Kupiliśmy dom – podniszczony szeregowiec – za wkład uzbierany dzięki długom na kartach kredytowych i za pieniądze pożyczone od znajomych. Co miesiąc przychodził kolejny list od prawników – tworzących coś w rodzaju mafii kredytowej, która później wpędziła w wielkie kłopoty Stany Zjednoczone, pożyczając pieniądze najsłabiej zarabiającym na najwyższy procent – z informacją, że wysokość naszych rat znów musi się zwiększyć. Mimo to co miesiąc udawało nam się jakoś znajdować te coraz wyższe kwoty, żeby dalej mieszkać w naszym domu. Co miesiąc chodziłem na drugi koniec miasta do adwokackich „komnat" – jak wzniośle nazywano niegustowną, deprymującą kancelarię prawną. Co miesiąc czekałem, aż recepcjonistka przejrzy pudełko od butów pełne wyświechtanych fiszek, szukając przypisanego do nas różowego kwadracika, i co miesiąc kładłem na blacie odpowiednią liczbę banknotów i monet.

Ale tamtego wieczoru, kiedy zadzwonił telefon, na stole leżał ostatni list od tych ludzi, informujący, że oprocentowanie wzrosło aż do dziewiętnastu i pół procent, więc nasze raty stały się tak wysokie, że nie byliśmy już w stanie ich spłacać. Suzy nic nie zarabiała, ja nie przynosiłem do domu dość pieniędzy dla nas trojga i z każdym kolejnym dniem coraz trudniej przychodziło mi nie zauważyć, że nie daję rady skończyć swojej powieści.

A jeżeli ją skończę, to co wtedy? Przeczytałem w życiu kilka książek. Ale Borges, Kafka czy Cortázar nie mieli odpowiedzi, których potrzebowałem. Żaden z nich nie musiał spłacać rat za dom i bać się co miesiąc, że nie będzie go na nie stać. Igrali z czasem i nieskończonością, sny i koszmary zmieniali w mitologię. Nie znali nawet tych pytań, których starałem się nie zadawać, bo wydawały mi się bardzo nieliterackie.

Na przykład skąd wziąć forsę na dziesięć litrów farby? Jak spłacić pieluszki, kupowane na zeszyt? Jak skończyć pisać powieść, kiedy trzeba rozwiesić nieodwirowane pranie i rozebrać pralkę, żeby naprawić zawieszenie bębna? Skąd wytrzasnąć dość banknotów, by wypchać nimi portfel i pójść na drugi koniec miasta, czując, jak uwierają mnie w tyłek, a potem przekazać je młodej kobiecie w kancelarii, żeby raz jeszcze przeliczyła je na moich oczach?

Wstyd.

Upokorzenie.

Bałem się, że źle obliczyłem ratę. Dla pewności sprawdzałem jeszcze wszystko przed wyjściem z domu. Był świat i było moje pisanie, i nic tych dwóch rzeczy nie łączyło. Jak zarobić pieniądze? Jak zbudować interesującą fabułę? Skąd wziąć pieniądze na podwójny wózek? Jak wyprowadzić powieściową postać z pokoju? Czasami przesuwałem ręką za oparciem naszej starej kanapy w poszukiwaniu monet, których potrzebowałem, żeby zebrać całą kwotę. Wieczorami i w weekendy naprawiałem stare meble, znalezione na śmietnisku, przemalowałem komodę i zastanawiałem się, jak zdołamy pomieścić troje dzieci w jednej ciasnej sypialni. Liczyłem i liczyłem, ale pisanie zawsze było jakby drugą osobą, a życie pierwszą, i czasem nie zostawało nam nic na jedzenie, żyliśmy więc o soczewicy albo grochówce, dopóki znowu nie pojawiało się trochę pieniędzy.

Pisałem w tak małym pokoju, że mieściło się tam tylko biurko i wciśnięte pod nie krzesło z oparciem dosuniętym do ściany, a naprzeciwko wisiała jedyna dekoracja: pocztówka z reprodukcją obrazu Caravaggia, przedstawiającą Dawida, wymachującego odciętą głową Goliata, którego twarz, co jest makabrycznym żartem, to autoportret artysty. Żeby wejść do tej klitki albo z niej wyjść, musiałem się wdrapywać na biurko. Wszystko mnie tu osaczało, a smutne, puste oczy Caravaggia patrzyły na mnie z góry, kiedy obliczałem naszą ratę kredytu i ilość słów mojej powieści i w żaden sposób, jakkolwiek bym liczył, jednego ani drugiego nigdy nie było dosyć.

Tamtego wieczoru zadzwonił jednak telefon.

Kif, kontynuował Ray. Chcesz, prawda? Tak?

Ociągałem się z odpowiedzią.

Bo tak mu powiedziałem. Że chcesz być pisarzem. Mam rację?

Jasne, odparłem.

No to mam tu kogoś, kto chciałby z tobą pogadać, oświadczył Ray.

Na linii odezwał się głos z niemieckim akcentem.

Cześć, Kif, powiedział.

3.

Ray uwielbiał przemoc, narkotyki i kobiety, a przemoc, narkotyki i kobiety uwielbiały jego. Może to wszystko też mi się podobało. Może lubiłem przemoc. Na pewno lubiłem kobiety i dreszcz podniecenia. Były też bójki, policja, pościgi samochodowe. Imprezy. Drobne przestępstwa. Kradzieże aut i przejażdżki kradzionymi wozami z jedną kasetą, którą zawsze nosiliśmy ze sobą i odtwarzaliśmy, gwałtownie odjeżdżając: *Stranded* grupy The Saints. Zdarzało się, że Ray zabierał ze sobą maskę spawalniczą – z zawodu był spawaczem-monterem – i nosiliśmy ją na zmianę, kiedy nawalaliśmy się podgrzanym zapalniczką haszem i wyglądaliśmy na świat, rozpuszczający się w smugi świateł samochodów i latarni ulicznych, przez przydymione okienko tej maski jak przez szybkę zbroi Neda Kelly'ego[2] – to był jeden obraz naszej młodości.

A drugi to ja i Ray w kradzionym valiancie kombi. Był to starszy, podrasowany samochód, wyposażony w zamontowaną w podłodze dźwignię zmiany biegów od impali, prymitywny, chromowany, żelazny drąg, zainstalowany przez jakiegoś mechanika amatora w miejsce fabrycznej dźwigni przy kierownicy. Chałupniczo zamontowane urządzenie miało poprzestawiane przełożenia, pierwszy bieg był tam, gdzie powinien być wsteczny, i tak dalej. My jednak nie dostrzegaliśmy takich utrudnień, widząc jedynie okrągłą gałkę tej dźwigni, ciasno obciągniętą włochatą kangurzą moszną, i fajową czterobiegową skrzynię w podłodze, zastępującą powszechne na australijskiej prowincji konstrukcje trzybiegowe – zaściankowe, bezpieczne i staroświeckie. Ray pasjami nie znosił pracowników biurowych, wystających na przystanku

autobusowym przed jego domem, gdy był dzieckiem, nie znosił ich garniturków, puchatych swetrów zapinanych na guziki i obwisłych cielsk, które, jak uważał, wyhodowali sobie, żywiąc się ciągle gulaszem z czerwonego mięsa.

Jebać jebane jagnięta! – wołał. Jebać baraninę, jebać mostki wołowe, jebać soloną wołowinę, jebać jebanych urzędasów.

Z powodu tej nienawiści do mięs rzekomo spożywanych przez wszystkie żałosne trutnie biuralistyki Ray ochrzcił ich mianem: rostbefy. I wszystko, czego mogli używać rostbefiarze – jak samochody z dźwignią zmiany biegów przy kierownicy – sprawiało, że zaczynał się źle zachowywać.

Wtedy późnym wieczorem skręciliśmy na sporej szybkości z miejskiej uliczki w jakiś zaułek, żeby zaparkować i pójść do kolejnego baru. Ciemność na końcu alejki nagle rozbłysła migającym niebieskim i czerwonym światłem – bo czyhał tam radiowóz, czekający właśnie na takie ofiary jak my. Skradziony valiant, kapsuła czasu pełna oparów haszyszu i zapomnianych piosenek z lat siedemdziesiątych, wypełnił się światłem policyjnego koguta i towarzyszącą mu naszą nagłą paniką. Gdy radiowóz zaczął się zbliżać, Ray z trzaskiem wcisnął obcą dźwignię podłogową o dziwnych przełożeniach tam, gdzie jak mu się wydawało, powinien być wsteczny bieg.

Wdepnął pedał gazu i valiant ryknął, kiedy Ray puścił sprzęgło. Ale zamiast wycofać się na dużej prędkości z zaułka, samochód, w którym omyłkowo wrzucił jedynkę, zaryczał jak dzika bestia i runął prosto na wóz policyjny. Policjanci, obawiając się szalonego frontalnego ataku, ostro przyhamowali, wrzucili wsteczny i zaczęli się cofać, wyglądało więc na to, że teraz to my ich gonimy. Ścigaliśmy ich zygzakiem, Ray zahamował jak wściekły, próbując wyrwać dźwignię z pierwszego biegu, głowy poleciały nam raptownie do tyłu, valiant zarzucił, hamulce i opony zapiszczały, a zębatki i kółka w skrzyni biegów zgrzytnęły przeraźliwie.

Ray znalazł wsteczny bieg, samochód ryknął i zatrząsł się raz jeszcze, a głowy szarpnęło nam teraz do przodu, kiedy wycofywaliśmy się na dużej prędkości z zaułka i wpadliśmy w światła nadjeżdżających aut. Udało nam się uniknąć zderzenia i przejechać pierwsze skrzyżowanie na czerwonym świetle, kiedy zobaczyliśmy radiowóz już na ulicy, cały rozświetlony, z wyjącą syreną i gotowy do ruszenia za nami w pościg. Ray wyłączył

światła i przejechaliśmy w ten sposób jeszcze kilka skrzyżowań na czerwonym, pędząc slalomem wśród innych późnowieczornych samochodów. Zgubiliśmy policjantów w pobliżu portu. Porzuciliśmy valianta za starą przetwórnią dżemów i wróciliśmy piechotą do baru, gdzie Ray szybko przegrał walkę z trzema bramkarzami. Kiedy go zabrałem do szpitala, bo trzeba mu było szyć rany, zażądał, żebyśmy się zamienili na spodnie. Jego były zakrwawione i podarte, więc martwił się, że nie będzie dość porządnie wyglądał.

Bił wrogów, obcych i ludzi, którzy natykali się na niego wtedy, kiedy nie powinni, czyli po dziesiątej wieczorem; tylko w niedziele nie wdawał się w bijatyki, bo wtedy szedł na pieczeń do swojej matki. Ziała w nim jakaś otwarta rana, która kobietom wydawała się piękna i często je olśniewała. A gdy docierało do nich, że Ray nie jest tym, za kogo go brały, kiedy szukał ucieczki w zdradach z ich współlokatorkami, koleżankami, siostrami, a raz nawet z matką swojej kochanki, kiedy patrzyły, jak wyrzuca dwóch bramkarzy w klubie nocnym przez zamknięte okna – zdarzyło się coś takiego – to przychodziły wreszcie do rozumu. Nie dawał się urobić. Wyglądał na miłego, ale wcale nie był miły.

Był i taki, jak we wszystkich opowieściach krążących na jego temat, i nie taki, bo okazywał się też świetnym kompanem, uprzejmym i dziwnie łagodnym człowiekiem. Życie stanowiło dla niego nieustające źródło zadziwienia. Chciał dotykać, ruchać, lizać i smakować wszystko. Zamrażarka w jego lodówce była pełna martwych ptaków – sowic, sokołów, lamparcików – które gdzieś znajdował i trzymał w domu, żeby się im przyglądać w chwilach nudy. Wzruszały go piękna wyściółka piór, zlewające się leniwie ze sobą cętki barw, kształt dzioba i wszystko, co mogłoby to znaczyć. Bardzo chciał latać jak ptak. Siadywał przy stole w kuchni, przed nim tajała jakaś sowa czy orzeł, a Ray oglądał ich rozmrażające się skrzydła, pokryte rosą ogony i chłodne piersi w poszukiwaniu klucza do tajemnicy fruwania, jak gdyby zgubił coś bezcennego, co może jeszcze odnajdzie.

Miał w sobie dobroć. Nie wiem dokładnie, ile, ale miał. On po prostu nie za bardzo ją lubił – nie lubił tego, czym był i jaki nie był. Czytałem wtedy Junga, który twierdził, że w każdym alkoholiku tkwi poszukiwacz. Ale w Rayu przybywało tylko coraz więcej Raya. I trudno było powiedzieć, kim

Ray jest, skoro on sam nie miał o tym pojęcia. Może faktycznie przypominał kogoś w rodzaju poszukiwacza, kiedy nie był napruty, nawalony albo naćpany wszystkim, co tylko mógł połknąć, powąchać, wciągnąć do nosa albo wstrzelić sobie w żyłę. Był spawaczem-monterem, który czytał Hessego. Facetem, któremu wydawało się, że umie latać. Hipokrytą i skurwielem. W ostatecznym rozrachunku był niewytłumaczalny.

I był moim przyjacielem. Najlepszym.

Niekiedy jęczał, że tak go boli głowa, jak gdyby zgubił gdzieś w niej żywą elektrodę, taką, która w czasie spawania rozgrzewa się do białości.

Czujesz jej zapach? – pytał, chwytając mnie raptownie za koszulę obiema rękami. Szamocze mi się w głowie wte i wewte. Nie czujesz? – warczał. A potem przysuwając swoją zaczerwienioną twarz do mojej, wrzeszczał: Nie czujesz, kurwa mać?!

4.

Czego chciał Ray? – spytała Suzy, kiedy skończyłem rozmawiać. Pamiętam, że potrzebowałem kilku minut, żeby zrozumieć, o czym mówiliśmy, i co na Boga mogłoby to znaczyć.

Żebym porozmawiał z jego szefem, odparłem.

Z najbardziej poszukiwanym przestępcą w Australii?

No. Z nim.

Z tym oszustem?

Chyba tak.

Ten oszust chciał z tobą rozmawiać?

No.

Nie siedzi w więzieniu? Przecież urządzili na niego wielkie polowanie.

Jeszcze nie siedzi. To znaczy siedział, ale wyszedł za kaucją.

Czego najbardziej poszukiwany przestępca Australii może od nas chcieć?

Żebym napisał jego wspomnienia. Za dziesięć koła.

Nie zrobiło to wrażenia na Suzy.

On jest kryminalistą, powiedziała.

Ale to robota.

Co to znaczy?

Dziesięć koła, powtórzyłem. Na napisanie tej książki miałbym sześć tygodni.

Jako *ghost writer*? Murzyn?

Chyba tak.

I powiedziałeś nie?

Nie.

To dobrze.

Nie, chciałem powiedzieć, że nie powiedziałem nie.

No to co powiedziałeś?

Żeby zadzwonił do mnie jego wydawca. Że z nim porozmawiam. Wiesz, nie będę gadał przecież o forsie z oszustem, który naciągnął banki na siedemset milionów dolarów.

Czyli napiszesz tę książkę?

Jak mogłem powiedzieć, że ta propozycja mi schlebiała? Że się ucieszyłem? Że poczułem, no, że żyję? Po raz pierwszy od tak dawna: żyję.

Nie wiem, odparłem.

I nie wiedziałem. Grałem po prostu na zwłokę. Czy bycie pisarskim murzynem jest dobre dla wizerunku kogoś, kto chciałby, żeby traktować go jak poważnego pisarza? Nie miałem pojęcia. Czekałem do północy na telefon od wydawcy, ale nikt nie zadzwonił. Nie wiedziałem, co myśleć. W powieści doszedłem do takiego miejsca, że potrzebowałem już formy, mijały jednak kolejne dni przy biurku w tym ciasnym pokoiku, przypominającym korytarzyk, a żadna forma nie przychodziła mi do głowy. Moja książka była niczym mątwa udająca żarłacza. Suzy położyła się do łóżka kilka godzin wcześniej, ale nie spała jeszcze, kiedy wreszcie i ja poszedłem spać.

Był taki, jak mi się wydawało, odezwałem się, pomagając jej przekręcić się na bok. To po prostu oszust, który pieprzy głupoty.

Ray zawsze tak o nim mówił.

Chyba tak.

To dlaczego wciąż jest jego ochroniarzem? To takie samo wariactwo, jak wasza próba przepłynięcia kajakiem cieśniny Bassa.

Na dole zadzwonił telefon.

Boże, kto to może być o tej godzinie? – powiedziała Suzy.

Był to Ray.

Nie mogę długo gadać, oświadczył, kiedy wreszcie zszedłem na dół i odebrałem. Muszę do niego wracać. Zrobisz to?

To poważna propozycja?

Oczywiście, że poważna, kurwa.

Nie wiem. Niech zadzwoni do mnie jego wydawca, to będę wiedział, że nie pierdzielił głupstw.

Powinieneś to zrobić, stary. Tak będzie dobrze dla...

Było słychać, że zakrywa słuchawkę ręką i krzyczy coś do kogoś; potem wrócił do rozmowy.

Muszę już lecieć, Kif. Chciałem ci tylko powiedzieć tę jedną rzecz. Zrób to, ale po prostu mu nie ufaj. Rozumiesz?

Nie. Właściwie to nie.

Nie mów mu nic o sobie. Rozumiesz?

Nie. Ray...

Nic mu nie mów. Nie pozwól, żeby się z tobą spoufalił.

I zanim zdążyłem zadać mu którekolwiek z kilku pytań, jakie zaczęły cisnąć mi się do głowy, w telefonie zapadła głucha cisza.

5.

Robiliśmy te rzeczy, żeby sprawdzić, co leży za granicą strachu. Odkryliśmy nałóg, z którym trudno było zerwać. Odkryliśmy bezsensowność brawury wraz z jej swobodą i dzikimi przyjemnościami.

Znaleźliśmy w sobie pewne okrucieństwo, okrucieństwo silnych, jeszcze jedną iluzję, którą miał definitywnie strzaskać Siegfried Heidl. Żyliśmy jak gady, spaliśmy, odpoczywaliśmy i czekaliśmy na te chwile, kiedy mogliśmy do końca czuć, że żyjemy. Reszta była nonszalancją na pokaz, piciem, dragami, seksem i prowokowaniem nocy.

Pewna tasmańska gazeta opublikowała zdjęcie, na którym ja i Ray przepływamy kajakiem Cataract Gorge, i opatrzyła je podpisem „Samobójczy bliźniacy". Był to żart, ale dobrze charakteryzował nasze dotychczasowe wyczyny, które wyrobiły nam opinię ludzi gotowych przepłynąć każdą bystrzynę na dowolnej rzece, choćby nie wiadomo jak wielkiej i przerażającej. To właśnie na łódkach zaginęliśmy kiedyś w górach Nowej Gwinei.

Miałem dwadzieścia jeden lat, a Ray dwadzieścia dwa, kiedy zorganizował – o ile nie jest to zbyt mocne słowo jak na jego możliwości w tym względzie – badawczą wyprawę kajakową po dzikiej, dalekiej rzece na Nowej Gwinei, znanej jako Kolorado mórz południowych. Wcześniej nikt nie próbował jej przepłynąć. Podróż finansowana była głównie przez trzeciego członka naszej ekspedycji, Ronniego McNeepa, który w tym czasie dobrze zarabiał, szmuglując trawę dla rodziny Trimbole, i raz w tygodniu pokonywał półtora tysiąca kilometrów z Grafton do Melbourne vauxhallem monaro z bagażnikiem pełnym zioła. Ray zapewnił mnie i Ronniego co do trzech kwestii: że w dalekich górach na Nowej Gwinei będzie pora sucha, czyli poziom wody w rzekach niski, a bystrzyny niezbyt wielkie, że wyprawa potrwa siedem dni i że on, Ray, ma wszystkie niezbędne mapy. Kiedy dotarliśmy w końcu do rzeki w jej górnym biegu, znaleźliśmy się w samym środku monsunu, woda wylała, a bystrzyny zrobiły się olbrzymie.

Dziewiątego dnia, gdy udało nam się pokonać największe katarakty, jakie w życiu widzieliśmy, i dwa dni po tym, jak skończyły się nam zapasy żywności, Ronnie i ja zażądaliśmy, żeby Ray pokazał nam te mapy. Staliśmy na gigantycznym głazie nad dużym wodospadem, w którym znikała cała rzeka, nie mieliśmy pojęcia, co teraz poczniemy, i paliliśmy nasze ostatnie nowogwinejskie szlugi, dziewięciocalowe, ręcznie skręcane ze starych egzemplarzy „Sydney Morning Herald". Tytoń był grubo cięty i często wściekle się jarzył przy pierwszych kilku machach. Za plamami

płomieni, w kłębach dymu z naszych papierosów połyskiwał wielki, porośnięty dżunglą wąwóz. Było to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. A ja dałbym wszystko, żeby być gdzie indziej, gdziekolwiek, bylebym tylko mógł się poczuć bezpiecznie.

Ray wyjął pojedynczą, wyświechtaną kserokopię. Nagłówek głosił *Jacaranda Schoolboy Atlas*. Mapa przedstawiała w absurdalnie małej skali cały kraj, choć w takiej miniaturyzacji była to raczej idea kraju, jego koncepcja wizualna, a nie mapa, z której można by skorzystać, żeby określić miejsce pobytu, odległość i prawdopodobny czas, jaki musielibyśmy jeszcze spędzić na wodzie. Mimo to w tych tarapatach, w jakich się znaleźliśmy, nawet idea byłaby pomocna, gdyby nie pewien szczegół.

Ray? – powiedział Ronnie, stukając palcem w dół kartki. Tu jest napisane Irian Jaya.

Dwa duże drzewa – korzenie, pnie, gałęzie – spłynęły wodospadem i pokazały się potrzaskane na kawałki na dole.

No to co? – odparł Ray, a wokół jego nozdrzy wzbiły się płomienie, gdy zapalił papierosa i wciągnął dym do płuc.

Ray, powiedział Ronnie, kiedy się ostatnio rozglądałem, byliśmy w górach Nowej Gwinei.

No więc?

W atlasie Irian Jaya jest po lewej stronie, Ray. Nowa Gwinea po prawej.

I co?

Rozumiesz, jakby po sąsiedzku.

Ray wbił wzrok w Ronniego.

Oddychaj głęboko, Ronnie, powiedział, wypuszczając kłąb ciemnego dymu.

To jest sąsiedni kraj, Ray.

Rozumiem, McNeep. Ale co z tego, do kurwy nędzy?

Skserowałeś niewłaściwą stronę.

No to co?

Nie wiem, jak mam ci wytłumaczyć coś, co jest zrozumiałe samo przez się. Nie jesteśmy, kurwa, w tym kraju, w którym, kurwa, niby to jesteśmy.

Ale Ray czasami nie był nawet na tej samej planecie, co my.

Wydostaliśmy się stamtąd dopiero piętnaście dni później; udało nam się przeżyć jedynie dzięki batatom i kukurydzy, o które żebraliśmy wśród krajowców, żyjących jak w epoce kamienia łupanego, a w zamian musieliśmy robić różne poniżające sztuczki, upokarzać się, na przykład skakać w kajakach z wysokich mostów linowych nad przełomami rzecznymi, śpiewać dla uciechy tubylców, pozwalać ich dzieciom dotykać naszej białej skóry, którą dotąd znały tylko z opowiadań, albo pozwalać starcom nosić nasze plastikowe kaski ochronne i kolorowe kapoki. Krajowcy byli uprzejmi, wielkoduszni i oszołomieni. My byliśmy zrozpaczeni, głupi i otumanieni ich życzliwością. Gdyby nie pomoc tubylców, zginęlibyśmy. Mimo to pod koniec wyprawy ja dostałem wrzodów i malarii, a McNeep malarii, zapalenia wątroby i giardiozy, i tylko Ray był w coraz lepszym humorze.

Kilka dni po tym, jak uszliśmy z życiem z tej rzeki, Ray i ja późnym wieczorem wybraliśmy się do dyskoteki Chimbu Lodge w Mount Hagen – była to duża, kryta trawą chata w nowogwinejskich górach, ochraniana przez bramkarzy z samopowtarzalnymi strzelbami, co ktoś inny niż my mógł uznać za niepokojący znak. Zaprzyjaźnił się z nami pochodzący z plemienia Chimbu tubylec o imieniu Michael, który nas tam zabrał. Był to czysto lokalny klub nocny, co oznacza, że biali nigdy tam nie przychodzili.

W środku panowała starannie opracowana hierarchia plemiennych i późnodwudziestowiecznych rytuałów godowych. Pod jedną ścianą stały kobiety Chimbu, a pod drugą mężczyźni. Parkiet taneczny był właściwie pusty. Didżej grał jakąś składankę, obejmującą zarówno szkocką muzykę dudową, jak i *Ave Maria*, piosenki Madonny i znowu szkockie dudy. Jedynym wspólnym mianownikiem tej oprawy muzycznej było to, że w całości pochodziła z Zachodu. Michael, Ray i ja wyszliśmy z kilkoma miejscowymi kobietami.

I wpadliśmy prosto na trzech niemal kompletnie nagich krajowców z toporami w dłoniach; jak to się często zdarzało na Nowej Gwinei, wyglądali jak wojownicy z epoki kamiennej – mieli pióropusze i pomalowane twarze, a na biodrach coś, co nazywano tutaj dupną trawką. Chcieliśmy przejść między nimi, lecz zastąpili nam drogę. Stali przed nami nieruchomo, nieustępliwi, bez wyrazu na pomalowanych obliczach.

Uśmiechnęliśmy się i wymamrotaliśmy kilka słów powitania, ale nie odpowiedzieli. Żuli tylko dalej betel, a ich wściekle czerwone usta od czasu do czasu otwierały się, ukazując ochrowe piekło w środku.

Skręciliśmy w prawo, ale następnych czterech wojowników z toporami wyłoniło się z ciemności i zablokowało nam drogę ucieczki. Skierowaliśmy się na lewo, lecz i tam pojawiło się kilku kolejnych krajowców. Byliśmy otoczeni. Ray uśmiechnął się. Egzotyczny wypad wreszcie zaczął przybierać bardziej znajome zarysy piątkowej zabawy w tasmańskim pubie, gdzie wieczorami nie brakowało bójek. Ta myśl wydawała się go mocno krzepić. Dla mnie oznaczała całkiem uzasadnione przerażenie.

Chyba nie podoba im się to, że jesteśmy w towarzystwie ich kobiet, szepnąłem.

Różnica wynikająca z tego, że byliśmy w innym kraju i kulturze – a polegająca na tym, że tutaj często i tradycyjnie zabijano ludzi – pozostawała dla Raya nieuchwytna.

To co?

Może powinniśmy powiedzieć tym dziewczynom, żeby sobie poszły.

Nie, odrzekł Ray. Chcę sobie dzisiaj zaruchać. I bić się.

Krąg krajowców zaciskał się powoli wokół nas jak nieubłagana pętla. Wojowników przybywało, krąg zrobił się więc podwójny. Nie pierwszy raz w towarzystwie Raya wyczuwałem prawdopodobieństwo i bliskość śmierci. Dziewczyny – mądrzejsze niż mój przyjaciel – tymczasem się ulotniły, a Michael razem z nimi. Ray natomiast zdawał się mimo wszystko dość zadowolony, została mu bowiem przynajmniej połowa tego, czego potrzebował, żeby spędzić idealny wieczór. Odwrócił się w moją stronę, czerwony z podniecenia.

Oprzyj się o mnie plecami, Kif, powiedział. Weźmiesz tych czterech z boku, a ja...

To nie jest piątkowy wieczór w Hobart, kurwa, zacząłem, ale przerwał mi jakiś wściekły ryk. Z ciemności wyłoniła się para słabo świecących reflektorów, a nad nimi w kabinie starej toyoty, sześciotonowej półciężarówki, siedział Michael i machał do nas wściekle, pędząc na najwyższych obrotach i coraz większej prędkości prosto w krąg krajowców. Jeden z nich upadł, gdy ciężarówka otarła się o niego, a pozostali na

moment się rozpierzchli. Widzieliśmy przerażoną twarz Michaela w kabinie; krzyknął, żebyśmy wskoczyli w biegu na platformę. Ray – który nagle odzyskał zdrowy rozsądek – i ja rzuciliśmy się więc na płaską kipę i trzymali jej popękanych burt.

Kilku wojowników zaczęło nas ścigać i zbliżali się. Michael wrzucił dwójkę, ale nasz diesel jechał na to zbyt wolno, więc zamiast zwiększyć prędkość, stracił ją, a krajowcy byli coraz bliżej. Jeden wojownik już mógłby nas dosięgnąć, gdyby nie Ray, który wstał i zrzucił go z burty kopniakiem. Zaczęliśmy zjeżdżać w dół wzgórza, samochód wreszcie przyspieszył i oddaliliśmy się pędem w noc, ścigani miotanymi przez tubylców kamieniami, które odbijały się od kabiny – jeden rykoszetem uderzył Raya w głowę.

Resztę tego wieczoru i następne dwa dni spędziliśmy w ukryciu w chacie, leżącej dwadzieścia kilometrów od Mount Hagen, skąd obserwowaliśmy toczącą się w niedalekiej dolinie plemienną wojnę. Pewnego razu zobaczyliśmy człowieka, który zszedł nad rzekę z kubłem po wodę. Jego śladem podążyło dwunastu wojowników i jak nam się wydawało z daleka, zatłukli faceta toporami na śmierć.

6.

Powinniśmy byli potraktować wszystkie te historie jak przestrogę, ale byliśmy młodzi i odczytywaliśmy je zupełnie inaczej: jako bodźce, dowody, talizmany.

Więc kiedy Ben Coors, nasz kumpel, żenił się w Sydney, a nas nie było stać na bilety lotnicze, uznaliśmy za oczywiste, że przepłyniemy kajakami cieśninę Bassa, mniej więcej trzysta kilometrów oceanu, dzielącego Tasmanię i Australię, a później z Victorii do Sydney na ślub pojedziemy już stopem. Prawda wyglądała jednak tak, że chcieliśmy to zrobić, bo nikt nigdy czegoś takiego wcześniej nie dokonał i wszyscy mówili, że tego się nie da zrobić, że to życzenie śmierci.

Ten pomysł wydawał nam się najwspanialszym figlem na świecie, nie mogliśmy więc mu się oprzeć.

Ale to, co działo się w cieśninie Bassa, nie było żadnym figlem. Rozpętała się nawałnica, dziewięć w skali Beauforta, nasze łodzie poszły na dno, a my spędziliśmy samotnie czternaście godzin, miotani po ogromnym, rozjuszonym morzu tylko w kamizelkach ratunkowych i podkoszulkach. Próbowaliśmy się trzymać w objęciach, ale fale – ruchome góry – po prostu podniosły nas i rozdzieliły. Kiedy ostatni raz widziałem tam Raya, był tylko kropką znikającą ponad odległym grzebieniem fali.

Ludzie mówili później, że wyszliśmy na idiotów. Bo wyszliśmy. Ale co może wiedzieć ktoś, kto nie przeżył tego, co my? O mało tam nie zginęliśmy, a „tam" oznacza naprawdę wielkie morze, tak wielkie, kurwa mać, że wątpiłem, czy kiedykolwiek stamtąd wrócę; tak wielkie, że chyba na pewien czas znalazłem się po tamtej stronie i może – prawdę mówiąc – właściwie nigdy nie wróciłem.

Żeby umrzeć samotnie?

Żeby umrzeć samotnie.

Fale krzyczały przeraźliwie wokoło, miotając mną w górę i w dół w wysokim morzu, walczyłem, żeby utrzymać głowę nad powierzchnią, znalazłem się w krainie wizji, obłędu, transcendencji i najstraszliwszego na świecie osamotnienia, a przerażenie, że umrę w samotności, tak mnie przytłaczało, że kiedy dzisiaj tylko o tym myślę, to ogarnia mnie kłujący strach.

Zbliżał się zmrok, gdy wreszcie znalazł mnie i uratował mały statek rybacki. Później zostałem przetransportowany na kuter policyjny, który nieco wcześniej uratował Raya, daleko od miejsca, gdzie znaleźli mnie rybacy. Ray podszedł, miał morderczy wzrok, a w jego głosie pobrzmiewało szaleństwo, kiedy zwrócił się do mnie:

Gdzie jest Kif? Musimy go znaleźć. Nie możemy się poddać.

Nie wiedział, kim jestem. Słyszałem, jak mówił, że Kif nie żyje, że Kif żyje, że Kif to, Kif tamto. Prawdę mówiąc, obaj sądziliśmy, że skoro nie udało nam się utrzymać w uścisku, jesteśmy jakoś wzajemnie odpowiedzialni za swój los, że jeden przyczynił się do śmierci drugiego.

Po latach spotkałem policjanta, który był wtedy z nami na tym kutrze. Powiedział, że Ray znajdował się w ostatnim stadium hipotermii. Byli pewni, że umrze, i nawet wyciągnęli już plastikowy worek, by zapakować zwłoki.

Wielu ludziom wydawało się to zabawne, ale ja po tym wypadku nie śmiałem się przez rok albo i dłużej. Kiedy, jak sądziłem, nikt mnie nie widział, przylegałem do ziemi jak wariat, przyciskałem do niej ucho i wyczuwałem, jak się obraca, a ja razem z nią. Trzymałem się jej coraz mocniej, by siła odśrodkowa nie zrzuciła mnie w otchłań. Trzymałem się ziemi, dopóki nie zaczynałem słyszeć, jak pode mną oddycha, i dopiero wtedy się rozluźniałem, i to tylko trochę. W tym czasie poznałem Suzy i obdarzyłem ją takimi uczuciami jak ziemię. Trzymałem się jej tak długo, jak tylko mogłem.

4

1.

Rano po telefonie od Raya musiałem spędzić cztery godziny w budynku rady miejskiej, gdzie jako portier pilnowałem sali wystawowej. Było to moje jedyne regularne zajęcie, cztery poranki w tygodniu w poza tym pustym gmachu, w którym kiedyś mieściła się biblioteka publiczna. Siedziałem na szczycie długich schodów przed wejściem do dawnej czytelni, gdzie kilka przypadkowych modeli, planów i paneli z objaśnieniami składało się na wystawę, mającą zachęcić mieszkańców do pouczającej debaty publicznej. Miałem dwa zadania: liczyć zwiedzających elektronicznym klikaczem i pilnować, żeby nikt nie wyniósł żadnego modelu.

Nikt nie przychodził, nie było więc kogo liczyć. Przez większość czasu mogłem pisać w zeszycie, który ukrywałem na kolanach pod stołem, pracując nad czymś, co jak wierzyłem, miało się stać powieścią. Tamtego dnia myślałem jednak tylko o tej dręczącej propozycji Heidla. Z jednej strony byłyby z tego pieniądze – i wydana książka. Książka, którą miałem napisać ja. Było to zdumiewające. Niewiarygodne. Stałbym się w końcu tym, kim zawsze twierdziłem, że będę – pisarzem. Murzynem, wyrobnikiem, to prawda, ale to był drobiazg. Po latach ubóstwa i coraz większej frustracji, a może zwykłej depresji, spowodowanej tym, że nie udaje mi się napisać książki, oferta Heidla wydawała się szybką ścieżką dostępu do świata literatury. A za zdobyte dzięki niej pieniądze mogłem opłacić rachunki, kupić czas i skończyć swoją powieść.

Po tym zakurzonym, zapomnianym przez Boga i ludzi foyer fruwały jednak strachy i zatruwały mi umysł. Bałem się, że zostanę w pewien sposób napiętnowany, nie tylko publicznie, ale we własnym sercu, bo porzuciłem swoją świętą wiarę na rzecz faustowskiego układu, i to za pieniądze. Bo wyłącznie pieniądze mogły mnie tak naprawdę skłonić do zrobienia czegoś w tym rodzaju, co proponował Heidl. Chuj z pieniędzmi, pomyślałem. „Niech szlag trafi pieniądze!", nagryzmoliłem w zeszycie, przelewając w ten typowo fałszywy sposób swoje uczucia na papier. Gdyby zależało mi na forsie, mówiłem sobie, już dawno byłbym gdzie indziej, nie siedziałbym tu jako portier na wystawie zorganizowanej przez radę miejską Hobart.

Znowu zacząłem się martwić o swoją literacką reputację. Po jakimś czasie jednak zdałem sobie sprawę, że przecież nie mam żadnej reputacji, o którą mógłbym się martwić. A jeśli chodzi o pisanie, to nie mam też nadal żadnej gotowej powieści. Kilka lat wcześniej wyszła jedynie moja nagrodzona praca magisterska z dziedziny historii sztuki, którą – wzbudzając wyłącznie przeraźliwe milczenie – opublikowała mieszcząca się w Brisbane spółdzielnia wydawnicza Hoppy Head Press, nie zwykłe wydawnictwo, tylko właśnie spółdzielnia, której się poszczęściło, po pierwsze z tego powodu, że weszła w układ handlowy z Ronniem McNeepem, a po drugie dlatego, że zarobiła kupę forsy na dietetycznej książce kucharskiej Nathana Pritikina. Później stracili trochę na znacznie mniej lukratywnej propozycji McNeepa, czyli moim dziele pod tytułem *Ciche prądy. Historia tasmańskiego modernizmu, 1922–1939*.

Do tego dochodziły dwa opowiadania, z których jedno dostało Wangaratta City Council Edith Langley Award, a towarzysząca tej nagrodzie laudacja znaczyła dla mnie więcej niż opiewający na pięćset dolarów czek, bo wychwalano mnie tam jako „najprawdopodobniej nowy głos w literaturze australijskiej". Miałem nadzieję, że w przyszłości użyty w tym sformułowaniu przysłówek, tak jak moim zdaniem wszystkie inne, okaże się niepotrzebny.

Postanowiłem poświęcić się pisaniu. Zdecydowałem, że zostanę przy swojej powieści i nie wezmę tej murzyńskiej roboty. Byłaby to zniewaga – a nawet coś jeszcze gorszego – dla prawdziwego pisarza, choćby takiego jak ja, który właściwie jeszcze nic naprawdę nie napisał.

Powróciłem do pisania w zeszycie, który z trudem udawało mi się trzymać w ukryciu na kolanach. Tych kilka osób, które widziały fragmenty mojego dzieła, miało kłopoty z komentarzem na jego temat. Nie dlatego, żeby nie było ich stać na komplementy, tylko dlatego że nawet pogarda przychodziła im z trudem. Ray, któremu pokazałem kilkanaście stron i który przeczytał je z podekscytowaniem – jak sam powiedział, był to dla niego zaszczyt – wrócił do naszej kuchni, położył kartki na stole i podniósł na mnie wzrok.

Kupa słów, stary. Kilkadziesiąt tysięcy?

Tonący człowiek… powiedziałem. Czy to jest…?

Zdumiewające, odparł. W jego głosie nie było entuzjazmu.

Myślisz, że…

To jest co najmniej kilkadziesiąt tysięcy słów, prawda?

Właściwie nie wiem, co chciałem od niego usłyszeć. Ray też nie wiedział. Że jestem geniuszem? Że to arcydzieło?

Słowa, odezwał się po chwili Ray. Znaczy się. No. Ile słów ma ten kawałek? Trzydzieści tysięcy? Czterdzieści?

Trzy, odpowiedziałem. Trzy tysiące. Mniej więcej.

No, stary, to, kurwa, dziwne. Myślałem, że jest o wiele dłuższy. Ale wszystkie robią to, co do nich należy, dodał. Znaczy twoje słowa.

I tyle. Jak kawałek rury z PCV, kran, widelec, odpływ ściekowy albo serwetnik, moje słowa robiły to, co do nich należało. Mogłem zatem tylko pisać dalej, chociaż pisanie stało się dla mnie udręką. Proste słowa robiły się jakoś niemożliwie skomplikowane. Kiedyś spędziłem cały ranek, słuchając, jak wymawiam coraz dziwniej brzmiący i coraz bardziej tajemniczy spójnik „i”. Zakładał, że może i powinien powstać jakiś związek między słowami, które łączył. Ale w mojej głowie żadnego związku nie było. Każde zdanie wydawało mi się fałszywe, a podejrzenia co do języka zaczynały się wkradać do moich rozmów: wszystko rozpadało się w bezsens w chwili, kiedy mówiłem coś nawet całkowicie oczywistego do Suzy albo Bo.

Trzymaj się, powtarzałem sobie. Nie ty pierwszy wpadasz w rozpacz. Będzie lepiej. Próbowałem sobie wmówić, że jedno słowo następuje po

drugim i że w ten sposób powstają zdania, akapity, romanse, wojny, kraje i powieści.

A w każdym razie tak to sobie wyobrażałem.

Ale słowa nie przychodziły i nie chciały przyjść. Więc żeby je pogonić, próbowałem – by wymienić tylko kilka muz – rozpusty, pracowitości, ascezy, maratonów, masturbacji, medytacji, tantrycznych wyrzeczeń, taniego piwska, domowej śliwowicy, haszyszu i speedów. Przez pewien czas celowo unikałem pisania, żeby moje pomysły mogły się zakisić albo urosnąć jak ciasto wskutek działania jakiejś organicznej tajemnicy. Nic nie rosło, literatura to nie ciasto ani jogurt, wszystkie pomysły i zdania ciągle tonęły. W głowie miałem taką pustkę, jaka panowała w tej sali wystawowej. Ale dla mnie jedyną rzeczą gorszą od pisania było niepisanie.

2.

Zagubiony za stołem w tym foyer myślałem o Suzy, o nadchodzących narodzinach bliźniaków, które nagle wydały mi się o wiele bardziej niezwykłą i palącą sprawą niż leżący na moich kolanach zeszyt, pełen wymuszonych uczuć i kradzionych pomysłów, słów kiedyś może głębokich, a nawet znakomitych, ale teraz banalnych i przynoszących wstyd.

Próbowałem się pocieszać, że nie ma nic nagannego w pisaniu chały, że to niezbędne preludium, nieuniknione zło. Oznaczało bowiem, że stać mnie też będzie w przyszłości na dobro. Na to brakowało jednak jakichkolwiek dowodów. Tkwiłem w pułapce pomiędzy strachem, że nie skończę powieści i wyjdę na idiotę, i że napiszę chałowatą książkę, przez co wyjdę na jeszcze większego debila – w dodatku żyjącego złudzeniem, a więc na kogoś, kto tylko udaje pisarza. Sztuka literacka, jak gdzieś wyczytałem, polega na tym, by znaleźć rdzeń swej istoty, jakby centrum duszy, i zacząć pisać, wychodząc od niego. Nie chodziło o to, że bałem się, że nie znajdę takiego punktu. Bałem się, że go znajdę. I że nic tam nie będzie.

Suzy była w tym wszystkim zagadką. Ani wierzyła, ani nie wierzyła w mój talent. Ty to ty, mówiła po prostu. Im więcej przybywało moich porażek jako pisarza, tym bardziej nie cierpiałem takiej postawy. Oczywiście, że powinna mnie kochać, myślałem, za mój talent. Ale to, co dla mnie było wszystkim – bez względu na to, czy miałem w sobie ten dar, ten talent, to coś, co mogło mieć jakieś znaczenie niezależnie ode mnie – dla Suzy było nieważne. Problem, z którego w końcu zdałem sobie sprawę, polegał na tym, że ona mnie kochała, nie zważając na to, czy jestem zdolny, czy nie. Kochała mnie, nie zważając na konsekwencje, kochała mnie na dobre i na złe, bez względu na to, czy nosiłem w sobie to coś, czy nie; kochała coś poza mną, coś osobnego w stosunku do tego, kim byłem albo nie byłem. Taka miłość nie miała dla mnie sensu. Czasami może nawet jej za to nienawidziłem, bo logika tego uczucia nie obejmowała jednej rzeczy, która, jak miałem nadzieję, nie była we mnie przeciętna: mojego talentu.

Mój strach przerastał bowiem jakąkolwiek wdzięczność, moja rosnąca porażka była ważniejsza niż bezwarunkowa miłość żony, i chociaż bardzo starałem się ukrywać przed nią coraz większe przerażenie i złość, najpewniejszego posłańca strachu, nie udawało mi się. Kiedy więc tamtego ranka oświadczyła, że na pewno napiszę powieść, która odniesie sukces, odpowiedziałem, że jak wierzy w takie bzdury, to jest głupia. Zaczęła płakać, mówiąc, że po prostu wierzy we mnie, a ja wpadłem wtedy w taką złość, że rzuciłem kuchennym krzesłem o ścianę, aż odpadła mu noga, bo wydawało mi się, że Suzy nie słuchała, gdy powiedziałem, że nie potrafię nic napisać.

Nie rozumiesz, wrzasnąłem, że nie istnieje nic, w co można by uwierzyć?

Wielkie miłości warto niszczyć po to, żeby przypomnieć sobie, jak zwyczajni w gruncie rzeczy jesteśmy. W każdym razie tak powiada Tebbe. Nie wiem, czy nasza miłość była aż tak wielka, ale nad jej zburzeniem trzeba się było trochę napocić. W czasie ciąży Suzy częściej się kłóciliśmy. Ubóstwo nie wydawało się nam uciążliwe, a może raczej nie dostrzegaliśmy jego uciążliwości. Mimo to każdego dnia coś nam odbierało.

Nie rozumieliśmy, jakie mamy kłopoty: jedzenie, na które nie było nas stać, dom, którego nie byliśmy w stanie ogrzać, samochód, który się ciągle

psuł, benzyna, na którą brakowało nam pieniędzy, czas stracony na naprawę mnóstwa różnych zepsutych przedmiotów, jak podniszczone meble ze sklepu ze starzyzną, toster elektryczny, w którym trzeba było wymienić kabel, drzwi zewnętrzne z zawiasami do wymiany, hamulce w samochodzie. Do tego należy dodać niedziałającą lodówkę, kuchenkę z tylko jednym palnikiem, wiecznie przysparzającą nam zmartwień pralkę, używane ubrania, stopniową erozję radości i pełznący coraz wyżej lodowiec zmartwień. I chociaż żyliśmy z tymi problemami na co dzień, kryła się za nimi – a nawet przed nami – coraz większa, niewypowiedziana desperacja.

Suzy zrobiła się jakaś rozmarzona i sprawiała wrażenie coraz bardziej skupionej na swoim brzuszysku. Kiedy chodziła, kładła na nim rękę, jak gdyby eskortując nieznajomych w drodze do nowego świata. Przywodziło mi to na myśl jeźdźców z filmów kowbojskich, którzy wspierają się na końskim karku, gawędząc między sobą przed odjazdem. Było w tym geście coś, co doprowadzało mnie do szału, a to dlatego, że w ciąży też było coś, co wydawało się mnie z niej wykluczać. Ciąża zabierała Suzy na jakiś nowy ląd, a ja zostawałem z tyłu niczym rozbitek na bezludnej wyspie, skazany na granie roli, do której w ogóle nie miałem serca. Chociaż bardzo starałem się znaleźć tę jej krainę, nie udało mi się odszukać nic innego poza gołym faktem biologicznym. To nie był mój brzuch. Ja miałem coraz większą biedę, więcej zmartwień i nowy strach – i wszystko to zastygało w cuchnącą desperację.

Wstydziłem się, że odczuwam takie rzeczy.

Ale je odczuwałem.

I kiedy naszła mnie teraz złość, wydała mi się czymś nowym, bo przywoływała wściekłość i szaleństwo. Czułem się bezbronny wobec tych nagłych wybuchów. W ogóle czułem się bezbronny i może w tym tkwił problem. Kiedy zablokowała się zregenerowana skrzynia biegów, kopnąłem bok naszego samochodu i wgniotłem go; przebiłem pięścią szklane przesuwne drzwi, kiedy pralka wreszcie zepsuła się nieodwracalnie, a my nie mieliśmy pieniędzy na nową, bo wszystko poszło na naprawę skrzyni biegów. Suzy, jak sądziłem, ignorowała naszą sytuację, starając się mnie przekonać, że doskonale damy sobie radę, gdy bliźniaki przyjdą wreszcie na świat. Ale nie to mnie zdenerwowało, tylko to, że kiedy

to mówiła, położyła sobie rękę na brzuchu – jak gdyby już w tej chwili odjeżdżała coraz dalej ode mnie – a ja wrzasnąłem: Jak?! Jak będziemy mogli się nimi opiekować, Suzy? Bo nie widziałem już żadnego wyjścia, i chociaż na rękę założono mi czterdzieści szwów, to moja wewnętrzna rana rozogniała się tylko jeszcze bardziej.

W takich chwilach Suzy się mnie bała. Sam się siebie bałem. Wieczorem po incydencie z przesuwnymi drzwiami znów się pokłóciliśmy. Nazwała mnie potworem; powiedziała, że mnie nie poznaje, nie wie, w kogo się zmieniam. Prawdę mówiąc, ja też nie wiedziałem. Złościła się na książkę, jak gdyby to była osoba, przedmiot, jakaś siła, która przyszła, żeby nas zniszczyć.

I może faktycznie tak było.

Moja żona użyła pewnego słowa, którego wcześniej nie słyszałem w jej ustach; wypowiedziała je niezwykłym dla niej tonem, a przy tym z taką mocą i jasnością, że musiałem jej uwierzyć.

Jestem r o z d r a ż n i o n a, wycedziła warkliwie, jak gdyby to słowo składało się z ruchomych metalowych części. I mam po temu powody.

Nie dodała nic więcej, ale jakoś udało jej się w ten sposób powiedzieć wszystko. A ja jak idiota zacząłem uzasadniać, że nie ma takiej rzeczy, której nie warto poświęcić dla tej książki, tłumaczyć, dlaczego pracuję nad nią w każdej wolnej chwili, dlaczego nie mam czasu na normalną pracę i dlaczego powieść jest dla mnie ważniejsza niż cokolwiek innego. Wypełniałem przestrzeń pustymi słowami w taki sam sposób, jak wypełniałem nimi ekran monitora, i nagle zdałem sobie sprawę, że żadne z moich słów nic nie znaczy.

Zamilkłem.

W przerażającej próżni usłyszałem, jak Suzy pyta, czy ją kocham.

Nie odpowiedziałem i nie przychodziło mi do głowy nic, co powinienem powiedzieć. Machnąłem tylko ręką ze znużeniem i mruknąłem coś o tym, że to nieważne. Wtedy Suzy przebiegła dłonią po naszym jedynym regale bibliotecznym i zrzuciła na podłogę z kilku półek książki, które roztrzaskały dzbanek do kawy i plastikową pokrywę gramofonu. Krzyczała, że się zmieniłem, że coś we mnie wstąpiło, że nienawidzi tej książki, że już

mnie nie rozumie. Z tymi słowy upadła na podłogę wśród porozrzucanych tomów i zaczęła szlochać, powtarzając co chwila:

Ta pierdolona książka nas zabija.

Kiedy indziej cud ciąży obezwładniał mnie niemal przemocą; chwytałem wtedy Suzy i wciskałem twarz w jej brzuch, przypominający balon meteorologiczny, odczuwając zarówno paniczny strach, jak i zadziwienie. Ta nabrzmiała półkula była cudem i bez względu na to, czy tego chciałem i czy ów cud obejmował również mnie, to gdy słyszałem odległe uderzenia serca z wnętrza brzucha mojej żony, wydawało mi się, że i ja jestem cudem, chociaż była to oczywista nieprawda; nie wątpiłem jednak, że jestem, a w każdym razie Suzy pozwalała mi w nim uczestniczyć, i wiedziałem, że jest takie miejsce, gdzie można być nikim i kimś jednocześnie. Nie wiedziałem, niestety, jak się tam dostać. Kiedy przygarnęła mnie do siebie, udało mi się tylko ją zapewnić, że powieść zostanie wkrótce ukończona.

To się nigdy nie skończy, Kif, stwierdziła moja żona jakimś dalekim głosem. Nigdy.

3.

Mimo wszystko, bo przecież co drugi dzień rano pracowałem w radzie miejskiej, pisałem dalej ukradkiem, ukrywając zeszyt pod stołem na kolanach. Był to mój ostatni, jedyny i nieredukowalny akt wiary – w to, że z mojego pisania wyłoni się w końcu pisarstwo. Postanowiłem, że jeśli wydawca tego oszusta finansowego kiedyś do mnie zadzwoni, to z nim porozmawiam. Ostatecznie to, że prawdziwy wydawca telefonuje i pyta, czy nie napisałbyś prawdziwej książki dla prawdziwego wydawnictwa, jest pochlebstwem dla kogoś, kto w głębi duszy bał się, że nie umie pisać. Byłoby to coś, co należało mi się od świata, rodzaj rekompensaty.

I zamierzałem jej odmówić.

Chociaż nie miałem odwagi o tym myśleć, zrozumiałem, że później sprzedam tę historię w kręgu kilkorga przyjaciół, którzy mi jeszcze zostali, opowiadając im szczegółowo o tym jak to ja, Kif Kehlmann, zostałem

poproszony o spisanie cudzych wspomnień i odrzuciłem propozycję oraz wiążące się z nią pieniądze, by skupić się na autentycznej robocie literackiej, czyli na dokończeniu swojej pierwszej powieści.

W tym duchu przygotowywałem się na to, że zostanę nieśmiertelnym pisarzem, takim jak Maupassant, który przystawił sobie rewolwer do głowy, zakręcił bębenek i nacisnął spust, a kiedy rozległ się jedynie suchy trzask, uznał to za dowód na swoją nieśmiertelność. Moim rewolwerem byłby telefon od wydawcy – potrzebowałem pieniędzy, potrzebowałem celu, jaki ten telefon mógłby mi zapewnić, musiałem wydać książkę, jakąkolwiek; musiałem, do kurwy nędzy, dostać jakąś szansę. Gadałbym z wydawcą jak równy z równym, jak facet gotów pociągnąć za cyngiel rewolweru. I dlatego jeśliby zadzwonił, chciałem udowodnić, że jestem zdecydowany zaryzykować śmierć, mówiąc: Nie!

Kif?

Podniosłem wzrok znad zeszytu. Stała przede mną urzędniczka z rady miejskiej, dyrektorka Wydziału Działań Zbiorowych i ds. Równości, Jen Birmingham, duża kobieta, która na przemian bywała gburowata, żałosna i pijana. Najczęściej jednak pijana. Podobno kiedyś była wielką pięknością. Jej wspaniała twarz przypominała spustoszone imperium w ruinie. Malowała się rubinowoczerwoną szminką, którą tylko mniej więcej nakładała na usta. Podobno lubiła się też pieprzyć z podwładnymi – albo ich opieprzać. Ostatnim razem, kiedy do mnie podeszła, gadała długo o córce, która nie utrzymywała z nią kontaktów. Sądząc po głosie pani Birmingham – nieco się łamiącym, a jednocześnie ostrym – domyśliłem się, że dzisiejszy dzień nie będzie przeznaczony na pieprzenie z podwładnym.

No i co?

Nie bardzo wiedziałem, jak brzmiałaby właściwa odpowiedź na to pytanie. Dostałem już ostatnie ostrzeżenie, żebym nie marnował czasu w pracy na pisanie powieści. Nikt mi jednak nigdy nie wyjaśnił, jak mógłbym wykorzystać te bezsensowne godziny w bezludnym foyer, pilnując bezludnej wystawy, w taki sposób, który przyniósłby pożytek radzie miejskiej.

No i co, jednak pracujesz… – tu Jen Birmingham zawiesiła głos – …nad tą swoją książką?

Nawet ja nie wiedziałem, czy to jest książka, czy poważne nieporozumienie.

Znowu? Kif? Po naszym ostrzeżeniu?

Wbiłem wzrok w swoje kolana, w zeszyt pełen dwudziestu sześciu liter, pogrupowanych chaotycznie w mnóstwo kombinacji. Czy właśnie tym jest książka?

Nie, odpowiedziałem.

Przykro mi, Kif. Wielokrotnie cię ostrzegaliśmy, żebyś nie…

Pani Birmingham… – zacząłem błagalnie.

Powstrzymał mnie jednak widok jej umalowanych teatralnie tylko w jakichś sześćdziesięciu procentach warg, szukających słowa, które dałoby odpowiedni wyraz jej obrzydzeniu. W okrucieństwie urzędniczki można było wyczuć ranę porównywalną do mojej, choć nie czyniło to jej okrucieństwa mniej okrutnym ani w niczym nie polepszało sytuacji. A kiedy usta pani dyrektor znalazły wreszcie to słowo, otworzyły się i zawołała:

Pisał!

Mocno ścisnąłem swój zeszyt.

Posiedź jeszcze dzisiaj do końca zmiany, Kif. Ale pojutrze nie musisz wracać do pracy. Zwalniamy cię.

Gdy wyszła z foyer, znowu zostałem sam przed wejściem do pustej sali wystawowej. Otworzyłem zeszyt i zacząłem kolejne zdanie. Było jednak do niczego. Brakowało mu zarówno płynności, jak i roztańczenia; pauz i ruchu. Przerażony myślą, że miałbym pozwolić bohaterowi, by wstał i wyszedł z pokoju, sam wstałem i opuściłem gmach rady miejskiej.

Popołudnie, które przepracowałem dla pewnego budowlańca, okazało się miłe w swojej bezmyślności. Udało mi się zapomnieć, że ostatnie źródło naszych regularnych dochodów wyparowało i że odtąd musimy żyć wyłącznie z prac dorywczych, takich jak ta. Pierwszą godzinę spędziłem, kopiąc i wybierając glinę z miejsca, gdzie mieliśmy kłaść fundamenty pod boczną ścianę domu; drugą, już wyczerpany, wnosiłem różne elementy stalowe na stromy podjazd, a dwie ostatnie mieszałem beton w betoniarce. Był pogodny zimowy dzień, czułem się rozgrzany, dopóki nie przestałem pracować, a potem nagle zrobiło mi się zimno.

4.

Mieszkaliśmy na starej, stromej ulicy, w jej centralnym punkcie. Zabudowana sypiącymi się już kolonialnymi domkami, zawsze wydawała się znajdować na krawędzi gentryfikacji, która nigdy tu nie przyszła i nigdy nie miała przyjść. Zdaje się, że niewielu naszych sąsiadów pracowało. Obok nas mieszkała rodzina ćpunów, ojciec miał osiemdziesiąt trzy zarzuty w związku z narkotykami. Żyli z dilerki, a przed ich domem prawie codziennie stał nieoznakowany samochód policyjny; wywiadowcy obserwowali, kto przychodzi i wychodzi. Czasami Meredith, czyli druga połowa ćpunowatego małżeństwa, wychodziła na zewnątrz z kubkiem herbaty, spokojnie paliła papierosa, cieszyła się dniem, powietrzem, samochodami i przechodzącymi obok ludźmi. Skończywszy herbatę i fajkę, prostowała grzbiet, przechylała się przez niskie, popękane betonowe ogrodzenie, spięta z nagłej wściekłości, i wrzeszczała: Spierdalajcie, wy jebane psy! Wtedy dwie postaci w samochodzie po przeciwnej stronie ulicy osuwały się w fotelach jak najniżej.

Tamtego wieczoru, gawędząc z Suzy po podwieczorku, kiedy przyglądaliśmy się Bo, bawiącej się w kartonowym pudle, poczułem coś nieoczekiwanego: miłość tak ogromną, że między naszą trójką w ciągu pięciu minut zdarzyło się chyba więcej, niż dałoby się opisać nawet w tysiącstronicowej powieści.

Uczucie było przemożne, kilka transcendentalnych chwil, będących też wiecznością, w której wszystko zlało się ze sobą – oddech Bo, szelest kory i liście, które zebrała w parku i którymi się bawiła, czarny ptak-zabawka, krążący w rękach Suzy wokół główki Bo, uśmiech mojej żony, śmiech mojej córki, wrzucona pod stół lalka, pozbawiona połowy główki, sypiące się na linoleum szare kłaki wyściółki i kręcące się wokół mrówki argentyńskie – tak, wszystko to było jednością i nawet najmniejsze przedmioty wydawały się brzemienne iluminacją.

I zrozumiałem, że jeśli zdołam ubrać w słowa chociaż ułamek tego, co przed chwilą widziałem i odczułem, a następnie zapisać je w komputerze, to będę miał swoją książkę. Popędziłem na górę do gabineciku, przelazłem

przez biurko i wślizgnąłem się na krzesło, wciśnięty pomiędzy blat i ścianę, gdzie miałem tylko tyle miejsca, żeby się trochę kiwać.

Ale mój mac plus prawie natychmiast odmówił posłuszeństwa. Wyciągnąłem dyskietkę spinaczem do papieru, który jedynie po to trzymałem na wierzchu, wyłączyłem maszynę, włączyłem ją z powrotem i znów wsunąłem dyskietkę w kieszeń komputera. Gdy czekałem, aż ponownie się uruchomi, zza ściany doszły mnie przeraźliwe wrzaski, bo małżeństwo ćpunów się kłóciło. Miałem kasetowy magnetofon, który włączałem w takich przypadkach, ale jego cienki i trzeszczący dźwięk zdawał się jedynie wzmacniać ciężki hałas rozpadającego się za ścianą świata.

Po kilku kolejnych próbach komp jak gdyby odnalazł niezbędną równowagę wewnętrzną. Ale słowa, które teraz w niego wstukiwałem, nie oddawały nawet odrobiny tego, co czułem. Ani na jotę, ani troszeczkę. Kiedy zacząłem pisać, wszystko, co jeszcze przed chwilą rozumiałem wyraźnie i dogłębnie, zostało pozbawione wszelkiego uczucia. Stało się niczym.

Na klawiaturze osiadł betonowy pył, który wyleciał mi spod paznokci. Odwróciłem ją, poklepałem życzliwie parę razy i ustawiłem na nowo. Próbowałem wejść z powrotem w ten sen, w ten nurt, który poznałem zaledwie kilka minut wcześniej z Bo i Suzy. Ale on zniknął. Zmiotłem betonowy pył z biurka do kartonu po piwie, służącego mi jako kosz na śmieci. Ekran ponownie zastygł. Spróbowałem znowu wyjąć dyskietkę i zrestartować maca, ale spinacz uległ już zmęczeniu materiału i złamał się. Zza ściany dobiegł mnie odgłos rozbijanej butelki, szloch Meredith, potem cisza. Znalazłem notes i zacząłem pisać ręcznie, lecz kiedy długopis dotknął papieru, słowa gdzieś uleciały. Odpowiednia chwila przyszła i zniknęła.

5.

Wciąż wpatrywałem się w męczący kursor i pusty ekran, gdy Suzy zawołała z dołu, że jest do mnie telefon. Zszedłem do salonu, gdzie panowało leniwe ciepło ognia, i wziąłem słuchawkę do ręki. Dzwoniący nie przedstawił się od razu, tylko zapytał, czy rozmawia z Kifem Kehlmannem. Miał akcent wychowanka prywatnej angloaustralijskiej szkoły, faceta z wyższych sfer. Kiedy odpowiedziałem, że tak, przedstawił się jako Gene Paley, szef wydawnictwa Schlegel TransPacific Publishing i wydawca Siegfrieda Heidla.

Oniemiałem.

Zapytał, co mam na swoim koncie jako pisarz. Opowiedziałem mu historię książki o tasmańskim modernizmie i wspomniałem o nagrodzie za opowiadanie od rady miejskiej Wangaratta. Paley na chwilę popadł w milczenie, w którym wyczułem całkowitą nieistotność mojego dotychczasowego życia.

Nic więcej? – zapytał w końcu.

Powieść, odpowiedziałem. Jest już prawie gotowa. Muszę jeszcze tylko dopiąć kilka wątków.

Miałem w ręku *Martwą falę*. Dobry tytuł.

Ciche prądy, poprawiłem go. *Historię*…

Mmm, nie dał mi skończyć. Dobra robota. Tytuły mają znaczenie. Ale czy potrafi pan napisać wspomnienia?

W ciszy, która teraz nastąpiła, nastąpiła cisza.

Jak pan myśli? – spytał Paley po jakimś czasie, kiedy Suzy wskazała telefon, a ja powiedziałem jej bezgłośnie, że jestem poruszony, i pokazałem na migi, że piszę. Rozumie pan, że jeśli miałbym pana zatrudnić, musiałby się pan stosować do naszych uwag. Moich. Redaktorskich. I tak dalej. Jeżeli powiemy, że dany wątek trzeba pociągnąć dalej albo że nad czymś warto jeszcze posiedzieć, to będzie pan musiał zrobić to, co panu każemy.

Nie miałem pojęcia, na czym polega redakcja. Ludzie z Hoppy Head Press uważnie, a nawet pedantycznie przeczytali szczotki, ale to wszystko. Czułem się też trochę zdezorientowany; nie powiedziałem, że wezmę tę

robotę, i byłem gotów powiedzieć Paleyowi – z jak mi się wydawało, beztroską swobodą prawdziwego pisarza, który ma masę pracy – że jestem bardzo zajęty. Zrozumiałem, że powinienem odmówić jak najszybciej, kiedy Paley ciągnął dalej o tym, że będę musiał też blisko współpracować z Heidlem, przyjechać do Melbourne i…

Ja jeszcze się nie zgodziłem, powiedziałem.

Nie? – spytał Paley.

Tak.

No dobrze, odparł. Dostanie pan dziesięć tysięcy dolarów za zredagowany maszynopis. Żadnych tantiem. Żadnych praw do tekstu. Tylko te dziesięć tysięcy. To dużo pracy, ja pierwszy jestem gotów to przyznać. Ale i dobre pieniądze.

Dziesięć tysięcy? – powtórzyłem zszokowany, bo chyba właściwie nie uwierzyłem Heidlowi, a sposób, w jaki to teraz powiedziałem, wydawał się z mojej strony dziwnym potwierdzeniem albo nawet zgodą na propozycję Paleya.

Tak.

A wydatki? – zapytałem, nie wiedząc nawet dlaczego. Nie miałem żadnego doświadczenia w takich pertraktacjach, wydawało mi się jednak, że teraz muszę naciskać. Mam wyjechać do Melbourne, dochodzi więc mieszkanie, koszty podróży, jedzenie i…

Ile?

Proszę?

Ile pan chce?

Nie spodziewałem się tego pytania i nie miałem na nie odpowiedzi. Wyobrażałem sobie, że będę musiał płacić za przejazdy tramwajem, za lunch – zapiekanka, roladki z sałatką czy coś w tym rodzaju – i może kawę czy dwie. Spać mogłem na podłodze u Sully'ego – był starym przyjacielem naszej rodziny i zawsze przyjmował mnie gościnnie, kiedy przyjeżdżałem na kontynent – i to byłoby mniej więcej wszystko. Szybko obliczyłem, że moje codzienne wydatki wyniosą jakieś dziewięć dolarów.

Jedenaście pięćdziesiąt, powiedziałem. Ale…

Nie udało mi się dokończyć zdania. Nawet w 1992 roku jedenaście dolarów i pięćdziesiąt centów nie stanowiło poważnej sumy. I nie był to dobry moment, żeby odrzucić ofertę. Nie kończąc zdania, wyczułem, że dzieje się coś, czego nie planowałem, że niewypowiedziana równowaga sił zmienia się i że to nie ja panuję nad sytuacją.

Jedenaście pięćdziesiąt? – usłyszałem głos Paleya.

Tak, odparłem, coraz bardziej zakłopotany.

Mmm, powiedział Paley.

Zrozumiałem, że właściwie targuję się nie tyle o wydatki, ile o coś fundamentalnego: o moją godność pisarza. I odwołałem się do tego idiotycznego żądania pieniędzy na drobne wydatki, żeby potwierdzić, że naprawdę jestem pisarzem, chociaż można było mieć co do tego wątpliwości. Mój problem polegał na tym, czy Paley zgadza się ze mną, to znaczy czy i on traktuje mnie jak pisarza. A w tym niezwykłym momencie nie miałem już więcej żadnych argumentów i musiałem przystać na jego ofertę…

Tak jest, powiedziałem. Właśnie tyle.

Już żałowałem, że nie posunąłem się dalej i nie nacisnąłem na okrągłe piętnaście dolarów, co wydało mi się jednak równie głupie i pomyślałem, że za dużo sobie pozwalam.

W sumie? – spytał Paley z lekkim niedowierzaniem. Zdejmował ze mnie ciężar bolesnej gry, polegającej na tym, że udawałem, że mam trudny wybór. Rozumiał moje potrzeby o wiele lepiej niż ja, w czym, jak miałem się przekonać, nie był osamotniony.

Muszę się zastanowić, powiedziałem.

Mmm, odparł.

Myliłem się, sądząc, że ten światowo brzmiący wydawca może już obliczył, że roladka z sałatką, kawa i przejazdy tramwajem wyniosą najwyżej jakieś dziewięć dolarów, i teraz podejrzewał mnie o haniebne oszustwo. Usłyszałem coś, co jak się obawiałem, było stłumionym śmiechem.

Mogę zabrać ze sobą herbatę ekspresową, powiedziałem. Albo…

Kif… Mogę ci mówić po imieniu? Zapomnijmy o wydatkach, Kif. Dam ci służbowy samochód na czas pobytu w Melbourne. Jak ci się to podoba?

Kapitalnie, odparłem i natychmiast tego pożałowałem. Byłem na tyle naiwny, że takie rzeczy wciąż mi imponowały; a co gorsza, Gene Paley teraz już o tym wiedział.

Dostaniesz też darmowe wyżywienie w naszej kafeterii.

Muszę się zastanowić, odpowiedziałem, starając się uspokoić, próbując przygotować go na odmowę i jednocześnie bezskutecznie poszukując odpowiedniego tonu.

Dorzucę służbową kartę na paliwo, dodał. Czyli nie będziesz płacił za benzynę.

Nie powiedziałem jeszcze… – zacząłem, ale po raz drugi nie wiedziałem, jak skończyć. Słowa gdzieś po prostu odpłynęły. Nie powiedziałem… Czego? Nie? Tak? Że chcę więcej pieniędzy? Słyszałem w słuchawce swój oddech.

Kif, mogę ci zaufać? Czy Siegfried przedstawił ci jakiś harmonogram?

Powiedział, że będziemy musieli zrobić to dość szybko.

Jak mówiłem, proces zaczyna się za sześć i pół tygodnia. Heidl trafi do więzienia na bardzo, bardzo długo. Książka musi zostać ukończona przed procesem.

Sześć tygodni na napisanie pierwszego draftu?

Na skończenie książki.

Panie Paley…

Proszę, mów mi Gene.

Gene, myślę, że nie…

Nie myśl w tej chwili, Kif. Myśl sobie, ile chcesz, przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny, i daj mi odpowiedź jutro wieczorem.

Przystałem na tę propozycję, bo zawsze łatwiej jest się zgodzić niż nie. Poza tym to, że mam do podjęcia taką ważną decyzję, łechtało moją próżność, chociaż w głębi duszy już dawno się zdecydowałem: nie będę pisał żadnej książki jako literacki murzyn. Jedyną książką, jaką napiszę, będzie moja powieść. Świat zaczyna się od słowa tak. Piekło też.

5

1.

Pan Paley?

Proszę, mów mi Gene.

Nastąpiła cisza. Minął dzień, moje zdecydowanie, żeby się nie sprzedawać, tylko się umocniło, a Suzy – chociaż trochę rozczarowana, że przejdą nam koło nosa takie pieniądze – wspierała mnie w moim nieugiętym postanowieniu. Mimo to źle zacząłem drugą rozmowę telefoniczną z wydawcą.

To bardzo hojna propozycja, Gene, stwierdziłem. Ale…

Jest szczodra, powiedział, owszem.

Zastanawiałem się, jak powinienem sformułować odmowę, a zarazem nie zrywać kontaktów z Paleyem – jedynym wydawcą z prawdziwego zdarzenia, który kiedykolwiek ze mną rozmawiał – dzięki czemu mógłbym doprowadzić do wydania powieści, kiedy ją wreszcie skończę. Nie chodziło jednak tylko o to, że ta niezbędna uprzejmość wiodła mnie na manowce. W naszej rozmowie kryła się też bowiem pewna nieuchronność, której nie rozumiałem. Oczywiście Gene wiedział, czego chce. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wie też, czego ja chcę.

Wiesz, pracowałem wczoraj wieczorem nad powieścią…

Tak! Twoja powieść! – zawołał, rozciągając słowo „powieść”, jak gdybym proponował mu rękopis *Ulissesa*. Pozwoliłem sobie polecić sekretarce, żeby zarezerwowała ci miejsce w samolocie do Melbourne na jutro rano.

Ta wiadomość zaparła mi dech w piersi. Właśnie miałem powiedzieć „nie", a tu proszę, wszystko zaczyna się dziać – przelot, praca, książka. Pieniądze. Wszystko będzie moje, jeśli tylko powiem „tak". Nie powiedziałem. Ale nie powiedziałem też „nie". Parowałem ciosy, milkłem, spierałem się, sądząc, że gram na czas.

Wspomniałeś, że honorarium to dziesięć tysięcy dolarów? – usłyszałem swój głos, którego nie poznałem, niby szukając potwierdzenia umowy, którą, jak wciąż sądziłem, jednak odrzucę.

Tak. Dziesięć tysięcy.

Powiedziałem, że moja żona jest w ósmym miesiącu ciąży, ma urodzić bliźniaki, i uparłem się, aby móc latać do domu w każdy weekend, a Paley ku mojemu zdumieniu przystał na te warunki.

Odetchnąłem głęboko i ośmielony, kontynuowałem.

A jeśli zacznie rodzić, kiedy będę w Melbourne, chcę lecieć do domu natychmiast, uzupełniłem, lekko się jąkając ze zdenerwowania.

Oczywiście.

I dwa tysiące z góry?

Nie mogłem uwierzyć, co mówię, ale myśl, że będę w końcu pisarzem, a co jeszcze bardziej niewiarygodne, że mi zapłacą, była nieskończenie uwodzicielska.

Tego rodzaju szczegóły, Kif, omówimy, kiedy do nas przyjedziesz… Ustalimy plan, poznasz Siegfrieda, a w porze lunchu możecie już pracować.

Okej, usłyszałem, że się zgadzam, chociaż właściwie wcale się nie zgadzałem. Może chciałem po prostu smakować to wszystko jeszcze przez kilka chwil.

Parę minut później odłożyłem słuchawkę. Poszedłem do kuchni, nalałem szklankę wody i odstawiłem ją.

Co się stało? – zapytała Suzy. Powiedziałeś „tak"?

Nie, odparłem. Nie, nie powiedziałem.

Bo nie powiedziałem. Ale poczułem, jak porywa mnie potężna fala i unosi na otwarte morze, a ja zamiast z nią walczyć, pozwalam się jej nieść.

Oto, w jakiej byłem sytuacji.

Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin robiłem to, co powiedziałem, że będę robił przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny: myślałem. Niektórzy mówili potem, że powinienem mieć moralne opory przed współpracą z przestępcą; być może odpowiadałem im, że miałem, ale co ja wiedziałem o Heidlu poza tym, co tylko słabo przypominałem sobie z wiadomości w telewizji i gazetach? Pamiętałem uśmiech, jakieś oskarżenia, kolejne plotki, ale nic, co mogłoby wzbudzić we mnie oburzenie albo poczucie, że Heidl stał moralnie niżej ode mnie. Czy w końcu nie byłem pisarzem? Niżej moralnie ode mnie nie stał nikt.

Jedyne zmartwienie, jakie sobie przypominam, brzmiało następująco: jak, na Boga, pisze się książkę, odgrywając rolę literackiego murzyna? Byłem Kehlmannem od wszystkiego – operatorem młota pneumatycznego, portierem, czasami nawet malowałem dachy – oraz Bartlebym literatury, wiecznie mówiącym „nie", gdy szło o skończenie własnej powieści. Teraz w jakiś sposób, którego nie rozumiałem, miałem się całkowicie poświęcić pisaniu innej książki dla kogoś innego. Nie było jednak żadnych przesłanek, by twierdzić, że jestem w stanie wykonać to zlecenie. Moja zarozumiałość opierała się na tym, że skoro umiem tyle innych rzeczy – choć trzeba przyznać, zwyczajnych, a nawet trywialnych – to z pewnością, jak sam się pocieszałem, potrafię napisać książkę. Na łamach „Paris Review" pisarze raczej nie przyznawali się do takich myśli. Była to jednak jedyna koncepcja, jaką miałem, i z niewytłumaczalnego powodu czerpałem z niej pociechę. Poszedłem na górę spakować się do małej torby sportowej, bo tylko takim bagażem podróżnym dysponowałem.

Co robisz? – usłyszałem Suzy zza drzwi sypialni. Myślałam, że…

A kiedy podniosłem wzrok i zobaczyłem ją, wielką jak lotniskowiec, z dwojgiem naszych dzieci w brzuchu, to – chociaż brzmi to idiotycznie – zaśmiałem się z radości.

Będę pisarzem, odpowiedziałem.

2.

Wydawnictwo STP Publishing mieściło się w sześciopiętrowym kompleksie budynków postawionych na nieużytkach Port Melbourne pośród innych podobnych, przeznaczonych na określone potrzeby bunkrów, spomiędzy których w nieregularnych odstępach wystawały prostokąty z czarnego szkła. Okolica stylizowana była na buszowy prymitywizm zgodnie z ówczesną modą, panującą w domach starców i innych miejscach ostatniej nadziei – szkołach stanowych, magazynach czy podmiejskich supermarketach; było tu pełno betonowych kwietników, pomalowanych akrylowymi farbami na beżowo i wysadzanych kępami ostrej trawy, przypominającej bukiety oliwkowozielonych sztyletów.

Kiedy podjechałem pod siedzibę wydawnictwa taksówką, zauważyłem Raya, stojącego właśnie koło takiego betonowego klombu; mój wysoki przyjaciel pochylał się nad jakimś niskim, brodatym facetem w okularach przeciwsłonecznych, czerwonej kurtce i czapeczce bejsbolowej. Gdy płaciłem kierowcy, Ray podszedł do taksówki. Był w konspiracyjnym i tajemniczym nastroju, nigdy wcześniej takiego go nie widziałem.

Dobrze, że jesteś, stary. Chodź tutaj i poznaj się z Ziggym.

Jest już w środku? – zapytałem, zdziwiony.

Nie, to jest on, odparł, wskazując ruchem głowy niskiego faceta.

To sztuczna broda?

Boi się, że ktoś mógłby chcieć go skasować. Jest w przebraniu.

Czyli że broda jest sztuczna.

Ray urwał, jak gdyby oszołomiony, potem chyba rozjaśniło mu się w głowie. Zaśmiał się, może wyczuwając, w jak dziwnej sytuacji sam się znajduje.

To mógłby być każdy, chłopie. Ty mógłbyś być tym zabójcą!

Pewnie, że tak.

Niebo wydawało się płaskie, na ulicy brakowało cienia i dostrzegało się coś gościnnego, a nawet krzepiącego w tej powszechnej przeciętności, gdzie człowiek, który nie miał potrzeby robienia pieniędzy i tylko

pieniędzy, właściwie w ogóle nie istniał. Poczułem się dziwnie wzruszony. Wyglądało to jak przyszłość, a ja na krótką chwilę stałem się jej częścią.

W takim metafizycznym stanie umysłu nie patrzyłem pod nogi. Kiedy ruszyliśmy w stronę Heidla, wdepnąłem we fluorescencyjną kałużę, zapewne efekt wycieku jakiegoś chłodziwa. Poczułem, jak ciecz wpływa w rozdarcie pomiędzy podeszwą i skórzanym wierzchem mojego adidasa, a skarpetka robi się taka mokra, że zaczyna w niej chlupotać.

Nie w taki sposób chciałem poznać Heidla, zostać przedstawionym w wydawnictwie i zacząć pracę – z przemoczoną nogą, która stopniowo marzłaby mi coraz bardziej w ciągu dnia. Zdjąłem but, wylałem z niego wszystko, co nie wsiąkło w skarpetkę, i skonstatowałem, że mój dobry nastrój zniknął razem z pełną piasku zieloną cieczą. Właśnie wtedy, kiedy lekko przykucnięty próbowałem utrzymać równowagę na jednej nodze, usłyszałem czyjś głos, wypowiadający moje imię.

Podniosłem głowę i zobaczyłem swoje poruszone odbicie w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Widok mojej przygarbionej postaci utrzymał się tylko przez chwilę, a potem zastąpiły go matowa epoksydowa sztukateria, barwione szyby okien i czarne resztki silikonu, łączącego płyty budynku STP Publishing, po czym stanął przede mną mały, nieco brzuchaty facet w lotniczych okularach i z idiotyczną sztuczną brodą, który spojrzał na mnie z góry. Jeśli chodzi o przebrania, to broda i ta amerykańska kurtka bejsbolowa – rzadkość w Australii – raczej zwracały uwagę.

Dzisiaj czerpię pociechę z photoshopowych zdjęć w książkach kucharskich albo reklamach zegarków, obiecujących tę pogodną nadzieję, jakiej same zegarki nigdy nie są w stanie nam dostarczyć. Czerpię pociechę z tego i z wrzucania zdjęć różnych potraw na Instagram. Ale w tamtych, chyba lepszych dla mnie czasach, które zapowiadały się optymistycznie dla wszystkich, miałem nadzieję lubić ludzi. Mimo to zdziwiłem się, że jeden z największych przestępców w historii Australii jest kimś wyglądającym tak zwyczajnie. Chociaż z drugiej strony, który autor dorównuje wyglądem swoim dziełom? Jak gdyby czytając mi w myślach, Heidl odezwał się cicho z nieznacznie niemieckim akcentem, mniej emfatycznym niż wcześniej przez telefon:

Każdy kontakt z drugim człowiekiem jest rozczarowaniem. To Tebbe, dodał z uśmiechem.

Dopiero potem zdałem sobie sprawę, że miał na myśli spotkanie ze mną.

Ray nas przedstawił. Heidl mówił do mnie „Kif", ja do niego „Siegfried". Była w nim jakaś niepokojąca maniera obłudnego grabarza, jego usta niespodziewanie krzywiły się w pustym uśmiechu, mocno ściskał mi dłoń, wpatrywał się nieruchomo w moje oczy, osłaniając własne szkłami okularów w złotych oprawkach.

Muszę cię prosić, Kif, żebyś uszanował poufny charakter naszego projektu.

Była to nieoczekiwana prośba, a Heidl przez cały czas trzymał moją dłoń, jak gdyby wprowadzał mnie do jakiegoś sekretnego zakonu, i się uśmiechał. Był to taki uśmiech, który przywiera do twarzy niczym skurcz albo rozwarcie ust u paralityka i wymaga, aby zaakceptować pewność siebie i dobry nastrój uśmiechającego się; kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że był to jakby uśmiech całej epoki. Nigdy jednak nie widziałem w nim takiego przykuwającego uwagę skupienia, jak gdy obdarzał mnie nim Ziggy Heidl, i uśmiech ten nie chciał odejść, dopóki go nie zaakceptowałem. Był nośnikiem dominacji, wyrazem mocy, a ja zareagowałem na niego tylko odwróceniem wzroku, co jednak działało wyłącznie na krótką metę. Ziggy Heidl, jak miałem się przekonać, potrafił się uśmiechać bez końca.

Nikt o tym nie wie, Kif, powiedział. Nikt nie powinien wiedzieć. To bardzo ważne. Mam po temu – popatrzył to tu, to tam, jak gdyby przyglądał się ulicy, magazynom i biurowcom w poszukiwaniu najgroźniejszych na świecie drapieżników – swoje powody.

Właściwie nie słuchałem, tylko obserwowałem, starając się go wyczuć. Ale nie udało mi się. Próbowałem nie przyglądać się drgającemu mięśniowi, przypominającemu rybę w poza tym pustej sieci mięsistego oblicza. Właściwie bardziej nie miał rysów niż miał, był zagadką konwencji, jego twarz okazała się dziwnie bez wyrazu. Rozmawiając ze mną, ani na chwilę nie przestał się uśmiechać, jak gdyby wszystko, co mówił, stanowiło cudowne wieści dla nas obu.

Nikt w tym budynku, ciągnął, poza dyrektorem zarządzającym, wydawcą i redaktorem nie powinien wiedzieć, kim jesteśmy i po co tu siedzimy. Rozumiesz, dodał, musimy to zachować w tajemnicy.

Dlaczego?

Bo tak, odparł, robiąc zdumioną minę.

Zerknąłem na Raya, który skinął potakująco głową.

Tak musi być, stwierdził Heidl. Zatoczył krąg rękami w szerokim geście, jak gdyby próbował złapać piłkę plażową – tandetny kaznodzieja złowieszczej tajemnicy. Są pewne sprawy… – ciągnął tak cicho, że musiałem się pochylić, żeby go usłyszeć. I ludzie.

Ludzie?

Rozejrzał się, jak gdyby ktoś nas podsłuchiwał, i kiwnął głową.

Ludzie.

Więc dlaczego tu jesteśmy, Siegfriedzie? – zapytałem.

Mów mi Ziggy. Teraz jesteś moim przyjacielem.

Chodziło mi o to, Siegfriedzie, co mam mówić, kiedy ktoś mnie zapyta, co tu robimy.

Ludzie zadają najróżniejsze pytania, Kif. Jeżeli mówię im prawdę, nazywają mnie kłamcą. Ale jeśli skłamię, są szczęśliwi.

I znowu uśmiech, ten niezdrowy uśmiech. Mówił dalej jak opat wprowadzający nowicjusza w smutne tajemnice:

Zastanawia mnie, dlaczego ludzie myślą, że prawda się liczy. Nie jest jasne, po co ją wymyśliliśmy, skoro żeby przetrwać, musimy oszukiwać, mówić niewinne kłamstwa i nosić maski. Rozumiesz?

Niezupełnie.

Tebbe powiada, że słowa to jedynie prymitywne metafory, tylko ludzie o tym zapomnieli. Jest tak?

Czy tak jest? Nie. Niezupełnie.

Ależ tak właśnie jest, Kif, stwierdził Heidl, uśmiechając się bez przerwy. Słowa oddalają nas od prawdy, nie przybliżają do niej. Jesteśmy jak wariaci, którzy chodzą tyłem.

Odwróciłem wzrok, żeby uniknąć jego wiecznego uśmiechu, nieznośnej pewności siebie.

Dlatego prawda nie istnieje, są tylko interpretacje. Dlatego lepiej sobie radzimy uwolnieni od prawdy, kontynuował. Uwierz mi. Dlatego jesteśmy tutaj, żeby pracować nad tomikiem poezji.

Poezji? – zapytałem.

Tak jest. Nad antologią. Po to tu jesteśmy.

Jaką antologią?

Westfalskiej poezji ludowej, konkretnie piętnastowiecznej. Jesteśmy redaktorami. To nasz kamuflaż.

Potrzebujemy jakiegoś kamuflażu?

Wszyscy potrzebują.

A Ray? – zapytałem.

Bo Ray w tym wszystkim wydał mi się nagłym zagrożeniem. Czytał Hessego, to prawda. Nie wiem po co i nie wiem, co z niego wyciągnął, nie był bowiem facetem, który potrafiłby podtrzymać rozmowę o literaturze choćby przez minutę. Zresztą w ogóle właściwie nie potrafił podtrzymać rozmowy, i tyle.

Ray jest naszym konsultantem.

Nie odpowiedziałem.

Asystentem, uzupełnił Heidl, jakby po zastanowieniu. Wydawało się to lepszym kłamstwem, półprawdą, bo jako ochroniarz Heidla Ray był właściwie kimś w rodzaju asystenta. Po prostu z mojego, wielce ograniczonego, co trzeba przyznać, doświadczenia Heidl nie wyglądał na poetę ani redaktora. Z drugiej strony w życiu nie poznałem żadnego specjalisty od średniowiecznej poezji niemieckiej i wydawało mi się, że nie jestem w tym odosobniony nawet w wydawnictwie.

Nie znam się ani w ząb na niemieckiej poezji, odpowiedziałem. A tym bardziej na średniowiecznej poezji westfalskiej. A ty?

Lasem jestem, odparł Heidl. I nocą drzew ciemnych.

Po raz pierwszy, ale nie ostatni, nieoczekiwanie mi zaimponował.

Lecz kto się ciemni mej nie trwoży, ciągnął, znajdzie i girlandy róż pod mymi cyprysami.

Może działał już na mnie jego czar.

To jest średniowieczny wiersz westfalski?

Nie, odparł Heidl, a jego uśmiech napiął się i przeszedł w inny grymas – pogardy? triumfu? Nie, odpowiedział, to Nietzsche[3].

Nie przestawał mówić i uśmiechać się, a kiedy wchodziliśmy po schodach do biur wydawnictwa STP, mięsień na jego twarzy wciąż drgał niby niezwykły metronom, odmierzający moją akceptację.

3.

Heidl zaczął się teraz zachowywać jak dyrektor, którym kiedyś był; szedł z nami do windy pewnym siebie, rozkołysanym krokiem, sprawiał wrażenie człowieka, który zna tu wszystkich i wszystko, a Ray i ja podążaliśmy za nim, już tworząc jego świtę, nie jak ludzie mu równi, lecz jak instrumenty jego władzy. Na wyższym piętrze ruszyliśmy korytarzem, minęliśmy sekretariat i weszliśmy prosto do dużego gabinetu, gdzie w tej samej chwili gwałtownie wstawał wysoki, szczupły mężczyzna. Jedną ręką zapinał marynarkę, a drugą wyciągnął, by poklepać Heidla po ramieniu, dając mu do zrozumienia na powitanie, że ich współpraca jest konieczna i nieszczera.

Zaczęli niezobowiązującą rozmowę, a ja rozglądałem się po gabinecie, będącym jakby wymęczonym ukłonem w stronę tego, w co jak się później dowiedziałem, nikt w TransPac nie wierzył: w stronę tradycji tego wydawnictwa. Duża biblioteczka z pokrytej francuską politurą sośniny huon, inna niż wszystkie w tym gmachu, stara, wspaniała, przesadnie ozdobna, poodłupywana i poplamiona tuszem, zajmowała całą ścianę od podłogi do sufitu. Na tych sfatygowanych, nieco uginających się półkach mieściło się niewielkie muzeum historii literatury australijskiej.

Stał tam chyba komplet wczesnych kieszonkowych wydań Pacific Library z logo w formie roześmianego ptaka dacelo, które zrewolucjonizowały rynek australijski i czytelnicze zwyczaje publiczności w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Zobaczyłem także cztery półki zajęte przez ciężkie tomy w twardych oprawach z lat siedemdziesiątych, kiedy Pacific połączył się z niegdyś świetnym książkowym gigantem

australijskiego odrodzenia z ostatniej dekady dziewiętnastego wieku, a w roku 1971 niemal już upadłym wydawnictwem Schneider & O'Leary, aby utworzyć TransPacific Publishing i dać w ten sposób początek kolejnemu renesansowi literatury australijskiej. Dalsze miejsca zajmowały międzynarodowe bestsellery, które przyszły wraz z kupnem niemieckiego koncernu medialnego Schlegel w latach osiemdziesiątych, gdy wydawnictwo zmieniło nazwę na Schlegel TransPacific. Plakaty laureatów Nagrody Nobla, którzy Australię znali wyłącznie z umów podpisanych z TransPacific w Nowym Jorku, Londynie albo Barcelonie, wisiały tuż obok równie wielkich wizerunków bardów współczesności w rodzaju Jeza Dempstera, mających wkrótce podzielić los dziewiętnastowiecznych balladzistów o morświnowych wąsiskach, którzy w swoim czasie rozsławili w Australii Schneidera & O'Leary'ego. Być może książki wciąż żyły, wydawnictwo sprawiało jednak wrażenie kopalni złota, która ma wkrótce zostać opuszczona, bo jej dochodowe złoża niemal całkowicie wyeksploatowano, tu i ówdzie grzechotały jakieś kościotrupy, a drewniane podpory już trzeszczały.

Przyprowadziłem ci naszego murzyna, powiedział Heidl, wyciągając rękę w moją stronę gestem, który czasem nadal opisuje się w książkach jako dobrotliwy, ale o którym w każdym innym przypadku powiedziałoby się, że jest przerażający.

Ach, Kif, odezwał się dyrektor. Bardzo mi miło cię poznać. Jestem Gene. Gene Paley.

Uścisnął mi dłoń i powiedział „cześć" Rayowi, którego traktował jak psa albo może torbę na zakupy.

Wcisnął klawisz interkomu, poprosił cicho o coś albo o kogoś i chwilę później dołączyła do nas mniej więcej trzydziestoletnia kobieta.

Kif, pozwól, że cię przedstawię. To twoja pani redaktor, Pia Carnevale.

Kiedy wspominam Pię, w pierwszej kolejności myślę o jej śmiechu. Gardło jak otwarta przepustnica; w śmiechu mojej redaktorki nie było nic uprzejmego ani udawanego. A przecież nie mogłem usłyszeć go już wtedy, dopiero później. Pamiętam natomiast, chociaż jest to dziwne, jej smukłe palce i twarz o ostrych rysach, twarz barwy i kształtu oliwki, która w obramowaniu zdobionego złotym brokatem podniesionego kołnierzyka ciemnokasztanowego żakietu przywodziła na myśl bizantyjską ikonę. Po

pewnym czasie zorientowałem się, że było to nieco mylące skojarzenie. Pia była daleka od bizantyjskiej świętej, czerpała rozkosz z wulgarności i plotek i okazała się na swój sposób o wiele bardziej asertywna niż zgodna, nie mogłem się jednak pozbyć swojego pierwszego wrażenia.

Paley kazał jej zaprowadzić Heidla i Raya do gabinetu, gdzie mieliśmy pracować, a mnie poprosił, żebym został, to „załatwimy tę nudną papierologię".

4.

Dlaczego ja? – powiedział Paley, kiedy tamci wyszli. Dlaczego to mnie wybrali? Oto pytanie, które sobie zadajesz, wiem o tym.

Nie zadawałem sobie tego pytania, odpowiedziałem jednak, że tak. Paley rozparł się na fotelu. Wyglądało na to, że ocenia mój wygląd. Podniósł rękę jak policjant z drogówki, zatrzymujący ruch na pustej ulicy.

Zastanów się nad tym, Kif.

Wpatrywał się we mnie jeszcze przez kilka chwil i westchnął.

Zawsze powtarzam, że samodzielne pisanie autobiografii to błąd. O wiele lepiej jest pozwolić zawodowcowi umiejętnie przelać na papier historię cudzego życia. Ale Siegfried początkowo się uparł, że napisze to sam. Mijały kolejne miesiące. Niczego nie spłodził. No, może jedno. Teczkę z wycinkami prasowymi o objętości dwunastu tysięcy słów. Nazwał ją wspomnieniami. I po co robić coś więcej? Całe życie zbudowane na tym, żeby nie zostawiać po sobie żadnych papierowych dokumentów. Twierdził, że ma blokadę pisarską. Daliśmy mu kolejno troje naszych najlepszych redaktorów, żeby z nim pracowali. Wszyscy poddali się po kilku godzinach.

Dlaczego?

Przesadziłbym zapewne, gdybym powiedział, że wybiegali z gabinetu z przeraźliwym krzykiem, odparł Paley.

No więc?

Wypełzali z pokoju z płaczem. Nie! Żartuję! Ale Siegfried ich onieśmielał. Rozstawiał po kątach. Nie zwracał na nich uwagi, nie dało się z nim pracować. Był okropny. Bardzo się starał zachowywać tak, żeby zrezygnowali. Potem zaczęliśmy nalegać, aby podjął współpracę z prawdziwym pisarzem. Najlepszym w branży. Facet pracował z największymi nazwiskami. Z gwiazdami sportu. Z politykami. Z gwiazdami filmowymi. Z potworami! Wie, jak podchodzić do najgorszych pyszałków. Ale Siegfried nie jest pyszałkiem, w każdym razie nie w takim sensie jak aktor. Nasz pisarz wytrwał dwa i pół dnia. Kiedy się poddał, powiedział, że z radością podejmie współpracę z Pol Potem albo Vladem Palownikiem. Jest w stanie wiele znieść, jednak nie aż tyle. Żartuję!

Zrozumienie wypowiedzi Paleya było czasami jak złożenie w całość *Finneganów trenu*, który najpierw wrzucono do niszczarki. Owszem, nie wiedziałem, co mam o tym myśleć, ale teraz chciałem już poznać prawdę.

No więc dlaczego ja? – ośmieliłem się spytać.

Powiedziałem Siegfriedowi: jeżeli nie odpowiada ci żaden z naszych pisarzy, to sam znajdź sobie kogoś, z kim będziesz pracował. Odpowiedział, że nie zna żadnego literata. A jego ochroniarz…

Ray.

Właśnie. No więc ochroniarz bąknął, że ma kumpla na Tasmanii. Który chce być pisarzem. Kupiłem więc *Martwą falę*. I przeczytałem ją. Muszę ci powiedzieć, że mnie to specjalnie nie podrajcowało, ale Siegfrieda owszem. Szczerze mówiąc, nie mieliśmy wyboru.

Chwilę później Paley odwołał się do zwyczajowej techniki wydawniczej łagodzenia ciosu przez nałożenie rękawicy pochlebstwa.

Poza tym robisz dobre wrażenie. Młody, ewidentnie obiecujący pisarz. Tak?

Nie wiedziałem, czy nie wyjdę na zarozumialca albo aroganta, jeśli mu przytaknę, więc nie odpowiedziałem.

Zmienił taktykę.

Gdzieś tam w Siegfriedzie siedzi książka. Tak?

Tak.

Mmm, powiedział Paley.

Jego spojrzenie powędrowało na półki biblioteczne, przez chwilę wydawał się nie wiedzieć, czym jest książka; okręcił się na fotelu, wyciągnął rękę i wysunął do połowy jakiś tom tylko po to, by wkrótce potem wcisnąć go na miejsce.

Chciałbym…

Mmm, powiedział znów Paley, odwracając się na fotelu z powrotem w stronę biurka.

Żeby wykorzystano moje nazwisko. Żeby się pojawiło na okładce.

Jako pisarza?

Pisarza, odpowiedziałem, chociaż wyczuwałem przepaść między interpretacjami, które otwierały się w tym prostym słowie. Tak.

Zastanów się nad tym, Kif. Zawsze powtarzam, nie obrażajmy publiczności. Nie udawajmy, że nie było trochę profesjonalnej pomocy. To niełatwa sprawa. Możemy porozmawiać o tym później. A teraz kilka formalności. Proszę, powiedział, przesuwając plik papierów. Wypłacimy ci pięć tysięcy dolarów, kiedy książka pójdzie do drukarni, i pięć tysięcy w dniu wydania. Żadnych tantiem.

Podał mi wieczne pióro.

Podpisz w tym miejscu, powiedział, przerzucając kartki, aż znalazł taką, na której przyklejona taśma w kształcie strzałki wskazywała wykropkowaną linię.

Usiłowałem zrozumieć coś z tego, co jak zdałem sobie sprawę, było moją umową, a Paley się zamyślił.

Więc jak mówiłem, autor piszący za kogoś plasuje się gdzieś pomiędzy kurtyzaną i sprzątaczką. Ma dostęp do wielu rzeczy, ale ujawnia tylko to, co wypada.

Podniosłem wzrok. Paley patrzył na zegarek, starając się nie okazywać zniecierpliwienia. Wydało mi się, że byłoby niegrzecznie czytać teraz umowę i zajmować takiemu ważnemu człowiekowi tyle czasu.

Wiesz, że to Francuzi nazwali takich pisarzy murzynami?

Nie.

Nègres. I tutaj, dodał, kiedy złożyłem pierwszy podpis. Znalazł kolejną stronę w umowie i palcem pokazał mi odpowiednie miejsce. I tutaj.

Podpisałem, potem znowu, a podpisując, odczuwałem wdzięczność, nawet dumę.

Czarni?

Niewolnicy, odpowiedział cicho, odwracając stronę. I jeszcze tutaj.

6

1.

Gdy wszedłem do naszego gabinetu pierwszego dnia pierwszego tygodnia pracy, Heidl – co szybko stało się jego zwyczajem – już właśnie wychodził.

Umówiłem się na lunch, oświadczył, biorąc z dużego dyrektorskiego biurka czapkę, okulary przeciwsłoneczne i sztuczną brodę. Będziesz się musiał tu zainstalować.

Przez chwilę obaj patrzyliśmy na obezwładniający porządek, jaki panował w pokoju, na fotele, przeznaczone do naszego wyłącznego użytku, na stół konferencyjny, przy którym mieliśmy rozmawiać tylko my, i na komputer Mac Classic, na którym miałem pisać wyłącznie ja, pokój tylko dla nas, gdzie powinniśmy spłodzić książkę, wyposażony też w stolik; leżał na nim ułożony w staranny stosik manuskrypt Heidla, a obok notatki na temat głównej postaci i taca z klubowymi kanapkami – jednym słowem, wszystko to stało w całkowitej sprzeczności z ostatnią wypowiedzią Heidla.

Bo nie musiałem nic robić, żeby się instalować.

Proszę, rozgość się, powiedział wielkodusznie, jak gdyby był gospodarzem, a TransPac jego domem. Jak wrócę po południu, będziemy mogli zacząć.

Zamierzałem zaproponować, żebyśmy od razu popracowali przez kilka godzin, i wtedy pierwszy raz zobaczyłem jego oczy. Prawie nigdy nie pamiętam koloru cudzych oczu, nawet swoich dzieci. Koloru oczu Heidla nie zapomniałem nigdy. Był w nich niezgłębiony spokój czarnych wód w śmiercionośnych rzekach. Później zauważyłem, że w niektóre dni miał

oczy dzikiego psa, nienaturalnie rozszerzone źrenice. W takich chwilach zdawał się niemal krążyć wokół swojej ofiary niczym wilk. Na ogół jednak jego wzrok był szklisty jak spojrzenie ofiary wypadku drogowego. Bez nadziei, oczy Heidla przerażały mnie i urzekały. Kiedy patrzyłem na niego bezradnie, mięśnie jego twarzy i rozchylone wargi uniosły mu usta w uśmiechu, na poły drwiącym, na poły triumfalnym; wyglądało to tak, jak gdyby ktoś go obdarł ze skóry, a jedyną rzeczą, która poruszała się w tym koszmarze, był drgający nerw na jego policzku.

2.

Heidl wrócił późnym popołudniem z Rayem. Odłożyłem notatki, które akurat czytałem, i oświadczyłem, że chętnie zostanę do późna i popracuję. Ziggy bez słowa odwrócił się do Raya i lekkim ruchem głowy wskazał mu otwarte drzwi. Mój przyjaciel wstał z fotela w kącie jak wytresowane zwierzę i zamknął je. Bardzo niewiele mówili między sobą, ale wystarczyło, że Heidl tylko coś pokazał albo na coś spojrzał, a Ray podnosił się spełnić swój obowiązek. Gdy drzwi zostały zamknięte, Siegfried usiadł i się uśmiechnął. Zawsze sprawiał, że najprostszy ludzki kontakt nabierał konspiracyjnego charakteru.

Tak jest, Kif. I myślę, że najlepiej zacząć robotę od wspólnej kolacji, żebyśmy się mogli bliżej poznać.

Tak więc wyszliśmy. Były drinki w barze. Kolacja w Chinatown i więcej alkoholu. Była krępująca rozmowa, w której ja chciałem wypytywać Heidla o jego życie, a on nie chciał odpowiadać i z kolei wypytywał mnie o moje życie, ja zaś unikałem jego pytań, zadając mu dalsze pytania.

Wieczór takich niefortunnych wykrętów dobiegł końca równie szybko, jak się zaczął, gdy Heidl wstał i powiedział, że powinniśmy wcześnie skończyć, bo jutro czeka nas dużo pracy. Wyszliśmy z restauracji na dżdżystą boczną uliczkę. Zaczaił się tam na nas jakiś paparazzo, który zaczął pstrykać zdjęcia. Heidl wyjął portfel i z uśmiechem podał Rayowi zwitek pięćdziesięciodolarowych banknotów. Ray niczym marionetka

odwrócił się i podszedł do fotografa. Ziggy nie przystanął, tylko pokazał mi gestem, żebym szedł dalej za nim. Cichnący odgłos sprzeczki między fotografem i Rayem zagłuszył odgłos jakiegoś gruchotanego przedmiotu.

Nie trzeba patrzeć, powiedział Heidl, przywołując taksówkę i otwierając jej drzwi, żebym wsiadł. Nie trzeba się martwić o Raya.

Kiedy moja taksówka odjeżdżała, zobaczyłem przez tylną szybę, że Heidl przywołuje drugą taryfę dla siebie i zostawia Raya samego. Zrozumienie, że postępuję tak samo, zajęło mi kilka minut – że robię nie to, co chcę, ale to, czego chce Heidl. Kazałem kierowcy zawrócić i znaleźliśmy Raya na ulicy. Wsiadł, przeklinając fotografa. Przy Heidlu Ray budził grozę. Bez Heidla był zwykłym Rayem.

Zapytałem, co się stało.

Nie powinien był robić zdjęć bez pozwolenia Ziggy'ego, odpowiedział najpierw tylko tyle i zamilkł na jakiś czas. Po chwili dodał, że poprosił faceta, żeby oddał film. Paparazzo odmówił, więc Ray złapał aparat, wyciągnął kliszę, prześwietlił ją i roztrzaskał narzędzie zbrodni na chodniku.

Zapytałem, co będzie, jeśli fotograf pójdzie na policję.

Nic nie zrobi, odpowiedział Ray. Rzuciłem mu więcej gotówki, niż wart był ten jego aparat razem z filmem. I zapowiedziałem, że jeśli kiedykolwiek spróbuje czegoś podobnego jeszcze raz, to rozwalę mu nie tylko aparat.

Zapytałem, dlaczego robi dla Heidla coś takiego, skoro mówi, że nie cierpi tego kutasa.

Chuj wie, odparł Ray.

A ja nie.

Kiedyś zrozumiesz.

Za oknami w Melbourne panowała zima, równie łagodna, jak niewarta wspomnień. Wyglądając przez okno na padający kapuśniaczek, samochody i światła, które nie mogły pozostać nieruchome w oślepiającym odblasku nocnego asfaltu, Ray rozpromienił się na myśl o możliwościach, które oferował nam ten wieczór.

Dokąd pójdziemy? – zapytał.

Nie miałem pojęcia. Najmniejszego.

3.

W końcu poszliśmy do pubu, który Ray już znał, Gutter and the Stars. Bez Heidla byliśmy ze sobą tacy jak zawsze. Coś się jednak zmieniło, w naszych stosunkach pojawiło się coś mniej oczywistego, a jednocześnie bardziej wyrazistego niż w tej dziwnej postawie, którą przyjmował wobec mnie w wydawnictwie, coś więcej niż fałszywa czujność, jaką okazywał w obecności Heidla.

Mówił z nostalgią o pracy z Ziggym na dalekiej północy Queensland. Spędzili tam razem prawie piętnaście miesięcy, odkąd Heidl wyszedł za kaucją, docierając do często niedostępnych miejsc tropikalnego Cape York helikopterami i samochodami terenowymi z napędem na cztery koła.

Spytałem, co tam robili, ale Ray nagle stał się małomówny i zamruczał, że to tajemnica. Gdy próbowałem się dowiedzieć dlaczego, powiedział, że chodzi o tajemnicę handlową.

O czym ty gadasz, Ray? O jaką znowu, kurwa, tajemnicę?

Z jednej strony unikał odpowiedzi, a z drugiej, jak zaczęło mi się wydawać, nie znał najważniejszych szczegółów.

To nie wejdzie do książki, prawda? – spytał w końcu. Nie możesz nikomu powiedzieć.

Ściszył głos tak, że ledwo go słyszałem.

Szukaliśmy miejsca, gdzie dałoby się zbudować centrum lotów kosmicznych.

Co?

To wielka sprawa. Wariacki syf. NASA.

NASA zatrudniła Heidla i ciebie, żebyście im znaleźli miejsce nadające się na centrum lotów kosmicznych?

Niezupełnie. To nie tak.

Ależ tak. To właśnie…

Nie. Posłuchaj. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Ale… Najwyraźniej istnieje potrzeba budowy centrum lotów kosmicznych na półkuli południowej, skąd można by wystrzeliwać w kosmos satelity. Specjalne.

Jak specjalne?

Szpiegowskie. Wiesz, to część tych „gwiezdnych wojen", które zaczął Reagan.

I NASA zapłaciła wam za to, żebyście pojechali sobie na półtora roku na taką wycieczkę?

Może. Nie mogę powiedzieć. Zapytaj Ziggy'ego. Ja nie wiem.

Nie ufam mu jak psu.

I słusznie, odparł Ray.

Skląłł Heidla, kupił dzban piwa, sześć kieliszków likieru Southern Comfort i wziął szklanki. Opieraliśmy się na małym barowym stoliku, przycupnięci na stołkach, pochyleni, jakbyśmy podpierali jeden drugiego, i Ray powtórzył, że nie powinienem mówić Heidlowi nic o swojej rodzinie. Nalał likier do szklanek i dopełnił je piwem. Smakowało nieświeżo, ale smak nigdy nie był głównym punktem zainteresowania Raya, jeśli chodziło o alkohol.

Jesteś z natury otwartym gościem, Kif. Nie bądź dla niego otwarty. Będzie chciał zostać jednym z twoich kumpli. Nie bądź jego kumplem.

Ale on twoim jest.

Wiem. Jak uważasz, dlaczego ci o tym mówię?

Twierdzi nawet, że jesteś jego najlepszym kumplem.

Ray spojrzał na mnie beznamiętnie.

W tych jego notatkach powtarzają się różne historie związane z Brettem Garrettem.

Ray jak gdyby nagle się obudził.

Jakie historie? – spytał.

Z tym księgowym, który nagle zniknął, powiedziałem.

Wiem, kim był Brett Garrett. Jakie historie?

Nie przestawał zadawać pytań. Nie chciał kontynuować rozmowy o Heidlu. Wstrzymywał przedstawienie.

Dziwaczny facet, powiedział. No i co?

I potem znika.

Dziwaczny facet, jak już powiedziałem.

Heidl wyrażał się o nim podobnie. Cytują go w jednym artykule, jak mówi, że Garrett należy do ludzi, którzy odnajdują się po dwudziestu latach w lesie deszczowym Kakadu.

Ray zaczął wydawać dziwne, zduszone dźwięki, jak gdyby jednocześnie próbował zwymiotować i coś przełknąć, a potem powiedział, że to przez to piwo.

Jest jedna historia, z której wynikałoby, że Ziggy go sprzątnął, zacząłem.

Że zabił Garretta? Co to za historia?

Zabójstwo na zlecenie, powiedziałem. Plotka.

Jak uwierzysz w takie gówno, to uwierzysz we wszystko, zauważył Ray i nagle dziwnie rozzłoszczony dodał: Kto ci opowiedział takie bzdety? Ziggy?

Już mówiłem. Sprawa pojawia się w notatkach, które mam od wydawcy.

Ray wydawał się zastanawiać, choć może nie myślał o tym, tylko o czymś innym, co było bardzo daleko i jednocześnie tak blisko, że nie był w stanie nic innego widzieć i myśleć o niczym innym.

No a ty wierzysz, że Ziggy posunąłby się aż do czegoś takiego? – spytałem.

Wypił swoje piwo, nalał drugie, łyknął i spojrzał na mnie. Jego oczy przez chwilę wyglądały jak oczy umierającego wombata, jak oczy Heidla.

Rzecz w tym, że po pewnym czasie całe to jego ple-ple-ple zachodzi ci za skórę. Opanowuje część duszy.

Słuchając go, zdałem sobie sprawę, że Ray, który nie znał strachu i nie bał się nikogo i niczego, teraz się boi.

Pozwól mu gadać, ale po prostu nic mu nie mów, tylko o to mi chodzi. Nic o Suzy. Nic o Bo.

Chciałem zażartować, ale się powstrzymałem.

Nie mów, że Suzy jest w ciąży. A jeżeli Heidl zadzwoni do ciebie do domu, nie pozwól mu z nią rozmawiać.

Wpatrywał się w wirujące kreski piany w pełnej do połowy szklance piwa z likierem. Pachniało jak stęchły dezodorant. Może widział w nim te same wiry, pędzone wiatrem pełnym piany i morskiego strachu, które o mało nie pozbawiły nas życia w cieśninie Bassa.

On jest jak śluz, powiedział, zapatrzony w morską kipiel w swojej szklance. Pokrywa cię całego. I nie da się go usunąć. Mam taki sen. Pokrywa mnie całego, znaczy ten śluz, ten straszny jebany zielony śluz, wciąga mnie pod wodę, a ja się szoruję i szoruję, ale nie mogę go zmyć.

4.

Później tego wieczoru, kiedy wróciłem do mieszkania Sully'ego, przeczytałem manuskrypt Heidla. Nie zajął mi wiele czasu. Była to mieszanina cytatów z artykułów prasowych na temat rozwoju Australian Safety Organisation – ASO, jak najczęściej pisał w skrócie Heidl – i wyimków z corocznych raportów, memorandów albo listów pochwalnych od różnych polityków oraz podziękowań od osób publicznych – ambasadorów, szefów policji i straży pożarnej, ważnych biznesmenów oraz emerytowanych amerykańskich generałów – połączona miejscami jakimś nic niewyjaśniającym akapitem autorstwa Heidla. Na swój sposób był to tekst niezwykły, bo właściwie nie nadawał się do czytania. Wystarczy jeden przykład, żeby oddać jego ogólny charakter. Nazwawszy Ziggy'ego „naprawdę wielkim Australijczykiem", ówczesny premier posunął się jeszcze dalej i wychwalał go jako „inspirujący przykład dbającej o człowieka korporacyjnej Australii".

Zrozumiałem, dlaczego w wydawnictwie potrzebowali pisarza. Nie było tu nic o pochodzeniu Heidla, o jego życiu prywatnym, o upadku ASO, o zaginionych milionach, bankach, biznesach i ludziach, którym jego poczynania zniszczyły życie, nic o polowaniu na Ziggy'ego, o jego późniejszym aresztowaniu i procesie, na który właśnie czekał. Krótko mówiąc, nic, z czego dałoby się skleić książkę.

Następnie skończyłem czytać teczkę z wycinkami, zestaw szczegółowych doniesień medialnych na temat ASO. Dla Raya praca w tej organizacji była niczym przynależność do elitarnej jednostki wojskowej, mieli mundury, wojskową dyscyplinę i różne kosztowne zabawki. Z artykułów prasowych wynikało coś podobnego: ASO była zaawansowana

logistycznie, a taką technologią i sprzętem jak oni nie dysponowały żadne instytucje państwowe czy biznesowe, nikt nigdy nie myślał nawet o takich możliwościach, a tym bardziej ich nie zrealizował. Członkowie ASO jako pierwsi w kraju latali śmigłowcami przeciwpożarowymi. Jako pierwsi wykorzystywali specjalistyczne morskie jednostki poszukiwawcze, wyposażone w miniaturowe łodzie podwodne i helikoptery.

Nie licząc bardziej konwencjonalnych zajęć, takich jak szkolenie BHP dla pracowników przemysłu naftowego i wydobywczego, poszukiwanie zaginionych turystów i rybaków oraz walka z pożarami buszu, ASO odnosiło też spektakularne sukcesy – na przykład udało im się ugasić pożar plamy ropy rozlanej na morzu Timor, grożący katastrofą ekologiczną, w wyniku śmiałej operacji uratowali znanego na całym świecie francuskiego żeglarza, Oliviera Espaze'a, gdy jego jacht wywrócił się do góry dnem półtora tysiąca kilometrów na południe od Australii na pełnym morzu, a Francuz został uwięziony w kabinie, i wreszcie przeprowadzili zakończoną powodzeniem akcję ratowniczą w kopalni „Barrington 17": cały kraj wstrzymywał oddech, kiedy udało im się wydobyć siedemnastu górników z Hunter Valley, uwięzionych przez dziesięć dni na głębokości kilometra pod powierzchnią ziemi w zawalonym szybie.

Ale gwałtowny rozrost ASO do rozmiarów organizacji o takiej wielkości i takich możliwościach zawsze wydawał się tajemniczy i często budził różne kontrowersje. Wycinki były w tej kwestii podzielone: prasa prawicowa wychwalała ASO jako nowy model organizacji biznesowej na miarę dwudziestego pierwszego wieku, a lewicowa potępiała ją jako tajną agendę finansowaną przez CIA, podobnie jak słynny Nugan Hand Bank, i podejrzaną formację paramilitarną, którą w ramach firmy stworzył Heidl.

Gdy skończyłem, Sully jeszcze nie spał, siedział w salonie na podartym rozkładanym fotelu o rdzawym obiciu i czytał. Wyglądało na to, że zna się na tych sprawach i pomiędzy kolejnymi łykami swojego ekscentrycznego wieczornego drinka, czyli taniego musującego shirazu, którego opróżnione butelki zalegały na prymitywnych półkach z książkami, powiedział, że stało się to w latach osiemdziesiątych: rząd nagle przestał się liczyć, a na pierwszy plan wysunął się biznes, outsourcing uznano za bożka i nawet biznes zmniejszał koszty własne, płacąc innym za usługi, które dzisiaj uważa się za „non-core". I nagle wszystko poza byciem

politykiem albo dyrektorem stało się „non-core” – począwszy od opieki społecznej, a skończywszy na więzieniach, akcjach poszukiwawczych i ratowniczych. W gruncie rzeczy jedyną tajemnicą było to, dlaczego sam parlament nie podlega outsourcingowi. Tak czy inaczej, każde przedsiębiorstwo otwierane w tych branżach było skazane na błyskawiczny sukces. ASO, jak twierdził Sully, po prostu przypadkiem powstało w tym samym czasie, kiedy w naszym życiu publicznym wystąpiły przejawy nowej głupoty.

I chociaż wszystko mi wyjaśnił, nie potrafiłem pojąć, dlaczego nic z tego nie składało się dla mnie na żadne wytłumaczenie.

5.

Postanowiłem dobrze zacząć dzień i przyjechałem do wydawnictwa wcześnie rano, ale Heidl był już na miejscu. Stał przy jednym z tych ohydnych regałów, oglądając ohydne książki, które wydawali australijscy wydawcy. Kiedy wszedłem, właśnie wyciągnął jakiś tom i odłożył go na stertę innych, które już zgromadził na stoliku.

Rozejrzał się, gdy podszedłem do stołu, i przywitaliśmy się. Po raz pierwszy udało mi się dobrze przypatrzeć jego twarzy. Drugiej takiej nie widziałem chyba potem aż do czasu wynalezienia telewizji HD. Dały się zauważyć liczne niedoskonałości – krzywe zęby, tu i ówdzie nieposłuszny włos nad wysoko podniesioną brwią. Drobne szczegóły, które wydawały się pomyłkami i były widoczne zbyt wyraźnie, jak gdybym przypatrywał się tej twarzy przez lornetkę, zarazem bardzo odległe i bardzo bliskie. Może dlatego trudno dokładnie opisać oblicze Heidla, nie ryzykując pomyłki, było bowiem jednocześnie tak nieskończenie nieokreślone i tak tajemniczo wyraziste, że jego niezłą podobiznę mogłoby narysować nawet dziecko, tak jak mogłoby narysować księżyc, ale taki rysunek nic by wam o Ziggym nie powiedział. Czasami czułem się tak, jak gdyby go w ogóle nie było.

Siegfriedzie, jak chcesz… Jak chciałbyś, żebyśmy to zrobili? – zapytałem.

Ty to zrób, odparł nad wyraz łagodnie. Tak chciałbym to zrobić.

Nie bez twojego udziału, powiedziałem, sądząc, że żartuje.

Za to ci płacą, oświadczył, powracając do oglądania książek.

Byłem zaskoczony. Zauważyłem, że mogę najwyżej uporządkować jego przemyślenia; spisać to, co sam może chciałby o sobie napisać, ale nie mogę przecież tego wymyślić.

Wydawało się, że to dla Heidla nieoczekiwana i nieprzyjemna wiadomość. Spojrzał na zegarek i zapytał, czy po drodze na górę nie widziałem Paleya.

Nie.

Chodzi o moją zaliczkę, powiedział. Zapłacili mi tylko jedną trzecią.

I w jednej chwili jego nastrój zmienił się ze spokojnej łagodności w dziką wściekłość, a głos z cichego przeszedł niemal w przeraźliwy krzyk.

Jak, do kurwy? Jak, do kurwy nędzy, mam zrobić to, czego się ode mnie oczekuje, skoro mi, kurwa, nie płacą?

Takie są realia, odpowiedziałem. Jedna trzecia po podpisaniu umowy, jedna trzecia po dostarczeniu tekstu i jedna trzecia po wydaniu książki.

Heidl mruknął coś o tym, że to są jego pieniądze; wskazał mnie palcem i powiedział, że jestem tu dzięki niemu, a zatem to, że książka zostanie ukończona, jest pewne, dlatego Paley powinien wypłacić mu całość.

Próbowałem zmienić nastrój Ziggy'ego, zmieniając temat, i zapytałem go o jego dzieciństwo.

Zamilkł równie gwałtownie, jak się wściekł, nie odpowiedział i znowu zaczął przeglądać jakąś lśniącą książkę z ilustracjami.

Zadałem mu pytanie natury ogólnej o rodziców.

Odstawił książkę na półkę i wyciągnął kolejny tom.

Spytałem, czy był blisko z matką.

Masz, powiedział, podchodząc do mnie z otwartym *Przewodnikiem po Toskanii dla miłośników czekolady*. Może ją weźmiesz do domu?

To nie są nasze książki.

Uśmiechnął się.

Weź ją.

To byłaby kradzież.

Jesteś pisarzem.

Ale nie złodziejem.

Może. Jednak lubisz książki.

To nie książka. To żart.

Och, powiedział Heidl, znowu się rozglądając, jak gdyby ktoś nas obserwował. Rozumiem. Więc jaką książkę byś chciał?

Nie chcę stąd żadnej książki, Siegfriedzie. A gdybym chciał, tobym o nią poprosił. Na pewno chętnie daliby mnie albo tobie to, czego byśmy sobie zażyczyli.

Więc weź ją, powtórzył, uśmiechając się. Jeżeli mają to w nosie, to ty też możesz nic sobie z tego nie robić. Chcesz ją. Więc weź.

Nie chcę, powiedziałem.

Jeżeli nie dla siebie, to dla swojej żony. Przypomnij mi, jak ona ma na imię?

Suzy.

Suzy, powiedział, a ja w tym momencie przypomniałem sobie ostrzeżenia Raya. Lubi czekoladę, nie?

Spróbowałem odpowiedzieć kolejnym pytaniem o jego rodziców, ale wpadł mi w słowo.

Lubi czekoladę, prawda? Ray mi wszystko o niej opowiedział. A bliźniaki? To też prawda, nie? Lada dzień urodzi ci bliźniaki. Na pewno ma straszny apetyt na czekoladę, co?

Nie wiedziałem, jak mu odpowiedzieć – jak skierować tę wylewającą rzekę z powrotem do jej naturalnego koryta.

Na pewno tak, ciągnął. Kto by nie miał? Ray twierdzi, że jest śliczna. Może powinienem pojechać na Tasmanię, wtedy moglibyśmy pracować nad książką bliżej Suzy. Tak chyba byłoby dla ciebie lepiej?

Mówił dalej, otwarty *Przewodnik…* leżał przed nami, a na dużym zdjęciu roztopiona czekolada lała się do formy z poobijanego miedzianego garnka. Po raz pierwszy poczułem, jak ogarnia mnie dziwny strach.

Musimy wrócić do pracy, powiedziałem.

6.

Zaczynałem robotę z Heidlem, zamierzając robić notatki z naszych rozmów, zakładałem bowiem, że w ten sposób zbiorę niezbędny materiał do jego autobiografii, a moim zadaniem będzie już tylko uporządkowanie i spersonalizowanie wspomnień Ziggy'ego w formie książki. Ale nic nie udało mi się zrobić. Równie dobrze mógłbym starać się podnieść nożyczkami rozlaną rtęć z podłogi. Zmieniłem metodę. Postanowiłem zadawać mu serie pytań na dany temat. Kiedy udawało mi się zebrać coś z jego dygresji i zagadek – w najlepszym razie trwały po piętnaście albo dwadzieścia minut – przerywałem rozmowę i mówiłem, żeby sobie potelefonował, a ja w tym czasie napiszę kilka kolejnych stron.

Po mniej więcej pół godzinie pisania znów starałem się zwrócić jego uwagę, zawsze wychodząc od niezbędnej fikcji: „Czy możesz mi potwierdzić kilka faktów, Siegfriedzie?". Jeśli udawało mi się oderwać go od telefonu, co za każdym razem było trudnym zadaniem, odczytywałem na głos to, co poskładałem z jego ułud i uników. Pochylał się nad biurkiem, wspierając głowę na zwiniętej w pięść prawej ręce. Im bardziej odjechana była moja historia, czyli im mniej związana z tymi nielicznymi i mglistymi faktami, które mi nakreślił, tym absurdalniej się czułem, tym bardziej Heidl wydawał się zadowolony i tym częściej twierdził, że wszystko zostało opisane dokładnie tak, jak on sam to pamięta. Po pięciu dalszych minutach już wisiał na telefonie, rozmawiając z Charliem z programu *60 Minutes*, z Gregiem z „Heralda" albo z Margot ze stacji Seven. W tym pierwszym tygodniu pracy na podstawie moich konfabulacji załatwił sobie trzy umowy na płatne wywiady.

Ponieważ okazało się, że o narodzinach Heidla nie można rozmawiać, a pytania o dzieciństwo go drażnią, pomyślałem, że moglibyśmy przejść do czegoś, co jak sądziłem, będzie trochę łatwiejsze: do okresu dorastania. Nie było. Poza jednym wspomnieniem miasta Adelaide, być może mającym oparcie w faktach, a być może nie, przeżyłem godzinę morderczych uników, po czym powiedziałem, że mam dosyć i że Heidl może wrócić do swoich zajęć. Przez kilka minut wpatrywałem się w mrugający kursor i połyskujący ekran monitora.

Patrzyłem…

I patrzyłem…

Jednak nie było innego sposobu. Musiałem zmyślać. Minęło kolejne pół godziny, Heidl czytał gazetę, Ray drzemał, a ja pisałem. W końcu spytałem Ziggy'ego, czy mógłby potwierdzić kilka szczegółów. Nie podnosząc wzroku znad gazety, skinął głową, polizał palec i przewrócił stronę.

Zacząłem odczytywać bezbarwną bajeczkę, w której opisywałem dorastanie Heidla w Adelaide w latach sześćdziesiątych. Zrobiłem, co w mojej mocy, posługując się wyświechtanymi komunałami o potwornych upałach, samotności dojrzewania i przesadnie szerokich ulicach, przedstawiając miejsce i czas, o których nic nie wiedziałem. Nie było to *Pamięci, przemów* Nabokova. Ale nie mogłem się zdobyć na żadne lepsze przybliżenie nieobecnej poza tym w tekście młodości Heidla. Co dziwne, wydawało mu się to podobać.

Czytałem dalej.

Tak, pomrukiwał jakby trochę roztargniony, tak.

Czytałem. Najważniejszym wydarzeniem tych młodych lat dla Heidla był – tu naciągnąłem jedyną rzecz, jaką wiedziałem jeszcze o Adelaide z drugiej połowy XX wieku – przyjazd Beatlesów do tego miasta w 1964 roku.

Absolutnie tak, powiedział, słuchając teraz uważniej.

Przykład Beatlesów obudził w młodym Heidlu – który, jak twierdziłem, widział ich z daleka, pracował bowiem wówczas jako goniec w hotelu, gdzie się zatrzymali – chęć zostania w przyszłości znanym człowiekiem.

Odłożył gazetę, podniósł rękę, wskazał mnie palcem i prostując go kilka razy, by podkreślić swoje słowa, wydał wężowy syk.

Tak, dokładnie! Dokładnie! Dokładnie tak było.

Uśmiechając się, jak gdyby właśnie zauważył zgubioną kartę kredytową, pochylił się, wziął telefon, wykręcił numer i zaczął z kimś rozmawiać. Kilka chwil później uzgadniał już umowę na płatny wywiad ze sobą na temat swojej młodości, w której najważniejszym wydarzeniem był przyjazd Beatlesów na koncert do Adelaide. Opowiadał dziennikarzowi to, co właśnie mu przeczytałem, jakby chodziło o jakiś zapomniany fragment jego życia, którym, jak słyszałem, moja opowieść właśnie się szybko

stawała. Tylko że w wersji Heidla, tej mówionej, pełno było szczegółów, o których ja nie wspomniałem, jak gdyby moja relacja stanowiła jedynie ubogą glosę prawdy.

Opowiedział mu na przykład o bójce, do której ponoć doszło, kiedy jakiś fotograf zakradł się na zajmowane przez muzyków piętro. John Lennon roztrzaskał aparat fotograficzny intruza, uderzył go, wcisnął mu głowę do muszli klozetowej i spuścił wodę. Heidla, wtedy jeszcze nastolatka, wezwano na piętro, żeby zabrał świadczący o incydencie rozbity aparat. Lennon, który jak pamiętał Heidl, miał poobgryzane paznokcie, był pijany, a w pokoju znajdowało się też kilka młodych kobiet, w tym dwie topless w łóżku z Ringiem, z którym piły herbatę.

Ta opowieść była zdumiewającym przedstawieniem, mistrzowskim, ale czekało mnie coś jeszcze lepszego.

Dochodziła północ, ciągnął Heidl. Kiedy zbierał się już do odejścia, Lennon zapytał go, o której zaczął pracę. Odpowiedział, że w południe.

To miałeś ciężki dzień, odezwał się lider Beatlesów i dał gońcowi pięciofuntowy banknot.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, mówił dalej Heidl, wypaliłem więc, że w takim razie to był wieczór po ciężkim dniu. Pamiętam, że Lennon się zaśmiał i powiedział, że to świetny tytuł dla piosenki. A potem któregoś dnia usłyszałem w radiu ich nowy kawałek…

W tym momencie już bardzo skromne poczucie mojej własnej wartości jako pisarza jeszcze się zmniejszyło. Nie byłem nawet pewien, czy wiem, co robię, pracując z tym człowiekiem, który nie wiedział, czy życie, jakie opisywaliśmy, jest jego prawdziwym życiem, ale który – mimo wszystko – radośnie sprzedawał prawa zależne do kolejnych rozdziałów, w miarę jak je układałem, a przy tym przekształcał moje ponure wymysły w coś nieskończenie bardziej interesującego.

Wpadłem w depresję.

Pisanie było kiedyś dla mnie namiętnością, ambicją, nadzieją. Marzeniem. Teraz nie wiedziałem dłużej, czy to ja jestem pisarzem, czy Heidl jest mną, nie wspominając już o kilku jeszcze bardziej niepokojących ewentualnościach. A mimo to im poważniej w siebie wątpiłem, tym lepiej musiałem starać się zrozumieć jego i jego donkiszotowską paplaninę.

Mimo wszystko powtarzałem sobie, że to jest praca. A to, co ze sobą niosła – powtarzalność, harmonogram, plan, rytuał i współpracowników – wcale nie sprawiało mi przykrości. Jeśli spotykałem kogoś w kafeterii albo na korytarzu, trzymałem się kłamstwa o westfalskiej antologii poetyckiej. Ten fortel był brzemieniem, żartem, dreszczem emocji, chociaż patrząc wstecz, trudno uwierzyć, żeby wśród pracowników i gości wydawnictwa znalazł się ktoś, kto miałby ochotę dochodzić, czy to prawda.

Antologia średniowiecznej ludowej poezji niemieckiej była, trzeba przyznać, dziwnym projektem, ale wtedy jeszcze przez kilka lat wydawnictwa wciąż mogły podejmować różne takie właśnie dziwne projekty i zarabiać na nich pieniądze. W STP ludzie mieli własne zmartwienia i książki – do redakcji, opracowania graficznego, marketingu, sprzedaży i dystrybucji. Co ich obchodziła jakaś książka dla wtajemniczonych, nad którą pracowali wynajęci redaktorzy i która po wydaniu zostanie skazana na jednoczesne pochwały i zapomnienie? W naszej kulturze szaleństwa nie wydawała się wcale takim wielkim wariactwem. Teraz spoglądam na ten pomysł z perspektywy czasu i oczywiście myślę, że pracownicy wydawnictwa dobrze wiedzieli, że to lipa. Jedyną osobą, która naprawdę wierzyła w to oszustwo, byłem ja. Heidl od samego początku trzymał mnie w garści.

7.

Nie czułem się dobrze, zostawiając Suzy samą w Hobart w zaawansowanej ciąży i z Bo, którą się musiała opiekować. Ale od chwili, kiedy przyjąłem tę pracę, stało się jasne dla nas obojga, że tylko w ten sposób zdołamy utrzymać dom. Nie była to kwestia tego, co najlepsze, lecz tego, co konieczne. I wydawało się to też łączyć z ciążą, która niczym jakaś moc ruchem wirowym zbliżała mnie do Suzy i jednocześnie wściekle od niej oddalała, gwałtowną siłą odśrodkową i dośrodkową zarazem. Bywaliśmy dla siebie okrutni, z zawsze niejasnych powodów, i coraz częściej się kłóciliśmy. Może dlatego, że od początku było z nami coś nie w porządku,

chociaż nie udało nam się zrozumieć, co to jest, tak jak nie umieliśmy zrozumieć wielu innych rzeczy.

Po kłótniach często dochodziło do intensywnego seksu. Coś, co wcześniej zrobiło się przypadkowe i powierzchowne, powróciło z dziwnie rozpaczliwą zaciekłością, tym większą, że Suzy wydawała się niemal całkowicie skoncentrowana na własnej przyjemności. Jak gdyby seks był jedynym dostępnym nam sposobem, by wyjaśnić i zrozumieć wszystko, co było niewytłumaczalne i przekraczające granice rozumienia. Jej szarpane skurczami ciało. Jej miękkie usta później. Jej polecenie: Kochaj mnie. Słyszałem, jak ludzie mówili, że jest piękna. Nie mieli pojęcia, jak bardzo. Ale to, co na chwilę łączyło mnie z Suzy, w jakiś sposób później tylko jeszcze bardziej nas rozdzielało, pozostawiając w duszy pustkę i samotność. Za każdym razem seks jedynie potwierdzał coś, czego żadne z nas nie chciało powiedzieć głośno.

Zakrywaliśmy rozwierającą się otchłań i swoje oczy słowami jak z papieru ryżowego; głównie słowem „miłość". Często słowem „rodzina". Tego rodzaju słowami. Kłamstwami, które oślepiają, tak można by powiedzieć. A przecież te słowa były równie prawdziwe, jak fałszywe. Wychowana przez ojca alkoholika Suzy chciała rodziny, stabilizacji, domu. Być może ja pragnąłem czegoś podobnego. Z pewnością używałem podobnych słów, żeby odpędzić strach. Jak Suzy pragnąłem rodziny i trochę spokoju, ale za tym wszystkim czaiła się śmierć, mój strach przed śmiercią, strach wpojony mi głęboko w serce na środku rozszalałego morza, kiedy śmierć nieustannie mnie pragnęła i wciągała pod wodę. A teraz moje pragnienie, żeby się drażnić ze śmiercią, przypominać jej, że nadal żyję, i chociaż trochę zakosztować życia, zanim zniknę, stało się napędzającą mnie, obezwładniającą siłą.

Ale jak tu żyć?

Dręczyło mnie to pytanie. A Heidl sprawił, że nieprawidłowo na nie odpowiedziałem. Bo chciałem też z siłą równą niemal przemocy być człowiekiem wolnym i samotnym, a poza tym uciec przed czymś, co jak wyczuwałem, nachodziło mnie i oblepiało niczym pajęczyna. Może od początku planowałem ucieczkę. Powiedzieć, że czasami się okłamywałem, byłoby niesprawiedliwe i niesłuszne. Okłamywałem się przez cały czas.

Zdarzało się jednak, że kiedy nocą w Melbourne zostawałem sam na piankowym materacu na podłodze u Sully'ego i myślałem o Suzy, o naszych narodzonych i nienarodzonych dzieciach, o tej dziwnej konieczności, która nas złączyła, to odczuwałem ból, ściskający mój brzuch z tak morderczą mocą, że nie byłem w stanie złapać tchu.

8.

Udało mi się polecieć do domu na weekend w sobotę po południu. Suzy zabrała mnie z lotniska i chociaż była zmęczona, to nieoczekiwanie w dobrym zdrowiu. Wielokrotnie ostrzegano nas, żeby się spodziewać najgorszego, ale poza problemami natury praktycznej, związanymi z wielkim brzuchem, mojej żonie nic nie dolegało, jeśli nie liczyć braku snu i od czasu do czasu niestrawności. Poza tym była nadzwyczajnie pogodna, jak gdyby noszenie bliźniaków przekładało się na podwójną dawkę tych uspokajających hormonów, które wytwarza organizm ciężarnej kobiety. Głównie uśmiechała się albo śmiała w głos.

Lekarze mówili, że począwszy od szóstego miesiąca, Suzy może urodzić w każdej chwili. Ale szósty miesiąc spokojnie zmienił się w siódmy, który niespokojnie przeczekaliśmy, a potem przyszedł ósmy i nadal czekaliśmy, aż odejdą jej wody, na pierwszy skurcz, na wszystkie te dziwne, niezrozumiałe i niezgłębione sygnały zwiastujące poród. Tymczasem jednak ku naszemu zdumieniu mijał tydzień za tygodniem, nadszedł dziewiąty miesiąc, a Suzy i bliźniaki dalej byli w doskonałej formie. Przepatrywaliśmy jej ciało w poszukiwaniu oznak początków porodu, ale nie licząc tego, że brzuch mojej żony dalej się powiększał, nic więcej się nie działo.

By przygotować nas na możliwość przedwczesnego porodu, szpital zaprosił mnie i Suzy kilka miesięcy wcześniej na specjalną wycieczkę po neonatalnym oddziale intensywnej terapii. Położna poprowadziła nas do inkubatora pośród różnych urządzeń, przewodów i lamp fluorescencyjnych, szumiących i trzaskających tak, że wydawały się

nadzwyczajnie skuteczne. W inkubatorze spoczywało w zamknięciu maleńkie, przypominające gada stworzonko; życie podtrzymywały w nim widoczne pod przezroczystą skórą kwiatuszki cieniutkich naczynek włosowatych.

To jest Jo-Anne, powiedziała położna. Nasza gwiazda. Urodziła się dziewięć tygodni za wcześnie. Teraz ma trzy tygodnie.

Jo-Anne wydawało się za dużym imieniem jak na takie maleństwo; dwie ogniście zaczerwienione bulwy, jedna przecięta oczami, a z drugiej, większej, wyrastały cztery maleńkie czułki kończyn, którymi co jakiś czas wstrząsały skurcze. Najbardziej ludzką rzeczą w tej dziewczynce wydawały się kosmyki paluszków, zaciśniętych w piąstki w geście sprzeciwu.

Przytrafiło się jej wszystko, co mogło się przytrafić, powiedziała położna. Ale walczy dalej.

Bliźniaki, jak nas poinformowano, zawsze rodzą się nie tyle wcześniej, ile o wiele za wcześnie, po prostu dlatego, że połączona masa dwóch embrionów w naturalny sposób pobudza ciało do skurczów. Konsekwencje mogły być nieprzewidywalne. Martwiliśmy się wieloma złymi rzeczami, których inni rodzice we współczesnym świecie nie brali już pod uwagę, a które dla nas stanowiły realne zagrożenie. I były to sprawy związane głównie ze śmiercią albo z okrutną ceną, jaką należałoby zapłacić, żeby jej uniknąć.

Kiedy oglądaliśmy te chwytające za serce maleństwa, dygoczące w lekko matowych inkubatorach z pleksiglasu – lewitowały nad śmiercią dzięki przypominającej wermiszel plątaninie kabli od monitorów oraz rurek, służących do karmienia, odprowadzania wydalin i oddychania – poinformowano nas, że bliźniaki, jedno albo oboje, mogą umrzeć przy porodzie. A jeśli go przetrwają, do końca ich walki o życie i tak będzie daleko.

Wchodzące w grę ryzyko przedstawiła nam z ponurymi, groźnymi szczegółami wesoła, dobiegająca trzydziestki kobieta. Trudności z karmieniem. Trudności z oddychaniem. Trudności z normalnym rozwojem. Kiedyś śmierć obojga bliźniąt częsta. Już nie. Dzisiaj dość częsta śmierć jednego z dzieci. I dożywotnie problemy ze zdrowiem tego, które przeżyje. Upośledzenie intelektualne. Terapia. Przedwczesna śmierć, wczesna śmierć, śmierć matki.

Wyglądało na to, że opuściliśmy granice życia i wkroczyliśmy do jakiejś strefy wojennej, gdzie nie było już żadnych gwarancji, szczęścia, prostych radości – jeżeli takie w ogóle istniały – rodzicielstwa i rodziny; zamiast nich pojawiła się trauma, ocena stanu zdrowia noworodków, w najlepszym wypadku przeżycie rozwiązania. I wszędzie czyhała śmierć, możliwość śmierci, jej prawdopodobieństwo. W rezultacie nie mógł nas owiać nowy wiatr bardziej intymnych porodów, na które pod koniec dwudziestego wieku zapanowała moda w całym świecie zachodnim, przyjmowanych w mdło oświetlonych salach przy o wiele mniejszej ingerencji medycyny.

Rzeczywistość, jaką były bliźniaki, zepchnęła nas do innego czasu, do innej epoki, w której o wszystkim decydowali ludzie w białych kitlach. Byliśmy bezsilni, baliśmy się o nasze nienarodzone jeszcze dzieci i powiedzieliśmy „tak" ich zasadom i zaleceniom, bez wyjątku. Jaki mieliśmy wybór?

9.

Wczesnym popołudniem w niedzielę, kilka godzin przed moim lotem powrotnym do Melbourne, zadzwonił Gene Paley, żeby mi powiedzieć, że przeczytał pierwszy próbny rozdział. Oświadczył, że „jest niezły, chociaż mógłby być lepszy". Wprawdzie wydawało mu się, że oddałem coś niecoś z psychologii Heidla, ale on, Paley, potrzebuje teraz fabuły, historii. Czytelnicy potrzebują historii. Branża, ciągnął, potrzebuje historii.

Więc jak mówiłem, powiedział, my budujemy dalej na tym, co już masz, a ty prześlij mi plan całej książki do czwartku.

Wspomniał o takim planie po raz pierwszy.

Ale… Co z tym rozdziałem? – spytałem zirytowany, bo Paley najpierw go żądał, a teraz właściwie nie przywiązywał do niego żadnej wagi. Nie jestem pewien, jakiej reakcji się po nim spodziewałem. Listów Rainera Marii Rilkego do młodego poety? Spodziewałem się wszystkiego, jak sądzę. I czegoś więcej. Miałem jednak teraz Paleya w słuchawce, a on urwał, jak gdyby go poproszono, żeby wyjaśnił, dlaczego talerz jest pusty.

Och, odezwał się w końcu. Ten rozdział już jest za nami. To, czego naprawdę potrzebujemy w tej chwili, to plan całej książki.

Stawało się oczywiste, że będę musiał pokonać jeszcze kilka przeszkód, zanim bezpiecznie zostanę autorem wspomnień Heidla. Wtedy nie było to dla mnie jasne, ale teraz rozumiem, że Paley był równie zdesperowany jak ja i Heidl. Wszyscy posunęliśmy się za daleko i żałowaliśmy tego, jak gdybyśmy wszyscy trzej stali nad płytkim grobem, który trzeba wypełnić. Starając się stłumić w sobie narastającą niechęć, zapytałem, o jaki plan mu chodzi.

No wiesz, odparł Paley, taki ogólny. Coś w tym rodzaju. Abstrakt wszystkich rozdziałów. CIA? Banki? Dział sprzedaży naciska, żebym dał im coś konkretnego, i mają rację. Wystarczy dwadzieścia, góra trzydzieści stron. Ale muszę to dostać w czwartek, żebyśmy wiedzieli, czy mamy książkę.

Po tej rozmowie wpadłem w złość i jednocześnie zrobiło mi się niedobrze. Jakiego rodzaju jest „coś w tym rodzaju"? Dwadzieścia stron to niewiele. A jednocześnie była to góra tekstu. Z biografii Heidla nie miałem nawet tyle, żeby zapełnić jedną stronę. Przez cały tydzień dużo gadał, ale nie powiedział prawie nic. Jakimś cudem spreparowałem z tego rozdział, pozbawiony zarówno tonu, jak i głosu, pozostały tylko dziwna intonacja i garść konkretnych szczegółów. Wydawało mi się okrutnym żartem przypuszczać, że kilka następnych dni dostarczy znacznie więcej materiału.

Powiedziałem Suzy o kolejnym żądaniu Paleya. I że nie wiem, jak je mogę spełnić, że wydaje się to ponad moje siły. Odparła, że wie, że dam sobie radę, że zawsze daję. Byłem zdesperowany i jej pocieszenia wzbudziły we mnie wściekłość. Skąd ona może wiedzieć, że sobie poradzę, skoro ja sam tego nie wiedziałem? Po prostu wie, powiedziała. Jak może być taka głupia, żeby nie widzieć, że to jest niemożliwe? Nie dla ciebie, odparła. I w ten sposób zaczęliśmy się kłócić.

Moja rosnąca złość na Heidla i najgłębszy strach przed porażką przeszły we wściekłość, którą wyładowałem na Suzy. Bawiłem się akurat nożem kuchennym na krawędzi zlewu. Wrzeszczałem, że nie mogę zrobić tego, czego oczekuje ode mnie Paley, czy ona tego nie rozumie? Podniosłem

rękę, żeby podkreślić swoje słowa, bezmyślnie podniosłem nóż powyżej ramienia, a ostrze skierowałem przed siebie i w dół.

Nie rozumiesz! – krzyczałem i zobaczyłem, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Patrzyła na coś ponad moją głową. Spojrzałem w górę i zobaczyłem krążący nad nami nóż, gotowy ciąć i ranić. I to ja go trzymałem. Nie wiem, co zamierzałem z nim zrobić. Nigdy nie ogarnęło mnie tak straszne uczucie.

Kif?

I rozwścieczony, okazując coś, czego nie chcę nazywać nawet teraz, przerażony albo zawstydzony, zamachnąłem się przed nosem Suzy nożem z tak brutalną siłą, że przebiłem nim stalowy zlew.

Nóż utkwił na sztorc, czubek wbił się mocno, a ostrze drżało bardzo delikatnie niczym oskarżenie, czekające na zbrodnię. Spirale wibracji wydawały się dobywać z ostrza jeszcze długo po tym, jak znieruchomiało, zagarniały mnie ich wirowe kręgi. Mimo woli poczułem, jak coś ściąga mnie w dół i staję się kimś innym, obcym, który mimo wszystko wydawał mi się znajomy.

Być może raniliśmy się nawzajem w nadziei, że dokonamy jakiegoś odkrycia, żałowaliśmy jednak wszystkiego, co odkryliśmy. Odwróciłem się do Suzy. Słyszałem, że coś mówię. Słyszałem, jak próbuję bronić książki, mojego czasu, mojej ambitnej chęci zostania pisarzem, niedbałości o Suzy. I z każdym słowem wyczuwałem pustkę we wszystkim, co mówiłem.

A ponieważ brakowało mi słów, które mogłyby mieć jakieś znaczenie, wyszedłem z kuchni i pobiegłem na górę, żeby wrócić do pisania tamtych innych słów, które nie miały najmniejszego znaczenia.

7

1.

Jeżeli pierwszy tydzień pomimo różnych kłopotów był skromnie efektywny, to drugi zaczął się źle, a w kwestii zainteresowania Heidla jego wspomnieniami robił się coraz gorszy. Moje pytania nie wyciskały z niego nic poza wyjątkowo lakonicznymi odpowiedziami, siedział za biurkiem i milczał, pochłonięty gazetą albo telefonowaniem do różnych ludzi.

Pamiętam na przykład, jak spytałem go o Bretta Garretta, wieloletniego księgowego ASO, który gdzieś przepadł bez wieści w 1987 roku. Mówiłem, że musiało to być przygnębiające dla wciąż nielicznego wtedy personelu, bo Garrett był podobno bardzo lubiany. Miałem nadzieję, że w ten sposób przywołam jakieś wspomnienia.

Niby że zrobiło im się smutno? – powiedział Heidl. Wrócił do gazety – uwielbiał prasę codzienną – i jakiś czas później, nie podnosząc wzroku znad strony, dodał takim głosem, jak gdyby prosił o pomoc w rozwiązaniu krzyżówki, o dwa słowa na dwanaście liter, oznaczające dla niego zadowolenie: Bardzo smutno.

Zacząłem się zastanawiać, czy Ziggy odczuwa jakieś prawdziwe emocje. Albo czy zamiast emocji nosi w głowie galerię różnych póz i kiedy uważa za stosowne, może do niej wejść i ubrać się we wszystko, co potrzeba – powiedzmy we współczucie, złość, wściekłość albo sympatię. A może nic nie czuje, może żyje w świecie poza miłością, smutkiem, bólem. Może obserwuje świat i bawi się ze złem, jakie w nim znajduje, tak jak bawił się z nami – z Rayem, Paleyem i ze mną.

Wskazał artykuł, który właśnie czytał; wynikało z niego, że władze Queenslandu zaprzeczają doniesieniom medialnym, jakoby trwały prace nad tajnym projektem budowy kosmicznego centrum rakietowego wspólnie z NASA, zatrudniającą rzekomo w tym celu Siegfrieda Heidla. Pokręcił głową, oddalając zarzut jako niezgodny w szczegółach z rzeczywistością, enuncjacje idiotów, którzy nie wiedzą nic o „świecie cieni". Powiedział to jednak tak, jak gdyby naprawdę miał powiązania z NASA, którym zaprzeczył, podobnie jak istnieniu australijskiego ośrodka lotów kosmicznych, kiedy go ostatnio o to pytałem.

W czasie lunchu wmawiał mi, że Cape York to „duży projekt", finansowany przez firmę kapitałową z Seattle, a godzinę później stwierdził, że wszystko to jest idiotycznym medialnym biciem piany. Późnym popołudniem okazało się, że Cape York to ukochany projekt pewnego medialnego potentata z Singapuru, ale że Heidl musi chronić jego anonimowość.

Zaprzeczał swoim kłamstwom nowymi kłamstwami, a potem zaprzeczał własnym zaprzeczeniom. Jak gdyby nie potrafił żyć inaczej niż w chaosie samozaprzeczeń. Z konieczności niepełne opowieści Heidla zamiast negować ich rzekomą prawdę, potwierdzały ją. Nie twierdzę, że celowo dbał o to, żeby te jego sączone kropla po kropli historie nigdy do siebie dobrze nie pasowały, a często stały ze sobą w całkowitej sprzeczności, ale jako odruchowy podstęp jego postępowanie okazywało się bardziej niż skuteczne. Zadanie pogodzenia takich bulwersujących kłamstw spoczywało bowiem nie na nim, tylko na tobie, na każdym jego słuchaczu.

Tkwił w tym potencjał, który mógł mi pomóc jako pisarzowi – bardzo dużo rzeczy, o których nie wiedziałem; bardzo dużo rzeczy, które potwierdzały, że zupełnie nie znam swojego rzemiosła. Przebywałem z człowiekiem, który nie interesował się książkami, chyba tylko tym, by ukraść ich tak dużo, jak mógł, ale który instynktownie rozumiał pisarstwo o wiele lepiej niż ja.

Kiedy raz jeszcze zacząłem go wypytywać, kim byli naprawdę jego mocodawcy w sprawie ośrodka lotów kosmicznych, znowu zmienił temat. Zasugerował, że współpracował z CIA, żeby w 1975 roku zdjąć Gougha Whitlama ze stanowiska premiera Australii, ucząc się na błędach, jakie „popełniliśmy", usuwając Allende w Chile.

Chile było kolejnym śpiewnym refrenem Heidla, nieprzywoływanym tak często jak tokso, lecz bardziej niepokojącym. Czasami sprawiał takie wrażenie, jak gdyby chciał wziąć odpowiedzialność za wszystkie te umęczone torturami i napuchnięte ciała na stadionie narodowym w Santiago i następstwa tych wydarzeń – nie wspominając już o tajnej wojnie w Laosie i o zapomnianych laotańskich zabitych, do których również robił różne aluzje; i tak dalej, i tak dalej, opowiadał o spalonych, zaszlachtowanych i zapomnianych ofiarach w Indonezji, na Haiti, w Nikaragui i wielu innych krajach, o nieskończonym szeregu wiecznie zapominanych ofiar – było ich po prostu co niemiara, tak dużo jak okrucieństwa i zła, a Ziggy wydawał się dumnie sugerować, że w jakimś sensie była to jego robota, o której jednak nigdy nic nie mówił.

Czasami kiedy tak gadał, cicho i rozsądnie, zastanawiałem się, czy istnieje na świecie takie zło, w które nie chciałby być wplątany. Wyglądało na to, że widzi siebie jako kogoś, kto może się rozmnażać w nieskończoność, by aplikować światu powszechną makabrę. A jednak kiedy naciskało się na niego o szczegóły, potrafił się wywinąć od takich bzdur, natychmiast wylewając z siebie strumień pytań, które często wydawały się złośliwe. Wyrażał się wtedy z prostotą, tak jak potrafią pisać najlepsi pisarze; jego słowa nie znaczyły nic, ich podtekst wszystko, a ja odczuwałem ciężar czegoś zimnego i okrutnego.

Kochasz swoją żonę? – spytał w tamten poniedziałek w odpowiedzi na moje indagacje w sprawie ośrodka lotów kosmicznych, jego cichy głos przypominał głos księdza, spowiednika albo gliniarza, pracującego cierpliwie, żeby cię wrobić w zbrodnię, której nie popełniłeś.

Nie odpowiedziałem, zapadła cisza, która też w jakimś sensie wydawała się zdradą, a Heidl wyszczerzył zęby w przebiegłym uśmiechu.

Kochasz ją, Kif?

2.

Siegfriedzie, powiedziałem (w tych pierwszych tygodniach jeszcze okazywałem mu szacunek), jeśli wiesz coś o zaangażowaniu CIA w usunięcie Whitlama ze stanowiska, to mi po prostu o tym powiedz.

Zastanawiałem się raczej nad tym swoim pomysłem, odparł Heidl. Że może byłoby lepiej dla ciebie, i prawdę mówiąc, dla książki, gdybym pojechał na Tasmanię.

Daj mi choć jeden fakt, powiedziałem.

Moglibyśmy pracować u ciebie w domu.

Powiedz mi.

I byłbyś na miejscu, żeby pomagać żonie.

Ale nie wtrącaj się w moje prywatne życie.

Przypomnij mi, jak ona ma na imię? Suzy?

To nie jest temat naszej książki, Siegfriedzie.

Suzy, powiedział. Tak jest. Wiesz, Kif, słaby byłby z ciebie dyrektor.

Za to ty byłbyś doskonałym powieściopisarzem.

Dobry dyrektor dzieli się z podwładnymi. Ma specyficzną zdolność otwierania się przed kolegami.

Jego przerażający uśmiech. Pulsujący policzek. Trupie oczy.

Jak mogę, powiedział Heidl, zachować lojalność wobec kogoś, kto nie chce mi nawet powiedzieć, jakie imię nosi jego dziecko?

Tego było już dla mnie za wiele.

A jak twoja żona może być ci wierna, odpowiedziałem, skoro nawet jej nie chcesz powiedzieć, jak się naprawdę nazywasz?

Twoja agresja, Kif, ciągnął dalej Heidl, jest całkowicie zbędna. Gdybyś pracował w domu, nie czułbyś się tak zestresowany. Pogadam o tym z Paleyem.

Nie odpowiedziałem, zapewne w płonnej nadziei, że będzie miał dosyć. Nie miał. Zawsze mu było mało.

Nie powinieneś brać ich strony, Kif, i oskarżać mnie o różne podłości.

Czyjej strony?

Bankowców. Masz mi pomóc opowiedzieć moją historię.

Twoja historia nie ma żadnych stron. Jest cała w okruchach jak potłuczone lustro.

Czyli czym ona jest?

Tu mnie złapał. Nie wiedziałem.

Powieścią, odparłem.

Być może w mojej odpowiedzi pobrzmiewała nutka podziwu, której nie potrafiłem ukryć. Heidl miał coś, czego jak sądziłem, ja nigdy nie będę mieć: odczuwał zimną przyjemność, kto wie, może konieczną, żeby skończyć powieść. Żeby kraść. Żeby zabijać, kto to może wiedzieć.

Rozparł się wygodnie, a jego skórzany dyrektorski fotel wzdął się ze znużeniem.

No wiesz, to już jest coś, prawda? – powiedziałem. Są ludzie, którzy rabują banki, używając obrzynów i kominiarek. Nikt nie widzi ich twarzy. Potem, jeśli uda im się uciec, ukrywają się gdzieś. I ostrożnie wydają ukradzione pieniądze. Ale ty… Ty okradasz bank otwarcie. Okradasz go, ściskając ludziom dłonie, w obecności fotografów i ekip telewizyjnych. A później wydajesz te bankowe miliony na oczach wszystkich na rozmaite szaleństwa. Twoja twarz jest wszędzie. Wręczają ci nawet, kurwa, odznaczenie państwowe.

Sugestię, że kradzież siedmiuset milionów dolarów może być w jakimś sensie przestępstwem, Heidl uważał czasem za złośliwe i nieuzasadnione oszczerstwo. Pozbywałem się już jednak obaw, że go urażę, a tego dnia tak czy owak był w dobrym humorze.

Jedno szaleństwo po drugim, ciągnąłem. Uzbrojeni żołnierze…

Spady, poprawił mnie Heidl. Znaczy spadochroniarze. Wyspecjalizowani ratownicy, wyszkoleni w strukturach paramilitarnych i poddani dyscyplinie wojskowej. Z której byliśmy dumni. Najlepsi na świecie, jeden w drugiego, jak było ich pięciuset.

A potem łódź… To znaczy łódź podwodna?

Heidl uśmiechnął się.

Dwie miniaturowe łodzie podwodne i jeden dzwon nurkowy, powiedział.

Łódź podwodna to jest coś, zauważyłem.

Roześmiał się.

Owszem. Chociaż okropna w środku. Straszna ciasnota. Zatrudnialiśmy psychologa na pół etatu, żeby rozwiązywał problemy naszych załóg. A to dlatego, że zdrowie i bezpieczeństwo zawsze były dla nas najważniejsze. O tym się zbyt łatwo zapomina, Kif. Włącz to do książki, to jest istotna sprawa, trzeba ją odnotować.

I ten temat sprowokował go do gadania przez jakiś czas, jak gdyby był wciąż dyrektorem, który dyktuje sekretarce doroczny raport, wskazuje najlepsze standardy w branży, omawia warunki przyznawania nagród, programy doskonalenia zawodowego, strategiczne cele rozwoju i tak dalej, i tym podobne, i wkrótce znowu mówił o toksoplazmozie. Ray taką paplaninę nazywał „heidlowaniem". Choć Heidl od czasu do czasu potrafił być uroczy, interesujący, a raz czy dwa – jak wtedy, kiedy mi powiedział, że *ghost writer* spisujący cudze wspomnienia to są normalne jaja, bo jedno ja po prostu zastępuje drugie – okazał się nawet błyskotliwy, to jego gadanina była głównie nieustającym stekiem nonsensów. Spróbowałem więc wrócić do jego autobiografii.

3.

Nie rozumiem, dlaczego zarząd ASO poszedł na to wszystko, powiedziałem. Z prawnego punktu widzenia ponoszą odpowiedzialność. Dlaczego nie zadawali nigdy żadnych pytań?

Zarząd? – spytał, powoli kręcąc głową, jak gdyby przywoływał smutne wspomnienie.

Podszedł do kilkunastu pudeł z dokumentacją, stojących w kącie naszego gabinetu, otworzył jedno z nich, przejrzał jakieś papiery, a potem wyciągnął zdjęcie i podał mi je.

Dlatego, powiedział.

Na odwrocie fotografii widniała przyklejona taśmą klejącą kartka maszynopisu opatrzona nagłówkiem „Rada nadzorcza ASO, 1986”. Poniżej znajdowała się lista nazwisk.

Przyglądałem się zarozumiałym obliczom tej dwunastki baranów, ale z początku nic nie zrozumiałem.

Heidl wskazał siwowłosą postać w niebieskim blezerku i z muchą.

Eric Knowles, powiedział. Prezes.

Zaczął szperać w drugim pudle, z którego wyciągnął oprawione zdjęcie. Przedstawiało przycumowaną do nabrzeża miniaturową łódź podwodną.

„Eric Knowles”, łódź ASO, powiedział Heidl. Nasze jednostki pływające i samoloty nosiły nazwy na cześć wszystkich członków zarządu. Niektórzy dostawali i swoją łódź, i samolot. Knowles miał wszystko: jego nazwiskiem ochrzczono okręt podwodny, holownik, helikopterowiec, śmigłowiec i jacht. A także nasz największy samolot. Musiałem ich po prostu tak nakręcać, żeby się czuli ważni. Nie było to zbyt trudne.

Pokazał mi więcej fotografii członków zarządu uczestniczących w wodowaniach i fetach na własną cześć.

Nie myśleli, że… – zacząłem, ale Heidl uciął moją wypowiedź z szyderczym uśmieszkiem.

Myśleli? Ludzie to na ogół cudze opinie, Kif. Dopóki im ich dostarczałem, byli przeszczęśliwi.

Przesunął palcem wzdłuż szeregu osób na zdjęciu i zatrzymał się na sobie.

To ja. Po prostu przeciętny facet.

Oglądając te nudne zdjęcia z historii korporacji, po raz pierwszy zacząłem pojmować geniusz metody Heidla, tę jego autoredukcję do klaustrofobicznej znikomości mitycznego australijskiego everymana. „Po prostu przeciętny facet”, jeszcze jeden australijski konformista, równie niepozorny, jak nieuchwytny.

Podał mi duże, pogniecione, błyszczące zdjęcie Knowlesa, rozbijającego butelkę szampana o dziób kolejnej jednostki, która nosiła jego imię.

Pochlebstwo, powiedział. To takie oczywiste, takie proste. Nie jest niezawodne, ale niezawodnie wskaże głupca.

Spojrzał na mnie w zadumie.

Zrobisz z tego wszystkiego cudowną książkę, powiedział, jak gdybym to ja wodował w tej chwili jeszcze jeden niepotrzebny statek.

4.

Co za chuj z tego Knowlesa, odezwał się Heidl, kiedy wszedł do gabinetu za dziesięć dwunasta we wtorek, spóźniony o prawie cztery godziny, chociaż sam wyznaczył mi początek pracy na ósmą. Jego ataki nienawiści do ludzi były niespodziewane. W rozmowach uciekał się do niewinnego tonu, często niemal się przy tym głupio wdzięcząc. Ale od czasu do czasu wydawał się prawie krwiożerczy, tyle tylko, że objawiwszy już swoje mordercze zamiary, od razu się uśmiechał i wracał do obleśnie słodziutkich frazesów, bardziej pasujących do jego stylu. Tak rozzłoszczonego jak tego ranka jeszcze nigdy go jednak nie widziałem.

Spójrz na to, powiedział, rzucając gazetę koło klawiatury mojego komputera. Spójrz!

Nagłówek głosił:

HEIDL POWINIEN DOSTAĆ DOŻYWOCIE, MÓWI KNOWLES.

Wszędzie udziela wywiadów, jak gdyby nie miał z tym wszystkim nic wspólnego, warknął Ziggy, któremu drżała ręka.

Wyglądało na to, że uczuciem, które odgrywał tego dnia, jest obrzydzenie.

Proces rusza już za kilka tygodni, a on mówi, że najwyraźniej byłem jakimś, kurwa, przestępczym geniuszem, który oszukał go tak samo, jak oszukiwał banki.

Rzucił się na swój dyrektorski fotel zarazem apatycznie i agresywnie, po czym natychmiast równie gwałtownie wstał.

No, powiedziałem, to chyba naprawdę powinniśmy jak najszybciej skończyć książkę...

Muszę pogadać z Paleyem, stwierdził, prześlizgując się spojrzeniem po pokoju, jak gdyby za tandetnymi regałami na książki coś się przed nim ukrywało. Potrzebuję dwudziestu kafli, żeby działać dalej. To ułamek tego, co jest mi winien.

Podszedł do drzwi i odwrócił się do mnie na odchodnym.

Jak on może myśleć, że będę marnował tu czas, skoro nie chce wypłacić mi zaliczki?

I z tymi słowy zniknął, chociaż – co rzadko mu się zdarzało – kilka chwil później wrócił. Opadł bezwładnie na krzesło, zapatrzył się przed siebie i zaczął bębnić palcami o biurko. Zrozumiałem, że jego roztrzepotane wargi wypowiadają bezgłośnie pełne zdania.

Dlaczego to wszystko ma w ogóle jakieś znaczenie? – spytał wreszcie na głos.

Odpowiedziałem pytaniem, czy dostał pieniądze.

Jego twarz, jeśli można tak powiedzieć, była uosobieniem rozpaczy.

Chce mieć ten twój plan całej książki, zanim zapłaci mi choćby centa więcej, odparł, a w jego głosie słychać było niepokój. Napisałeś to już?

Zauważyłem, że niełatwo jest mi napisać cokolwiek, skoro nigdy nie mam go pod ręką.

W serii wyrafinowanych gestów, tak przesadzonych, że wyglądały jak fragment przedstawienia teatru kabuki, Heidl przesunął się bliżej razem ze swoim fotelem, oparł łokcie na biurku, rozcapierzył palce i po kilku chwilach powoli ukrył w nich zmęczone, zagubione oblicze. Wsparłszy tak głowę na rękach, rozmasowywał sobie twarz, jak gdyby była z gęstej gliny. Trwało to dobrą minutę albo więcej, aż wreszcie z nagłym szarpnięciem podniósł głowę, pokazując kompletnie inną minę: uśmiechniętą, pełną energii. Obrzydzenie zniknęło, chociaż trudno powiedzieć, co je zastąpiło.

Dość gadania o byle czym, rzucił, mimo że przez jakiś czas żaden z nas nic nie mówił. Dość!

Klasnął w dłonie i splótł je jak dyrektor.

Naprawdę musimy pogonić cię do roboty, dodał, uśmiechając się anemicznym, dyrektorskim uśmiechem.

I tak po tygodniu leserowania, prawdopodobnie dlatego, że potrzebował kolejnej raty zaliczki od Paleya, zaczęliśmy pracować – w pewnym sensie.

Wiesz, że o ASO źle się dzisiaj mówi, ale zatrudnialiśmy setki osób, zaczął. Setki! W najlepszych czasach mieliśmy ponad ośmiuset czterdziestu… Nie… Ośmiuset trzydziestu ośmiu pracowników na pełnych etatach i dziewięćdziesięciu sześciu na pół etatu. Nie licząc małych przedsiębiorstw w Bendigo, które utrzymywaliśmy przy życiu, zlecając im różne prace inżynieryjne i inne. Jak się to nazywa? Efekt wzrostu? Efekt wzrostu musi być dobry. I właśnie to robiliśmy. Dobre rzeczy. Napisz o tym.

Ale nie robiliście forsy, powiedziałem, wpadając w irytację, że Heidl nie mówi mi nic, co nie byłoby już wiadome publicznie.

A robi ją rząd?

Nie byłeś członkiem rządu. Prowadziłeś biznes.

Tak jest. Prowadziliśmy modelowy biznes. Dostaliśmy nagrodę za eksport.

Niczego nie eksportowaliście.

Dla mnie ta nagroda też była zagadką. Kierowaliśmy jednak efektywnym przedsiębiorstwem. Dlatego odznaczyli mnie Orderem Australii.

Nie byłeś Australijczykiem.

Nie miałem australijskiego paszportu. To jest różnica.

Właściwie nie.

Tak jest. W laudacji towarzyszącej mojemu odznaczeniu mówi się o „innowacyjnej restytucji przedsiębiorczości w ostatnich latach dwudziestego wieku". To…

Przedsiębiorstwa muszą przejść sprawdzian rynku.

No ale ten sprawdzian wypadł dla nas pomyślnie. Rynek dał nam siedemset milionów dolarów.

Nigdy ich nie zwróciliście.

Rynek się o to nie martwił. Wydawało się, że to kwestia przyszłości.

Okłamywałeś bankowców.

Mówiłem prawdę o naszych możliwościach. Pokazywałem im nasze kontenery. Tworzyliśmy miejsca pracy. Ratowaliśmy ludzkie życie.

Walczyliśmy z pożarami. Ratowaliśmy marynarzy. Górników. Podnieśliśmy szkolenia przemysłowe na wyższy poziom. Wyznaczyliśmy nowe standardy doskonałości. A banki nas finansowały, wspierały na całej linii.

Cudzymi pieniędzmi.

Na całej linii. Poza tym, która firma korzysta z własnych funduszy? Nie rozumiem, dlaczego się uważa, że pod tym względem jestem jakiś inny. A gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy odnieść sukces globalny.

W jaki sposób?

W jaki? A w taki, że moglibyśmy zacząć zarabiać. Dlaczego to, co my robiliśmy, jest złe, a kiedy inni robią to samo, to wszystko jest w porządku? Nie rozumiem różnicy.

Ci inni są uczciwi.

Wierzysz w to? Naprawdę?

Jak udało ci się przekonać banki, że mimo wszystko zarabiasz?

Heidl podniósł na mnie wzrok i wtedy jego oczy chociaż raz stały się jasne, bo rozbłysły przekonaniem, w którym ukrywał się znak zapytania.

Wpuściłem ich pieniądze w magiczny krąg. Dawali coś i coś za to dostawali. Na tym polega biznes, na niczym więcej, nie? Dlatego świat mnie kochał. Prawda?

5.

Ledwie dotarłem wieczorem do Sully'ego, kiedy zadzwonił Ray, żeby mi powiedzieć, że idziemy w miasto i żebym się pospieszył. W innych okolicznościach, innego wieczoru odmówiłbym spotkania. Ale bardzo potrzebowałem się napić. Spotkałem się z Rayem w Beast, po godzinie poszliśmy do Gutter and the Stars, a stamtąd do jakiegoś klubu nocnego w centrum, który jak obiecywał Ray, miał być – w przeciwieństwie do innych nocnych klubów – dobry pod każdym względem. Ale nie był. Tylko że wtedy zrobiło się już za późno, żeby wyjść.

Gdy tylko świt w Melbourne zaczął się przesączać niczym topiony smalec na zatłoczone tylne siedzenie w taksówce, spływając do środka ponad głowami nas obu i dwóch dziewczyn, ochrzczonych przez Raya z powodu koloru sukienek Różową i Fioletową, zapytałem go o te kontenery, o których wciąż mówił Heidl.

Nie rozumiem, powiedziałem. Setki kontenerów wyładowanych sprzętem za miliony dolarów, a ASO i tak nie udawało się zarabiać.

Biorę życie takim, jakie jest, powiedziała Różowa.

No, zgodziła się z nią Fioletowa. Takie jesteśmy. Wiecie, my to tak po prostu, siuuu! Jedziemy gdzie bądź.

Siuuu! – zachichotała Różowa. Siuuu, siup!

Jechały z nami dla Raya albo dla siebie, albo dlatego, że podobnie jak my za bardzo już miały w czubie, by znaleźć się gdzie indziej.

Były puste, odpowiedział Ray, wsuwając rękę pod minispódniczkę Fioletowej.

To był świetny pomysł, zauważyłem. Cały ten sprzęt i ekspercka wiedza.

Kontenery były puste, powtórzył Ray z afektowanym naciskiem, jak gdyby usta miał pełne kulek do gry.

Tylko nie dało się nic na tym zarobić, powiedziałem.

Przypomnijcie mi, skąd pochodzicie? – zapytała Fioletowa.

Z Norwegii, odezwała się Różowa. Już nam mówili. Ten facet to norweski pisarz.

Ja tam jestem fanką Jeza Dempstera, stwierdziła Fioletowa. Co prawda nic jego nie czytałam, ale na pewno przeczytam.

Dlatego tak śmiesznie gada, odezwała się Różowa. Powiedz coś, Raybanie.

Kizia-mizia, odpowiedział Ray.

O kurczę, rzuciła Fioletowa.

Naprawdę, Ray zwrócił się znów do mnie jeszcze bardziej idiotycznym głosem. Puste.

Co? – spytała Fioletowa. Co ty wyprawiasz, bezczelny?

Odwróciłem się do Raya, który chyba lizał ucho Fioletowej.

Co?

Heidl zabronił mi mówić ci o tym, szepnął jej Ray do ucha.

Nic w nich nie było?

Może kilka pająków.

Powiedz coś po duńsku, zaproponowała Fioletowa.

Nic?

No, nic, odpowiedział Ray, napierając na Fioletową i zabawiając się z nią. Dwieście pustych kontenerów, kurwa.

To nie było po duńsku, stwierdziła Różowa. Kurwa, poznałabym duński.

Za oknami taksówki Melbourne ochlapywał nieustanny tu deszcz, rozwadniający tylne światła samochodów i sygnalizatorów. Wszystko szybowało i pływało i nic nie tkwiło na miejscu, a my zagłębialiśmy się dalej w ten kalejdoskop ropiejących ran, czerwonych i zielonych. Różowa poprosiła, żebyśmy się zatrzymali, bo musi zwymiotować.

Taksówkarz gwałtownie wcisnął hamulec i kazał nam wszystkim wysiąść.

Puste? – powtórzyłem.

Wypierdalać! – wrzasnął kierowca.

Staliśmy na skraju St Kilda Esplanade, Różowa wymiotowała, a Ray się śmiał. Podniosłem wzrok i zobaczyłem wyłaniającą się z ciemności i zacinającego deszczu wielką gębę rozwartą w uśmiechu na wysokość może pięciu metrów, obramowaną olbrzymią białą twarzą o zapatrzonych w dal niebieskich oczach diabła, sponad której czerwone i żółte promienie wybiegały na nieco jakby orientalne proscenium.

Był to Pan Księżyc, słynne wejście do równie słynnego Luna Parku. Było coś piekielnego w tych olbrzymich, krwistoczerwonych wargach, w głęboko wciętych zmarszczkach na policzkach i dziwnie wygiętych, wyskubanych brwiach – plugawy, szczerzący zęby w uśmiechu Mefistofeles.

On jest jak pieprzone lustro w wesołym miasteczku, stwierdził Ray. Jak będziesz dość długo patrzył na Heidla, zobaczysz w nim tylko siebie.

Fioletowa obraziła się i powiedziała, że jadą z Różową do domu, a my możemy spierdalać z powrotem na biegun północny.

Ale brzydszego, dodał Ray.

Patrzyliśmy, jak dziewczyny przechodzą chwiejnie przez drogę szybkiego ruchu, żeby złapać taksówkę, jadącą w przeciwnym kierunku.

Nauczyłem się różnych rzeczy, tylko obserwując, jak używa widelca, powiedział Ray.

Wy dwugłowe tasmańskie gównojady! – krzyknęła do nas Różowa, kiedy zatrzymała się taksówka, a Fioletowa pokazała nam środkowy palec.

Spierdalać, jednogłowce! – odkrzyknął Ray, machając wesoło do dziewczyn.

Czego się nauczyłeś?

Nie mogę ci powiedzieć, odparł, posyłając pocałunek odjeżdżającej taksówce.

Czego?

Wielu rzeczy.

6.

Spałem dwie godziny, język miałem sztywny niczym klamra pasa bezpieczeństwa i przyjechałem spóźniony do pracy, gdzie zastałem Heidla, siedzącego już za dyrektorskim biurkiem tyłem do mnie i rozmawiającego przez telefon.

Właśnie powiedziałem, mówił przyciszonym, chociaż trochę niespokojnym głosem. Knowles. Eric Knowles.

Nie chciałem mu przeszkadzać, więc zacząłem przygotowywać się do roboty, układać swoje papiery, notatki i notesy, a Heidl mówił dalej.

Rozwałka. Dziesięć tysięcy. Będzie dobrze?

Włączyłem komputer, a kiedy szumiał i klekotał, Heidl odwrócił się do mnie na fotelu.

Dziękuję, powiedział, przyglądając mi się przeciągle. Wspaniale było pogadać.

Odwróciłem wzrok, a kiedy znowu popatrzyłem na Ziggy'ego, nosił na twarzy ten swój straszliwy uśmiech.

Miałem ciężką noc, powiedziałem i uzupełniłem wyjaśniającym tonem: Ray.

Uderzyłem na oślep w klawiaturę, żeby stworzyć wrażenie, że wracam do pracy. Zastanawiałem się: Rozwałka? Eric Knowles?

Myślałem o wielu sprawach w związku z Heidlem, ale coś takiego – przecież to być może polecenie zabójstwa! – po prostu mnie zmroziło. Jednak prawie natychmiast zacząłem mieć wątpliwości. Bo co ja dokładnie usłyszałem? Heidl wstał i powiedział, że musi iść na spotkanie z pewnym sławnym agentem, który chce go reprezentować.

Myślałem, że twoim agentem jest Tommy Hilfer.

Owszem, odparł Heidl. Ale co on tam wie…

Po jego wyjściu odczekałem dziesięć minut i podszedłem do biurka. Zauważyłem, że przez kilka ostatnich dni nadał mu bardziej osobisty charakter jakimiś dyrektorskimi zabawkami, papierami i dwiema fotografiami swoimi i swojej rodziny; pierwsza była jakby formalna i świeża, a druga wyblakła, polaroidowa; przedstawiała Heidla i jego bliskich na kempingu przed wieloma laty, kiedy jego dzieci były jeszcze malutkie. Siedzieli wszyscy przy ognisku przed nakrapianym w czerwone i białe plamy landcruiserem serii 55. Podniosłem słuchawkę telefonu i wcisnąłem klawisz „redial". Czekałem, aż ktoś odbierze, i wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

Dzień dobry, usłyszałem nagranie na sekretarce. Tu Bertie's Pizza 'n' Pasta Takeaways, Glen Huntly.

Do gabinetu wszedł Paley, który raczył nas tu odwiedzić po raz pierwszy. Odsunąłem słuchawkę od ucha, co jak mi się wydawało, świadczyło o tym, że jestem przestraszony, jak gdyby szef przyłapał mnie na towarzyskiej pogawędce w czasie pracy.

Widziałem, jak Siegfried wychodzi, powiedział Paley. Chciałem ci tylko powiedzieć, że niecierpliwie czekam na jutrzejszą lekturę twojego planu całości.

Nasza restauracja jest teraz nieczynna, będzie otwarta od…

Ta informacja bardzo mi pomogła, zwróciłem się do automatycznej sekretarki z Bertie's Pizza 'n' Pasta Takeaways. Dziękuję. Potem odłożyłem słuchawkę telefonu Heidla.

Dobrze ci idzie? – spytał Paley.

Myślę, że wreszcie dokopałem się do prawdy.

To wspaniale. Gene cmoknął i puścił do mnie oko. Wydawał się hołdować temu dziwnemu, nerwowemu zwyczajowi tylko poza strefą swojego gabinetu, najważniejszego pokoju w wydawnictwie.

Tak, odpowiedziałem. To naprawdę wspaniale.

Wygląda na to, że Siegfried nie jest tu zbyt częstym gościem.

Mówi, że muszę mieć swobodę, żeby pisać.

Ale bez niego, stwierdził Paley, nie za bardzo masz o czym.

Było to ostrzeżenie. Kiedy wstał, kierując się do wyjścia, wykrztusiłem z siebie pytanie o to, jaką długość powinny mieć „idealne" wspomnienia, jak gdyby mogły zasadniczo różnić się długością od nieidealnych.

No, powiedział, przystając przy drzwiach, jeżeli chodzi o wspomnienia celebrytów, to ważniejszy jest ich ciężar niż długość. Ciężar zawsze pomaga. Spójrz na powieści amerykańskie – sześćset stron albo więcej, i kto to czyta? Mówimy, że to są istotne utwory, ale wielu ludzi boi się je wziąć do ręki. Mam poważne obawy, że zwichnę sobie nadgarstek, jak otworzę taką książkę w łóżku. Te dzieła dostają jednak świetne recenzje, bo żaden krytyk nie będzie sobie zawracał głowy, żeby doczytać do końca coś tak grubego, muszą więc napisać, że są dobre. A australijskie książki wspomnieniowe przypominają amerykańskie powieści. Gruba książka to blef, który zawsze działa.

Znaczy co… Sześćset stron? – zapytałem. Wzbierała we mnie przeżuta już desperacja, wydawało mi się, że przecież nie każda amerykańska powieść jest taka długa i kiepska. Ile to będzie słów?

Och, na wspomnienia Heidla wystarczy jakieś sto tysięcy do stu dwudziestu pięciu tysięcy słów.

Przyznałem, że moim zdaniem nie znajdziemy w Siegfriedzie stu tysięcy słów. Szczerze mówiąc, miałem ochotę powiedzieć, że według mnie nie znajdziemy w nim nawet jednego zdania.

A jak określiłbyś w tym przypadku minimum? – zapytałem.

Paley się skrzywił.

Pewnie na jakieś siedemdziesiąt pięć tysięcy.

Doszedłem do wniosku, że nie warto głowić się teraz nad matematyką. Mimo to przeprowadziłem obliczenia. Dobrego dnia pisałem jakieś trzysta słów powieści. Razy dwadzieścia trzy dni, jakie mi zostały, dawało to sześć tysięcy dziewięćset słów. Ale to była objętość zaledwie opowiadania. Inaczej mówiąc, mniej niż jedna dziesiąta minimum wyznaczonego przez Paleya dla książki wspomnieniowej. Poza tym pozostawała jeszcze kwestia nienapisanego planu, jakiego zażyczył sobie przecież już wcześniej. Zrobiło mi się nagle bardzo zimno.

Możemy dać dużo światła, odezwał się Paley, przemyślawszy sprawę. Można zastosować pewne sztuczki. Zwiększyć czcionkę. Nagłówki. Zastosować grubszy papier, żeby stworzyć złudzenie. Ale w takim podejściu tkwi pewne niebezpieczeństwo.

Proszę? – powiedziałem. Właściwie nie dotarło do mnie nic, odkąd wspomniał o tych siedemdziesięciu pięciu tysiącach słów.

Może będą chcieli to czytać zwykli ludzie. Jestem jednak pewien, powiedział, otwierając drzwi, że dasz nam coś, co spodoba się nawet amatorom literatury. Nawiasem mówiąc, dodał z nagłym grymasem, widziałeś może ostatnie wydanie „Woman's Day"? Heidl opowiada tam, jak poznał Johna Lennona. Świetna historia. Tyle tylko, że jest nasza, nie ich. Mamy Heidla na wyłączność. Nie byłem zadowolony, ale Siegfried dał mi słowo, że to się nie powtórzy.

Machnął łagodnie ręką na pożegnanie.

Nie mogę się doczekać tego twojego planu jutro, Kif.

Pojąłem cały koszmar sytuacji, w jakiej się znalazłem. Na razie nie dawałem sobie rady z planem. Nie miałem pojęcia, jak napisać nawet coś takiego. Surfowałem po osuwisku błotnym, starając się z niego nie zlecieć.

Gene, zająknąłem się. Wydaje mi się, że nie będę jeszcze gotowy na jutro.

Nie?

Przepraszam cię. Sam widzisz, że zdarzają się… nieobecności. Których nadrobienie zajmuje czas. Które trzeba…

Podniósł rękę gestem policjanta z drogówki.

Zastanów się nad tym, Kif. Zebranie działów sprzedaży i marketingu będzie w przyszłą środę. Mogę dać ci czas do dziesiątej rano tego dnia, ale nie dłużej.

I zniknął, cmokając i mrugając do mnie po raz ostatni.

7.

Po wyjściu Paleya usiadłem przy stole konferencyjnym. Nie widząc innego rozwiązania, znowu zająłem się matematyką. Nigdy nie była moją mocną stroną. Heidl też mnie osłabiał, więc rachunki plus charakter Ziggy'ego na pewno nie składały się na krzepiący wynik. Dając sobie tydzień na drugą i trzecią wersję – pomyślałem, że to kretyństwo, a prawdę mówiąc, jakkolwiek by na to patrzeć, najpewniej niemożliwość – miałem mniej niż trzy tygodnie, by skończyć pierwszą wersję, co biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, było zapewne jeszcze bardziej szalone. Jeśli chodzi o ten pierwszy draft, to dosyć wielkodusznie odjąłem od niego plik swoich notatek, oceniając je w przypływie optymizmu na osiem tysięcy słów w skończonym tekście. Przy zastosowaniu takiej życzeniowej arytmetyki, będącej moim jedynym kompasem, podzieliłem siedemdziesiąt pięć tysięcy przez dwadzieścia jeden dni i zdałem sobie sprawę, że w takim razie mam codziennie do napisania trzy tysiące pięćset siedemdziesiąt jeden słów! Mimo wszystko nic więcej się nie liczyło w obliczu tego niemal niemożliwego celu: ani moje niepowodzenia, ani porażki Heidla.

Napisałem tak:

WSPOMNIENIA HEIDLA: HARMONOGRAM

(3571 słów dziennie)

Tydzień 1 – 25 000 słów (wersja I) (minęły 2 dni)

Tydzień 2 – 25 000 słów (wersja I)

Tydzień 3 – 25 000 słów (wersja I)

Tydzień 4 – wersja II, 75 000 słów (do przepisania)

Tydzień 5 – wersja III (końcowa), 75 000 słów (do poprawek)

Mój plan, w który właśnie się wpatrywałem, był jasny i konkretny, wymagał jednak ode mnie przechodzącej ludzkie pojęcie pracowitości. Trzy tysiące pięćset siedemdziesiąt jeden słów dziennie? Trzy tysiące pięćset siedemdziesiąt jeden słów przez siedem dni w tygodniu? Próbowałem zastanowić się nad planem awaryjnym. Morderstwo?

Być może – ale tylko być może – gdybym miał chętnego współpracownika, gotowego wziąć się do roboty, odpowiadać na moje pytania i uzupełniać szczegóły – dałbym radę to zrobić. Wcisnąłem klawisz „Delete" i patrzyłem, jak kursor kasuje mój harmonogram bezgranicznej nadziei.

Zacząłem pisać raz jeszcze.

WSPOMNIENIA HEIDLA: HARMONOGRAM

Tydzień 1 – wyhodować pióra

Tydzień 2 – polecieć na Księżyc

Tydzień 3 – znaleźć lekarstwo na stwardnienie zanikowe boczne

Tydzień 4 – pobić rekord świata w biegu na sto metrów

Tydzień 5 – napisać (skończyć) książkę

Po chwili te pomysły również skasowałem. Gapiłem się w pusty ekran i dyszący kursor. Najwięcej, ile udało mi się napisać w jeden dzień, pracując nad powieścią, to pięćset sześćdziesiąt dwa słowa, przy czym wiele z nich niebezpiecznie ocierało się o plagiat. Pocieszałem się co prawda, że praca dla Paleya to w ogóle czysty plagiat, czym bowiem jest pisanie za kogoś, jeśli nie kradzieżą cudzego życia, które potem nazywamy książką?

Ponownie sprawdziłem swoje obliczenia. Może się pomyliłem. Myliłem się przecież często. Znów wykonałem dzielenie i znowu uzyskałem tę samą odpowiedź, ten sam wynik i to samo pytanie: czy to jest możliwe? Jakkolwiek bym na to patrzył, wydawało mi się, że nie.

8.

Heidl wrócił ze spotkania niedługo po lunchu, wlokąc za sobą przygnębionego, milczącego Raya. „Heidlował" jeszcze trochę, nie powiedział jednak nic sensownego ani pożytecznego. I nie dalej jak pięć minut później oświadczył, że znowu wychodzi: kolejne spotkanie i kolejny dziennikarz.

Kolejne kłamstwo.

Bardziej z przekory niż z ciekawości spytałem, z kim się spotyka.

To tajemnica, powiedział.

Spytałem, dlaczego wszystko u niego jest tajemnicą, a on posłał mi spojrzenie, które mogło być płaczliwe albo drwiące, albo i takie, i takie.

Jak moglibyśmy żyć bez tajemnic, odparł.

I z tymi słowy zniknął.

Poczułem się zdruzgotany. Wyczerpany Heidlem oraz kacem, położyłem się na podłodze i niemal natychmiast zapadłem w ciężki sen bez snów. Zbudziłem się o zmierzchu, w sam czas na wyjątkowy zachód słońca. Niebo było szeregiem sińców i fioletowych obrzęków. Patrzyłem, jak czerwone słońce opada do kanału ściekowego niczym poobijana ludzka głowa.

9.

Przez dwa ostatnie dni tego drugiego tygodnia – Heidl dalej coś kręcił i przechwalał się – wyglądało na to, że w końcu się pogodziłem z tym najcięższym brzemieniem, wziąłem je całe na plecy i ramiona i wytężając włókna wszystkich mięśni, zacząłem chwiejnie iść naprzód. W co bardziej optymistycznych chwilach myślałem, że może nawet mi się uda.

Notowałem teraz bardzo niewiele z tego, co mówił Ziggy. Byłem zbyt marnym stenotypistą, a poza tym na większość jego gadaniny i tak składały się bzdury. Coraz mniej interesowało mnie to, co może powiedzieć, skupiałem się więc raczej na tym, jak mówi. Aby osiągnąć dzienny limit słów, zacząłem spijać jego głos, starałem się uchwycić jego muzykę, kiedy rozmawiał przez telefon, dziwny sposób łączenia zdań, rytm, na którym mogłem montować przyporę fraz, zdolną utrzymać ciężar zdania, aby potem zabudować stronę akapitami zrodzonymi już z fantazji autora. Moja proza poczęła się fałdować w nowe kształty – aluzyjne, nieuchwytne łuki zdań, skomponowanych z dwóch przeciwstawnych pytań i przerzuconych nad pustką. Może jeśli wam to powiem albo może gdybym miał powiedzieć, że…

Były to arabeski nonsensu, tkwiła w nich jednak muzyka. Prawie jazz. Heidl okazał się Theloniousem Monkiem, a ja po prostu próbowałem się trzymać, grając naokoło jego solówek, uzupełniając utwór o wszystkie nuty i tempa, którymi on sam nie zawracał sobie głowy, o prymitywne wymysły z dzieciństwa i pracy zawodowej, jakie musiałem dla niego znaleźć, żeby uspójnić jego osobowość.

W ten sposób idiotyczna liczba trzech tysięcy pięciuset siedemdziesięciu jeden słów obdarzyła mnie taką zdolnością konfabulacji, jakiej nie przejawiałem, pisząc własną powieść.

Teraz rozumiem jednak, że przez ten cały czas, kiedy wydawało mi się, że po prostu naśladuję ton Heidla i chwytam jego rytm, głęboko odciskało się we mnie coś więcej. Uczyłem się bowiem od Ziggy'ego raczej siły sugestii niż przedstawiania, raczej uników niż wyjaśnień, sztuki pokazywania zaledwie jednego faktu – a właściwie nawet jedynie pogłosek

na dany temat – aby następnie pozwolić czytelnikowi wymyślić całą otaczającą go resztę.

Nie zdając sobie z tego sprawy, uczyłem się, jak odwracać uwagę od prawdy, bawiąc potencjalnych czytelników, i schlebiać im, wygrywając to, co ludziom wydawało się cnotami – dobro i przyzwoitość – a jednocześnie prowadząc ich coraz dalej w obcy mrok, jakim był prawdziwy świat i być może prawdziwi czytelnicy; czasami obawiałem się, że również prawdziwy ja.

Im częściej widywałem Heidla, tym wyraźniej dostrzegałem fałsz w każdym jego geście i uśmiechu, i tym bardziej się go bałem. Wracałem do domu służbowym nissanem skyline, wdzięczny losowi, że mogłem uciec z tego pokoju i od mojego współpracownika, choć tak naprawdę nie udawało mi się uciec od niczego, bo kiedy tylko przyjeżdżałem do domu, szedłem pod prysznic, odkręcałem kurki na cały regulator i znowu do ostatka zużywałem Sully'emu gorącą wodę z bojlera, za bardzo się wstydząc, żeby mu powiedzieć, że przez cały długi czas kąpieli próbuję po prostu zmyć z siebie Heidla.

I każdego wieczoru, kiedy myślałem, że go z siebie zmywam, tylko się łudziłem. Bo on przenikał w moją duszę, a ja nic nie mogłem na to poradzić. Wyczuwałem to, jak mógłbym nie wyczuwać? Ale nie zwracałem na niego uwagi, ponieważ zaczynały do mnie przychodzić słowa. Siegfried wnikał we mnie, słów było coraz więcej, mnie zaś z każdym słowem jakoś ubywało. Stałem się człowiekiem, który zerwał cumy, i znowu dryfowałem po rozhukanym morzu – tylko tym razem nic o tym nie wiedziałem. Wpuściłem Heidla do środka, do swojego wnętrza. Nie wiedziałem o tym, a on przez cały czas to wiedział.

10.

Gdybym był lepszym pisarzem, wymyśliłbym tę historię na nowo jako powieść o wampirach. Ale ja jedynie relacjonuję, co zaszło. Nie żebym się nie opierał. Opierałem się. Po prostu nie szło mi to tak dobrze, jak

myślałem. I dlatego słowo „oszust" zawsze wydawało mi się nieadekwatne w odniesieniu do Heidla. Oszuści chcą waszych pieniędzy. Być może i Heidl ich chciał. Biorąc pod uwagę długą listę postawionych mu zarzutów, pewnie była to prawda. Ale on chciał jeszcze czegoś więcej. Chciał ludzkich dusz.

Początkowo dał mi przyjaźń, serdeczność, pewien rodzaj koleżeństwa – w każdym razie na tyle, na ile taki człowiek jak on był w stanie udawać, że jest zdolny do podobnych uczuć – a na dodatek coś, czego zapewne pragnąłem najbardziej: szacunek dla mnie jako pisarza. Zaproponował nawet, żebym pomógł mu napisać ważne przemówienie, które na prośbę organizatorów miał wygłosić na ogólnokrajowej konferencji audytorów w Albury-Wodonga za kilka tygodni. Jej temat, jak oświadczył, brzmiał: „Audyt: bądź widziany, bądź rozpoznawalny".

Wprawdzie zaskoczyło mnie, że ktoś mógł wystosować takie zaproszenie dla Heidla, a jego „notatki" do tego wystąpienia czytałem z niedowierzaniem – był to bowiem słowny bałagan, który tylko czasami groził uformowaniem spójnego zdania. Muszę jednak przyznać, że wszystkie te banialuki o uczciwości, wyrugowaniu etyki ze współczesnego życia i przestępczych skłonnościach naszego społeczeństwa wydały mi się niepozbawione swoistego piękna. Szczerze mówiąc, uważałem na przykład, że trudno byłoby wymyślić lepsze zdanie na początek: „Beczące owce nie powinny próbować wyć razem z wilkami".

Dopiero wiele lat później dowiedziałem się, że Heidl ukradł to zdanie z newage'owskiego bestsellera z lat siedemdziesiątych, opowiadającego o pewnym baskijskim pasterzu. Mimo to w takim oszukańczym początku przemówienia na konferencji z udziałem ludzi, których zadaniem jest wykorzenienie oszustwa, kryła się bezczelność nieomal godna podziwu. Heidl, człowiek pod wieloma względami zaskakująco powierzchowny, w innym wcieleniu mógłby zrobić karierę jako ekspert od poradnictwa *self-help*, zdobywać pierwsze miejsca na liście bestsellerów „New York Timesa" i wygłaszać absurdalnie wysoko opłacane wykłady motywacyjne. I kto wie, co jeszcze mógłby robić. Branding osobisty? Może nawet wypuściłby własną markę kosmetyków. Tymczasem jednak jego przyszłość została smutno sprowadzona do mnie, do wspomnień i do konferencji audytorów.

Widziałem, że innym ludziom Heidl wydawał się emanować jakąś nieokreśloną aurą, jakąś nikczemnością – jednocześnie tożsamą z celebryckim blichtrem – a także konspiracyjną tajemnicą, do której zdawał się zapraszać ciebie i tylko ciebie; na jej szczycie można było znaleźć przepiękną ciemność, niebędącą całkowitym złem ani jego pełnym przeciwieństwem. Nie – ja z tych rzeczy nie zaznałem żadnej, w każdym razie nie na początku. Może Ray tak bardzo przestraszył mnie swoimi ostrzeżeniami, że nie miałem odwagi traktować egzotycznego uroku Heidla inaczej niż jako podstępu, oszustwa, manipulacji. Wyczuwałem jednak, że jest w nim coś więcej, coś innego – że stwarza nam sposobność, abyśmy mogli podporządkować się mu i poddać, a ostatecznie czy nie tego właśnie potajemnie pragnie większość z nas? Żeby ktoś nam mówił, co robić, a czego nie? Żeby nie być pozostawionym samemu sobie? Kto z nas nie wie, jak potężną pokusą jest dać się komuś prowadzić?

Gdybym był rozsądny, może bym rozsądnie go polubił i spisał jego opowieść. Przed otoczeniem i samym sobą wkładałem zawsze maskę, ale nie byłem ani trochę rozsądny. I kiedy drugi tydzień zbliżał się do końca, chociaż zacząłem w głębi duszy darzyć Heidla narastającym uczuciem – złożonym z lojalności, sympatii i przekonania, że stałem się jego wspólnikiem – to jednocześnie budziły się we mnie może nawet silniejsze, inne i przeciwstawne emocje, które przyprawiały mnie o dreszcze. Czy nienawiść zawsze zaczyna się od podziwu?

8

1.

O dwudziestej pub Beast otaczała cuchnąca ospałość wszystkich knajp z tamtych czasów – kleista zawiesina dymu i drożdży, słodka ostrość smrodu, wczesnowieczorny spokój na polu bitwy pomiędzy kolejnymi bombardowaniami. Ray pił metodycznie, z ponurą wydajnością urządzenia kuchennego, zaprojektowanego wyłącznie po to, żeby opróżniać szklanki.

Heidl znowu wciska ci kit, zwróciłem się do mojego przyjaciela, kiedy osuszał kolejnego drinka.

Jeszcze zanim poznałem Ziggy'ego, Ray opowiadał mi, że przez dłuższy czas pracowali wspólnie nad projektem na Cape York. Trudno jednak było mi uwierzyć, że naprawdę szukali tam odpowiedniego miejsca na budowę centrum lotów kosmicznych. Wydawało mi się to zbyt naciągane, dopóki władze Queenslandu nie zaprzeczyły pogłosce, bo ich dementi w kontekście mojego coraz gwałtowniej zmieniającego się wyobrażenia o Siegfriedzie stanowiło raczej jej pokrętne potwierdzenie. Ale to, co Ray powiedział przed chwilą, znowu wywołało we mnie niedowierzanie.

Nie wiem tego od Heidla, kontynuował. Kilka tygodni temu byłem na jednej imprezie i wpadłem na Pedra Morgana. Był kierownikiem operacyjnym w ASO. Spotkałem też kilku innych wysokich członków kierownictwa firmy. Wszyscy byli blisko z Heidlem. Najlepsi kumple. I zaczęliśmy gadać o Spaceportalu.

O czym?

To taka firma, która stała za propozycją budowy centrum lotów kosmicznych na Cape York. Założył ją Ziggy, kiedy wypuścili go za kaucją.

Nie kumam całej tej historii z Cape York. To tysiące kilometrów od cywilizacji.

No właśnie… Dlatego to jest idealne miejsce. Ale ponieważ Heidl zbankrutował i czeka na dalsze zarzuty, nie może być prezesem ani dyrektorem Spaceportalu. Nie wolno mu brać kredytów.

No i co?

To, że wzywa sześciu facetów z dawnego kierownictwa ASO. I mówi im tak: jeżeli jesteście moimi kumplami, prawdziwymi kumplami, to wejdziecie ze mną w ten interes, bo będzie wart fortunę. Satelity są przyszłością świata: komunikacja, telewizja, co chcecie.

Ale to Heidl zarządza firmą.

Oficjalnie nie. Jest bankrutem. Prawo zabrania mu zarządzać czymkolwiek.

A nieoficjalnie?

No, odparł Ray. Oczywiście. Rządzi Ziggy Heidl. I namawia ich, żeby zastawili swoje domy i włożyli forsę w ten Spaceportal. W zamian za to zostaną dyrektorami.

Czyli mówisz mi, że Cape York nie jest finansowany przez żadnych singapurskich milionerów ani przez NASA?

Co?

I nie przez CIA?

Mówię ci to, co wiem.

Projekt finansują dawni pracownicy ASO z własnych oszczędności.

Jeśli chcesz to ująć w ten sposób. Wydawało się, że to dobry interes.

Czyli że teraz Heidl po prostu kantuje kumpli, powiedziałem.

Nie wiem, odparł Ray i poszedł do baru.

To jego najnowszy duży przekręt, powiedziałem, kiedy wrócił.

No wiesz, może i tak. Ale nie wydaje mi się. To inteligentni faceci. Nie wkładaliby forsy w coś takiego, ryzykując utratę własnych domów, gdyby nie sądzili, że budowa kosmodromu na Cape York to dobry pomysł.

Ale dlaczego tak uważają?

No, jest wiele powodów. Na przykład stamtąd jest bliżej do Księżyca.

Popatrzył na mnie tak, jak gdybym mógł potwierdzić tę hipotezę.

Prawda?

Co? Z Australii?

Z Cape York, odpowiedział Ray i z mniejszą pewnością siebie mruknął: Równik? W tym miejscu jest… Grubszy. No nie?

Grubszy?

Czy coś takiego. Odkaszlnął, skupił się, jak gdyby miał dać recital, i powiedział, że uczeni są zgodni co do tego, że to jedno z najlepszych miejsc na świecie, z którego można wystrzeliwać rakiety kosmiczne.

Naprawdę? – spytałem. Kto tak mówi?

No… Ci, uczeni.

Jacy uczeni, Ray?

Zmierzył mnie żartobliwym spojrzeniem i mruknął: Naukowcy?

Jacy?

A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Nie jestem ekspertem w tych sprawach, chłopie. Ale dużo się mówi na ten temat.

Widziałeś jakieś czasopisma naukowe, w których by pisano coś takiego?

Niezupełnie.

Nie?

Nie osobiście, okej? Ale Ziggy je widział. Mówił mi o tym.

To Heidl ci o tym powiedział?

Wydawało się, że Rayowi przychodzi do głowy kilka całkowicie sprzecznych ze sobą myśli naraz.

Pokazywał ci te pisma? – zapytałem. Ray?

Podniósł pustą szklankę do ust i zdając sobie sprawę z pomyłki, zaklął. Kiedy znów się odezwał, mówił przyciszonym głosem.

Trzymał je… Te czasopisma… Naukowe czasopisma, w teczce.

Czytałeś je?

Zastanowił się nad tym pytaniem. Poruszył ustami, chcąc wymówić jednocześnie kilka słów, jak gdyby kilkanaście rybich haczyków rozciągało

mu usta w różne strony. Jak gdyby znowu stał nad przełomem tamtej dalekiej rzeki na Nowej Gwinei, patrząc na mokrą mapę Irian Jaya.

No, niezupełnie.

Niezupełnie.

Opowiedział mi o tym.

I uwierzyłeś mu?

Jego usta znów zadrżały jak rozciągane rybimi haczykami.

Tak. Ale teraz jak stawiasz sprawę w ten sposób… To nie wiem.

I płacili za to jego dawni kolesie?

Kumple. No. Tak.

Ten projekt był nie do zrealizowania, Ray.

Nie wiem, stary. Poza tym nawet jeśli nie, to nie znaczy, że to jest zły pomysł.

Nie rozumiesz? To tylko kolejne kłamstwo.

A nie uważasz, że dla Australii byłaby to fantastyczna sprawa? Nasze własne Houston?

To świetny pomysł z punktu widzenia Ziggy'ego.

A co jest złego w dobrych pomysłach? W każdym razie warstwa atmosfery w tropikach jest cieńsza. Prawda?

A jest?

Wydaje mi się, że mówił mi o tym Ziggy. Nie wiem. Albo Pedro.

Skąd Pedro Morgan mógłby wiedzieć coś takiego?

Pewnie od Ziggy'ego. Mówiłem ci. On czytał na ten temat.

Heidl?

No, Heidl. Ale czy naprawdę nie byłoby wspaniale? Znaczy gdyby Australia miała własny ośrodek rakietowy.

Heidl? I jedyną gwarancją, jaką mają ci ludzie, jest jego słowo?

Chyba tak, odpowiedział Ray, z którego jakby uszło trochę powietrze. Chociaż wiem, że to wszystko, co mówili politycy w parlamencie w Queensland, to kit.

Kiedy tamtejsze władze zaprzeczyły, że mają coś wspólnego z tą propozycją?

No.

Ale to by było na rękę Heidlowi, powiedziałem. Bo kiedy władza zaprzeczyła pogłoskom, ludzie pomyśleli, że to zasłona dymna i że w tym musi coś być. Albo że nawet jeżeli nie nasz rząd macza w tym palce, to inny. Amerykanie. A dzięki temu Heidl wyszedł na kogoś o wiele większego i ważniejszego niż jest w rzeczywistości.

Ray zamilkł po raz drugi.

2.

Potem powiedział:

Wiesz, było tam pięknie. Lądowaliśmy, gdzie mieliśmy ochotę. To nocne niebo.

Gadał tak jeszcze dłużej, o pływaniu z diugoniami, o polowaniach z miejscowymi Aborygenami, o słodkim i aromatycznym smaku pieczonego nad ogniskiem warana, o charakterystycznym zapachu namorzynowych bagnisk, z jednej strony smrodliwym, a z drugiej przypominającym perfumy, i o tym, jak nacierał się tym błotem, by lepiej poznać jego woń, i że na nim błoto pachniało inaczej, i o tym, jak pewnego dnia złapali z krajowcami wielkiego żółwia skórzastego i Aborygeni połamali mu nogi, żeby zwierzę nie uciekło i nie zdechło za szybko, bo inaczej mięso zepsułoby się w tropikalnym upale. Zabili go dopiero dwa dni później.

Smakował fantastycznie, powiedział. Genialne mięso. Ale wiesz, co było zdumiewające? Patrzyłem temu żółwiowi w oczy i widziałem, że on po prostu chce żyć. Nie miał ochoty umierać. Dwa dni, zanim go zjedliśmy, nie chciał umierać. Wolał żyć. To niewiarygodne.

Pamiętam jedną noc, ciągnął dalej, na takiej plaży, gapiłem się tylko w niebo. Jak gdyby świat dopiero powstał. Czułem się...

Urwał, szukając odpowiednich słów.

...wolny.

Może wolność to jest wszystko, co miałeś.

Może.

Pociągnął łyk piwa, beknął i otarł mokre usta grzbietem dłoni.

Może to jest coś, może to jest wszystko, nie wiem. Jedno, co wiem, to że było świetnie, kurwa.

Zamilkliśmy obaj na moment.

Chodzi mi o to, odezwał się Ray, że ten żółw chciał żyć. To pamiętam. Jak mu patrzyłem w oczy. Cierpiał katusze. Ale nie chciał umierać.

Wrócił chyba pamięcią do jakiegoś innego wspomnienia. Przesunął kciukiem w górę i w dół po spotniałej szklance.

Pedro i tamci nie wiedzą, powiedział.

Czego?

Że forsa wyparowała.

Ich forsa?

Heidl przepuścił ją całą przez półtora roku na te nasze jebane wycieczki śmigłowcami. Na swojego nowego landcruisera. I kilka innych zabawek.

Nie powiedziałeś im?

Coś ty, kurwa, żartujesz?

Więc stracą swoje domy?

No, tego nie wiem. Ziggy będzie wiedział… I odda im pieniądze.

Przed chwilą powiedziałeś, że forsa wyparowała.

Nie wiem. Chyba tak. Może. Tak mi powiedział Heidl. Dlatego, tak przypuszczam, zadzwonił wtedy do ciebie. Chciał sprawić wrażenie, że zrobi tę książkę po to, żeby im oddać trochę z tych pieniędzy.

Może wpadłbym w złość, gdybym nie był taki przygnębiony, i może poddałbym się rozpaczy, gdybym nie był taki zły. Ale w tej sytuacji właściwie nic nie poczułem.

Więc ja też jestem oszustem?

Tego nie powiedziałem, odparł Ray.

Przyszła moja kolej, żeby milczeć.

Chodzi mi o to, że Ziggy dobrze robi, nie? – odezwał się Ray, drąc tekturową podstawkę pod szklankę. Wykorzystuje zaliczkę, żeby oddać

kumplom trochę forsy.

Naprawdę?

No, a w takim razie co powiedział tobie?

Przyznałem się Rayowi, że jak mi się wydawało, podsłuchałem rozmowę Heidla przez telefon, kiedy kazał komuś załatwić Erica Knowlesa. Może na to były mu potrzebne te pieniądze, dodałem. I opowiedziałem, że kiedy zadzwoniłem na numer, z którym rozmawiał, połączyłem się z automatyczną sekretarką w pizzerii. Roześmiałem się, ale Ray chyba podchodził do tej sprawy poważniej niż ja.

Myślisz, że go znasz, a potem się okazuje, że nic o nim nie wiesz. Myślisz, że mówi prawdę, a okazuje się, że to wszystko łgarstwa. Myślisz, że opowiada ci wyjątkowe bzdury, a okazuje się, że to wszystko prawda.

Moim zdaniem Heidl wyłącznie kłamie. Może nawet nie dba o pieniądze i to wszystko to po prostu gra.

A może, powiedział Ray, potrzebuje zaliczki, żeby uciszyć Morgana. Albo może tylko chce zapłacić za nasz hotel. Siedzimy w nim już dwa miesiące.

Nie będzie żadnej książki, co?

Ray odwrócił wzrok.

Co, Ray?

A chuj wie, odparł, wpatrując się w piwo. Ty powinieneś to wiedzieć. Ty jesteś pisarzem.

Nie będzie żadnej książki, kurwa jego mać. To po prostu nowy kant Heidla, żeby spłacić forsę, którą jest komuś winien po poprzednim kancie. On zwyczajnie brnie dalej.

Skończ te jego wspomnienia, to wyjdzie z nich książka. Tego chcesz, prawda? Zostać pisarzem? Zostać pisarzem, kurwa? No więc napisz tę książkę. Heidla nie obchodzi, co robisz. Pisz albo nie pisz. Twoja broszka.

Piliśmy dalej.

Mijał czas, Ray najpierw bezskutecznie flirtował z jakąś gotką, a po północy obaj podpieraliśmy ścianę, wrzeszcząc do siebie, żeby przekrzyczeć zespół i publiczność.

Dlaczego się zadajesz z tym kutasem? – spytałem.

Co? – odkrzyknął Ray.

Z Heidlem, powiedziałem.

Heidl? Niech go chuj strzeli.

Dlaczego?

Bo facet się we mnie wkręcił, odpowiedział Ray. Dlatego.

Co chcesz przez to...

Że on się wkręca w ludzi, to chcę przez to powiedzieć, kurwa.

Splótł dwa palce i niemal dotykając nimi mojego czoła kręcił nimi w lewo i prawo jak świdrem.

Wkręca się w człowieka, wświdrowuje w niego, a ty normalnie... Normalnie...

Co?

Nie jesteś w stanie, odpowiedział, opuszczając ręce. Nie jesteś w stanie uciec.

Potem zaczął coś bredzić o oślizgłym błocie.

Nie rozumiałem go. Koło mnie stał zwykły facet; może nawet słaby. Słaby facet, o którym przez pomyłkę za długo myślałem, że jest silny.

Co on na ciebie ma, Ray?

O co ci chodzi? Nie ma...

Wygląda na to, że ty się go boisz.

Natychmiast pożałowałem swoich słów, bo wydawało mi się, że Ray uzna je za niesłychaną obelgę.

Wyciągnął torebkę Champion Ruby i zaczął skręcać papierosa, stanowczo wbijając wzrok w tytoń i bibułkę.

Może i się go boję, odparł cicho i polizał ją. Może tak, chłopie.

Myślałem, że chodzi tylko o tę książkę.

Wybuchnął śmiechem.

Och, stary, odpowiedział i podnosząc wzrok znad skręta, pokręcił głową.

Potem rozmawialiśmy o innych sprawach, następnie moje opowieści znowu stały się jego opowieściami i znowu zgadzaliśmy się ze sobą pod każdym względem, a jeszcze później, gdy wychodziliśmy z knajpy, wszystko było między nami jak zawsze, zachowywaliśmy się naturalnie i byliśmy ze sobą blisko jak bracia.

3.

Za młodych lat jeździłem czasem samochodem na dalekie zachodnie wybrzeże Tasmanii, gdzie Ray pracował jako spawacz na ostatniej wielkiej budowie hydroelektrycznej, tamie nad rzeką Pieman, ochrzczonej podobno nazwiskiem pewnego skazańca, pasztetnika, który po udanej ucieczce zabił i zjadł swoich towarzyszy. Pięć godzin pod górę w pustą boleść gór, potem zjazd w dół w dzikie, porośnięte tropikalnym lasem wąwozy na zachodzie, aż dojeżdżałem do umierających górniczych miasteczek, widmowych ruin na tle księżycowego pustkowia, poranionych błękitów, zieleni i jasnych skał jak z brązu, połyskujących w ciągłym deszczu, widziałem długie żółte szlaki świateł samochodów, skręcających na północ za ostatnie szopy z karbowanej blachy, byłem po siedmiu browarach, może więcej, i prułem dalej przez zielonościenne przełęcze górskie, aż docierałem wreszcie do miasteczka, gdzie powstawała ostatnia wielka zapora wodna, do Tullah.

Słuchając Raya w tej knajpie przy St Kilda, zorientowałem się, że wplątał się w tajemniczy konflikt pomiędzy swoim pragnieniem wolności i tym, dokąd go zaprowadziło – do służalczości wobec tego potwora. Ray nagle wydał mi się bezbronny jak dziecko; on, facet, który jako knajpiany rozrabiaka zasłynął najpierw właśnie w tamtym górskim obozowisku, popisywał się tam, twierdził, że jest francuskim arystokratą i tylko czekał, żeby gdy ktoś zacznie go wyśmiewać, wyprowadzić pierwszy cios. Szedł do baru w obozowisku w Tullah i zamawiał piwo w języku, który wszyscy oprócz nas dwóch uważali za francuski.

Je suis więcej drinko.

Tylko czekał, żeby ktoś zaczął z niego szydzić, bo to było zabawne, poznać się na takim absurdalnym żarcie, jakim wydawało się i owo zamówienie, i sam Ray, i cały świat tasmańskich obozów górskich, świat mężczyzn udających, że nikt ich szybko nie pokona i nigdy nie zmienią się w złamanych ludzi na emeryturze, wystających w kolejkach po lekarstwa na rozedmę, cukrzycę, schorowane serce, obolałe plecy czy coraz bardziej skołowaną głowę, mężczyzn udających, że są nieśmiertelni, okrutni,

twardzi, nie do zdarcia: oni, najdelikatniejsi ludzie na świecie, których najłatwiej złamać, robotnicy.

Dżej sli więcej drinko, kurwa? – powtarzał drugi kucharz miejscowej kantyny, cieszący się opinią największego twardziela w Tullah, a także osoby najlepiej znającej francuski.

Zbudowany był jak pociąg towarowy, a jego łeb przypominał wściekle czerwony balon pełen kamieni. W gniewie używał często jednowyrazowych równoważników zdań albo składał kilka słów w jedno zdanie, wypluwając je z siebie niczym wybity ząb.

Ty! Kurwa! Arogancki! Żabojadzie! Jebańcu!

Wyszli na zewnątrz, cała knajpa za nimi, pozostawiając szeroki na trzy metry kominek, w którym palili pniakami o grubości słupów telegraficznych. I na mokrym, kamienistym parkingu, w oświetlonym sodowymi latarniami deszczu, patrzyli, jak dwóch facetów toczy brutalną bójkę.

Trwała może kwadrans.

Kucharz był odporny na ciosy. Umiał je też zadawać, a jego metody – kolana, podcięcia, kopniaki – były bezlitosne. Niektórzy wojownicy mają wdzięk, nawet czar, są estetyczni. W kucharzu numer dwa niczego takiego nie dało się zauważyć. Był bestią – nosorożcem, krokodylem, prehistorycznym stworem, jakiego spotyka się raczej na torfowiskach. Po jego uderzeniach głowa Raya odskakiwała gwałtownie to w jedną, to w drugą stronę.

Ray był mniejszy, ale szybki. Przez większość czasu udawało mu się utrzymywać przeciwnika na dystans błyskawicznymi lewymi prostymi, aż w końcu potężniejszy mężczyzna zaczął sapać i zwolnił. Prawy prosty Raya w środek piersi dziwnie zastopował kucharza, który zaczął rzęzić i kaszleć, a Ray zwęszył szansę, skupił się na nieosłoniętej twarzy przeciwnika i rąbnął go w szczękę, aż głowa uderzonego odskoczyła do tyłu. Kiedy kucharz upadł, Ray mocno kopał go w głowę, żeby już nie wstał. Nikt z gapiów się nie poruszył. Kucharz nie próbował dłużej walczyć, jego zakrwawiona, opuchnięta twarz i ryże włosy przypominały osobliwe odpadki w dużej kałuży, unoszące się na powierzchni wody w złoconym

świetle latarni niczym ikona. Dygotał, kiedy przeszywały go dziwne skurcze.

Jeszcze chce mi oddać! – zawołał do mnie Ray, gdy podszedłem, żeby go odciągnąć. Pizda jebana! – krzyknął, wymierzając mi szaleńczy cios, bo chciał, żebym się odczepił i żeby mógł dalej maltretować rywala. Wskazał jego wstrząsane spazmami ciało. Jeszcze chce się na mnie rzucić, piździelec!

Znowu złapałem Raya, wykręciłem mu rękę na plecach, ale wyrwał się i odepchnął mnie na jeden z zaparkowanych wokół samochodów. Stanął nad kucharzem, zacisnął pięści, chociaż już nie kopał leżącego, tylko na niego wrzeszczał.

Teraz mi to powiedz! – krzyczał zarówno do pierwotnego lasu, jak i do wznoszących się dalej gór, do przeciwnika, księżyca i skalistych szczytów. Teraz mi, kurwa, to powiedz! – ryczał. Co to jest! Co! Co to, kurwa, jest?!

Kucharz numer dwa nie mógł mu jednak udzielić odpowiedzi; nie mógł, a tłum gapiów – którzy nagle zdali sobie sprawę z tego, że pada deszcz i jest zimno, a w knajpie sucho i ciepło – rozproszył się w mroku odległej nocy, która rozpłynęła się w następną ciemność i przeszła w ten miejski bar, gdzie właśnie staliśmy. Czyżby Ray po raz pierwszy w życiu znalazł – w Heidlu – jakiegoś rodzaju granicę, do której nie potrafił nawet odpowiednio podejść, a co dopiero jej przekroczyć, uciec za nią i uratować skórę? Czy znalazł w nim coś, czego nie potrafił wdeptać w kamienie i kałuże, zmienić w jęczące zwierzę o umbrowej maści, powalone w brudną misę żółtej wody u stóp gór, porośniętych lasem deszczowym? Sięgała po nas w tej chwili jakaś siła życiowa i wciągała z powrotem w tę straszliwą pustkę, z której, jak się nam pyszałkowato przez krótki czas wydawało, damy radę uciec – Ray dzięki swojej sprawności fizycznej i zamiłowaniu do przygód, a ja dzięki książkom i pisaniu. Jego przemoc, moje słowa: dwa aspekty tego samego buntu, skazanego na niepowodzenie.

I może po raz pierwszy wyczuwałem jego strach, że wszystko, co robimy, wszystko, co robiliśmy, nie wystarczy, aby stawić czoło tej wyspie, która wciąż trzymała się w nas mocno – przeciwstawić się radnym, dziennikarskim hienom od polityki, małomiasteczkowym biznesmenom i wszystkim tym, jak ich nazywał, rostbefiarzom, którzy wyrzucili nas na margines, jego i mojej rodzinie, potomkom skazańców, w których nadal

pulsowała leniwa, udręczona krew niewolników, ludziom więzionym i wsadzającym do więzień oraz ich morderczym grom, bo tej naszej zgorzkniałej, obłąkanej, pięknej wyspie od dwustu lat mieszał w głowie jakiś ekstrakt tyranii.

Przypomniałem sobie tę szaleńczą wściekłość, pragnienie, żeby nienawidzić i być nienawidzonym, i pluć wszystkiemu w twarz, kopać wszystko, aż przestanie się ruszać, przypomniałem sobie szaleńczą przemoc, będącą także aktem wyzwolenia. To było zło. Na tym polegała atrakcyjność takiego zachowania. To było zło, bo świat ma zawsze rację, padniemy przed nim przegrani, a on się po nas przejedzie niczym walec. Najpierw jednak pojedziemy z Rayem do tej knajpy w Tullah ostatni raz, a Ray wykrzyczy do barmana coś najbardziej absurdalnego na świecie:

Je suis więcej drinko!

Potem potoczy wzrokiem po całym barze, spojrzy w oczy kolejno każdemu gościowi, aż tamci spuszczą albo odwrócą głowy, prowokując ich, któregokolwiek, by stanął po stronie świata przeciwko niemu.

I dopiero w tym momencie, opierając się o lepką od brudu ścianę w barze przy St Kilda, zrozumiałem, że tego Raya, którego znałem od tak dawna, już nie ma. Ray, zawsze pewny siebie, który niczego się nie bał, był jednocześnie zagubiony i bał się. A jeśli on się boi, pomyślałem, to ja powinienem być przerażony. Znowu na niego spojrzałem, próbując dostrzec w nim raz jeszcze tego mężczyznę, który pruł kradzionym valiantem, przejeżdżając jedno skrzyżowanie za drugim na czerwonym świetle, jadąc slalomem wśród innych samochodów pełen szaleńczego uniesienia, bo w końcu żyliśmy naprawdę.

Ale nadaremnie. Dawny Ray już zniknął.

9

1.

Weekend w domu z Suzy i Bo przyszedł i minął zbyt szybko. Wróciłem do pracy, a Heidl za swoim dyrektorskim biurkiem unikał moich pytań i udawał, że irytują go bardziej niż kiedykolwiek. Czy można było mieć o to do niego pretensje? Mnie też już nudziły te pytania, nudziła mnie jego osobowość, nad której stworzeniem, jak się upierał, powinienem pracować; osobowość bezbarwnego technokraty, troskliwego ojca rodziny, przypadkowego przywódcy tak zatopionego w swojej skromności, że wielkie sukcesy ASO przychodziły po prostu same. Rzadko zdarzało mu się teraz usiedzieć spokojnie chociaż kilka minut, zanim zaczynał cykl swojej pieśni żądań – chciał lepszej porannej herbaty, kolejnej zaliczki, zwiększenia albo zmniejszenia temperatury w pokoju, otwarcia nieotwierających się okien albo zamknięcia drzwi do sąsiedniego gabinetu, zajmowanego przez jednego z dyrektorów wydawnictwa.

Lecz jeśli chodzi o *rorts* – cudowne australijskie słowo, oznaczające kradzieże dokonywane z zuchwalstwem będącym niemal cnotą – to wymagały one w tych wspomnieniach czegoś więcej, czegoś graniczącego, no, powiedzmy z uczciwością. Zdarzało się, chociaż wyjątkowo, że Heidl się troszkę otwierał i zaczynał mówić jak kupiec o swoim fachu, który dla niego jest niezwykle prosty i oczywisty, bo codzienny. Ale właśnie w takim momencie owego poniedziałkowego ranka, kiedy sądziłem, że lada moment usłyszę jakieś objawienie, gdy niemal miałem nadzieję, że książka jednak powstanie, Heidl wstał, włożył marynarkę i oświadczył cicho, że

ponieważ musi iść na spotkanie ze swoimi prawnikami, to wróci dopiero późnym popołudniem.

Potem zajrzała do mnie Pia Carnevale, a widząc mnie samego i przygnębionego, zaproponowała wyjście na lunch, żeby mnie pocieszyć. Poszliśmy do jak dla mnie egzotycznej, wręcz obcej mi, śródmiejskiej restauracji. Gościnność właścicielki, starej przyjaciółki Pii, swobodne zachowanie obsługującej nas dziewczyny i to, że moja redaktorka znała większość dań, o których ja nawet nigdy nie słyszałem, wszystko to było dla mnie nowością. Czułem się skrępowany jak dziewica, prowincjusz w tanich ciuchach i rozwalonych adidasach, Pia w żaden sposób nie dała mi jednak poznać, że to dostrzega, przeciwnie, każdym słowem i gestem okazywała, że traktuje mnie jak równego sobie. Ubrana była jak zwykle, ekstrawagancko, chociaż to nie znaczy, że pamiętam, co na sobie miała. Pamiętam natomiast jej kolczasty urok, swobodę osoby pewnej siebie i dobrze się czującej w swoim świecie, czego, jak doskonale zdawałem sobie sprawę, mnie bardzo brakowało.

Na początek zabłąkała się w sprośne historyjki o sławnych ludziach, które opowiadała z kamienną twarzą i nieodmiennie kończyła krótkim, pieprznym chichotem. O pewnym skandynawskim multimilionerze, autorze thrillerów, który w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat ożenił się z dwudziestosiedmiolatką, pisał pięćset słów dziennie i po każdej pięćsetce namawiał ją zawsze na seks, a kiedy przyjechał na gościnne występy do Australii, musiało go ratować pogotowie, doświadczył bowiem eksplozji twórczej i pewnego ranka napisał aż tysiąc sześćset słów tekstu. O pewnym angielskim laureacie Nagrody Bookera, który zawsze zamawiał dwie prostytutki, żeby czekały na niego po spotkaniu autorskim. O sławnej amerykańskiej poetce, która dzwoniła do swojego wydawcy, zajmującego sąsiedni pokój w hotelu, z żądaniem, żeby zamówił jej przez telefon jajko na miękko. O pisarzach, którzy – pijani albo naćpani – tracili przytomność przed ważnymi wywiadami telewizyjnymi, i tak dalej, i tak dalej, uraczyła mnie całym wspaniałym, głośnym panoptikum niestosownych zachowań, demonów i szaleństw prywatnego i publicznego życia gwiazd.

A skończywszy taką czy inną historię, bardzo delikatnie przechylała głowę do tyłu i mrugała dwa albo trzy razy, co po części przypominało tik nerwowy, a po części zwolnienie migawki w aparacie fotograficznym – bo

takie aparaty były wtedy w użyciu – jak gdyby utrwalając moment reakcji słuchacza; jak gdyby te mrugnięcia oznaczały, że dobrze cię zna, ale nie ocenia.

Anegdoty przeplatała dygresjami. O swojej zmarłej matce, która chorowała na demencję. O swoich ambicjach. O nadziejach, które miała kiedyś jako redaktorka, na pracę z wielkimi pisarzami, i o tym, że skończyła, produkując śmieci, które branża byłaby w stanie sprzedać. O strachu przed starością, przed tym, że straci zmysły. O tym, jak zdobyła rozgłos, zmieniając pospiesznie spisane i bzdurne wypociny celebrytów w bestsellery. O ogromie pracy, jaką trzeba było włożyć w książki wypuszczane co roku przez Jeza Dempstera, i o jego „beznadziejnych" dialogach, które musiała sama pisać na nowo. Spytała o moje małżeństwo, co, jak zrozumiałem, miało być jej sposobem na przejście do opowieści o życiu prywatnym. Była niezamężna, choć chyba nie brakowało jej adoratorów, i przyznała się, że jest w niej „złośliwa chęć" wejścia w związek partnerski.

Jak myślisz, zapytała, czy można się zakochać w zakochaniu? W tym, że kogoś się kocha?

Zacząłem zdawać sobie sprawę, że pod jej pewnością siebie i swobodą bycia kryje się nieśmiałość, nerwowość, strach. Różne szczegóły z życia Pii nakładały się teraz na siebie w dziwnym pośpiechu, prowadząc do jakiegoś nieznanego punktu, kiedy pędziliśmy od jednego tematu do drugiego, aż wreszcie nagle dotarliśmy do miejsca przeznaczenia – do naszego prawdziwego miejsca przeznaczenia, do celu wspólnego lunchu.

Kif... Kif... Czy Siegfried zadzwonił kiedyś do ciebie do domu?

Powiedziałem, że nie ma mojego numeru i że nie znajdzie mnie w książce telefonicznej.

Mnie też nie ma w książce, odparła. Ale jakoś zdobył mój telefon. Powinnam się bać?

Jak większość ludzi, którzy zadają pytania, nie oczekiwała odpowiedzi, a mnie nawet nie chciało się jej udzielić. Pia od początku nadzorowała prace nad wspomnieniami Heidla, współpracowała z wcześniejszymi redaktorami i wynajętymi pisarzami, których Heidl szybko rozkładał na łopatki tak, że rezygnowali. On i Pia sprawiali na mnie wrażenie starych

znajomych, kiedy zobaczyłem ich po raz pierwszy w gabinecie Paleya. Najwyraźniej jednak nie byli przyjaciółmi. Zamoczyła czubek kostki cukru w swojej kawie.

Wydzwania do mnie do domu. Twierdzi, że chce pogadać o książce, ale nic nie mówi na ten temat.

Czarny płyn przesączał się w górę kostki.

Co zrobiłbyś w takiej sytuacji na moim miejscu? – zapytała.

Nie wiedziałem. Za bardzo się wstydziłem, żeby się przyznać, że Ray ostrzegał mnie przed Heidlem i że dlatego nie mówiłem Ziggy'emu absolutnie nic o sobie, chociaż było to wbrew mojej naturze. Spytałem, o czym w takim razie Heidl z nią rozmawia, dodając, że może właściwie nie ma to znaczenia.

Trzymała kostkę cukru przed sobą, obserwując, jak czarny płyn wije się przez cały sześcian.

Tak, odpowiedziała, to chyba nie ma znaczenia.

Odwróciła się, a kiedy znów na mnie spojrzała, pochyliła się ku mnie i spuściła głowę. Po chwili podniosła wzrok. Była tak blisko, że czułem zapach jej perfum.

Po prostu chodzi o to... Że on wie różne rzeczy, Kif. To dziwne.

Spytałem, co ma na myśli.

Wie o takich sprawach, o których nie powinien wiedzieć, odparła. Miałam kota. Był już bardzo stary. I wiesz, zaczął tracić kontrolę nad swoimi funkcjami fizjologicznymi. Sikał gdzie popadło. Biedactwo. Nie mogłam tego znieść, rozumiesz, ale co miałam robić? Wspomniałam o tym Siegfriedowi kilka tygodni temu. I dzień po naszej rozmowie mój kot zniknął.

Kostka cukru, którą trzymała w ręku, zrobiła się czarna i zaczęła zmieniać konsystencję na syrop. Pia wrzuciła ją do swojej kawy.

Kotom chyba zdarza się czasem znikać, nie?

Nie byłem tego pewien.

Chyba tak, odparłem. Idą sobie gdzieś w świat.

Idą w świat, powiedziała. Tak. Ale następnego wieczoru dzwoni do mnie Heidl i...

Zadzwonił?

I zapytał, czy nie jest mi lepiej bez kota.

Zaczęła kreślić łyżeczką kółka na stoliku, jak gdyby czegoś szukała.

Rozumiesz, nikt nie wiedział o tym, że kot przepadł. A potem innego wieczoru Heidl zatelefonował dosłownie chwilę po tym, jak wyszła ode mnie znajoma. I mówi: Dobrze się bawiłyście? Wiesz, z tym swoim charakterystycznym akcentem, kurwa. „Dobrze się bawiłyście?" Chciałam mu odpowiedzieć: Dobrze, tylko teraz zrobiło się niefajnie, bo do mnie zadzwoniłeś.

Odpowiedziałem coś, co puściła mimo uszu. Przez kilka chwil błądziła spojrzeniem wokoło, a potem znów na mnie spojrzała. Odłożyła łyżeczkę i odsunęła filiżankę.

I co ty o tym myślisz? – zapytała i dodała szybko: Bo ja nie chcę nic myśleć.

Spytałem, czy wspominała o tym Paleyowi.

Nie mogę mu tego powiedzieć, Kif. Heidl jest warty dla firmy dużo pieniędzy. Mogą sporo zarobić na tej książce.

Spróbowałem zasugerować, że może to nic nie znaczy; że ktoś mógł donieść Heidlowi o zniknięciu kota.

Nawet jeśli to jest przerażające, powiedziałem, to jeszcze nie znaczy, że Heidl jest kocim mordercą.

Nie, odparła. Niczego takiego nie sugeruję.

Zapadła długa cisza. W końcu powiedziałem, że ja też nie umiem trafić za Ziggym. Wydawało mi się, że mogę zaufać Pii i przyznać się do swojej desperacji. Powiedziałem, że wziąłem tę robotę – która, jak sądziłem, łatwo pójdzie – żeby zarobić pieniądze i dzięki nim skończyć powieść. Ponieważ jednak dotąd jej nie skończyłem, boję się, że może nie potrafię napisać nawet autobiografii takiego trzeciorzędnego celebryty jak Heidl.

Zaśmiała się. Zapewniła mnie, że ją napiszę, że wszystko się zacznie układać, że książka okaże się pierwszorzędna i że to wszystko jest normalne. Nie walcz z nim, poradziła, daj mu się prowadzić. Potem wróciła do swojego kota; jakie to dziwne, gdzie on może być?

Nie mogłem powiedzieć, że moja pewność się kruszy. Oświadczyłem, że kot na pewno wróci, że wszystko jest w porządku. Moje usta wypowiadały słowa bez znaczenia, a Pia odchyliła głowę do tyłu i przymknęła powieki.

2.

Po powrocie z lunchu starałem się jak najlepiej wykorzystać czas bez Heidla. Zabrałem się do roboty nad planem książki, który chciał dostać Paley, na podstawie mieszaniny notatek, niezupełnie gotowych fragmentów prozy i materiałów źródłowych. Ale ilekroć próbowałem dotrzeć do sedna tekstu, zostawałem z niczym. Rosła we mnie obawa, że Heidl nie ma nam nic do zaoferowania. Jak sklerotyk, jak tryskający optymizmem Kalifornijczyk z plakatu, Ziggy uważał, że dzień dzisiejszy zawsze jest pierwszym dniem reszty jego życia, a wczoraj nie istnieje.

Jak zwykle nie dotrzymał słowa i przyszedł wkrótce po moim powrocie z lunchu.

Paley chce mieć ten plan gotowy na…

Wiem, czego chce Paley, kurwa, warknął, podchodząc do okna. Wyjrzał na zewnątrz i pokręcił głową. Jesteś gorszy niż moi adwokaci, oświadczył, nie odwracając głowy, jak gdyby przemawiał do świata za oknami.

Przez pewien czas wpatrywał się w nicość.

Moi doradcy prawni byli pewni, że dostaniemy co najmniej pół roku więcej, odezwał się cicho. Twierdzili, że w najgorszym razie – w najgorszym! – trzy miesiące. A teraz sędzia nie chce nam dać nawet jednego tygodnia.

To znaczy? – spytałem.

To znaczy? – odpowiedział.

Był jednak rozkojarzony. Jak gdyby widział wszystko z wielkiej odległości, jakby opuścił już gabinet, w którym siedzieliśmy, i nie zamierzał wracać, jak gdyby podjął brzemienną w skutki decyzję.

No, kontynuował, to znaczy, że nie będzie odroczenia i tyle. I będę musiał zacząć przygotowania do procesu za dwa tygodnie.

Nie za trzy?

Nie za trzy. I nie za dwadzieścia cztery. Tylko za dwa. Może trochę szybciej. A wtedy będę musiał siedzieć z adwokatami po całych dniach. Przepraszam, powiedział. Sięgnął po telefon i zadzwonił do dziennikarki, ni mniej, nie więcej, tylko z „Vogue'a". Po skończonej rozmowie oświadczył, że jest umówiony na późny lunch, i wyszedł.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zatelefonowałem do sekretarki Paleya i poprosiłem, żeby przekazała szefowi pilną wiadomość. Powiedziałem, że Heidl pomylił się w swoich kalkulacjach i teraz mamy już tylko dwa tygodnie na pracę nad książką przy jego współudziale.

Przez godzinę albo więcej siedziałem nad robotą sam, a potem poszedłem na kawę do pobliskiej kafejki. W drodze powrotnej zauważyłem Heidla na jakiejś niewykończonej jeszcze bocznej uliczce. Stał oparty o betonową rurę wodociągową, czekającą na wkopanie do ziemi. Wydawał się zagubiony w myślach i nie widział mnie. Kiedy wrócił do gabinetu, spytałem, jak poszedł mu lunch.

Cudownie, ale ci ludzie z telewizji! Ciągle mnie naciskają! Musiałem bardzo jasno dać im do zrozumienia, że na zakup praw do miniserialu na podstawie książki urządzę licytację.

Zwróciłem mu uwagę, że jego marynarkę na plecach pokrywa betonowy pył. Przesunął ręką po swojej łopatce, a na widok zapylonych palców roześmiał się.

Nie do wiary. W restauracji przed otwarciem szorowali betonową podłogę i posadzili mnie na krześle ciągle pokrytym pyłem!

Nagle naszła mnie wściekłość – na jego kłamstwa, na niego samego, a co gorsza, na spokój, z jakim łgał, i na mnie, za moją głupotę, bo zgodziłem się napisać książkę, której napisać nie można. Niczego nie chciałem w tym momencie tak bardzo, jak powiedzieć Ziggy'emu, żeby wypierdalał.

Wiem od Raya, że te kontenery były puste, odezwałem się.

Kontenery przewozowe? – spytał Heidl.

Tak.

Pokręcił smutno głową, jak gdyby nie znał większego idioty ode mnie.

To chyba oczywiste, powiedział.

3.

W gwarze ASO kontenery nazywało się Jednostkami Reakcji Krytycznej, czyli w skrócie JARKAMI. To one stały za szeroko nagłośnionymi zdolnościami firmy w zakresie operacji kryzysowych. Teczka wycinków prasowych pełna była opowieści o tym, że każdy JAREK zawierał materiały technologiczne i sprzęt niezbędne do działań ratunkowych na wypadek każdej katastrofy. Oczywiście JARKÓW nie można było nazywać po prostu stalowymi pojemnikami, tylko „systemem" – w poważnych sytuacjach można było mieć ich tyle, ile było trzeba, dużo albo mało – jednego, dwa, kilkanaście – a w pojedynkę albo razem tworzyły jakby ośrodek nerwowy akcji ratowniczej, prowadzonej po to, żeby na przykład ocalić uwięzionych pod ziemią górników albo pasażerów rozbitych odrzutowców. Składowany w kontenerach sprzęt mógł zostać z łatwością przetransportowany w dowolne miejsce – na ciężarówkach albo drogą wodną, jeśli czas nie miał znaczenia, a jeżeli miał, to JARKI można było przewieźć należącymi do ASO samolotami Hercules w rejony dotknięte klęską żywiołową – powodzią, pożarem, tsunami – i korzystać z nich operacyjnie w centrum dowodzenia po trzydziestu minutach od dostarczenia na miejsce. W każdym razie rzekomo tak miało być. Wraz z obsługującymi kontenery spadochroniarzami JARKI tworzyły chełpliwie opiewany zespół, będący zarówno obietnicą, jak i dewizą ASO: „Po katastrofie, przed innymi: jesteśmy na miejscu dla was".

Nie mogłem przestać wpatrywać się w Heidla po tym jego wyznaniu.

Jeżeli kontenery były puste, powiedziałem, to przecież nie można było ich używać do prowadzenia akcji ratunkowych?

Tak jest.

Czyli ASO nie mogło na tym zarabiać, tak?

Oczywiście, odparł. Nie mieliśmy środków, żeby prowadzić chociażby część tych działań, które, jak ludzie myśleli, prowadziliśmy.

Bo twierdziliście, że je przeprowadzacie.

Wybuchnął śmiechem.

Nawet jednej setnej. To kosztowałoby miliony.

Zauważyłem, że przecież je mieli.

Ale nie na takie rzeczy.

Mimo to twierdziliście, że podejmujecie działania ratunkowe.

Powiedziałem ci przed chwilą – ludzie tylko myśleli, że je prowadzimy. Bo chcieli w to wierzyć.

Spytałem, jak udało mu się przekonać banki, żeby dawały mu tak dużo, skoro mnie i Suzy nie chciały przyznać nawet maleńkiego kredytu i o pieniądze musieliśmy błagać obmierzłego prawnika, który zażądał dwóch procent więcej, niż wynosiła oficjalna stopa kredytowa.

Mały kredyt to trudna sprawa, stwierdził Heidl. A biznesową pożyczkę w wysokości trzydziestu milionów łatwo jest załatwić. Jak brakowało mi forsy, to dzwoniłem do banku i mówiłem, że chcę rozwijać firmę.

Wydawało mi się niemożliwe, żeby mógł ukraść aż tyle, mając do dyspozycji jedynie puste pojemniki. Zacząłem uważać go za kogoś w rodzaju maga, czarodzieja.

Przepraszam, powiedziałem. Nadal nie rozumiem, jak to wszystko działało.

Zaufanie, odparł.

Wyczuwałem pod palcami ziarnka brudu, kiedy w poszukiwaniu zagubionych drobnych wsuwałem dłonie pomiędzy siedzenie i oparcie fotela w swoim samochodzie, pamiętałem długą wędrówkę przez miasto, pieszą, bo musieliśmy oszczędzać benzynę, i wilgotny, lepiący się od chciwości ciemnobrązowy gabinet naszego kredytodawcy. A jednocześnie słuchałem Heidla, myślałem o tym, dokąd zaprowadziły mnie uczciwość i zaufanie, i nie potrafiłem odgadnąć, do czego zmierza.

To niczego nie tłumaczy, odpowiedziałem, widząc oczami wyobraźni, jak znudzona sekretarka radcy prawnego sięga po smutne pudełko od butów, pełne fiszek rozpaczy i nadziei, wyciąga naszą wyświechtaną kartę spłat, a potem ogląda każdego mojego dolara i centa, żebym przypadkiem nie orżnął jej chlebodawcy choćby na miedziaka.

Wierz mi, Kif: zaufanie tłumaczy wiele rzeczy, ciągnął Heidl. To jest oliwa, którą smaruje się maszynę świata. Ufamy nawet tym, których nienawidzimy. Tak już jest. I co zdumiewające, ona na ogół działa. Bankowcy wierzyli, że JARKI są prawdziwe i ASO jest prawdziwa, aż wreszcie jedno i drugie stało się rzeczywistością. Tak samo wierzysz, że mechanik naprawdę zreperował ci samochód albo że bank jest uczciwy, że ludzie rządzący światem wiedzą, co robią. A co, jeżeli odkryjesz, że tak nie jest? Co, jeśli ich przedstawienie to po prostu znacznie większa farsa niż te moje puste kontenery? Co, jeżeli prawdziwymi oszustami – tu Heidl, któremu zaczął drgać policzek, podniósł wzrok, rozejrzał się, zaśmiał i dokończył szyderczo-konspiracyjnym tonem – są właśnie tacy ludzie?

Z tymi słowy opadł na oparcie fotela, występ skończony, kałuże argumentów utopione w morzu nonsensu. To, że przeszedł od swojego przestępstwa do sugestii, że prawdziwymi przestępcami są ci, których oszukał, było prawdziwym cudem. Dziś nie jestem już tego taki pewien, a każdy pewnik tylko czeka, jak powiada Tebbe, na czasy niepewności, które dowiodą, że nie był żadnym pewnikiem.

Pisząc te słowa, przeglądam swoje zapiski z tamtych czasów. Nie wykorzystałem tych notatek w książce. Już wtedy rozumiałem, że były to informacje, które nie powinny wejść do wspomnień. Może było w nich za dużo prawdy, bo świat potrafi znieść jej tylko trochę, a wspomnienia, jeżeli mają się dobrze sprzedać, w ogóle. Potrzebowałem jakiegoś objawienia – i okazały się nim te puste kontenery. To mi wystarczyło.

4.

Wróciłem do mechanizmu oszustw Siegfrieda i zapytałem, jak ich właściwie dokonał.

Przecież ci właśnie mówię, odparł. Załóżmy, że bankowi A jestem winien siedem milionów, a bankowi B trzy miliony dolarów w ratach kredytowych. No to zwracam się do banku C o pożyczkę w wysokości, powiedzmy, dwudziestu milionów. I oni mi je dają.

Ale jak może ci pomóc wpędzanie się w większe długi?

Słuchaj mnie, Kif! Następnie przygotowuję faktury: dla BP za walkę z pożarem rozlanej ropy w Zatoce Meksykańskiej. Dla Departamentu Obrony za szkolenie żołnierzy SAS w zakresie technik ratowniczych na dużych głębokościach. I na przykład dla Wydziału Parków Narodowych w Queensland za walkę z pożarami. Aż uzbiera mi się na tych rachunkach dwadzieścia milionów.

I oni ci płacą?

Dlaczego mieliby płacić? Te instytucje nie dostają od nas faktur. Bo…

Bo?

Bo nie wykonaliśmy tej roboty.

Nie gasiliście pożarów?

Tylko tyle, żeby zdobyć kilka wycinków prasowych.

Nie ratowaliście zaginionych marynarzy na morzach południowych?

Uratowaliśmy jednego na jachcie. Jednego! Ale dzięki temu przez cały dzień trąbili o nas w mediach.

Narysował palcem kółko na biurku i westchnął.

Po prostu kropla po kropli wpuszczam potem tę najnowszą pożyczkę na nasze główne konto z konta ukrytego, jak gdyby to były wpłaty za te faktury.

Nie jako zadłużenie, tylko dochód?

Wskazał mnie palcem.

Wreszcie zaczynasz rozumieć. A skoro mamy dwadzieścia milionów dochodu, to możemy spłacić oprocentowanie, i może nawet część głównej pożyczki. Byliśmy honorowi.

Spytałem, czy bankom to odpowiadało.

Oczywiście. Dają coś i coś za to dostają. Od tego są. Prawnie rzecz biorąc, byliśmy organizacją charytatywną. Audyt wobec nas był o wiele łagodniejszy niż normalnie. Nasza rachunkowość wyglądała w porządku, o ile byłeś gotów w nią uwierzyć. I banki chciały nam wierzyć, a było w co, naprawdę. Były jak Pan Bóg, chciały wyłącznie, żebyśmy je błagali. Wiesz, służyłem przed laty do mszy jako ministrant. Byłem zatem dobry w padaniu na kolana, w ofiarowaniu tajemnicy magicznego kręgu –

faktura wypisana, kopia u mnie, oryginał zniszczony, pieniądze odebrane, dochód zaksięgowany i wydany na spłatę dziesięciu milionów oprocentowania dla banków i czterech milionów kredytu podstawowego. ASO zostaje więc z sześcioma milionami i na nich musi jechać – pensje, wydatki, szkolenia. Kilka nowych kontenerów. Nasze szkolenia były najlepsze na świecie.

Taki miałeś plan?

Plan? – roześmiał się. Nie było żadnego planu.

Ale to nie mogło trwać długo, powiedziałem.

A dlaczego? W wielu innych przypadkach się udaje.

Twój pomysł polegał na tym, żeby pożyczać coraz więcej i spłacać tymi pieniędzmi wcześniejsze pożyczki?

Tak jest.

To tak jak spłacać kredyt za dom kartą kredytową.

Tyle tylko, że kiedy wyczerpywałem limit na karcie, banki dawały mi nową.

To chciwość w najczystszej postaci.

A jest jakaś inna?

Ostatecznie jednak, czy nie byłbyś winien więcej, niż możesz pożyczyć?

Tak jest.

Spróbowałem wciągnąć go ponownie w kwestię szczegółów oszustwa.

Banki w końcu zaczęły padać przez te wasze długi, powiedziałem. Questnoc zbankrutował. A nadzór nad Tantalusem przejął syndyk.

My odstawialiśmy teatr. A oni są winni zaniedbań. Mieliśmy właściwie tylko jeden kontener.

JARKÓW były setki, powiedziałem.

Mieliśmy jednego… Tylko jednego. Był naszą gwiazdą.

5.

No, to chyba były takie czasy, powiedział Ray tego ranka, kiedy Różowa i Fioletowa zostawiły nas samych i staliśmy w deszczu, próbując złapać taksówkę pod gębą Pana Księżyca. Heidl mówił, że brakuje mu gotówki i że musimy odzyskać bankowców, żeby uporządkować swoje sprawy. No to przylatywali w tych swoich garniakach i musieliśmy robić dla nich wielki cyrk – zawoziliśmy ich do Geelong którymś z naszych samolotów, Heidl zabierał ich na pokład helikopterowca, pokazywał łódź podwodną… Ta jebana łódź, nigdy nie wiedziałem, po co ona jest, chyba tylko po to, żeby wozić bankowców na wycieczki.

Mieliście trzy łodzie podwodne, powiedziałem, trzymając plastikową torbę na zakupy nad głową, bo lało coraz mocniej.

Kurwa mać, mieliśmy całą flotę. Pewnie, fajnie było. Podobało mi się. Heidlowi też. Kupował coraz więcej tego gówna – statki, okręty, samoloty, śmigłowce – a potem pewnie pokazywał bankom kilka listów intencyjnych w sprawie nowych kontraktów z agencjami rządowymi i dużymi firmami naftowymi czy wydobywczymi, wszystko jedno. Miał takiego gościa w Melbourne, Geordiego coś tam, on był dobry w te klocki. Nosił tytuł „korporacyjnego konsultanta do spraw komunikacji", będę to pamiętał do końca życia, ale jego zadaniem były fałszerstwa. W każdym razie po wizycie w porcie ci faceci lecieli z powrotem do naszej kwatery głównej w Bendigo, ze dwustu spadochroniarzy urządzało defiladę, a kilku innych wyskakiwało z jednego z naszych samolotów z psami przypiętymi do pasa albo urządzało jakieś podobne popisy.

A potem przychodził moment, który Heidl zawsze uwielbiał. Pokazywał im naszego jedynego JARKA, wypełnionego po brzegi najbardziej zajebistym sprzętem ratowniczym i poszukiwawczym na świecie. Z najwyższej półki. Wartym miliony – superzaawansowana technologia, nie do wiary. W ten jeden kontener za każdym razem pakowano coraz nowocześniejszy i lepszy sprzęt. Kurwa, to było coś. A kiedy nasi goście wychodzili z kontenera, lądował helikopter. Krawaciarze po prostu go uwielbiali. Ziggy im opowiadał, że należał do Idiego Amina, który rzekomo przeżył w nim kilka zamachów. Na dowód pokazywał otwory po kulach, ale

to ja mu zrobiłem te przestrzeliny. Wtedy zwijali się w sobie jak naleśniki, które chcą, żeby je zjeść, i włazili na pokład.

Podjechała taksówka, a gdy wsiadaliśmy, odwróciłem się i zauważyłem, że przez zacinający deszcz gapią się na nas dziwne, martwe oczy Pana Księżyca, cierpliwie trzymającego straż nad rozpadającą się nocą.

10

1.

Słuchasz mnie jeszcze, Kif? – zapytał Heidl.

Unikając jego straszliwych oczu, odpowiedziałem, że tak, i wróciłem na ziemię, do naszego gabinetu, próbując pozbyć się wyrazistego wspomnienia tej otwartej gęby przed wejściem do lunaparku.

No więc lecieliśmy helikopterem na północ, trzymaliśmy się nisko, przelatywaliśmy tu i tam nad jakąś kępką krzaków, nad boiskiem piłkarskim, a one tam stały. Wszystkie.

Znaczy co? – spytałem.

Kontenery, a cóż by innego? Dziesiątki, setki kontenerów, ustawionych jeden na drugim jak klocki Lego. Jak w porcie w Singapurze! Kiedy zaczynaliśmy nad nimi krążyć, tłumaczyłem tym z banku, że JAREK, którego niedawno oglądali, jest wart ponad milion dolarów, co było prawdą, i że na dole widzą kręgosłup ASO, spektakularną inwestycję, dającą kapitalną stopę zwrotu. Co również było prawdą. Wpatrywali się więc w te kontenery, pomalowane na barwy ASO, na pomarańczowo i niebiesko…

Ale JARKI były przecież puste, przerwałem mu.

Tak jest, odparł takim tonem, jak gdybym zauważył, że powietrza nie widać albo że woda jest mokra.

Wszystkie dwieście?

Wydaje mi się, że było ich dwieście siedem. Miałem jednego Chorwata w Geelong, który mi je spawał. Nosił mało chorwackie imię, Otto, ale to on

je nam przygotowywał, po dwa koła za sztukę. To nie były JARKI, nawet nie prawdziwe kontenery, na to okazały się za słabe, po prostu tandetne kopie, tak dla picu.

I mówiłeś bankowcom, że każdy kontener jest pełen takiego samego sprzętu jak JAREK, który im pokazaliście?

Nie. Nie, tego nigdy nie mówiłem. Nie musiałem. To oni tak chcieli myśleć. Że patrzą na przeszło dwieście milionów dolarów w wielkich podłużnych skrzyniach. Pokazałem im jedną pełną z bliska, a potem z góry dwieście siedem pustych. I kiedy krążyliśmy nad nimi w śmigłowcu, w kaskach, ze słuchawkami i mikrofonami, mówiłem przez krótkofalówkę: Proszę, to wszystko nasze! I to była prawda. Oni na to: Czyli wykorzystujecie je w podobnym celu? A ja odpowiadałem, że w najlepszym. Że są cudownym źródłem dochodu, i wystawiałem kciuk. No to oni też wystawiali kciuki. Wyglądały jak szereg wyciągniętych z ziemi marchewek.

Z powrotem na ziemi, już po tej wycieczce, otwierali aktówki i z przyjemnością wręczali mi dokumenty, na podstawie których uruchamiałem u nich kolejną wielomilionową linię kredytową. Podpisywaliśmy to i szliśmy się napić. Zawsze powtarzali, że największe wrażenie robił na nich widok tych pomarańczowo-niebieskich kontenerów na boisku piłkarskim.

Powiedziałem, że dalej nie rozumiem, jak mogło to trwać tak długo, i znieruchomiałem, bo Siegfried Heidl zrobił zdziwioną minę, jak gdybym był najgłupszym człowiekiem na świecie.

Nie rozumiesz? – zapytał, nachylając się nad biurkiem. Wszystko zmyślałem. Codziennie, tak jak ty. Jak pisarz.

Postukał kłykciami o blat.

Przychodziłem do biura. Każdego ranka. Znowu i znowu, i znowu. Zmyślałem coś, a potem jeszcze więcej. I to wystarczyło. Bardziej niż wystarczyło. Po prostu rosło. I wiesz, co się stało? Przez mój gabinet zaczęła przewijać się cała masa ludzi, było ich coraz więcej, bankowców, dziennikarzy, ekip telewizyjnych, komisarzy policji, emerytowanych generałów, dyrektorów, ambasadorów, uczonych akademickich. Zorientowałem się, że im mniej im mówię, tym więcej sami sobie

dopowiadają. Pod koniec nie musiałem już dłużej fantazjować. Byłem dla nich jak prorok. A wiesz, co Tebbe mówi o prorokach?

Nie miałem pojęcia o niczym, o czym mówił Tebbe.

Że najwięksi prorocy mają wyjątkowo niejasne przesłanie. Im bardziej niejasne przesłanie, tym większy prorok.

2.

Przestałem stukać w klawiaturę. Po raz pierwszy prawie mu uwierzyłem. Czy to możliwe, że naprawdę nie było w tej sprawie żadnego CIA, żadnej większej tajemnicy, tylko coś tak oczywistego, że nie mogliśmy tego umieścić w książce?

Właściwie istnieją dwie rzeczywistości, nie? – powiedział, podnosząc palec, by nadać swoim słowom iluzję pewności.

Jest ten gabinet z betonu i stali i jest opowieść pod tytułem STP. I wiesz co? Opowieść o STP jest prawdziwsza i potężniejsza niż beton. Bo beton nie może skruszyć STP, ale STP może skruszyć beton. A to dlatego, że ludzie wierzą w historię STP. Na całym świecie są księgowi, redaktorzy, dyrektorzy i ludzie od sprzedaży, a wszystko, co ich łączy, to wiara, że STP istnieje. Ale ta wiara to opowieść, fikcja.

Muszę przyznać, że się pogubiłem, Heidl natomiast właśnie znajdował swój przewodni motyw dnia.

Posłuchaj, powiedział. Istnieją morza, lądy, zwierzęta i rośliny, i jest opowieść zwana zimną wojną. I mówię ci, ta opowieść o mało nie zniszczyła tych mórz, lądów, roślin i zwierząt.

Ekran monitora zgasł.

Jak myślisz, kim jest biznesmen? Albo polityk? To czarodzieje – zmyślają różne rzeczy. Ludzi łączą jedynie opowieści, nic innego nie mamy. Religia, nauka, pieniądze – wszystko to są tylko opowieści. Australia jest opowieścią, tak jak polityka, religia, pieniądze i ASO. Banki po prostu przestały wierzyć w moją opowieść. A gdy umiera wiara, nie zostaje nic.

Kłamałeś, powiedziałem, wyłączając i włączając komputer, i czekając, aż otworzy się system operacyjny.

A Heidl, co mu się czasami zdarzało, robił coś okropnego: oblizywał wargi, a jego policzek drgał, tik-tak, niczym jakaś niesamowita membrana.

Opowiadałem różne historie.

Nie wszystko jest opowieścią, Siegfriedzie.

A ludzie chcieli ich słuchać.

Kłamałeś, powiedziałem.

Prawda jest opowieścią. Ale dobre wino potrzebuje taniego kieliszka jako naczynia. Prawda potrzebuje kłamstw, bo inaczej nie moglibyśmy jej uchwycić.

Prawda wygląda tak, że polegniesz w sądzie za te kłamstwa.

Nie sądzę, odpowiedział.

Było to beznadziejne. Stukałem w klawiaturę, ale na ekranie nie wyświetlały się żadne znaki. Zrozumiałem, że nic z tego, co mówił, nigdy nie trafi do tych jego wspomnień, bo wspomnienia to seria wybranych kłamstw, a Heidl znów opowiadał coś, co dziwnie zbliżało się do prawdy. Byłem tak oszołomiony, że dostałem mdłości, chociaż może odczułem je dlatego, że kręciło mi się w głowie, nie jestem pewien, po prostu było mi niedobrze, wydawało mi się, że wpadłem przez jakiś portal do innego świata i znalazłem się w nowym wcieleniu, zaczynałem bowiem myśleć jak Heidl i coś z Heidla stawało się…

Cud to jesteśmy my, usłyszałem jego słowa. Bóg stworzył ten świat, ale człowiek codziennie sam stwarza siebie na nowo. A opowieści łączą nas na tak długo, jak długo w nie wierzymy.

I przez króciutką chwilę dziwnie wydało mi się, że widzę wszystko, całe moje życie aż do tego momentu, i przyszłość, wszystko, w tym nędznym, nieszczęsnym dyrektorskim gabinecie, wśród regałów z laminowanej płyty i lśniących pism ilustrowanych, które nawet w jasnym fluorescencyjnym świetle blakły już i przybierały nostalgiczne barwy – żółcień gnijących trzewi, zatraconą zieleń starej zgnilizny i rdzawy kolor skrzepłej krwi – jak rozbryźnięty mózg umierającego potwora.

A potem? – zapytałem.

A potem siadasz z wynajętym pisarzem i szukasz nowej historii.

3.

Jeżeli można powiedzieć, że Heidl bywał w pracy, to zwykle trzymał się normalnych godzin biurowych, przychodził najczęściej o dziesiątej rano i wychodził o piątej. Ponieważ koszty telefonicznych połączeń międzystanowych były dość wysokie, dzwoniłem do Suzy z aparatu służbowego, kiedy Ziggy'ego nie było. Następnego ranka zatelefonowałem do domu, zanim Heidl przyjechał. Czekałem, aż Suzy odbierze, a woń słuchawki telefonu, zalatującej jak zawsze jego płynem po goleniu, czymś pomiędzy środkiem czyszczącym i talkiem dla niemowląt – Siegfried pachniał jak właściciel zakładu pogrzebowego – była tak intensywna, że musiałem trzymać ją możliwie najdalej od nosa.

Odebrała Bo. Zaśpiewała dla mnie przez telefon, a potem płaczliwie spytała, kiedy wrócę. Usłyszałem, jak Suzy mówi wierszyk i obiecuje małej, że jeśli pozwoli jej teraz porozmawiać z tatusiem, to pójdą później do parku.

Powiedziała, że wczoraj przestraszyła się u ginekologa. Drobiazgi. Właściwie nic. Ale się bała. Rozpłakała się, kiedy spytałem, dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniła. Odparła, że myślała, że jestem bardzo zajęty. Bała się, że nabije nam rachunek telefoniczny. Nie chciała zawracać mi głowy. Są pierwsze symptomy, które mogą wskazywać na stan przedrzucawkowy. To właściwie nic.

Zapisałem nazwę choroby, żeby później sprawdzić, co to takiego.

Na razie nie ma się czym przejmować, powiedziała Suzy; lekarz nie był zmartwiony i ona też się nie martwi.

I znowu się rozpłakała.

Gdy przyjechali Heidl i Ray, nie powiedziałem im nic o rozmowie z Suzy, tak jak nigdy nie mówiłem nic Heidlowi o sobie i swojej rodzinie. Było późne przedpołudnie – pisałem, Heidl czytał gazetę – kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Sekretarka przyniosła mi złożoną na pół kartkę.

Rozłożyłem ją. Była to napisana odręcznie wiadomość od Paleya.

„Kif, dostałem twoją informację o procesie H. Nie musisz dostarczać mi planu na jutro. Napisz tylko jak najszybciej możliwie najlepszą książkę. GP".

Czego Gene chce? – spytał Heidl, odkładając gazetę.

To nie jest wiadomość od Gene'a, odparłem.

Wbił we mnie wzrok. Spanikowałem.

Tylko od mojej żony, powiedziałem głupio.

Wiesz, pewnego dnia, odezwał się, podnosząc z biurka jakąś kartkę i wpatrując się w nią, chętnie poznałbym Suzy i... Urwał, odłożył kartkę, jego usta ułożyły się w okrągły uśmiech, a potem wyrzucił z siebie to imię niczym kulę: Bo.

Zadrżałem mimo woli. Skąd zna jej przezwisko? Jak się dowiedział?

Tak, usłyszałem jego głos.

Pomimo ostrożności, pomimo tego, że bardzo się starałem, by nie dać mu dostępu do swojego prywatnego życia, zdałem sobie sprawę, że Heidl powoli i nieubłaganie zbiera informacje na mój temat.

Wiesz, bardzo bym chciał... powiedział.

Nie pozwoliłem, by na mojej twarzy pojawił się jakikolwiek wyraz zrozumienia czy emocji.

Poznać twoją córeczkę.

Złamałem się. Ze strachu albo ze złości, nie wiem.

Brigid, powiedziałem chłodno. Na imię ma Brigid.

Pięknie, stwierdził Heidl. A Suzy? Ile jej zostało do urodzenia bliźniaków? Bo to już chyba naprawdę lada chwila. I pewnie jest jej ciężko, skoro ty siedzisz tutaj, a ona... Tam.

Miałem dość. Upłynęły już dwa tygodnie z pięciu, jakie zostały nam na ukończenie pracy, a ja dysponowałem niewiele więcej niż kilkoma notatkami, paroma nietworzącymi żadnej całości stronami tekstu, ale ani w głowie, ani na papierze nie dysponowałem spójną odpowiedzią na pytanie, o czym ta książka ma być. Bez żadnego powodu pomyślałem o mrocznych opowieściach o tym księgowym Heidla, Bretcie Garretcie.

Nad Ziggym wisiał cień jego niewyjaśnionego zniknięcia, ale największy oszust w historii Australii najwyraźniej wcale nie chciał go rozproszyć.

Myślałem o tym, Kif… No, nawet więcej, niż myślałem. Rozmawiałem dzisiaj wcześniej z Paleyem, że to ja powinienem jeździć do Tasmanii, nie ty przyjeżdżać tutaj. Wtedy mógłbyś być blisko Suzy.

Nie ma takiej potrzeby, odpowiedziałem. U Suzy wszystko w porządku.

Och, nic u niej nie jest w porządku, stwierdził Heidl. Prawda, Kif?

Poczułem ukłucie paniki. Co on wie?

Masz sporo problemów. A Gene się zgadza.

Na co?

Żebym może pojechał na Tasmanię skończyć książkę.

Nie trzeba, powiedziałem.

Och, trzeba. Wierz mi, Kif. Trzeba. Możemy pracować, gdzie będzie ci wygodnie – w moim pokoju hotelowym, u ciebie w domu, gdziekolwiek będziesz się czuł najswobodniej.

To bardzo miło z twojej strony, odpowiedziałem. Ale tu jest mi wygodnie.

I będzie mi bardzo przyjemnie poznać bliżej ciebie i twoją rodzinę, ciągnął Heidl. Jak czuła się Suzy rano, kiedy do niej zadzwoniłeś?

Pisałem dalej.

Ginekolog, powiedział Heidl. Są powody do zmartwień?

Wpatrywałem się w ekran, żeby nie widział mojej twarzy. Nie mógł wiedzieć. A przecież czy coś mówiłem, czy nie, czy patrzyłem mu w oczy, czy unikałem jego spojrzenia, każdy mój gest tylko pomagał tworzyć złowrogą atmosferę, wskazującą, że jesteśmy wspólnikami, i ciągnącą nas ku przeznaczeniu, które dostrzegałem jedynie bardzo mgliście.

Stan przedrzucawkowy, powiedział Heidl. Paskudna sprawa.

Zaczęło się.

To niepokojący objaw, dodał.

Powoli przejmował władzę nade mną.

Zacząłem nową serię pytań.

Muszę coś wyjaśnić, powiedziałem, nawet jeśli to nie wejdzie do książki.

Oczywiście, odparł Heidl.

Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby go powstrzymać, ale spróbowałem.

Czy kazałeś kiedyś kogoś skasować?

Nie wiem, dlaczego zadałem to pytanie. Nie wiem, dlaczego użyłem eufemizmu „skasować" zamiast „zabić". Brzmiało to melodramatycznie, jak słowo skradzione z kina, i zrobiło mi się głupio. Ale moje zakłopotanie sprawiło, że tylko jeszcze bardziej rozzłościłem się na Heidla.

Myślisz, że moje wspomnienia powinny mieć taki charakter? – zapytał.

Nie o to pytałem, odparłem przenikliwym głosem. Odpowiedz mi!

Wyczuwałem w sobie coś nienazwanego. Coś, co puchło. Rosło. Nie byłem w stanie nad tym zapanować.

Odpowiedz! – wrzasnąłem nagle. Odpowiedz mi! Odpowiedz!

Rozparł się na fotelu i mierzył mnie wzrokiem, jak gdybym był zwierzęciem w ogrodzie zoologicznym, prawie jakby to on pisał książkę o mnie.

Bo muszę wiedzieć! – usłyszałem swój krzyk. Odpowiedz! Muszę wiedzieć!

Na litość boską, Kif, powiedział z uśmiechem. Byłem dyrektorem przedsiębiorstwa, nie Don Corleone.

Ale jak zawsze sprowokował mnie do tego, żebym sam odpowiedział na swoje pytanie.

4.

Tak właśnie postępował: pozwalał ludziom tworzyć kłamstwa ze swojej prawdy. W obliczu faktu, że staję się jego wspólnikiem, dałem spokój i przestałem gadać. Poza tym wyczerpała się moja energia, skończyły mi się pytania, nie miałem więcej siły, żeby naciskać. Pomimo nalegań Paleya i własnej desperacji nigdy nie skończę tej książki. Zaczynałem rozumieć jasno, że chociaż Heidl mnie tu sprowadził, wcale nie wynika z tego, że

naprawdę chce skończyć swoje wspomnienia. Jeśli w ogóle coś z tego wynikało, to raczej, że nie chce. Obawiałem się, że siedzi tutaj ze mną tylko po to, aby wywrzeć na Paleyu dobre wrażenie, udając, że próbuje skończyć książkę na czas, chociaż prawda wyglądała zupełnie inaczej. Zdałem sobie sprawę, że Siegfried niejako genetycznie nie jest w stanie uwiecznić żadnego szczegółu na papierze. Poza tym nudziła go ta praca; w dodatku chodziło o książkę, historię i potomność, a wszystkie te rzeczy, jak już się dowiedziałem, nie miały dla niego jakiegokolwiek znaczenia.

Tak czy inaczej, cokolwiek mi do tej pory powiedział, w większości przypadków nie nadawało się do wykorzystania. Mniej doświadczeni blagierzy poszukiwaliby w swoich kłamstwach spójności. Życie jednak nigdy nie jest spójne i w pewnym momencie, na długo, zanim go poznałem, Heidl zrozumiał, że niesłychana niedorzeczność jego bujd jakimś alchemicznym sposobem stanowi ich najbardziej przekonujące potwierdzenie. Mój problem polegał na tym, jak wprowadzić ład w te niedające się uporządkować wspomnienia. Heidl znał wszystkie interesujące opowieści niczym Pan Bóg, ale książka musiała sobie poradzić z tymi, które były choć trochę wiarygodne i możliwe.

Siedziałem w milczeniu. A wtedy Heidl, niemal jakby wiedząc, o czym myślę, wkroczył w tę otchłań, która się przed nami rozwarła. W końcu zaczął mówić o przeszłości. Jego opowieści nie ujawniały wiele, były jednak intrygujące, nawet trochę przydatne, a on gadał i gadał. Gadał niczym potok, który wylewa po suszy, więc opowieści Siegfrieda pływały po całym pokoju, a wskazówki zegara poruszały się coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie nastało późne popołudnie, potem wczesny wieczór, a w końcu zza pozbawionych zasłon okien przyszedł na nas ochrowy kataklizm zmierzchu, który zmieniał się w katastrofy koloru i cieni, gdy zapadła noc, i ten kiczowaty gabinet stał się miejscem metafizycznego zadziwienia.

A Ziggy mówił dalej.

Niektórzy snują opowieści lekko, jak kłusak, za którym mknie mała dwukółka. Inni są jak słoń, noga za nogą wlokący się pociąg, który wprawdzie powoli, ale jednak się porusza. I wreszcie są naprawdę wielcy opowiadacze jak Heidl. Dosiadają słuchacza, który galopuje coraz szybciej, myśląc zawsze tylko, że właśnie tego chce, i nie uświadamia sobie – dopóki nie jest o wiele, wiele za późno – że na grzbiecie siedzi mu jeździec,

zajeżdża go na śmierć, i że nie ma sposobu, aby jego opowieść nie stała się nim: słuchaczem.

5.

Stałem w nocnym świetle miasta, szykując się do wyjścia z pracy, i przypomniałem sobie, jak Ray i ja za młodych lat poszliśmy na polowanie, uzbrojeni w pułapki, sidła, fretki i karabiny kaliber dwadzieścia dwa. Byliśmy jeszcze dziećmi, jeden z nas miał dziesięć, drugi jedenaście lat. Zabijaliśmy ptaki, króliki, oposy, wombaty i wszystkie inne nieszczęsne stworzenia, jakie nawijały się nam na celowniki. Można się było zdziwić, jakim zwierzętom odbieraliśmy życie i przysparzaliśmy cierpień. Kiedy nie udawało się nam niczego znaleźć, strzelaliśmy do krów, które potem na pewno bardzo męczyły się od ran. Mieliśmy jakieś mgliste poczucie zła, ale naprawdę bardzo mgliste i często nieobecne; a kiedy się pojawiało, było niebywale ekscytujące, kolejne dorosłe tabu, które możemy złamać. Przede wszystkim fascynowały nas świat, nasze życie, wolność i to, jak umierały zabijane zwierzęta; a umierały różnie. Krew sączyła im się z kącików pyska, ciemne oczy zachodziły mgłą, drżały im łapy, ciała przeszywały skurcze. Często staliśmy nad umierającymi ofiarami jak zaczarowani.

Nie przychodziło nam do głów, że jesteśmy panami śmierci, kiedy śmialiśmy się, przebiegając łąki i lasy. Obserwowanie umierającego zwierzęcia było często fascynujące, ale bardzo szybko o nim zapominałem, wspomnienia tamtych dni powróciły dopiero teraz, nocami, gdy leżałem na podłodze u Sully'ego, czując, jak wzbiera we mnie Melbourne. Najlepiej pamiętałem jednak poczucie wolności.

Było takie piękne! Teraz już zniknęło i wydaje się, że nigdy go nie miałem. Widzę słońce z tamtych dni, wstające nad wciąż nową planetą, kiedy wyruszaliśmy o świcie, rozświetlało białą mgłę, w jakiej szliśmy, dopóki nie zaczynała połyskiwać, a potem ustępowała i znikała raptownie, pozostawiając po sobie tak jaskrawe światło, padające na obrysowane szronem pastwiska, że zamykaliśmy oczy i po prostu szliśmy w jego

kierunku. Nadal czuję wilgoć długiej trawy i jak powoli przemakały mi buty i marzły nogi, choć słońce grzało w twarz, widzę zieleń buszu, czerwień oleistej ziemi, wyglądającej na coś nadającego się do zjedzenia, i pamiętam przemożny cud strumyczka, w którym brodziliśmy, pnąc się pod górę. Plusk wody, przelewającej się w idealnie prostej linii nad leżącym w poprzek nurtu pniakiem. Słyszę go. Piękne, święte rzeczy, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Co się stało?

Jeśli zabijanie było formą zdobywania wiedzy, to w pewnym momencie przestało nas ciekawić i robiło się nudne, i wtedy odchodziliśmy, pozostawiając umierające zwierzę samemu sobie. Ale nie zawsze – przypominam sobie, jak postrzeliłem kiedyś brnącego przez łąkę wombata. Podbiegliśmy do niego, patrzyliśmy zafascynowani na krew, zbierającą się na jego gęstym futrze, i na cienką strużkę krwi, wyciekającą mu z pyska, na wciąż widzące oczy; trudno było powiedzieć, czy zdawał sobie sprawę z naszej obecności, ale zapewne miał świadomość istnienia czegoś nieskończenie większego i ważniejszego niż on.

Przyglądaliśmy mu się w milczeniu. Nie chciał umierać.

Idę stąd, powiedział Ray. On mi się nie podoba.

A ja zostałem, wpatrzony w wilgotny, skórzasty, kurczący się i rozkurczający w nienaturalnym rytmie nos z trudem starającego się oddychać zwierzęcia. Jego duże czarne oczy tkwiły wbite w ziemię. Mimo to nie chciał umrzeć.

No chodź, zawołał Ray.

Była to tajemnica, którą sprowadziliśmy do rozmiarów współmiernych z naszą potrzebą wiedzy. Chociaż tacy młodzi, nade wszystko pragnęliśmy wiedzieć, czym jest śmierć, bo nagle rozległ się donośny huk, zwierzę szarpnęło się i gdy podniosłem wzrok, okazało się, że to Ray z bardzo bliska strzelił wombatowi w głowę.

Kurwa jego mać, powiedział, pozwól umrzeć tej jebanej piździe. Co ty, chory jesteś?

6.

Czasami myślę, czy te wszystkie zwierzęta, którym odebrałem życie, myślą o mnie. O tym, jak nad nimi stoję i patrzę na ich agonię. Czasami widzę, że się nade mną gromadzą. Choć staram się tego nie widzieć. Tłoczą się wokół mnie, ptaki, ssaki i ryby, a ja coraz bardziej boję się zamknięcia, ograniczonych przestrzeni, wind, podróży samolotem i tłumów, bo te stworzenia pochylają się nade mną, wciskają mnie w ziemię i duszą, uporczywie spuszczając przy tym wzrok.

Teraz nocami ruszają się meble w sypialni, ożywają, zmieniają się w te zwierzęta i znowu po mnie idą. Suzy chce ze mną żyć. A ja miałem problemy, żyjąc sam ze sobą. Wiecie, zawsze coś zostaje. Coś żywego. Zawsze. Trudno powiedzieć co. Ale to coś jest prawdziwe. Dlatego się trzymamy, robimy swoje. Ludzie zawsze mnie o to pytają: Dlaczego? Dlaczego ciągle robisz to, co robisz? No wiesz, te programy, ciągle jakiś nowy serial, kolejny projekt, a przecież mógłbyś po prostu przejść na emeryturę. Więc po co? A ja odpowiadam: Bo to uwielbiam. Kto nie chciałby tego robić?

Prawda wygląda jednak tak, że gdybym przestał choć na moment i pomyślał o tym, jakie rzeczy robiłem w swoim życiu, to musiałbym się zabić.

I może Heidl też się tego bał.

Stałem przy oknie w gabinecie, przyglądając się nieskończonym światłom, gdy zaczął padać deszcz. Uświadomiłem sobie, że zrobiło się późno. Światła stały się niewyraźne, a moje myśli gdzieś się w nich zagubiły. Ponure równiny Port Melbourne przeszły z monotonii w bujne morze złota i czerwieni, a potem w oślepiającą czerń, nakrapianą światłami samochodów, placów budowy i dźwigów, przeraźliwych bieli, czerwieni, błękitów i żółcieni, we wstrząs ruchu jako koloru, piękna, niczym podziemny świat zmarłych, gdzie w końcu godzą się z sobą ciemność i światło, dobro i zło. Czułem się tak zagubiony, jak jeszcze nigdy w życiu, a jednocześnie upojony czymś, co wydawało mi się uwodzicielskie i piękne, czymś, co było zarazem moim losem, kiczowatym gabinetem dyrektorskim i tym nocnym miastem, ale nie dawało się wyjaśnić.

Poczułem falę ciepłego powietrza bijącą z kaloryferów, lekko słodki i przy tym mdlący zapach zgnilizny, a niżej od czasu do czasu po ulicy sunęły jakieś postaci niczym nieugięte i pewne siebie tajemnicze duchy.

Dotarło do mnie, że Heidl dość dawno wyszedł.

Odwróciłem się, podszedłem do jego biurka, sięgnąłem po telefon i trzymając słuchawkę jak najdalej od twarzy, żeby nie wypić z niej za wiele Heidla – jego zapachu oraz zapachów i odgłosów całej zgrozy świata, która w każdej chwili mogła wezbrać i mnie zadławić – już miałem zadzwonić do Suzy, kiedy koło starannie złożonej gazety zauważyłem kartkę. Podniosłem ją. Były na niej dwa słowa: „stan przedrzucawkowy". Inna ręka postawiła obok sporego „ptaszka".

Chciałem odłożyć kartkę, kiedy spostrzegłem, że na odwrocie też jest coś napisane. „Brett Garrett". Imię i nazwisko księgowego przecinała zielona, pojedyncza kreska.

11

1.

Zdarzało mi się u Sully'ego, że chociaż był już wieczór, a Heidl daleko ode mnie, wstawałem, podchodziłem do okna, wyglądałem zza zasłon na ulicę i dopiero kiedy nabierałem pewności, że nikt mnie nie obserwuje, wracałem na kuchenne krzesło, do salonu, żeby tonem spiskowca przeciwko władzy rozmawiać szeptem z moim gospodarzem. Czy Ziggy zabił człowieka? Czy był do tego zdolny? Któregoś wieczoru powiedziałem Sully'emu, że moim zdaniem Heidl jest tchórzem, chociaż nie miałem na to żadnych dowodów.

Tchórzem? – spytał Sully, wysmukła postać rozparta w swoim ulubionym, starym, podartym i poplamionym fotelu; w palcach mojego gospodarza tlił się dżoint, a nieposłuszna siwa brew sterczała nad lewym okiem, przekreślając pomarszczoną twarz cienką kreską. Zastanawiał się przez jakiś czas, zanim odpowiedział. Stwierdził, że tchórza trzeba się bać najbardziej, bo nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobił, aby udowodnić sobie i innym, że jest odważny.

Mimo woli zastanawiałem się, czy mówi o Heidlu, czy o mnie.

Późnymi wieczorami, skończywszy robić notatki, piłem z Sullym piwo i wino, wypalałem blanta albo dwa, kładłem się na podłodze w jego salonie na swoim piankowym materacu i wytartym dywanie, a potem zdejmowałem jakiś tom z otaczających mnie płytkich półek domowej roboty, jak wszystkie dobre biblioteczki stanowiących chwiejną mieszaninę układanych bez ładu i składu książek, pocztówek, blaknących

pamiątek i znikających wspomnień, które rozjaśniały się na chwilę niczym wyciągnięte z kominka, owiewane wiatrem gasnące węgle.

Znalazłem w biblioteczce Nietzschego, szukałem go, bo ciągle przytaczał go Heidl. Zasypiałem nad Nietzschem w cieniach i świetle kołyszącego się jak egzotyczna tancerka płomienia świecy, zatkniętej w butelce po winie musującym. Noce były wtedy cudownie nieprzeniknione i gdy czytałem, ożywali we mnie umarli. Wydawało mi się możliwe coś, co nigdy potem już by możliwe nie było, czasem boleśnie uderzałem się po ciemku o jakiś mebel, wiedziałem jednak, że żyję.

Sully był poetą, piszącym na wyjątkowo minorową nutę, jak prawie każdy, komu w młodości w Melbourne na początku lat siedemdziesiątych dokuczał złośliwy wpływ Charles'a Baudelaire'a, Williama Burroughsa i Richarda Brautigana. Używał takich słów jak „łzawość" czy „katzenjammer" i wiązał koniec z końcem, pracując jako archiwista w radzie miejskiej Melbourne. Uważał, że ludzie nie doceniają poczucia humoru Nietzschego.

Nikt nie pisze jak on, powiedział. Po spotkaniu z człowiekiem religijnym zawsze czuję, że muszę umyć ręce. Nieźle, co? Czy człowiek jest pomyłką Boga? Czy to Bóg jest jedną z pomyłek człowieka? Dobre, nie?

Sully uważał Nietzschego za kogoś w rodzaju wyjątkowo bezczelnego komika, który zawsze przekracza granice dobrego smaku, żeby zobaczyć, jak daleko może się posunąć.

Odpowiedziałem, że być filozofem w Niemczech pod koniec dziewiętnastego wieku to chyba nie to samo, co występować w jakimś barze w Melbourne.

Sully twierdził, że ludzie nie rozumieli, że Nietzsche jest zabawny.

Zauważyłem, że może sam Nietzsche nie zdawał sobie z tego sprawy.

A Sully sypał jego aforyzmami z pamięci jeden po drugim, jak gdyby to były dowcipy.

Wystarczy się przejść po domu wariatów, aby się przekonać, że wiara niczego nie dowodzi. Co żyje, jest tylko rodzajem tego, co martwe, i to bardzo rzadkim. Kłamstwo jest warunkiem życia. Uwierzę tylko w boga, który umie tańczyć. W niebie brak wszystkich interesujących ludzi[4].

Zastanawiam się, czy Nietzsche nie oszalał i nie zaczął rozmawiać z końmi dlatego, że nikt nie zdawał sobie sprawy, jak poważny był z niego humorysta, zakończył mój przyjaciel.

Był znacznie starszy ode mnie; powiedział, że ostatnio miewa zawroty głowy, że dupa mu wysiada i nie może nigdzie wyjść bez wetkniętego między pośladki zwitka papieru toaletowego. Mówił bardzo spokojnie.

Sram pod siebie, jak się śmieję, sram pod siebie, jak płaczę, a kiedy poznaję kobietę, muszę wyjść, zanim zacznę się śmiać i płakać jednocześnie, bo strach mnie ogarnia, że się kompletnie, kurwa, skompromituję. Mam wrażenie, że spadam coraz niżej. Tyle jest na świecie okropności, a moja praca nie ma żadnego znaczenia; nic nie zmieniła na lepsze. Jak to wytłumaczysz, Kif?

Nie mogłem tego wytłumaczyć, bo nie istniało żadne wytłumaczenie. Podsunąłem mu tylko dobrotliwe zapewnienia, kłamstwa i pociechy cienkie jak wytarty dywan. Leżąc w mroku, zobaczyłem w Sullym swoją przyszłość i zrozumiałem, że nie chcę skończyć jak on, pogardliwie odtrącony twórca. Jego świat ostatecznie okazał się iluzją. Realny wydawał się jedynie świat Heidla. Bóg mimo wszystko nie tańczył. Najbardziej interesujący ludzie siedzieli wszyscy w piekle.

2.

Budziłem się na dudnienie ożywającego miasta, wzbijające się przez drewniane belki, podłogę i piankowy materac, a zaraz potem, jeszcze oszołomiony, wsiadałem do samochodu i jechałem do pracy, wyprzedzałem tramwaje na tłocznych ulicach i wjeżdżałem na Esplanade, gdzie z zimowej szarości Melbourne wyłaniał się na chwilę inny świat, świat morza, piasku i palm, a na jego końcu ziała otchłań otwartej gęby Pana Księżyca; widziałem jego olbrzymie, martwe oczy, które, jak mi się wydawało, śledziły mnie przez całą drogę do pracy.

Heidl spędzał czas w gabinecie, wisząc na telefonie, uzgadniając warunki umowy z „Woman's Day" albo telewizją śniadaniową na wywiady,

w których obiecywał zdradzić widzom nowe rewelacje, albo spotykał się z dziennikarzami i z każdym, na kim pragnął zrobić wrażenie, jak gdyby wciąż był kimś ważnym, a nie zwolnionym tymczasowo za kaucją hochsztaplerem, który za chwilę runie na samo dno.

Nawet jak przy biurku posadzisz trupa, to ludzie będą w nim widzieli swojego przełożonego, powiedział mi wesoło, kiedy odkładał słuchawkę po kolejnej rozmowie z dziennikarzami. Widocznie wpatrywałem się w niego uporczywie, po chwili bowiem dodał:

Nie trzeba, żebyś wspominał Gene'owi o tych telefonach.

Od procesu i więzienia dzieliło go zaledwie kilka tygodni, więc złamanie warunków umowy wydawniczej zapewne niewiele dla niego znaczyło. Mimo to chyba wyczytał coś w wyrazie mojej twarzy, ponieważ uśmiechnął się i z widomą dumą, która wyglądała nie na miejscu, oznajmił, że na każdego oszusta przypada tysiąc idiotów, pragnących dać się oszukać.

Jeśli ten projekt to taka tajemnica, to dlaczego godzisz się na wywiady z co drugim dziennikarzem w tym kraju?

Nie opowiadam im o naszym projekcie. To oni mówią różne rzeczy, a ja im przytakuję. Poza tym to moje życie.

Właściwie wcale nie miał racji, w każdym razie moim zdaniem, bo życie Ziggy'ego było moją robotą, do której szybko wróciłem. Czas spędzany z Heidlem zaczął się stawać dziwnie halucynacyjny, jeden dzień przesączał się w drugi i nie wiedziałem już, czy mamy trzeci dzień drugiego tygodnia czy drugi dzień trzeciego, a Siegfried odstawiał swoje przedstawienia, popisywał się, nudził, robił uniki, udawał głupiego, zagniewanego, zirytowanego albo po prostu rozwiązywał krzyżówki. Nie pojechałem do Hobart, na żądanie Paleya pracowaliśmy przez cały weekend i weszliśmy w czwarty tydzień – a mówiąc precyzyjniej, ja próbowałem pisać, Heidl natomiast wchodził i wychodził z naszego pokoju, pozostawiając mnie i książkę w spokoju smugi cienia małego monochromatycznego morza monitora mac classic.

Czasami wyszczerzał zęby w uśmiechu, jak gdyby wiedział coś, czym nigdy z nikim się nie podzieli. Niekiedy zdawał się zagubiony w nieodgadnionych myślach. Pomimo złych przeczuć w takich chwilach wyczuwałem w nim mądrość, której sam nigdy nie poznam, ale którą chcę

usłyszeć. Wydawał mi się nie do wytrzymania ze swoimi niezliczonymi banialukami i bezsensownymi dygresjami. W duchu nie mogłem jednak zaprzeczyć, że jego pełne samozadowolenia i przebiegłości milczenie daje świadectwo tajemnicy, w którą, jak się okazało, chciałem wkroczyć, by dzielić ją razem z nim.

3.

Któregoś takiego właśnie dnia jak ze snu, kiedy rozmawialiśmy o upadku ASO – albo raczej kiedy próbowałem nawiązać rozmowę na ten temat – Heidl zapytał mnie, czy widziałem kiedyś trupa; była to z jego strony odzywka typu *non sequitur*. Stosował je czasami i właściwie nie można było udzielić na nie żadnej odpowiedzi.

Zostało nam już mniej niż dwa tygodnie. Czas nie uciekał, tylko pędził z prędkością światła. To, co Heidl mówił teraz, zaczęło wyglądać inaczej, zaostrzyło się. Tokso i jego inne obsesje zbladły, zastąpiły je rozmowy o nadchodzącym krachu, o potajemnych podstępach, firmach-przykrywkach, grozie zimnej wojny, śmieciowych obligacjach z lat osiemdziesiątych i pewnej ważnej figurze – Siegfriedzie Heidlu – który zawsze był samotnym wilkiem i działał dla dobra ogółu.

Widziałeś kiedyś konającego w męczarniach człowieka? – naciskał.

Słuchając go, zrozumiałem, że nie wiem kompletnie nic. Próbowałem się pocieszać, że jestem tu tylko kronikarzem wydarzeń, ale wydawało mi się nie w porządku, że nie znam tego świata, o którym mówił, manipulowanego przez jakąś straszliwą ciemność, mogącą się manifestować jako tajna organizacja policyjna, tyrańska władza, międzynarodowa korporacja albo szemrany bank handlowy. Nie chodziło zresztą o jej formy. Chodziło o tego ducha, ożywiającego mrok, który zdawał się rządzić światem Heidla i zaczynał przenikać do moich myśli.

Czasami łapałem się na tym, że mam ochotę się wtrącić. Istniały tysiąc i jedna rzecz, o których nie miałem pojęcia – jak Hmongowie, pranie

brudnych pieniędzy albo ulubiony pistolet Carlosa zwanego Szakalem – ale moja postawa nie dlatego była taka żałosna.

Nie; najbardziej żałosna była służalcza wdzięczność, którą okazywałem, kiedy Siegfried – przyjmując ton mentora, wprowadzającego mnie w arkana mrocznego świata szpiegostwa, broni i przemocy – dorzucał jakiś drobny szczegół w taki sposób, że czułem się, jak gdyby był poniekąd moim wielkodusznym przełożonym.

Powiedziałem sobie, że nigdy nie widział umierającego człowieka. Ale jego martwe oczy nagle na mnie spojrzały i zrozumiałem, że mnie obserwuje, że zagląda mi w duszę, i wtedy już nie byłem taki pewien, kto blefuje, on czy ja. Starałem się wciągnąć go do pracy nad książką, on jednak chciał, żebym myślał, że oglądał trupy, i nic sobie nie robił z moich starań. Usta Heidla układały się jak do uśmiechu, przedni ząb wystawał niczym nagrobek, a moje zdania zaczynały się rozpryskiwać i gubiłem się w nich, tak jak we własnych myślach. Słyszałem, kiedy powiedział, że rozumie i wie, że książki są dla mnie ważne.

Ale jeśli zobaczysz, jak człowiek powoli umiera, oświadczył, na żadną książkę już nigdy nie spojrzysz tak samo, jak przedtem. Myślisz, że na świecie chodzi o sukcesy, postęp. Wcale nie. Chodzi o porażki. Jedyny cel w życiu to być bitym przez coraz potężniejszych przeciwników, aż wreszcie twoja śmierć staje się nieuchronna.

Zrobił chytrą minę i ponownie się nim zachwyciłem. Zaniemówiłem, czułem się oszołomiony, wykiwany – często mi się to zdarzało w jego obecności. Gorzej: poczułem się głupi. Zawsze kiedy mówił takie rzeczy, bałem się, że mimo jego nieskończonych oszustw jest w tym wszystkim autentyczne przeżycie, może coś więcej lub mniej – jakaś istota rzeczy – co powinienem uchwycić w tych wspomnieniach.

Niestety, owa istota znikała razem z moją wiarą we własne umiejętności, gdy próbowałem dobrać odpowiednie słowa, żeby ją przelać na papier. W obliczu tak obłąkanej bezkompromisowości książka zdawała się oddalać bardziej niż kiedykolwiek. Powiedziałem mu, że jeśli do końca piątego tygodnia nie będziemy mieli nadającego się do dalszej obróbki tekstu, to żadnych wspomnień nie będzie, nie będzie też więc kolejnych rat wypłaty.

Nie chciał mi w to uwierzyć.

Gene zapłaci.

Nie rozumiesz? Nie będzie więcej forsy.

Zapłaci.

Może dla ciebie nie jest to oczywiste, ale dla mnie jest. Nie zapłaci.

4.

Coraz trudniej przychodziło mi przebywać w bezpośredniej bliskości Heidla. Wszystko, co miało z nim związek, budziło we mnie obrzydzenie, jego porośnięte czarnymi włosami serdelkowate paluchy, nos, uszy i usta, w których zmieściłby się księżyc. W Siegfriedzie kryła się pewna nieznośna zmysłowość, jaką czasami widuje się u zwierząt. Kiedy nachylał się do mnie bardzo blisko, wpadałem w zakłopotanie. Nie miałem pewności siebie czy czego tam było trzeba, odwagi albo pogardy, by zrobić krok do tyłu i wycofać się z dziwnego kręgu zapachu jego wody po goleniu z lat osiemdziesiątych i niskiego, nieco kobiecego głosu, który zawsze mnie zmuszał, żebym się z nim zgodził, choćbym był całkowicie przeciwnego zdania. Bałem się, że może mnie polizać jak pies albo pocałować.

Wiem, że brzmi to tak, jak gdyby emanował jakąś chorą, skrywaną seksualnością. Nie o to jednak chodziło, albo może był to tylko jeden z aspektów czegoś ważniejszego, co mnie przerażało. Czegoś większego niż jego bezdenne oczy, zawsze patrzące gdzieś indziej, a mimo to zawsze na ciebie. W jego towarzystwie czułem się jak człowiek zamknięty w pokoju, gdzie siedzi wściekły pies, czekający na chwilę nieuwagi, żeby rozedrzeć ofiarę na strzępy. Z jakiegoś bardzo ważnego powodu Heidl musiał posiąść każdego, z kim się spotykał. Czasami bardziej przypominał zarazę niż istotę ludzką. Wydawało się, że tak jak mówił Ray, potrafi wniknąć w duszę człowieka, a kiedy już w nią wniknął, nie można było się go pozbyć.

Moja fizyczna niechęć do Ziggy'ego była tak silna, że kiedy musiałem iść do toalety, korzystałem z łazienki dwa piętra niżej, żeby nie chodzić w to samo miejsce, co on. I właśnie wracając rano z mojego WC, zobaczyłem

Paleya, który nadchodził ku mnie korytarzem. Często nawet się nie zatrzymywał, tylko kiwał mi głową na powitanie, ale tym razem przystanął, zapytał, gdzie jesteśmy z książką, i natychmiast dodał w sposób, który uznałem za irytujący, że „nie ma ciśnienia", chociaż reakcja księgarzy na ogłoszenie zbliżającej się publikacji wspomnień Heidla przeszła najśmielsze oczekiwania wydawnictwa.

No to co, wyszliśmy już na prostą, Kif? – zapytał na zakończenie.

Odparłem, że tak. I dodałem, że nawet kilka razy.

A Siegfried? Daje nam dobry materiał?

Odpowiedziałem, że tak.

Nie wyglądał na całkiem przekonanego.

Dorzuciłem, że Pia Carnevale jest zadowolona z postępów w naszej pracy.

Paleya wkurzyła ta uwaga.

Pia jest wspaniałą redaktorką... Ale czasem trochę za delikatną. Nie sądzisz?

Nie sądziłem. Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy, na wszelki wypadek jednak się z nim zgodziłem, bo był to punkt widzenia Gene'a Paleya, a w jego obecności cudze opinie po prostu nie istniały.

Irytacja minęła i Paley zapewnił mnie, że chociaż Pia nie jest Maxem Perkinsem[5], to będzie „więcej niż odpowiednią osobą" w niezbędnej dalszej opiekuńczej pracy nad książką i że mogę mieć do niej pełne zaufanie. Rzecz jednak w tym, ciągnął, że musimy wiedzieć pewne rzeczy. Jak funkcjonował ten oszukańczy mechanizm. I w jaki sposób Heidl ocyganił banki na takie pieniądze. Siedemset milionów! To robi wrażenie, jak mówiłem. A CIA? Co w tej sprawie z niego wyciągnąłeś?

Powiedziałem, że udzielił mi paru informacji. Wystarczy. I może znów użyłem określenia „kilka razy", ale pytająco.

Wiesz jednak, o co chodzi. Mamy książkę? Pozostajemy w grze?

Odparłem, że tak.

To doskonała wiadomość, powiedział, a na jego twarzy pojawił się grymas zdecydowania. Cudownie. Posłuchaj. Wiem, że powiedziałem, żebyś dał sobie spokój z planem i po prostu skończył książkę. Ale! Dział

sprzedaży i marketingu siedzi mi na karku. Chcą wiedzieć chociaż mniej więcej, w jakim kierunku to zmierza. Plan na czwartek? Myślisz, że dasz radę?

Nic nie przychodziło mi do głowy. Był wtorek. Miałem dwa dni.

Jez Dempster, mówił dalej Paley, stworzył teorię pisania. Program Alfa Omega. Słyszałeś o nim?

Nie.

Zacznij od początku, a skończ na końcu. Oto alfa i omega literatury. Okej?

Okej? – powtórzyłem, jak gdyby ucząc się nieznanego słowa w obcym języku.

Zastanów się nad tym, Kif. Umawiamy się na czwartek. Już cieszę się na spotkanie.

I odruchowo puścił do mnie oko, a ja poczułem się tak, jak gdyby przypiął mnie zszywką do olbrzymiej płachty czystego papieru, którego niczym nie da się zapełnić.

5.

Chwileczkę, powiedział Heidl, kiedy wróciłem do gabinetu; najpierw podniósł rękę, jakby kogoś uciszał, po czym ją opuścił, by dalej rozpinać guziki koszuli w czerwone i białe paski i dziwnie podwinąć rękawy, tylko raz, jednocześnie rozmawiając przez telefon, jak gdyby było to przedstawienie dowodzące, że oto niby szykuje się do pracy, od której potem przez cały dzień będzie się migać. Gdy tylko odłożył słuchawkę, uśmiech na jego twarzy zastąpiła gniewna mina.

Knowles, ta jebana gnida. Pięć tysięcy, żeby go załatwić. Nawet dziesięć razy więcej byłoby niedrogo, nie?

Ten dziwny ping-pong, czyli zalotne telefony Heidla do mediów – powrót do przeszłości, uwodzenie, umowy, pochlebstwa, targi – i jego niemal już codzienna teatralna gadanina o tym, że kazał zamordować

Knowlesa, stały się dla mnie co najmniej przygnębiające, chociaż musiałem ze wstydem przyznać, że odznaczały się też dziwną siłą kompulsji. Mimo to na pewno wyglądałem na zaszokowanego.

Posłuchaj, powiedział Heidl, z którego twarzy zniknęła groźna mina, a zamiast niej pojawił się straszny uśmiech, przypominający grymas klauna z wesołego miasteczka, powinieneś mnie uważniej słuchać. Wierzysz, że świat jest dobry, Kif? Że ludzie w większości są dobrzy, a świat idzie ku lepszemu ze względu na tych dobrych ludzi i dobre rzeczy? Tak?

Nie odpowiedziałem, stosując się do zasady, żeby nie mówić o sobie i nie dać się wciągnąć w żadne dygresje, które mogłyby zdradzać moje poglądy.

Dobroć jest jak Bóg, Kif: to najgorsze kłamstwo. Myślisz, że jesteś miły i dobry, i spotka cię za to nagroda. Jeżeli nie pieniężna, to będziesz miał dobre życie. Ale spójrz na ten świat. Sądzisz, że miliony ludzi umierają z głodu albo na wojnie dlatego, że świat jest dobry? Wielu z nich, może większość, to przyzwoici ludzie. Ale cierpią, okropnie cierpią, i giną okropną śmiercią.

Nie dałem się sprowokować. Mówił dalej, po trosze monotonnym głosem spikera, który czyta wiadomości, a po trosze głosem rozentuzjazmowanego sprawozdawcy sportowego.

Rozejrzyj się wokoło: spójrz na choroby i wojny, na ubóstwo, przez które ludzie dziczeją, i na bogactwo, które czyni ich gorszymi. Wydaje ci się, że świat dostarcza dowodów na to, że dobrzy ludzie zostają nagrodzeni? O nie! Oni są karani. Bici i męczeni. Obdziera się ich ze skóry i wiesza na drzewach, by dokonali żywota. Świat dostarcza nam dowodów na to, że jest zły. Zwyciężają oszuści i kłamcy. Zwyciężają pieniądze. Zwycięża zło.

Nie chciałem reagować.

Pomyśl o tym. Dowody płynące ze świata wspierają moją tezę.

Milczałem.

Jak to powiada Tebbe? Że długi łuk sprawiedliwości łamie się pod ciosem młota historii. Wybieraj: zostań głupcem, okłamuj się, że świat jest dobry, i idź z dobrymi. Ale wtedy przegrasz.

Podszedłem do okna, żeby na niego nie patrzeć.

Zło niszczy w końcu wszystko i wszystkich. Możesz wybrać dobro. Albo możesz być jak ja i zaakceptować świat takim, jakim jest.

Wstał, podszedł do okna i stanął obok mnie. Wskazał na ulicę.

Widzisz mój nowy wóz?

Zrozumiałem, że chodzi mu o tego landcruisera, którym codziennie woził go Ray. W tamtym czasie był to bardzo drogi samochód, a model Heidla został wyposażony w mnóstwo najrozmaitszych dziecinnych gadżetów: miał przednią osłonę, stelaż na dachu, dodatkowe światła – mnóstwo świateł – radia, wciągarki i inne podobne zabawki.

Wolę go od porsche. Daje większą frajdę. Bo kiedy mnie już nie będzie, nie będę miał nic. No to dlaczego mam sobie czegoś odmawiać, co? Chciałbyś mieć taki wóz? Kobietę? Pieniądze? Chciałbyś, nie? Czym jeździsz? Pewnie jakimś gównem. Dziesięcioletnim valiantem? Poobijaną corollą?

Holdenem.

Holdenem. Jaki model?

Dwudziestoośmioletnim holdenem EH. Dałem za niego rower. W czasie zjazdów ze wzniesień radzę sobie lepiej niż większość kierowców.

Odszedł od okna, by stanąć przed regałem i zacząć przeglądać książki. Wszystko, byle tylko nie wrócić do biurka i ewentualnej pracy.

Możesz jeździć czymś innym, Kif. Ale pewnie myślisz sobie tak: Wybieram dobro i jeżdżę gównem. Bo tak jest uczciwie. A jeżeli uczciwość nie istnieje? Jeżeli istnieją wyłącznie dobre i złe samochody? Jeżeli jest tylko to, co możesz sobie wziąć, zatrzymać i czym się możesz cieszyć? – zapytał, zdejmując z półki jakiś tom. Co jeśli nie ma nic więcej? Trzymaj, powiedział, podając mi książkę z wytłoczonym na okładce tytułem: *Sześć kroków do sukcesu. Uwolnij się już dziś!* Weź ją.

Dziękuję, nie trzeba, odparłem.

Bo jak nie ma nic więcej, to zostaniesz zniszczony, Kif, powiedział, odstawiając książkę na miejsce. Ja też. Nicość niszczy nas wszystkich. Ale ja tymczasem biorę, co mogę: pieniądze, szczęście, zabawę. Więc kiedy przyjdzie po mnie nicość, będę mógł powiedzieć, że żyłem pełnią życia. A ty?

Westchnął, wziął opowiadania zebrane Jeza Dempstera i spytał, czy wolę to dzieło.

Była to duża edycja w twardej oprawie, licząca może z siedemset stron, a może więcej. Poczułem się nie tyle pokonany, ile zmęczony jego logiką.

Musimy pracować, powiedziałem.

Jez Dempster! Podobno jest jak Wielka Rafa Koralowa. Może nigdy nie widziałeś ani jednego słowa, które napisał, ale dobrze jest wiedzieć, że on istnieje.

Co robiłeś, kiedy się ukrywałeś? – spytałem ze znużeniem. Opowiedz mi trochę o tym.

Nie jestem złym człowiekiem, odrzekł Heidl, wciskając tę cegłę do teczki. Nie myśl tak o mnie, proszę.

Mówił dalej, że jest zwyczajnym facetem, który przypadkiem widzi świat trochę lepiej niż inni. I niemal jednym tchem zaczął wspominać czasy, kiedy on i Ray latali helikopterem po półwyspie York, w dole mieli dziką dżunglę, a lądowali na plażach, na których w promieniu stu kilometrów nie było śladu ludzkiej stopy ani żywej duszy.

Chociaż próbowałem się sprzeciwiać temu uczuciu i zepchnąć je w głąb serca, to odczuwałem zazdrość – ostatecznie byłem bez grosza, samotny i osamotniony na własne życzenie, obarczony rodziną, której nie potrafiłem utrzymać, i marzeniem, którego nie umiałem spełnić. Wszystko, co miało dla mnie jakąkolwiek wartość, nagle wydało mi się pozbawione blasku i bezwartościowe. Wszystkie moje myśli i przekonania były sentymentalne, naiwne i co gorsza, fałszywe. Wywody Heidla namieszały mi w głowie, ale nie chciałem się poddać. Książka! powtarzałem sobie. Książka!

Wczesne dni ASO, prosiłem. Ten księgowy. Brett Garrett. Był dobrym człowiekiem?

Umrzeć potrafi byle kretyn, stwierdził Heidl. Ale żeby samemu kogoś zabić, potrzeba rzadko spotykanej wewnętrznej siły.

I „heidlował" dalej: że dobroć to nie zabawa, a życie to tylko gra i wyłącznie od ciebie zależy, czy się nią cieszysz, czy jesteś nieszczęśliwy – twoja decyzja! Bo życie cię zabije, zakończył niemal wesoło. Naprawdę!

Sięgnął na półkę i zdjął z niej *The Koala Kid*, australijską klasykę dla dzieci. Wręczył mi ją gestem, który w jednakowej mierze wydał mi się wzruszający, nieszczery i oskarżycielski, i powiedział, że jest dla Bo, żeby jej wynagrodzić długą nieobecność ojca w domu.

Nie chcę tej książki, powiedziałem.

Położył ją na stole obok komputera.

Bo się w niej zakocha, oświadczył.

Twoja matka, błagałem. Proszę cię, powiedz mi, jaka była?

Ale on już do kogoś telefonował, do swojego adwokata, jakiegoś dziennikarza, kolejnego płatnego mordercy, do Pana Boga albo do samego diabła, i musi już iść, powiedział, na spotkanie ze swoim zespołem prawnym, wróci później, po czym wyszedł zaraz z Rayem, zniknął, jak gdyby nigdy nie istniał.

6.

Wrócili obaj późnym popołudniem. Ray był jakiś dziwny, nawet zdenerwowany; powiedział, że źle się czuje, i szybko wyszedł. Heidl zachowywał osobliwy spokój. Sam się nie odzywał, ale kiedy zadawałem mu pytania, wydawało się – w czasie naszej pracy zachował się tak chyba jeszcze tylko raz – że stara się na nie odpowiadać szczerze. Idąc za radą Pii, postanowiłem spróbować płynąć z nim, zamiast występować przeciwko niemu. Zapytałem więc, czy to prawda, że jak wcześniej twierdził, grożono mu śmiercią.

Ciekawe, co zrobią, nie? – odpowiedział. Wszyscy będą wiedzieć, że załatwili mnie bankowcy. Będzie tak jak z bankiem Nugan Hand.

Czyli?

Tak jest. Czyli kto mnie zabił? Oto jest pytanie.

Powiedziałem, że wydaje mi się o wiele bardziej prawdopodobne, że umrze w domu starców z niesprzedanymi egzemplarzami swoich wspomnień pod łóżkiem.

Ale możliwość utraty życia i wyprowadzenia sądów w pole wskutek zgonu przed procesem nie tylko interesowała Heidla, lecz przyprawiała go niemal o dreszcz podniecenia. Nie wspominając już o tym, że pragnął owej melodramatycznej zagadki, jaką mogłaby stać się jego śmierć.

Nie przejmuję się starością, powiedział. I „heidlując" z niemal Tebbe'ańskim natężeniem, gadał dalej, że śmierć ze starości jest nienaturalna do tego stopnia, że wręcz zła; ludzie zawsze umierali w różnym wieku, lecz rzadko ze starości, tak; umierali w wyniku chorób, nieszczęśliwych wypadków, tragedii i głupoty, na wojnach, wskutek zbrodniczych działań i przypadkowo. Taka śmierć nadawała życiu znaczenie, a starość, przeciwnie, proponowała spokojny bieg zdarzeń, progresję. Nie cierpiał koncepcji życia jako wspinaczki, drogi do kariery. Jeśli chodzi o plany emerytalne, miasteczka dla emerytów i usługi pogrzebowe, to na myśl o nich dostawał po prostu szału.

Wolałbym zostać zamordowany, powiedział.

Odparłem, że mogę mu to załatwić, jeśli nie skończymy książki.

Śmierć ze starości, ciągnął, to rzadki, wyjątkowy i niezwykły wypadek. Ostateczny i skrajny. Skłania ludzi do tego, żeby poświęcili życie nieumieraniu, co tak naprawdę oznacza po prostu nieżycie. Wiedzieć, że śmierć nadchodzi, i to szybko, wiedzieć, że wkrótce się umrze, oznacza lepsze życie. A czy nie tego właśnie wszyscy chcemy?

Mówił serio. Każde słowo. Wiedziałem jednak, że to nie może być prawda. Nie można mu było wierzyć, a zarazem nie można mu było nie wierzyć. To właśnie okazało się w nim takie mylące: co w Heidlu jest autentyczne? A co jest wymysłem? Jakie są fakty? Wiedziałem tylko, że kimkolwiek i czymkolwiek Heidl jest, mam go powyżej uszu.

Jak myślisz, jak sprzeda się książka, jeśli znajdą mnie martwego? – spytał w końcu, jak gdyby to pytanie naprawdę go nurtowało.

Wyczerpany jego niewiarygodnym lenistwem, kłamstwami, chciwością, sobkostwem i obłąkanymi melodramatami, poczułem, że moje przygnębienie przechodzi w szaloną nienawiść.

Zostanie bestsellerem, odpowiedziałem.

Jak wielkim?

Numerem jeden, kurwa.

Wydawało mi się, że to okrutnie tak mówić, ale poczułem się dobrze, kiedy to powiedziałem. Poza tym sądziłem, że to prawda – chociaż prawdą, jak się przekonywałem, właściwie nigdy niczego nie da się obronić.

Moja odpowiedź nie tylko go nie rozzłościła, ale przeciwnie, chyba przyniosła mu spokój i sprawiła nieomal przyjemność.

To świetne posunięcie, zapewni ci sukces.

Dokładnie to samo myślałem, odpowiedział.

Uśmiechnął się. Policzek drżał mu mocniej niż normalnie. Sprawiłem mu satysfakcję i w jakimś sensie się z tego ucieszyłem. Nieoczekiwanie odczułem z nim wspólnotę, dziwną serdeczność, prawie poufałość. Ale było też w tym wszystkim jakieś niewytłumaczalne szczęście.

7.

W moich notatkach pojawia się pytanie, które zadał mi Heidl tamtego dnia: Dlaczego właściwie chcesz zostać pisarzem?

Nie pamiętam, co odpowiedziałem, pamiętam jednak, jak przyszło mi do głowy, że nie potrafię dokładnie wytłumaczyć, co oznacza dla mnie bycie pisarzem ani dlaczego wydaje mi się takie ważne. I było to dziwne. Ostatecznie nikt mnie nie zmuszał, żebym zarabiał na życie piórem. Moja matka ciągle miała nadzieję, że zostanę może „dobrym hydraulikiem".

Bo masz głowę, ciągnął Heidl. Naprawdę, ci bankowcy, z którymi się zadawałem… Mógłbyś ich z łatwością wykołować. Szanuję pisarzy. Literatura ma znaczenie. Ale czy pisanie sprawia ci przyjemność?

Prawdę mówiąc, na razie nie sprawiało.

Straszną, odpowiedziałem.

Bo jak nie masz z tego przyjemności, to po co zawracać sobie nim głowę? Wiem, że uważasz, że ASO to była mafia…

Ja nic takiego nie mówię.

Ray mi powiedział, że tak właśnie myślisz.

Ray na pewno ci tego nie powiedział.

Ale powiedziałeś coś takiego?

A ty skłamałeś, że wiesz o tym od niego?

Udało nam się coś zrobić. I byliśmy najlepsi. Zapytaj Raya. Najlepsi. Tak dobrzy jak amerykańscy komandosi z Navy Seals. Nie było lepszych od nas. I sprawiało mi to przyjemność. Chcesz wiedzieć, gdzie działają prawdziwe mafie? W bankach i korporacjach, które nas finansowały. Być może od czasu do czasu trzeba kogoś poświęcić, żeby oni mogli istnieć dalej. Ja jestem ich ofiarą.

Rozparł się na fotelu i obracał w palcach długopis. Jak gdyby proponował mi awans.

Powinieneś rzucić pisanie, powiedział. Baw się, póki możesz.

Policzek Heidla wydawał się drgać ze zdwojoną, potrojoną prędkością, niemal bez przerwy. Nigdy tego nie zapomniałem. Ani tego, co i jak potem powiedział, jakby opowiadał mi coś, co stało się przed chwilą na ulicy, jakby było to coś najbardziej oczywistego na świecie.

Zanim złożą na ofiarę ciebie.

Mówił dalej, nie pamiętam dziś dokładnie co, i chociaż próbowałem się na tym skupić, szukając przebłysku jakiegoś zdania, frazy czy koncepcji, którą mógłbym wykorzystać, były to coraz bardziej bezsensowne dźwięki, a im bardziej one i jego biografia zaczynały się zacierać, tym bardziej na pierwszy plan wysuwało się moje życie z całym jego ubóstwem i absurdalną szamotaniną. I wszystko, co mówił mi Heidl – nawet jego kłamstwa i uniki – dowodziło w taki czy inny sposób, że jestem kompletnym idiotą, sądząc, że warto tak żyć.

Gdy wyszedł, podniosłem ze stołu *The Koala Kid*. Była to piękna edycja, przygotowana na pięćdziesięciolecie pierwszego wydania, na której kupno dla Bo nie mógłbym sobie pozwolić. Przeglądałem książkę z roztargnieniem, myśląc, jaki cienki i mały jest mój świat – Suzy, nasz wilgotny, zapuszczony szeregowiec, moje marne próby różnych domowych napraw, ograniczone i ograniczające życie dalekich wyspiarzy. Bo kiedy Heidl przemawiał, zacząłem rozumieć, że moje życie nie jest tym, za co je uważałem, nie jest bogate ani barwne, tylko ubogie i monochromatyczne; zrozumiałem, że wybierając pisarstwo, zamykam się przed światem.

Świat był bowiem w Heidlu – dziwny, może niepoznawalny, poza dobrem i złem – a ja z jednej strony darzyłem go niechęcią, z drugiej natomiast byłem o niego zazdrosny i pożądałem go. Grzechy biblijne. Wydawało mi się, że pragnę popełnić je wszystkie. I chociaż nie przyznawałem się do tego przed sobą, chciałem się znaleźć w tym świecie. Bo świat nie potrzebował mnie ani moich książek, ja potrzebowałem jednak świata.

Dziś myślę, że taki był cel wszystkich opowieści Ziggy'ego: żebym uwierzył, że moje życie oparte jest na iluzji – iluzji dobra, miłości i nadziei. Gdyby mnie o tym przekonał, zdradziłbym to, co było dla mnie najważniejsze, i zaakceptowałbym jego świat jako prawdziwe życie.

Może wtedy zostałaby mi podarowana ta wielka wizja, którą jak wiedziałem, Heidl czasem stanowił dla Raya. Ja też chciałem ją poznać, ale bałem się jej, widząc, że łamie coś w moim przyjacielu. I chociaż nie chciałem, żeby złamała i mnie, chociaż Siegfried napawał mnie coraz większym przerażeniem – pragnąłem jej. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Z każdym dniem pożądałem jej, kurwa, coraz bardziej.

Zamknąłem książkę dla dzieci, włożyłem ją do plecaka i wychodząc z gabinetu, zgasiłem światło.

12

1.

Myślisz, że możesz być kimś innym niż dwugłowym tasmańskim gównojadem, powiedział Ray, a przecież prawdę mówiąc, wszyscy Tasmańczycy to obrzydliwe dwugłowe gównojady, które wciąż robią to, co zawsze było im pisane robić, czyli potulnie przyjmują upokorzenia, codziennie, bez wyjątku.

Umówiliśmy się wieczorem na szybkiego drinka. Ku mojemu zaskoczeniu, stawiał Ray. Powiedziałem mu, że Paley zażądał pierwszej wersji do czwartku, Ray sprawiał jednak wrażenie nieobecnego. Osowiałego. Gniewnego. Odnosząc się do tych jego inwektyw pod adresem Tasmańczyków – chociaż nie byłem pewien, czy w ogóle słyszał, co odpowiedziałem – przyznałem, że coś w tym jest. Nie byliśmy na swoim miejscu. Wpłynęliśmy do świata wydawnictw i celebrytów, ale jak wiedzieliśmy, pomimo moich ambicji najprawdopodobniej wypłyniemy z niego po zakończeniu pracy nad książką, pozostawiając po sobie tylko znikający cień jako poobiednią anegdotę, opowieść, która z czasem rozrasta się w dygresję, żart, gasnący śmiech – nie byliśmy niczym i nikim ważnym, mieliśmy jedynie bawić świat wydawców, i to wyłącznie tak długo, dopóki nie znajdą czegoś lub kogoś, kto zacznie ich bawić bardziej. Okres połowicznego rozpadu trwający rok, miesiąc, tydzień, noc, tyle, ile potrzeba, by wypić jednego drinka.

Napijesz się czegoś jeszcze?

Nie, odparł Ray, zwracając się do prawie pustej szklanki.

Ani on, ani ja nie mieliśmy tego, co powinniśmy mieć. Nie mieliśmy tego, co miał Paley. I Pia Carnevale. I Heidl. Czy była to jakaś wewnętrzna pewność siebie? Coś nieokreślonego, ale prawdziwego? Może jakieś poczucie dorównywania innym. Widziałem jednak w Rayu, w sobie, a nawet w Suzy jego całkowite zaprzeczenie. Mieliśmy tylko strach. Tasmański strach. Że jesteśmy niczym. Co Nietzsche albo, skoro o tym mowa, Tebbe mogli wiedzieć o upokorzeniach?

Nic, stwierdził Ray, kiedy go spytałem, co sądzi o tym, że Heidlowi podoba się hipoteza, że jego wspomnienia zostaną bestsellerem, jeśli ktoś go zamorduje.

Powiedziałem, że moim zdaniem to jest porąbane.

Ray wyglądał na zgorzkniałego, co było u niego rzadkością, i nieugiętego zarazem.

To, kurwa, nic nie znaczy, odparł. Okej?

Skąd mogłem wiedzieć o wszystkim, co mu chodziło po głowie? Skąd mogłem wiedzieć, że nie mówił o moim żalu nad sobą i porażce, tylko o czymś o wiele poważniejszym, czymś strasznym?

Nic, kurwa, kompletnie, kurwa, nic.

Z tymi słowy dopił piwo, wstał i wyszedł.

2.

Po powrocie do domu zrobiłem, co mogłem, wykorzystując materiał, jakim dysponowałem. W mojej pierwotnej koncepcji książka miała składać się z dwunastu rozdziałów, napisałem jednak dotąd jedynie półtora. Jak Chrystus, który nakarmił pięć tysięcy ludzi dwiema rybami i pięcioma bochenkami chleba, zabrałem się do roboty nad myśleniem o cudzie. Podzieliłem i przeredagowałem tekst, dodałem trochę waty, którą później w tej części książki czytało się najlepiej, i zrobiłem z niego trzy rozdziały. Następnie zająłem się maszynopisem Heidla – tu coś wyciąłem, tam dorzuciłem jakiś łącznik albo trochę kolorytu, poprzestawiałem akapity, aż wreszcie udało mi się ułożyć cztery w miarę spójne rozdziały. W sumie

miałem więc ich już siedem. Resztę wtorkowego wieczoru spędziłem, pracując nad bardzo wstępną wersją kolejnego rozdziału o mechanizmie oszustw Heidla. Dzięki temu o trzeciej nad ranem dysponowałem ośmioma rozdziałami. Było to jednak za mało, wciąż o wiele za mało.

Posunąłem się trochę naprzód w środę rano, rozmawiając z Heidlem – zanim zniknął później na cały dzień – o jego początkach w ASO. Po południu i wieczorem, nakręcony kawą rozpuszczalną i paroma tabletkami speedu od Raya, zdołałem sklecić jeszcze trzy rozdziały, scalając ich wstępne wersje z fragmentami wspomnień Siegfrieda, hybrydami moich notatek, opisami łączników, które dopiero miały powstać, i kilkoma pomysłami zaczerpniętymi z mojej autorskiej powieści.

Skończyłem i poprawiłem to, co zrobiłem wcześniej, żeby pozbyć się ewidentnych sprzeczności i powtórzeń, a kiedy jechałem do biura TransPac w Port Melbourne, nad Port Phillip Bay niczym rozmazana szara lina zawisł już świt. Pomimo najlepszych intencji zasnąłem na kilka godzin na podłodze w gabinecie, gdzie zastał mnie Heidl, który przyjechał krótko po dziesiątej.

Tego ranka zrobił się dziwnie rozmowny w kwestii swojej ucieczki przez całą Australię po upadku ASO. Twierdzę, że było to dziwne, bo mimo że się jąkał i używał tego swojego tajemniczego języka, to przestał gadać bzdury. Wyglądało na to, że usiłuje dotrzeć do prawdy, chociaż okazała się dla niego niedosiężna; można było pomyśleć, że stało się wtedy coś, co go zaskoczyło i zdziwiło. Spytałem, jak się czuł, mając świadomość, że wszyscy w całym kraju ścigają go jak zwierzę. Odparł, że nie czuł nic. W tamtych czasach ciągle wysiadały komputery i psuły się dyskietki, Paley kazał mi więc codziennie drukować notatki i wszystko, co napisałem. W jednym z kilku pudełek, w których przechowywałem te wydruki, znalazłem między innymi zapis takiej rozmowy.

Wiesz, jak jest na Nullarbor, Kif? Droga biegnie tam prosto przez pustynię na odcinku kilkuset kilometrów. Piasek. Łoboda. Nic. Miałem taką brykę, której używałem do roboty, holdena V8. Im mocniej go gazowałem, im dalej jechałem, tym prostsza stawała się droga. I tym bardziej zakrzywiała się ziemia przede mną. Widać było jej krzywiznę. Bijące z ziemi dziwaczne fale gorącej mgły. Wydawało mi się, że łeb mam pełen

piasku. I że jeśli będę jechał dalej, dojadę na kraj świata i spadnę w przepaść. Wtedy się zatrzymywałem. Wysiadałem. Rzucałem się na pustynię. Na ostre liście, puste puszki po piwie i papier toaletowy. Wbijałem dłonie w ziemię. Starałem się jej trzymać. Kiedy człowiek tak leży, czuje ją. Czuje, jak Ziemia się kręci. A ja na niej. Jak jeździec. Kręciła się coraz szybciej. Trzymałem się. Mocniej i mocniej. Wiedziałem jednak, że będę musiał ją puścić. Nie było bezpiecznie. Trzeba było jechać. Kilkaset kilosów dalej znowu czuję, że wirująca Ziemia zrzuci mnie z siebie. Zatrzymuję się. Znów padam na piasek wśród gówien i staram się trzymać. Ziemia kręci się coraz szybciej. Trzymam się jej, po prostu się trzymam. Ale muszę jechać dalej.

Jeszcze dzisiaj czuję niesamowity blask zrozumienia, kiedy to czytam. A tamtego dnia Heidl zdawał się mówić coś, co właściwie rozumiałem prawie tak, jak gdybym doświadczył tego na własnej skórze albo jakby on żył moim życiem lub też miał nim żyć. Ta chwila jednak minęła, stracił mną zainteresowanie albo ja się zdekoncentrowałem, nie wiem, jak było, w każdym razie wrócił do telefonu i niedługo potem wybierał się na kolejny lunch.

Chociaż raz się ucieszyłem, że nie przyszedł już po nim do wydawnictwa. Obiecałem najpierw dostarczyć Paleyowi wersję roboczą książki zaraz po przyjeździe tego ranka, później w południe, potem o piątej, w końcu o piątej trzydzieści. Mówię „wersję roboczą", choć większość tekstu była niewiele więcej niż ogólnikowym zarysem, bo całe fragmenty prezentowałem w pojedynczych akapitach, nad którymi widniało wydrukowane kursywą zastrzeżenie: *Pozostaje do napisania*.

Po południu – w kiepskim stanie, spięty i rozproszony, łykając znów speedy Raya – zdołałem przekształcić poranne notatki w kolejny krótki roboczy rozdział i doszedłem w ten sposób do końca, czyli do rozdziału dwunastego, chociaż w bardzo ogólnikowej postaci. Byłem roztrzęsiony, mdliło mnie i zacząłem puszczać wodze fantazji, a chociaż moja pisanina wydawała mi się nieporadna, a ja bałem się i czułem jak oszust, zmyślałem dalej, aż wreszcie skończyłem jeszcze jeden rozdział. Kiedy jednak przyjrzałem się całości, widziałem w tekście tylko ziejące pustką dziury. Zrobiła się już piąta po południu. Spanikowałem i dorzuciłem jeszcze jeden

rozdział, złożony z kilku niemających ze sobą związku akapitów, połączonych zagadkowymi notatkami. Do tego dodałem króciuteńkie opisy następnych czterech rozdziałów, mających załatać najbardziej widoczne luki w chronologii wydarzeń, książka składała się więc już z siedemnastu rozdziałów, chociaż tylko dwa z nich można było uważać za bliskie ukończenia.

Wszystko razem – w tym noty objaśniające i liczne komentarze – zbliżało się do dwudziestu siedmiu tysięcy słów, była to więc mniej niż połowa tego, czego oczekiwano ode mnie w wersji ostatecznej, i to musiałem oddać Paleyowi w nadziei, że na razie tym go zadowolę. Wprawdzie wyraźnie dał do zrozumienia, że nie spodziewa się jeszcze skończonego dzieła, ale nie wiedziałem, czy znajdzie w tym brudnopisie zapowiedź prawdziwej książki.

Przysłał mi wiadomość, że czeka na mnie przy biurku, aż mu dostarczę tekst. Gdy parę minut po siódmej wieczorem przyniosłem mu wydruk, sprawiał wrażenie zadowolonego, chociaż nie aż tak zaskoczonego jak ja, że udało mi się zamknąć wersję roboczą. Wpadłem w ogromną depresję i dostałem takich dreszczy, że bałem się, że się przewrócę w jego gabinecie. Powiedział, że przeczyta rzecz do rana i wtedy podzieli się ze mną przemyśleniami.

Chociaż byłem spłukany i zaczynałem dostawać strasznego doła od speedów i z niewyspania, nie miałem siły odmówić, kiedy Ray, który czekał na mnie na zewnątrz, zaproponował, żebyśmy pojechali na kolację do pubu na St Kilda.

3.

Gadaliśmy przy steku z frytkami o dawnych czasach, z naszego punktu widzenia właściwie pozbawionych nieprzyjemnych wspomnień, i unikaliśmy tematu, który sprowadził nas do tego miasta, z dala od naszego wyspiarskiego domu, i z powodu którego teraz piliśmy. Przygrywał jakiś zespół i muzyka zapewniała nieco dziwną intymność.

Może dlatego, że byłem przygnębiony, przyznałem, że nie podoba mi się to, co robię, ale kiedy Ray zapytał dlaczego, zauważając, że przecież dostanę za to spore pieniądze, miałem poważne trudności z odpowiedzią.

Męczę się, żeby Heidl dobrze wyglądał w tej książce, powiedziałem w końcu. Może w tym tkwi problem.

No ale o co konkretnie chodzi? – spytał Ray.

Facet kradnie, może zabija...

Może, stwierdził Ray. Wypowiadał się niezwykle wymijająco. Powiedział ci o tym?

Niezupełnie.

No to skąd wiesz?

No... Nie wiem, odparłem. Jest kłamcą.

Ray parsknął. No i co z tego? Może tak, a może nie, może jest jeszcze kimś innym.

Znaczy kim?

Kimś gorszym.

Na przykład?

Pierdolić go. To wszystko.

Byłem poirytowany prochami i ze zmęczenia, i właściwie nie słuchałem Raya. Powiedziałem, że nie wiem, czy dam radę dłużej to wszystko ciągnąć, a nawet jeśli jakoś sobie poradzę, nawet jeżeli to dobrze płatna praca, to zdołam co najwyżej zrobić z Heidla bohatera.

Nie wiem, Kif. Musiałbym to przeczytać. Musiałbyś być naprawdę dobry, żeby wyszlifować takie gówno.

Mówiłem o tym, że jeśli nie poradzę sobie z tą biografią, nikt mnie nie będzie chciał wydawać, chociaż nie miałem pojęcia, czy tak by było, czy nie. Ray nie zgodził się ze mną, choć sam przyznał, że kompletnie się nie zna na tych sprawach. Starał się być sobą i zachowywać zwykłą pogodę ducha, ale w istocie wcale nie był pogodny, a kiedy go spytałem, o co chodzi, rozejrzał się po knajpie, zanim wbił we mnie wzrok. Oświadczył, że coś mi powie, ale pod warunkiem, że nikomu tego nie powtórzę, a zwłaszcza Heidlowi.

Spytałem dlaczego.

Bo… zaczął, jego głos zabrzmiał jednak niepewnie, jak gdyby mówił coś, co zna na pamięć, ale w co nie wierzy. …Bo to jest tajemnica.

Potem mi ją wyjawił.

4.

Heidl kazał mu zatrzymać się przed sklepem sportowym. Weszli do środka i Siegfried kupił pistolet Glocka z pudełkiem amunicji.

Po co? – spytałem.

Zadałem mu to samo pytanie. Po co? Po co ci to, kurwa? A on przez jakiś czas ględzi o tym, jak to bankowcy starają się go wykończyć i że teraz musimy się bronić, ale ten zakup nie miał z tym nic wspólnego.

Ray był dziwnie zdenerwowany czymś, co moim zdaniem nie odbiegało wcale od zwykłych zachowań lubiącego dramatyzować na swój temat Heidla. Zapytałem, kiedy się to wydarzyło.

Przedwczoraj, odparł Ray. Wtedy jak powiedział, że musi się szybko spotkać z adwokatami, i nie było nas prawie przez cały dzień. Ale z żadnymi adwokatami się nie spotkaliśmy.

Domyśliłem się tego, jeszcze zanim wyszliście z gabinetu.

Wyjechał w konkretnym celu. Najpierw kazał mi się zatrzymać po tego glocka. Potem chciał, żebym go zawiózł do Bendigo. Ale po godzinie jazdy gdzieś za Melbourne powiedział mi, żebym skręcił w jakąś boczną drogę, aż wreszcie trafiliśmy w gęste zarośla. Kazał mi stanąć i pójść w te krzaki za nim. Szliśmy jakieś dziesięć minut, a potem Heidl mówi: Musisz mnie zabić, Ray.

Roześmiałem się, ale szybko ucichłem. Ray nawet się nie uśmiechnął, tylko dalej mi się przypatrywał.

Mówię serio, gada Ziggy. Wolę, żebyś to ty mnie zastrzelił. Potrzebuję przyjaciela, Ray. A ty jesteś moim kumplem. Nie cierpię, kiedy mówi takie rzeczy. Jak gdyby przyjaźń była smyczą. Najlepszym kumplem. I gadał dalej w ten deseń, podobne pierdoły, że prawdziwy kumpel by to zrobił, że

po to są prawdziwi kumple, na dobre i na złe, kurwa, że takich poznaje się w biedzie.

Ray dolewał nam jacka danielsa do piwa, które odgazowywało się i dostawało mdlącego posmaku. Wypiliśmy kolejkę, zamówiliśmy następną i znowu wypiliśmy. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zaczęliśmy rozmawiać o innych sprawach.

Potem Ray powiedział: Kazał mi ćwiczyć.

Co?

Jak go zabijam. Z tego pistoletu. Pokazywał mi, jak powinienem trzymać pistolet w jego ustach, pod jakim kątem. Tego rodzaju gówno. Jak się spierdoli taki strzał, to można rozwalić ofierze nawet pół łba, ale będzie żyła.

Ray wcisnął palec wskazujący do ust na sztorc i niewyraźnie powiedział, że w ten sposób zrobi się najwyżej lobotomię.

Powoli przesuwał palec coraz niżej, aż wreszcie ustawił go pod odpowiednim kątem, w linii przebiegającej powyżej jego uszu.

Trzeba trzymać lufę w ten sposób, oświadczył. Tak mi powiedział Heidl. Tak, kurwa.

Wyciągnął lśniący od śliny palec i wytarł go o dżinsy.

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że pomimo całej tej gadaniny o przygodach, śmigłowcach, pustkowiach na Cape York i polowaniu z Aborygenami na diugonie, Ray był nieszczęśliwy, a jego nieszczęście miało w sobie coś z nieuchronnych tortur. Zrozumiałem też, że obaj skończyliśmy tam, gdzie nie powinno nas być.

Dlaczego po prostu nie wyjedziesz? – spytałem. Heidl znajdzie sobie kogoś na twoje miejsce. Nie jesteś mu nic winien.

Nie w tym rzecz. Chodzi o niego. Nie kapujesz, stary. Po prostu nie kapujesz.

Czego?

Cofnął rękę od twarzy.

Jego.

To znaczy?

Nie wiesz, jaki on jest. Heidl nie… No… Tego nie można zrobić.

Czego?

Odejść od niego.

Zespół grał jeszcze głośniej, musiałem się więc nachylić, żeby słyszeć Raya.

Nie możesz odejść. On na to nie pozwoli. Mówi, że jak jesteś prawdziwym przyjacielem, to nie odejdziesz. Jeżeli kumpelstwo cokolwiek dla ciebie znaczy. Jeżeli jesteś kumplem.

Kumplem?

Ray wrzasnął:

Nie możesz, kurwa, odejść.

Odchylił się do tyłu, oparł łokieć o bar.

No, on tak mówi. Wiem, że to dziwaczne. Ale gdybyś odszedł, nie wiadomo, co mógłby ci zrobić. Ścigałby cię...

Jego głos ucichł. Mój przyjaciel przesunął palcem wokół szklanki, a kiedy podniósł znad niej wzrok, spojrzałem mu w oczy.

Zabiłby? – spytałem.

Ray spuścił oczy i postukał palcem o brzeg szklanki, ale nie wiedziałem, co to miało znaczyć. Pomyślałem o tym, w jak dziwny sposób Heidl wymawiał słowo „kumpel", z tym swoim obcym, na poły amerykańskim, na poły niemieckim akcentem, podlanym sosem z australijskiego slangu.

Kumpel? – powiedziałem. Żaden z niego kumpel, kurwa.

No tak. Ale wydaje mu się, że ja jestem jego kumplem. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Powinieneś go, kurwa, zabić.

No. Nie myśl, że o tym nie myślę.

Ponownie włożył palec w usta, wycelował po skosie, zacisnął wargi, jak gdyby obejmował nimi lizak, a potem powiedział: Bum! Na jego twarzy wykwitł szalony, trochę krzywy uśmiech, który Ray wydawał się zachowywać na specjalne okazje, kiedy chciał postawić na swoim, był pijany albo naćpany i miał ochotę ukraść samochód albo odbić komuś dziewczynę; tylko że tym razem ten uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił.

No. Nie myśl sobie, że o tym nie myślę, Kif. Nie myśl, że o tym nie myślę, bo myślę przez cały czas.

5.

W piątek o jedenastej rano byłem już w gabinecie, bez Heidla, gdy zadzwonił telefon. Ze względu na dnie i noce spędzane przy komputerze, robotę, speed, mojego współautora i napięcie wywołane tym, że nie wiedziałem, czy zdążę napisać tę książkę, znajdowałem się w kompletnej rozsypce. Miałem pustkę w głowie. Poświęciłem cały ranek na poprawienie jednego rozdziału, ale nic mi nie wychodziło, nie kleiło się i znowu straciłem orientację w opowieści o Heidlu, który krzyżował mi plany, bo z jakiegoś dziwnego powodu nie chciał żyć naprawdę, nawet na papierze. Podniosłem słuchawkę. Odezwała się sekretarka Paleya.

Kiedy znalazłem się w jego gabinecie, naczelny TransPacu przeprosił, że sprawił mi kłopot, prosząc mnie o roboczą wersję książki już teraz, chociaż pracuję pod tak potężną presją. W jego zachowaniu jeszcze wyraźniej niż zwykle dawała się wyczuć niepokojąca kombinacja służalczego szacunku i luzackiej bezwzględności.

Ale rozumiesz, muszę wiedzieć...

Wziął wydruk ze stolika, położył go na biurku i przesunął w moją stronę, jak gdyby zwracał wadliwy toster w sklepie.

Muszę wiedzieć, co wy tam kombinujecie z Heidlem. I czy jesteście w stanie dać nam książkę.

Niewykluczone, że się skrzywiłem, mój grymas mógł jednak przypominać uśmiech.

Jest tu sporo dobrej literatury, powiedział Paley.

Niewykluczone, że się uśmiechnąłem, mój uśmiech mógł jednak przypominać grymas.

Kif. Książka jest jak lustro. Jeżeli zagląda do niej małpka kapucynka, to nie odpowie jej spojrzeniem Albert Camus.

Mruknąłem coś w odpowiedzi.

Musisz opowiedzieć czytelnikowi historię.

Przecież to zrobiłem.

Jeszcze nie.

To zrobię.

Kif, według mnie na razie wycisnąłeś z Siegfrieda wszystko, co mogłeś. Lecisz jutro z powrotem na Tasmanię?

Dziś wieczorem.

To wróć dopiero w czwartek. Zostań w domu i dorzuć trochę mięcha do tej wersji. Tyle, ile dasz radę. A potem wykorzystaj czwartek, żeby to z nim przejrzeć. To da nam jeszcze nieco ponad tydzień, żebyś mógł zrobić poprawki i przeredagować tekst. Okej?

Przebiegłem, jak mi się wydawało, milę w trzy minuty, a teraz proszono mnie o przebiegnięcie maratonu w czasie poniżej dwóch godzin. Możliwe, że zrozpaczony pokiwałem głową.

Jedno pytanie.

Tak? – odpowiedziałem.

Jaka jest ta historia?

Nieskomplikowana.

Paley z wolna postukał swoimi torbaczowymi palcami o wydruk.

Ale o czym ona nam mówi? – spytał, wciąż bębniąc bladymi paluszkami w stertę kartek.

O utraconej przyszłości? – zaryzykowałem.

Opowiadasz to tak, jak gdyby Heidl był jutrzenką. Nowym jutrem.

On jest przypowieścią, odparłem, chociaż może miałem tylko nadzieję, że trafnie go oceniam.

W przypowieściach nie ma zysków, Kif. Przypowieści się nie sprzedają. Może w Ameryce. Tylko że oni opakowują je tam jako poradniki.

A tutaj?

No, my w Australii lubimy kalendarze; takie wiesz, z prowokującymi wyznaniami zbrodniarzy. Prosto z szafotu. Hej ho, chłopaki, i sorry

pomidory, trzeba jebać władzę, tylko że potem władza zajebie was. Chcemy, żeby ci faceci ponieśli karę, ale podoba nam się, że są tacy dumni.

Umieranie jako zabawa, gra.

Właśnie.

No to czego chcesz? – spytałem, bo naprawdę nie miałem pojęcia, do czego zmierza Paley.

Tego, jak Heidl trafił do CIA. Jak okradał te banki. Dlaczego nie chce się pokajać.

A nie pokaja się?

Nie. Australijczycy lubią niegodziwych bohaterów. Nie chcących się pokajać. W tym rzecz.

Heidl jest Niemcem.

Powiedział ci o tym?

Nie. Upiera się, że jest Australijczykiem.

Mmm.

Spuściłem trochę wzrok. Zauważyłem upiorną plamę potu pod pachą na wykrochmalonej białej koszuli Paleya.

Tu są ciekawe rzeczy, Kif. Ale musi się też coś dziać.

Dzieje się, powiedziałem.

Jeszcze nie.

Ale będzie się działo, odparłem. Jestem tego pewien.

13

1.

Kilka godzin po tej rozmowie poleciałem do domu, na Tasmanię. Wysiadłem na lotnisku już w zimowym zmierzchu, mijała mnie fala zmęczonych pasażerów, idących w deszczu w stronę terminalu. Przystanąłem samotnie na mokrym asfalcie. W terminalu czekała na mnie Suzy. Też samotnie, gotowa się ze mną spotkać, chociaż wyglądało na to, że się nie spotkamy.

I zastanawiałem się: kim ona jest? A poza tym kim byłem ja po trzech tygodniach z Heidlem? I najtrudniejsze pytanie: dlaczego my to my?

Nie miałem pojęcia.

Po prostu byliśmy tacy, jacy byliśmy.

Z punktu widzenia naszej wyspy i naszych czasów, dzisiaj tak bardzo odległych, byliśmy już starzy, kiedy się pobraliśmy. Suzy miała dwadzieścia, a ja dwadzieścia trzy lata, i z fatalizmem typowym dla naszego otoczenia zrozumieliśmy, że musimy pociągnąć ten związek dalej, więc pociągnęliśmy, gotowi się porozumieć, choć wyglądało na to, że to się nam nie uda.

Nasze małżeństwo zawsze stanowiło dla nas tajemnicę. Trzeba się było pobrać, a kiedy już się pobraliśmy, ciągnęliśmy je dalej. Ciągnęliśmy, ciągnęliśmy i nie kwestionowaliśmy go. Wiązała nas ogromna determinacja, łagodzona przez równie wielki żal. Na naszej odległej wyspie wciąż hołdowano niearanżowanym małżeństwom, równie przypadkowym, skazanym na niepowodzenie, pełnym nadziei, absurdalnym, ciemiężycielskim i wyzwalającym jak ich przeciwieństwo, czyli małżeństwa

aranżowane. Sądzono, że kończą się dobrze, jeżeli nie kończą się źle – a jeśli kończyły się źle, to ktoś musiał być winny, zły mężczyzna albo zła kobieta. Samego zwyczaju jednak nikt nie kwestionował i nie krytykował.

Wszedłem do hali przylotów i chociaż trudno było mi to sobie nawet wyobrazić, przekonałem się, że Suzy ma jeszcze większy brzuch niż przed tygodniem. Kiedy jedyna karuzela bagażowa stęknęła, ożyła i podjęła swoją kolistą pracę, oboje musieliśmy dziwnie się pochylić, żeby paść sobie w objęcia ponad ogromnym brzuszyskiem mojej żony. Suzy wydawała mi się bardziej obca niż kiedykolwiek, jak znany niegdyś kraj, który stał się teraz nie do poznania – jej ciało, zapach, cichszy głos, jakieś niewyraźne emocje w odpowiedziach, nieokreślony uśmiech, kiedy mówiła – o czym? O kim? Po co? Czy czuliśmy się gorsi? Lepsi? Nie wiem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że nasze małżeństwo jest zagrożone, powiedziałem więc, że książka idzie dobrze.

Książka i bliźniaki… Będziemy mieli trojaczki! – zawołała.

Tak! – odpowiedziałem. Potrójny sukces!

Rozmawialiśmy albo próbowaliśmy rozmawiać w ten sposób. Ciągnąc dalej, jakoś się dogadując. Pogodnie. Nie zawsze byłem pogodny, ale zaakceptowałem swój los, a w każdym razie pogodziłem się z tym, że powinienem go zaakceptować. A Suzy nigdy nie przestawała się starać i podziwiałem ją za to. Nasz świat był światem pracy, małżeństwo pojmowaliśmy jako jeden z jej aspektów. Moja żona tyrała na wszystkich frontach.

Była w trzydziestym ósmym tygodniu ciąży, a lekarze, położne i całe armie ekspertów porodowych – znających się na rzeczy, nieco irytujących ludzi, którzy za często się uśmiechali, dowodząc swoich tez – wbili nam przecież do głowy, że bliźniaki zawsze przychodzą na świat zbyt wcześnie, a skutki przedterminowego porodu bywają nieciekawe. Ale ostrzeżenie naszego lekarza o możliwym stanie przedrzucawkowym najwyraźniej nie znalazło potwierdzenia w faktach, bliźniaki szczęśliwie tkwiły zatem wciąż w matczynym brzuchu, według wszelkich znaków na niebie i ziemi ciągle były zdrowe i rosły dalej.

Pomijając apatię i związane z wielkim brzuchem trudności w przechodzeniu przez drzwi, we wsiadaniu i wysiadaniu z naszego samochodu, w przeciskaniu się pomiędzy meblami i ludźmi na ulicy

(Strażniczka domowego ogniska? Raczej lodołamacz, zauważyła moja żona, kiedy przewróciła brzuchem wazon i dwa krzesła), Suzy wydawała się nie mieć problemów zdrowotnych – nie bolały jej plecy, nie dostała żylaków, nie dokuczała jej huśtawka nastrojów ani żadne inne dolegliwości, chyba że liczyć zdarzającą się czasem poranną zgagę. Więc kiedy wieczorem przeczytałem Bo jej ulubioną bajkę o wilkach i drwalach, wróciłem do mojego pokoiku, a Suzy położyła się na kanapie w salonie.

Usiadłem przy biurku i zacząłem wpatrywać się tępo w kartkę, pusty ekran i migający kursor. Z dołu dobiegała mnie cicho grająca płyta, pieśni niewinności z lat siedemdziesiątych. Zszedłem do salonu, oświetlonego teraz tylko niską lampą. Przy jednej czy dwóch piosenkach tańczyliśmy z Suzy, splatając się niezgrabnie we czworo i powoli sunąc po pokoju.

Przepraszam za pieniądze, szepnąłem Suzy do ucha. Kiedy brałem tę robotę, nie wiedziałem, że nie dostanę zaliczki. Znajdę nam drugie łóżeczko.

Wciąż mieliśmy tylko jedno, które ściągnąłem ze śmieciarki i własnoręcznie naprawiłem, gdy urodziła się Bo.

Wszystko się jakoś ułoży, powiedziała Suzy. Damy sobie radę.

Teraz kiedy to piszę, starając się odnaleźć atmosferę tamtego wieczoru, gdy delikatnie się obejmowaliśmy, nie zdumiewa mnie nasza łagodność i słodycz. Nie. Raczej to, że nie mieliśmy wątpliwości. Zdumiewa mnie nasz przerażający brak wątpliwości, że jutro będzie lepiej, że wszystko się jakoś ułoży. Znaliśmy się, *„Knowing me, knowing you”*, jak powiadała piosenka. Kręciliśmy się w kółko, wiedząc, że jesteśmy bezpieczni, wiedząc, że mamy siebie, wiedząc… wiedząc… wiedząc… Nie wiedząc kompletnie nic.

2.

Ekran zgasł.

Skląłem komputer, rozgiąłem spinacz do papieru, wyciągnąłem nim dyskietkę, wyłączyłem i włączyłem maszynę, włożyłem dyskietkę

z powrotem, po czym czekałem bez końca, a mój mac plus, ponownie się uruchamiając, sapał i wydawał inne niemiłe dźwięki, przywodzące na myśl zapchany młynek do kawy. Rozejrzałem się po gabinecie. Przypominał raczej szafę niż pokój; był taki wąski, że każdego wieczoru wydawało mi się, że jego ściany zbliżają się do siebie coraz bardziej. Przeciągnąłem się i ziewnąłem. Było po północy, ale nieoczekiwanie posunąłem się do przodu w pracy. Wreszcie komputer zaskoczył i otworzyłem plik, zawierający rozdział, nad którym pracowałem.

Żadnych wprowadzonych przeze mnie zmian nie było. Cała robota, którą wykonałem tego długiego wieczoru, zniknęła z powodu awarii komputera. Nie rozzłościłem się, tylko dostałem mdłości. Zostało mi tak niewiele czasu, a teraz znowu byłem pół dnia w plecy. Ta katastrofa wzmocniła tylko moje coraz silniejsze przekonanie, że książka o Heidlu to po prostu farsa; że żadnej książki nie ma, a co gorsza, że nigdy nie miało jej być.

Ta myśl wywołała bolesne pytanie – czy taki od początku był plan Ziggy'ego? Ostatecznie musiał ukryć zbyt wiele swoich kłamstw i wyprostować zbyt wiele nieprawd, żeby mieć ochotę współpracować z pisarzem, który mógłby zgłębić jego absurdalny żywot. Poza tym przejawiał typowe dla przestępcy skłonności, żeby nie pozostawiać po sobie żadnych dokumentów, nawet najbardziej oszukańczych i kłamliwych. Wszystko sprowadzało się do materialnych dowodów. Czy rosnąca wiara Heidla we mnie wynikała z tego, że uważał mnie za kogoś, kto potrafi napisać jego biografię, czy raczej za kogoś, komu nigdy nie uda się tego zrobić? Że byłem jego kamuflażem, idiotą, którego mógł wykorzystać, by wyciągnąć resztę forsy od Paleya? Czy dlatego mnie wybrał?

Mgła za oknem w nocnym Hobart pozostawiała mokre smugi żółcieni na czarnym tle. Moje nadzieje, że zostanę pisarzem, były żartem, tak jak moja porażka w roli męża i ojca, który nie przynosi pieniędzy do domu. Najbardziej gorzkim żartem było jednak to, że Heidl wyciągnął mnie z pisarskiego niebytu, bo wiedział, że nie uda mi się napisać tej książki.

Rzuciłem wydruk na korytarz. Nienawidziłem każdego napisanego dotąd słowa. Nienawidziłem komputera, na którym pracowałem, i zreperowanego własnymi rękami stołu, na którym stał. Spojrzałem na

porozrzucane kartki, na których nie było książki, tylko coraz więcej dowodów na to, że nie jestem w stanie jej napisać. Ależ ja byłem głupi! Powiedziałem sobie, że mogłem robić sto innych rzeczy i wykonywać sto innych zawodów – chociaż kiedy zastanawiałem się, co właściwie innego mógłbym robić i jaki zawód uprawiać, nic tak od razu nie przychodziło mi do głowy. Być może, pomyślałem, pisarz to jest właśnie taki ktoś. Ktoś, dla kogo pisanie najpierw było namiętnością, a kto potem zrozumiał, że nie potrafi robić nic innego.

Tyle tylko – z przerażeniem zdałem sobie z tego sprawę – że ja po prostu nie umiałem pisać.

3.

Poszedłem do naszej sypialni. Potrzebowałem pociechy i zapomnienia w towarzystwie Suzy. Nie spała, bliźniaki poruszały się w jej brzuchu, więc nie mogła zasnąć.

Powinieneś siedzieć przy biurku i pisać, powiedziała. Nie leżeć tutaj ze mną.

Kiedy to usłyszałem, moja czułość i miłość zmieniły się w nienawiść. Takie upadki przydarzały mi się coraz częściej: czasami wystarczyło, że Suzy nalewała herbatę albo wsuwała sobie widelec do ust, żebym zaczął odczuwać do niej nienawiść. I czasami za rzeczy nieistotne nienawidziłem jej właśnie jeszcze bardziej – za to, jak układa włoski Bo i sztućce w szufladzie. Miłość i nienawiść żyły we mnie tak blisko i tak się ciasno splatały, że niekiedy wydawały mi się jednym i tym samym. Dodawało mi to pewności siebie, bo nawet w najgorszych chwilach pocieszałem się, że taka nienawiść paradoksalnie dowodzi, że na pewno pozostało we mnie trochę miłości. Zacząłem natomiast bać się czegoś, co nagle wydało mi się o wiele straszniejsze, a mianowicie chwili, w której nie będzie już więcej nienawiści ani miłości, tej zbliżającej się chwili, w której być może nie będę już nic czuł do Suzy.

A ona czasem mi się odgryzała, ale w wyważony i rozsądny sposób, co tylko mnie bardziej złościło. Mówiła, że mnie rozumie. Rozumie moje obawy. I to było najgorsze.

Bo jeśli ja nie rozumiałem, co się ze mną dzieje, to jak ona mogła to rozumieć? Jeżeli ja nie potrafiłem nazwać strachu, który mnie otaczał, wsączał się we mnie, wzbierał jak milczący krzyk, to skąd moja żona mogła mieć pewność, że wie, co mi dolega?

Zdarzało się, że widziałem, jak bardzo cierpi z powodu moich wybuchów, i byłem z tego powodu zadowolony. Ale tylko na krótko. Później ogarniało mnie przerażenie na myśl o tym, co zrobiłem i kim się stałem, i nie rozumiałem samego siebie. A pośród tego coraz większego rumowiska mojego życia pojawił się nagle Heidl w roli przewodnika, głoszącego swoje plany naprawy tego świata, który można było smakować i eksploatować, ale w którym nigdy nie można było zapuścić korzeni.

„Dowody ze świata wspierają moją tezę".

Tak było. Strasznie się bałem.

Wracaj do pracy, powiedziała Suzy.

Wybuchnąłem. Wysłaliśmy Bo na kilka dni do teściów, żeby moja żona mogła trochę odpocząć, a ponieważ wraz ze śpiącym w pobliżu dzieckiem zniknęły zahamowania, zacząłem na nią wrzeszczeć: Co ty, kurwa, wiesz o pisaniu książek?

Z ponurą satysfakcją patrzyłem, jak płacze. Kiedy wyszedłem z domu, jeszcze szlochała. Przyjemnie było spacerować po zimnych ulicach i czuć na twarzy chłodny wiatr, wiejący z ośnieżonego wierzchołka góry. Znalazłem jakiś obskurny bar, czynny długo w noc. Pijąc jednego drinka za drugim, powiedziałem sobie, że po prostu musiałem wytłumaczyć żonie, ile ciężarów dźwigam jako pisarz.

W drodze do lepiącej się od brudu toalety, która znajdowała się na zewnątrz, wszedłem w świeżą pajęczynę przy drzwiach. Zdjęła mnie dziwna panika. Wytarłem się, a potem zacząłem drapać po policzkach, ale po powrocie do baru wciąż czułem lepkie nitki, które mnie oklejały. I nagle Heidl przestał mi się kojarzyć z pracą i pieniędzmi, a stał się czymś nieuniknionym niczym pajęczyna, osaczającym i klaustrofobicznym. W miarę jak strach się zwiększał, złość znikała i zacząłem myśleć o Suzy

jak o mojej jedynej desce ratunku. Musiałem przyznać, że mówiąc to, co powiedziała, nie miała nic złego na myśli, natomiast to, co powiedziałem ja, wydało mi się teraz niepotrzebne, bo w końcu co jest takiego nieznośnego w byciu pisarzem, jeżeli jednak piszesz, a twoja książka ma zostać wkrótce opublikowana?

I nie wiedzieć czemu, kiedy drapałem się po swoim lepkim od pajęczyny obliczu, nabrałem przekonania, że jedyny sposób na pozbycie się tych okropnych nitek to wrócić do Suzy i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocham. Wtedy przypomniałem sobie, że płakała przeze mnie, a sądząc po jej minie, sprawiłem jej wielką przykrość. Pomyślałem, że bardzo łatwo ją zranić i że zachowałem się po chamsku, i wtedy moja duma skwaśniała we wstyd, ponieważ okazałem się okrutny. Zrozumiałem, że nic nie może usprawiedliwić mojego postępowania, i nie kończąc alkoholu, za który przed chwilą zapłaciłem, pognałem z powrotem do domu z przeprosinami.

Na miejscu okazało się jednak, że nasze łóżko jest puste. Suzy nie było.

4.

Na kuchennym zlewie znalazłem napisaną drżącą ręką kartkę od niej. Odeszły jej wody, więc sama pojechała samochodem do szpitala. Czułem się winny za wszystko, co zrobiłem, byłem przerażony swoim okrucieństwem i bałem się o nią, bo zaczął się przecież poród, natychmiast pojechałem więc do szpitala taksówką. Ale gdy wreszcie znalazłem Suzy na łóżku w korytarzu, okazała się dziwnie spokojna i zrelaksowana, zachowywała się tak, jak gdybym jej nie opuścił, kiedy mnie potrzebowała.

Ścisnęła moją rękę, co robiła rzadko, i powiedziała, że poród dopiero się zaczął, że skurcze ma na razie tylko od czasu do czasu i że nie bolą bardziej niż normalny skurcz mięśni. Na szczęście nie wspomniała ani słowem o tym, co zaszło między nami. Za bardzo się wstydziłem i byłem zbyt odurzony alkoholem i wyrzutami sumienia, żeby ją przeprosić. Usiadłem na plastikowym krześle przy jej łóżku, a Suzy nieoczekiwanie zasnęła. Wpatrywałem się w zamknięte, jakby woskowe powieki mojej żony tak

długo, aż wreszcie i mnie zaczęły się kleić oczy, myślałem o Heidlu i jednocześnie starałem się nie myśleć o nim, tylko o tym, jak zdobyć drugie łóżeczko i nową pralkę; i kiedy tak mijał czas, Heidl stawał się coraz mniej realny, a szpitalny świat – lampy fluorescencyjne, zapach środków dezynfekujących i nieustanny hałas – coraz bardziej zyskiwał na konkretności i wreszcie przyniósł mi ukojenie.

Kiedy się ocknąłem, Suzy spacerowała po korytarzu, bo dostała znowu serii skurczów, które po chwili minęły. Podbiegłem, żeby ją objąć, a wtedy spojrzała na mnie, jak gdybym był przezroczysty, i jęknęła. Wydało mi się, że jestem dla niej kimś obcym, i przestraszony poszedłem szukać pomocy. Na drugim końcu korytarza znalazłem pielęgniarki, gawędzące w pokoju siostry oddziałowej. Poprosiłem, żeby coś zrobiły. Ale to, co napędzało mi strachu, dla nich było codzienne i pospolite. Kiedy zacząłem błagać, żeby pomogły Suzy, położna o pulchnej twarzy zbyła mnie, mówiąc, że zaraz kogoś przyśle.

Pokonany, wróciłem do żony. Miałem wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim przyszła pielęgniarka z dwiema salowymi i zawiozła Suzy na czteroosobową salę – słabo oświetloną, cichą, pustą – do spokojnego portu, gdzie miała czekać na poród. Wkrótce potem przywieziono też jakąś młodą dziewczynę. Nie miała więcej niż piętnaście lat i nie mogła przestać płakać.

Jej krzyki, znamionujące samotność i udrękę, były nieznośne, ale lamentowała dalej, cicho skomląc albo przeciągle jęcząc. Pojawiła się jakaś kobieta w średnim wieku z chłopakiem, zapewne ojcem dziecka. Zaczynał sypać mu się wąs, zza podwiniętego rękawa flanelowej koszuli wystawała paczka papierosów, miał wątłą pierś, ramiona i nogi, i usiłował chodzić rozkołysanym krokiem, przez co wyglądał jak cierpiący na lekki artretyzm starszy mężczyzna. Nie wiedział, co robić ani co powiedzieć. Ani razu nie dotknął swojej dziewczyny. Może on też urodził się w ten sam sposób, runął głową naprzód w przerażającą pustkę i nie przestał spadać do tej pory. Po dziesięciu minutach zakłopotania wyszedł, a po półgodzinie zniknęła również kobieta w średnim wieku. Małoletnia matka znowu zaczęła szlochać.

Jej wycie stało się straszne, żałosny lament zagubionego i opuszczonego dziecka. Trwał i trwał, niekiedy przechodząc w desperacki pisk, a chwilami

w monotonny, przerażony skowyt. Siedziałem w ciemności, słuchałem jej płaczu i myślałem, że ludzie nie są równi, że nawet się równi nie rodzą. Przychodzą na świat w nieszczęściu, smutku i rozpaczy, w przeraźliwym strachu. Ta dziewczyna miała słuszność, że się bała, że nie była wdzięczna losowi za dziecko. Dla niej świat dopiero się zaczynał i codziennie jawił się jako coraz okrutniejszy. Znowu pomyślałem o mrocznych wizjach Heidla i zadrżałem. Rankiem dziewczynę zabrano na porodówkę i nigdy więcej już jej nie zobaczyłem. Nie wiem, co się z nią stało.

5.

Pacjenci korzystający z publicznej opieki zdrowotnej, czyli na przykład my, nie mieli prawa wyboru lekarza. Jeden starszy łapiduch powiedział, że wszystko idzie jak po maśle, ale jego młodszy zmiennik uznał, że poród u Suzy trzeba wywołać sztucznie. Lekceważąco machnął ręką, kiedy przekazałem mu opinię jego poprzednika, a gdy zauważyłem, że Suzy przecież jest już we wczesnym stadium porodu, pokręcił głową. Odparł, że chodzi o zdrowie mojej żony i dwojga nienarodzonych jeszcze dzieci i że nie będziemy chyba igrać z ich życiem – prawda?

Przyszła wysoka pielęgniarka ze stojakiem, z którego zwieszał się woreczek pełen jakiegoś przezroczystego płynu. Wbiła wenflon w ramię Suzy, podłączyła rurkę do woreczka, uruchomiła urządzenie i kroplówka zaczęła się sączyć do żyły. Przeniesiono nas na salę porodową. Przez pewien czas nic się nie działo. Zastanawialiśmy się, po co to wszystko. Ale kiedy skurcze zaczęły uderzać niczym młot pneumatyczny, zrozumieliśmy. Skończył się powolny, narastający z wdziękiem rytm reakcji ciała mojej żony, która musiała przejść chemicznie indukowane katharsis, niosące zbyt szybki i za mocny ból.

Wkraczała coraz głębiej w świat swojej samotnej męki, jej nakrapiana teraz czerwonymi cętkami twarz była pozbawiona wszelkich emocji, leżała milcząca i niewyobrażalnie wyczerpana, ale po chwili znowu zaczęła rozdzierająco krzyczeć. Jednak nie licząc jej coraz głośniejszych wrzasków,

uznawanych w tym miejscu za zwyczajne i nieistotne, na sali królowała paradoksalnie pogodna atmosfera, bo wszystko było dobrze, tak jak powinno być. Ludzie wokół Suzy uśmiechali się, a nawet żartowali i plotkowali dyskretnie.

Ale ja w jej krzykach zaczynałem słyszeć śmiech Heidla.

Pod pretekstem wyjścia do toalety wybiegłem z pokoju, żeby stamtąd uciec: od wrzasków Suzy i śmiechu Heidla. W nieoczekiwanie jasnym korytarzu znalazłem inny świat, gdzie życie toczyło się jak zwykle; pielęgniarki śmiały się z operacji plastycznej jakiejś gasnącej gwiazdy rocka, a dwóch lekarzy spierało się o wojnę na Bliskim Wschodzie. Było tu tak inaczej, że niespodziewanie dla samego siebie spojrzałem nawet na zegarek, zastanawiając się, czy nie muszę go przestawić na nową strefę czasową, znalazłem się bowiem w zupełnie innym miejscu, gdzie nagle nastawał poranek albo wieczór i nigdy nie było wiadomo, jaka jest pora dnia. A przecież wiedziałem, że zaledwie kilka metrów dalej, za tą cienką ścianą, leży całkiem inna kraina.

Działo się tam tyle cudownych i powszechnie akceptowanych rzeczy, będących częścią narodzin, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby salę wypełniła chmara niebieskich motyli, które całkowicie zakryłyby twarz Suzy, albo gdyby Suzy zaczęła unosić się do góry nogami w powietrzu pod sufitem, bo nawet tego rodzaju zjawiska zostałyby żartobliwie zlekceważone jako codzienne i normalne i jako element tego, co jak mi powiedziano, jest „procesem rodzenia", i wszystko było dobrze, dopóki te wydarzenia zachodziły w naturalnym i prawidłowym porządku, chmara niebieskich motyli zabawiła na sali tyle, ile należało, nie krócej i nie dłużej, a Suzy unosiła się powietrzu właśnie w taki, a nie inny sposób, i tak dalej, i tak dalej. Wszystko było cudowne, a jednak wszelkie oznaki, że każdy kolejny cud jest czymś więcej niż codziennością i pospolitością, eksperci odrzucali jako nieszczęsną naiwność ojca bliźniaków.

6.

Godziny przechodziły w minuty, a minuty w dni. Raz robiła się noc, a raz poranek, potem znowu noc, choć może w szpitalu trwała wieczna noc albo zawsze był dzień. A ja przez ten cały długi czas, trzydzieści sześć godzin, jak miałem się później dowiedzieć, mimo wszystko wewnętrznie walczyłem ze sobą. Na sali wydawało się być pełno dobra, ludzi pragnących sprowadzić życie na świat, ja jednak słyszałem ciągle głos Heidla, mówiącego, że świat nie jest dobry, tylko zły. I żeby zagłuszyć ten głos w swojej głowie, ocierałem Suzy czoło, pocieszałem ją, masowałem jej plecy, martwiłem się i bałem o nią.

Bez względu na to, jak bardzo starałem się być tam z Suzy i dla niej, ponad popiskiwaniem urządzeń, monitorujących pracę serca, ponad szmerem cichych rozmów i ponad jej krzykami nadal słyszałem Heidla, który jak zwykle nie chciał się zamknąć: „Słuszność nie istnieje. Przegrasz". I coraz bardziej się bałem, że Siegfried ma rację, że żadne z moich uczuć nie jest autentyczne, że mój prawdziwy instynkt to w najlepszym wypadku mglista fizyczna ciekawość, a w najgorszym chorobliwa obojętność, i że odgrywam tylko pewną rolę – męża, ojca i dobrego człowieka.

Nagle niepewien, kim jestem, uznawałem każdy swój gest za wstrętny, a każde słowo wydawało mi się fałszywe. Mój niepokój o Suzy mącił strach, spowodowany tym, że nie wiedziałem, kim jestem, i odczuwałem jej skurcze prawie tak, jak gdyby to były ciosy zadawane mnie.

Jej cierpienie chwilami mnie przytłaczało. Miała straszne boleści, a przecież wszyscy wiedzieli, że jedyną drogą do zakończenia męczarni jest poród. Lecz na tej drodze było jedynie więcej bólu i cierpień. Lekarze zaproponowali petydynę, błagałem, żeby ją wzięła, ale nie chciała. Może bała się, że jeśli odejmie sobie trochę męki, straci dzieci. Nie wiem. Teraz rozumiem, że była to właśnie jedna z tych wielu spraw, o których nigdy nie rozmawialiśmy.

Zaczęła płakać, ale jej łzy stłumiła następna seria skurczów, przez które jęczała z bólu.

Boli, warknęła tak niskim głosem, że trudno było mi uwierzyć, że mówi to moja żona. Boli, Kif.

Jej wargi zrobiły się wąskie, miała czerwoną twarz, zwykle rozmarzone oczy stały się teraz trzeźwe i surowe, wyraźnie skupione. Przeistaczała się w kogoś czy w coś innego, w coś fundamentalnego. I zrozumiałem, że się nie podda, że całą sobą przyzywa i skupia swój ból i siłę, aby przeć.

Porodówkę znowu zaczęło wypełniać nerwowe napięcie, przychodziło też coraz więcej łapiduchów: dwóch położników, dwóch pediatrów i dwóch lekarzy innych specjalności, po jednym na dziecko. I chociaż nikt nic nie mówił, zdałem sobie sprawę, że wszystko, co wcześniej było dobre, teraz z jakiegoś powodu stało się złe. Dotąd Suzy cierpiała, ale była silna, zrozumiałem jednak, że teraz cierpi jeszcze bardziej i słabnie. W pomarszczonym wirze skurczów i odpoczynków coraz rzadziej mówiła do rzeczy, aż w końcu nie wiedziała już nawet, że jestem przy niej, i wydawała się topić, zapadać w jakąś toń, gdzie nie mogłem już jej dosięgnąć.

7.

Nastała dziwna przerwa. Wszyscy czekaliśmy. Wyczuwałem, że gasną uśmiechy i rozmowy, i zrozumiałem, że cokolwiek się dzieje, nie musi już skończyć się dobrze, że nadeszła chwila, w której wszystko niebezpiecznie balansuje na granicy życia i śmierci. Lekarz, atletycznie zbudowany młodzieniec, popatrzył na mnie tak, jak gdybym był portierem, po czym nawet się nie przedstawiwszy, kazał mi powiedzieć żonie, żeby mocniej parła. Ciałem Suzy targały coraz gwałtowniej nowe skurcze, których ustanie znaczyły przeciągłe, ciche jęki wyczerpania. Lekarz pociągnął nosem.

Robi, co może, powiedziałem. Zachowywałem się asekuracyjnie. Ale przede wszystkim po raz pierwszy bałem się o Suzy.

Jeżeli w ciągu dziesięciu minut sytuacja się nie zmieni, będziemy musieli zrobić cesarkę, powiedział lekarz i znowu pociągnął nosem.

Zapytałem, co się dokładnie dzieje. Wycierając swój orli nos w wymiętoszoną chusteczkę w czerwone grochy, odpowiedział, że jak się

wydaje, bliźniaki splątały się kończynami w kanale rodnym i utknęły. Im dłużej potrwa taka sytuacja, tym głębiej zostaną wciśnięte i tym mocniej uwięzną, uniemożliwiając naturalny poród, wydobycie dzieci może więc wymagać „poważnego zabiegu".

Mówił cicho i łagodnie niczym kasjer, oznajmiający, że na moim koncie bankowym brak środków. Dorzucił zwyczajowe w takich sytuacjach zastrzeżenia, że to jest jedynie ich opinia i że poród siłami natury nadal jest możliwy. Jednak czekanie dłużej niż dziesięć minut może się „smutno skończyć" zarówno dla dzieci, jak i dla mojej żony.

Jeśli będziemy interweniować, powiedział, to na pierwszym miejscu stawiamy życie matki.

A dzieci?

Znowu wytarł nos. Za wygniecioną chustką zauważyłem jego skrzywioną twarz.

Zrobimy, co w naszej mocy.

Czterema bardzo długimi krokami podszedłem do zatraconej w cierpieniu Suzy.

Posłuchaj, powiedziałem. Proszę cię. Posłuchaj, proszę. Sytuacja jest poważna.

Zabrzmiało to fałszywie; gorzej – jak obelga. Ale oczy mojej żony wreszcie skupiły się na mnie, patrzyły z niemal nieskończoną ufnością, jak gdybym tylko ja mógł wybawić Suzy od tego cierpienia. Wydawało mi się nie na miejscu prosić ją o to, o co poprosiłem.

Musisz przeć mocniej.

Staram się, odpowiedziała niewyraźnie i uświadomiłem sobie, że ją zdenerwowałem, a także, że jest z siebie niezadowolona. Ze wszystkich sił, szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem.

Postaraj się jeszcze bardziej, powiedziałem. Było mi strasznie wstyd, że proszę o coś takiego.

Nie mogę, mówiła gardłowo, z trudem chwytając powietrze, bo uderzyła ją fala nowych skurczów. Nie mogę, Kif! Nie! – krzyknęła nagle. Proszę, nie. Proszę! Nie!

Zaczęła cicho jęczeć, był to dziwny, zwierzęcy jęk, a ja ją znów traciłem; spadała w jakąś pustkę, jej ciało kołysało się i drżało spazmatycznie. Twarz Suzy zmieniła się nie do poznania. Pochyliłem się nad nią, powtarzając, że da sobie radę. Stawało się jednak jasne, że się jej nie uda. Poczułem klepnięcie w ramię, odwróciłem się i zobaczyłem tego atletycznego, przystojnego lekarza. Odszedłem z nim w kąt sali.

Pańska żona nie ma już więcej sił, powiedział, pociągnął nosem i mówił dalej. Dzieci przeżywają coraz większy stres. Musimy operować.

Pięć minut, zacząłem go błagać. Tylko pięć, to wszystko, o co proszę.

8.

Wróciłem do Suzy. Bezsensownie wytarłem jej znowu twarz i jeszcze raz poprosiłem, żeby spróbowała mocniej przeć. Była gdzieś bardzo daleko. Jej ciało i dusza toczyły pierwotną walkę, w której ona sama jakoś nie mogła jednak uczestniczyć. Nagle wydała przeraźliwy krzyk, nigdy nic podobnego dotąd nie słyszałem, niski, okropny, będący wyrywającym się z trzewi tchnieniem przerażenia i przedwieczną skargą. Wydawało się, że gdzieś w głębi serca znalazła dodatkową energię i siłę woli, by popchnąć swój wyczerpany organizm jeszcze trochę dalej.

A chociaż ten straszliwy krzyk trwał nadal – dźwięk zawieszony gdzieś pomiędzy agonalnym jękiem i błaganiem o litość, pomiędzy akceptacją tego, czym jest życie, i złością na nie – i chociaż na sali zapanował nastrój jakby oszczędnej koncentracji, wszyscy wykonywali niby swoją codzienną pracę, bo w gruncie rzeczy tak było, robili dalej pomiary, kontrolowali parametry życiowe i nadal rozmawiali cicho między sobą.

Suzy wyciągnęła do mnie rękę. Wydawało się, że to nic ważnego. Jej uścisk nie był silny, właściwie w ogóle trudno było to nazwać uściskiem. Należałoby raczej powiedzieć, że wsunęła rękę w moją dłoń, nic więcej. Ale kiedy spróbowałem położyć rękę Suzy na łóżku, jej ciałem wstrząsnął dreszcz, a chwyt stał się żelazny. Szybowała w olbrzymiej otwartej

przestrzeni w zupełnie innym świecie i zrozumiałem, że mam jej nie puszczać.

Przyciszony szmer na sali uciął czyjś podekscytowany okrzyk. Podniosłem wzrok znad Suzy i zauważyłem nagłe zaciekawienie wśród łapiduchów.

Widać główkę, usłyszałem położną o pulchnym obliczu.

Ręka Suzy wypadła bezwładnie spomiędzy moich palców, kiedy złowrogie twarze utworzyły nieco komiczny krąg między jej rozłożonymi nogami, po czym się rozsunęły, żeby przepuścić położną. Chociaż w pokoju było tylu fachowców, tylko ona wydawała się pomagać Suzy w porodzie, reszta obecnych zadowalała się od czasu do czasu wymianą spojrzeń i wygłaszanymi surowym szeptem profesjonalnymi uwagami.

Miotałem się w panice. Pomiędzy zakrwawionymi udami mojej żony pojawiała się i znikała pokryta tłustymi włoskami, potężnie pulsująca kulka. Wszędzie były krew i płyn owodniowy. Za każdym razem tłuste włoski wysuwały się coraz dalej, potem znikały w środku, jak gdyby drażniąc się ze światem, niepewne, czy wejść, czy wyjść. Na sali zapadła cisza.

Uwaga, rozległ się czyjś głos.

I w tej ciszy, kiedy zbliżała się chwila narodzin dziecka, usłyszałem Heidla.

„Dowody wspierają moją tezę!"

Spomiędzy nóg Suzy zaczęła wyłaniać się główka, która wydawała się o wiele za duża – nigdy w życiu nie sądziłem, że może być aż tak wielka. Pokryta krwawym śluzem, wyglądała raczej na głowę gada albo nawet płaza, nie człowieka.

I znowu ten przeklęty głos.

„Bierz, co możesz! Zanim życie cię zabije!"

Położna spoważniała. Lekarze oddali jej teraz pierwszeństwo, przemawiała do Suzy, prowadząc ją przez ostatni etap porodu. Mówiła cicho, kazała jej zwalniać albo przyspieszać, przeć bardziej w lewo lub w prawo, rozluźnić się albo napiąć; tak zaczął się taniec dwóch kobiet.

Moja żona zagłębiła się jeszcze bardziej w ból, krzyczała, wiła się, błagała Boga o pomoc. Jej niebieska szpitalna koszulka rozsunęła się, odsłaniając

pierś. Nie zważała na to, nikt nie zważał, wszyscy byliśmy ponad takie rzeczy, a mimo to ją zasłoniłem, po chwili jednak koszulka znów się zsunęła. Suzy podniosła wzrok, mokre włosy przylgnęły do jej spoconego czoła, szukała mnie zatraconymi oczami, chcąc jakiejś odpowiedzi, której nie miałem, albo wskazówki, której nie mogłem udzielić.

Rozumieliśmy tylko, że na tej zatłoczonej sali, pełnej tylu fachowców, jest sama ze swoim ciałem. Przerażająco sama. Dostawała gaz, nie wiem, od jak dawna, miała przed nim opory jak przed petydyną, ale wciągała go teraz chciwie do płuc. Nie byłem w stanie wypędzić Heidla ze swoich myśli. Suzy patrzyła na mnie z ogromnej oddali jak na kogoś obcego, na potwora, jej twarz wykrzywił grymas, a kiedy przeszył ją kolejny skurcz, zaczęła krzyczeć.

Grzeczna dziewczynka, powiedziała położna, gdy główka wreszcie wyszła. Przyj mocniej.

Prę ze wszystkich sił, odpowiedziała błagalnie Suzy i znowu wyrwał jej się krzyk z samych trzewi, kiedy na zewnątrz pojawiły się oślizgłe ramionka, a potem plątanina rączek i cherlawa pierś, zakrwawione, zwinięte w kiść i oślizgłe; po chwili w ostatniej rozdygotanej konwulsji wysunęły się nóżki i stópki.

Dziecko zostało zabrane do zważenia i zmierzenia, zanim zdążyłem dobrze mu się przyjrzeć. Z dalekiego kąta rozległ się krzyk, niemal kwiknięcie, kiedy gorące, suche powietrze wdarło się do jeszcze mokrych płuc. Za murem łapiduchów zobaczyłem dziecko, jego cienkie nożyny poruszały się, jak gdyby próbując obracać częściowo zablokowaną korbą, a poniżej gruszkowatego korpusu dyndał maleńki penis. Porwała mnie lawina uczuć: wdzięczność, strach, podziw, otępienie i zdumienie, że nie wiedzieć czemu pozwolono mi być częścią czegoś takiego.

Usłyszałem jęk Suzy. Odwróciłem się do niej i zobaczyłem, że jej teraz częściowo sflaczałym brzuchem wstrząsają skurcze.

Każ jej zwolnić, warknął jakiś łapiduch. Jest za wcześnie.

Ale było za późno. Działo się coś złego. Zapomniałem, że zostało jeszcze jedno dziecko.

9.

Atmosfera na sali znowu radykalnie się zmieniła. Położna nalegała, żeby Suzy spowolniła poród, ale moja żona była już cała jednym wielkim skurczem.

Mój Boże! Główka wychodzi, stwierdziła czerwona na twarzy akuszerka. Strasznie szybko…

Ledwie zdążyła zająć swoje miejsce, zobaczyłem, jak Suzy znów się otwiera. Wypłynęło z niej przezroczyste jajo, które położna przyjęła w złożone dłonie niczym dar.

We wnętrzu tego jaja pływała maleńka istotka.

Na widok różowo-niebieskiej kulki w rękach akuszerki rozległy się okrzyki zdumionego zachwytu. Wszyscy patrzyliśmy zaskoczeni, jak przypominające kształtem korzeń żeń-szenia stworzonko, pogodnie usposobione w swym idealnym świecie, wierciło się we flakowatym uścisku worka owodniowego. Kiedy położna wcisnęła kciuk pod czepek, żeby go rozerwać, sapnąłem. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cudowny pęcherzyk zniknął, zalany wodą, pozostawiając w złożonych kobiecych dłoniach noworodka płci męskiej.

Miał niebieskie oczy, nieziemsko jasnoniebieskie, duże i czyste niczym niebo latem. Przez nie więcej niż jedną czy dwie chwile patrzył na mnie nieruchomo i spokojnie na niezbyt dobrze oświetlonej sali. Wspaniałość narodzin, moja nieistotność, w tej chwili wszystko nabrało nagle sensu i było tak, jak zawsze powinno być.

A potem znowu usłyszałem głos Heidla. Coś się stało, ale co? Widziałem tylko swoich bliskich, słyszałem jednak wyłącznie Heidla, Heidla, Heidla. Chciałem, żeby moja żona i dzieci byli bezpieczni, ale czy byli? Bałem się, że Siegfried przyjdzie po nich, po mnie, po nas. Wszystko było tak, jak powinno być, wszystko było dobrze, i wiedziałem, że lepiej już nie będzie. Pomyślałem, że wreszcie poznam trochę prawdy życiowej, która mnie wyzwoli, i przez kilka minut rzeczywiście tak było.

Prawda zniknęła jednak bardzo szybko, jak cud worka owodniowego rozpuściła się w krwawej kałuży, a moją euforię ponownie zagłuszyła

gadanina Ziggy'ego. Wszystko, co wydawało mi się wyzwoleniem, stało się niewolą, a radość nieoczekiwanie przeszła w smutek.

Widziałem przed sobą dwa dziwne, wyglądające niemal jak przybysze z innej planety zwierzątka o bezwładnych kończynach i sinych, wykrzywianych paroksyzmami mordkach. Wiedziałem, że będę bezwartościowym mieszkańcem tej ziemi, jeżeli nie uda mi się zrobić czegoś, co dorównywałoby ich narodzinom. Co jednak oprócz śmierci mogło się równać z tym, co przed chwilą widziałem?

Rozpaczliwie chciałem coś poczuć, cokolwiek, ale głowę miałem pełną słów Heidla, obłędu jego myśli, zdjęło mnie przerażenie i chociaż bardzo się starałem zwalczyć to poczucie, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że to, co Heidl powiedział, było prawdą.

„Świat jest zły".

Pogładziłem swojego pierworodnego syna palcem po policzku.

„Przegrasz".

Nakryłem dłonią ciepłą główkę drugiego z bliźniaków.

„Zostaniesz pokarany. Zniszczony".

Ogarnęło mnie nagle wiele różnych emocji. Ale wszystkie słowa należały do Heidla.

„Rozejrzyj się wokoło, Kif. Dowody płynące ze świata wspierają moją tezę".

Brakuje panu słów, powiedziała położna.

„Słuszność nie istnieje".

Nie, odpowiedziałem niepewnie, głos Heidla rozbrzmiewał w moich uszach niczym szum szaleństwa. Ja po prostu... Spodziewałem się czegoś innego.

Wszędzie był płyn owodniowy, który wciąż lał się z Suzy.

Zawsze spodziewamy się czegoś innego, odparła położna.

Potem wyszło łożysko, wielki, przypominający wątrobę narząd, który wypadł z pluskiem na stalową tackę, a za nim jeszcze więcej krwi i płynu.

I dopiero teraz było po wszystkim.

14

1.

W wyszmelcowane pokrowce melbourneńskiej taksówki wżarł się melbourneński taksówkowy smród przypalonego plastiku i stęchłych melbourneńskich wymiocin. Otworzyłem wyświechtany melbourneński plan miasta, żeby pokazać melbourneńskiemu taksówkarzowi, jaką drogą ma jechać przez swoje miasto, Melbourne, by dostać się do Port Melbourne. Takie to było miejsce. Może wciąż takie jest.

Niech mi pan przypomni, czym pan się zajmuje? – poprosił taksiarz.

Jestem pisarzem, odparłem bez większego przekonania.

A nie nazywa się pan przypadkiem Jez Dempster?

Opuściłem szybę, by wziąć łyk świeżych spalin, i próbowałem przemyśleć, jak przebrnąć przez ostatni dzień wspólnej pracy z Heidlem. Zostało mi zaledwie dziewięć godzin, aby dokonać niemożliwego.

Dziwiłem się, że zdołałem zajść aż tak daleko. Kiedy po narodzinach bliźniaków miałem już zadzwonić do Paleya i rzucić wszystko w diabły, Suzy namawiała mnie, żebym pracował dalej, mówiła, że nie mogę się poddać, że potrzebujemy pieniędzy. Jak inaczej mielibyśmy zapłacić za drewno na opał? Za wózek? Za foteliki samochodowe dla chłopców?

Chociaż jej też się to wszystko nie podobało. Dzień wcześniej wróciła z bliźniakami do domu, była niewyobrażalnie wymęczona i potrzebowała mnie, a ja siedziałem w swoim pokoiku. Ale tak jak powiedziała, jaki mieliśmy wybór? Sprawy zaszły już za daleko. Oboje wiedzieliśmy, że teraz nie chodzi już o moje ambicje literackie ani w ogóle o żadne ambicje, nie chodzi o próżność czy sztukę, tylko o pieniądze, których nie mieliśmy

i które były nam rozpaczliwie potrzebne, żeby spłacać raty za dom i nie pójść na dno.

Dlatego po przyjściu na świat bliźniaków, kiedy Suzy leżała jeszcze w szpitalu, a Bo pomieszkiwała u jej rodziców, od razu wróciłem do domu, aby zająć się drugą wersją książki. Przygotowałem specjalny wydruk, na którym opisałem i wyróżniłem na kolorowo te fragmenty, które przysparzały mi bólu głowy. Sporządziłem też listę bardzo konkretnych pytań, mających rozświetlić najważniejsze niejasności w opowieści Heidla, których nigdy nie zaakceptowałem, a które Pia Carnevale uparła się teraz wyjaśniać. Wydrukowałem nawet harmonogram pracy, żeby mu go pokazać. Podzieliłem w nim tych kilka godzin, jakie pozostały nam tego dnia na rozwiązanie najbardziej palących problemów, w taki sposób, żeby było wiadomo, ile mamy minut na każdy z nich przed przejściem do następnego – jeżeli mieliśmy dokończyć robotę. Wydawało się to absurdalne. Ale była to też jedyna nadzieja, aby skłonić Heidla do zrobienia tego, co należało zrobić.

Poza tym wcale niełatwym zadaniem pozostawało jeszcze coś prostszego. Paley, którego zirytował coraz lepiej widoczny brak zainteresowania Ziggy'ego jego własną biografią, zażądał ode mnie, żebym skłonił go do złożenia podpisu na przygotowanym przez prawników TransPacu dokumencie, potwierdzającym, że moja książka jest wiernym i szczegółowym zapisem jego życia.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed biurowcem TransPacu, zauważyłem Raya, który tak jak już kilka razy przedtem stał przed głównym wejściem niczym wartownik, opierając się o betonowy kwietnik. Dzień był bardzo pochmurny, w powietrzu wisiała burza, która jednak jakoś nie nadchodziła, i Ray też zdawał mi się zatracony w nieskończonym oczekiwaniu. Był tak głęboko pogrążony w myślach czy wspomnieniach, że nie zauważył mojego przyjazdu, zobaczył mnie dopiero, kiedy przystanąłem koło niego i zwróciłem się do niego po imieniu.

Powoli podniósł głowę, patrząc dalej w ziemię – na którą spadło kilka znikających natychmiast kropli deszczu – jak gdyby rozlał swoje myśli, ale nie wiedział gdzie.

Ziggy odjechał.

Co?

Kompletnie odjechał, kurwa. Ktoś go próbował zabić wczoraj wieczorem.

Komu by się chciało zrobić coś takiego?

Właśnie łamie sobie nad tym głowę. Myśli, że...

Ray pokręcił głową.

Nie wiem, co on myśli. Wiem tylko tyle, że ma ślady duszenia na szyi.

Popatrzył na mnie.

Ale kto wie, kto to zrobił? Ty? Ja? On sam?

Widziałeś się z nim.

Ja? – odpowiedział Ray, autentycznie zaskoczony tym, dokąd go prowadzi jego gadanina. To ty z nim rozmawiałeś. Znasz całą zasraną historię jego życia, więc to ty powinieneś wiedzieć... co on, kurwa, myśli.

Chodźmy na górę.

Mówi, że powinienem był być przy nim. Że go zawiodłem.

Chodź, Ray.

Ale dał mi wolne na wieczór. Powiedział, że nie będę mu potrzebny.

Chodźmy.

Nie mogę, stary.

No chodź.

Kazał mi tu zostać.

Po co?

Żeby pilnować wejścia.

Do kurwy...

Wypatrywać gościa, który chciał go zabić. Na wszelki wypadek, gdyby ten ktoś chciał spróbować jeszcze raz. Nie wiem.

No przecież zabójca może wejść tędy, zauważyłem, wskazując odległe drzwi. Albo tamtędy... Jest jeszcze tylne wejście na końcu tego podjazdu.

To powiedz mu o tym! – wrzasnął nagle Ray. Powiedz mu, kurwa! Nie mogę tu zapewnić mu ochrony! Powinienem raczej siedzieć z nim w pokoju.

Jadę na górę, odparłem i zostawiłem Raya na tym jego dziwnym, bezsensownym posterunku, w pracy, która z jakiejś przyczyny tak bardzo

go niepokoiła, że nawet mnie nie zauważył. Dostrzegłem jego odbicie w szybie, wchodząc do budynku, właściwie wyglądał jak czający się do ataku morderca, chociaż przez cały czas udawał ochroniarza, który miał zasłonić Heidla własnym ciałem.

2.

W dyrektorskim gabinecie Heidl po raz pierwszy nie siedział za dyrektorskim biurkiem, tylko spacerował po pokoju.

Siegfried, zagadnąłem.

Spojrzał na mnie, pokręcił głową i dalej krążył tam i z powrotem. Postanowiłem jednak, że tego dnia zachowam zimną krew i nie dam mu się wciągnąć w grę uników. Nie dam się sprowokować, nie popadnę w żadne dygresje, nie zboczę na manowce. Nie stracę cierpliwości ani zainteresowania, tylko będę się trzymał swojego harmonogramu. Takim czy innym sposobem do końca dnia uspójnię, a może nawet uściślę wszystko, co napisałem, a przede wszystkim skłonię go do podpisania poświadczenia autentyczności tekstu. Usiadłem, po czym ułożyłem wydruk i notatki na stole. Heidl nie zwracał na mnie uwagi.

Ziggy, powiedziałem. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy użyłem tego zdrobnienia w rozmowie z nim, chociaż nie wiem, czy kierowała mną pogarda, czy coraz większa zażyłość. Chuj ci w dupę, pomyślałem. Chuj ci w dupę.

Widziałeś tam kogoś? – spytał, wskazując palcem za okno, na miasto. Może w samochodzie?

Wydawał mi się innym człowiekiem niż dotąd: był podminowany, zaczerwieniony na twarzy, zachowywał się prawie jak pomyleniec.

Ziggy, musimy dzisiaj sporo zrobić…

Kiedy tu jechałeś? Może pół przecznicy stąd? A może ulicę dalej?

Machnięciem ręki wskazał Europę, Mekkę, Houston, Langley i Laos, biegun południowy i północny, przeszłość, przyszłość i wszystko, co

wirowało między nimi.

Tam, powiedział. Widziałeś?

Nie mogłem ścierpieć kształtu ust Heidla w tej chwili, tej szpary między zębami i całej jego pachnącej płynem po goleniu postaci w pasiastej koszuli. Chciałem go zapytać: Czy jesteś pracownikiem księgowości średniego szczebla, który przedstawia wyniki przedsiębiorstwa za ostatnie półrocze, czy oszustem, mającym chociaż trochę przestępczej dumy, kurwa?

Ale otwartą dłonią o rozcapierzonych palcach, naśladując gest, jaki zaobserwowałem u Paleya, poklepałem tylko wydruk, stos kartek, może mając nadzieję wyrazić w ten sposób dyrektorską siłę i dać do zrozumienia, że nasza dobra robota jest już prawie skończona.

Musimy jeszcze tylko odpowiedzieć na kilka ostatnich pytań, powiedziałem z przyklejonym do twarzy uśmiechem, który czasami określa się jako „stanowczy". I książka będzie gotowa.

No, ale ty przecież nie chciałbyś niczego zobaczyć, stwierdził Heidl. Prawda, Kif? Ciekawe… No właśnie… W tym rzecz.

Jaka znowu rzecz? Być może na tym polegał mój podstawowy problem. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Ray też nie. Heidl natomiast podkładał zbyt wiele znaczeń pod „rzecz", tylko że żadne z nich nie było przydatne. Jedyne, co mogłem zrobić, to zaproponować mu iluzję, której poświęciłem swoje życie.

Książka, Ziggy.

Ale książka też nie była tą „rzeczą". Książka, jak zrozumiałem, w ogóle nie była niczym.

Wrócił do widoku na ulicę i mocno opierając się plecami o szorstką betonową kolumnę, dzielącą dwa okna, wykręcił głowę i zaczął obserwować miasto, jak gdyby mógł się tam gdzieś czaić snajper. Jego zachowanie wydało mi się absurdalne i melodramatyczne i tylko jeszcze bardziej mnie wkurzyło.

Książka? – powiedział Heidl. Naprawdę myślisz, że chcę o tym gadać?

Odpowiedziałem, że tak.

Książka? – zasyczał, zadając pytanie, a zarazem wyrażając zdziwienie, jak gdyby chodziło o jakąś sztuczkę, przekleństwo, nieunikniony los albo

pułapkę, łączącą te trzy zjawiska. Pokręcił głową. Domyśliłem się – zawsze uważałem, że to trochę jak odgadywanie kiepskiej zagadki – że jego pierwszoplanową emocją tego dnia jest rozpacz.

Odpowiedziałem, że tak, właśnie tak, chodzi o książkę, że to jego książka i to z jej powodu tu jesteśmy.

Jak myślisz, skąd się to wzięło? – zapytał, odwracając się do mnie i wskazując kołnierzyk koszuli. Powiedz mi!

Zsunął kołnierzyk jednym gwałtownym szarpnięciem i odsłonił dwa szokujące sińce, biegnące wokół połowy obwodu jego szyi, dwie niepokojąco duże, sine pręgi.

3.

Były obsceniczne i niewytłumaczalne, starałem się nie patrzeć na nie dłużej, przeniosłem wzrok z powrotem na monitor i wcisnąłem kilka klawiszy.

Patrz! – syknął znowu.

Powiedziałem, że czas już wziąć się do pracy.

Nachylił się do mnie, przyjmując pełną złości, a zarazem konspiracyjną postawę i ton.

Podsunę ci pewien pomysł, powiedział.

Zgodziłem się z nim, że pomysł mógłby mi pomóc. I dodałem, że pomysł z jego strony to w ogóle coś nowego.

Bankowcy, oświadczył teatralnym szeptem.

Żeby sprawdzić, czy mnie słucha, zapytałem, czy próbował go może udusić czek bez pokrycia.

To bankowcy, wrzasnął, jebani bankowcy, Kif, chcą mnie widzieć martwego!

Nie słuchał. Uznałem jednak, że z mojego punktu widzenia to dobrze. Podszedłem do niego, podałem mu kopię wydruku, harmonogram i wyjaśniłem plan pracy.

Dwóch facetów usiłowało mnie zgarotować, powiedział.

Odparłem, że ja nie miałbym o to do nich żalu, ale musimy pomyśleć o innych sprawach.

Odepchnął się od betonowej kolumny i podchodząc do mnie, zaczął wrzeszczeć, wymachując wydrukiem i harmonogramem, jak gdyby były to dokumenty procesowe, które mogą potwierdzić jego winę.

Kif... Wczoraj wieczorem ktoś próbował mnie zabić! Wracałem z restauracji do swojego pokoju hotelowego, kiedy złapali mnie jacyś dwaj faceci i wepchnęli w zaułek. Jeden zaczął mnie dusić, a potem...

Zadałem mu oczywiste pytanie:

Dlaczego?

Dlaczego? Pytasz mnie dlaczego? Może z tego samego powodu, dla którego zabili Franka Nugana.

Spadałem w przepaść:

Kogo?

Franka Nugana. Za dużo wiedział. Ja też wiem za dużo. Pokazałem światu, jacy bankowcy są głupi. A oni nie lubią, jak się z nich robi głupków. Siedemset milionów! Jak ci powiem wszystko, co o nich wiem, w jaki sposób pracują, podam nazwiska, wiesz, jeżeli zdradzę ci te wszystkie rzeczy, to będą mnie chcieli zabić. Wolałbym zginąć z własnej ręki, tak byłoby prościej.

A ja wciąż spadałem i nie mogłem nic na to poradzić; Heidlowi udało się to, co zawsze mu się ze mną udawało: spychał mnie w przepaść.

Chcesz zginąć z własnej ręki czy powiedzieć prawdę?

Jedno i drugie. Dlatego na mnie czyhają. Pewnie myślą, że mam to wszystko spisane, wszystko, dlatego chcą mnie zabić.

Twierdzisz, że banki zapłaciły tym ludziom, żeby cię sprzątnęli?

Mój Boże! – zawołał Heidl. Próbowali mnie udusić, Kif. Żaden ze mnie bohater, ale wiedziałem, że jeżeli czegoś nie zrobię, to już po mnie. Udało mi się podstawić jednemu nogę, wysunąłem głowę z tego drutu, który zarzucili mi na szyję, i rzuciłem się do ucieczki jak szatan.

Sińce były prawdziwe, ale kto mógł wiedzieć, co się naprawdę stało? Jeżeli użyli drutu, myślałem, to dlaczego te pręgi są takie szerokie, nie

wąskie? A może ktoś próbował go po prostu obrabować? Może Ziggy wdał się w bójkę, która zrobiła się w końcu zbyt brutalna? Ale nie powiedziałem tego na głos, odpuściłem.

Dlaczego bankowcy mieliby chcieć twojej śmierci, skoro mogą cię zamknąć na długie lata? – spytałem. Wygrają w sądzie i tylko to ich obchodzi.

A jeżeli na ławie oskarżonych powiem o nich prawdę?

Na litość boską… Możemy po prostu pracować?

A powiem prawdę, dodał.

Chyba po raz pierwszy w życiu, zadrwiłem. Nie dałeś mi dotąd nic, zero prawdy, nawet żadnych przyzwoitych kłamstw. Napisałem tę książkę po swojemu, mimo że mi w tym przeszkadzałeś, a teraz proszę cię tylko o jedno; o jedno. Po prostu pomóż mi poprawić ewidentne błędy w tych łgarstwach, które zmyśliłem niejako w twoim imieniu.

Jeszcze nie skończyłem, kiedy zrozumiałem, że to, co mówię, nie ma sensu. Błędy w zmyśleniach? Moja książka? Traktowałem jego wspomnienia jako swoje dzieło?

O jakich łgarstwach mówisz? – spytał Heidl. Zmienił ton. Przebywanie w jego towarzystwie było jak jedzenie lodów, które zmieniały się najpierw w dezodorant, a potem w jeża. Łgarstwa? – powtórzył.

Łgarstwa? To wszystko, co mam…

Łgarstwa? – przerwał mi z niedowierzaniem. Obroniłem się przed dwoma facetami, których ktoś nasłał, żeby mnie zabili, ale pamiętaj, że to jeszcze nie koniec. A ty nazywasz mnie kłamcą? Kłamcą! – powtórzył, tym razem bardziej przenikliwie i głośniej. To moje wspomnienia, Kif!

Powiedz mi tylko, co w nich zaakceptujesz, a czego nie. Z resztą sobie poradzę.

Heidl zamruczał coś o tym, że musi zadzwonić do Phila Monassisa, swojego adwokata, podniósł słuchawkę, wcisnął kilka klawiszy, odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Zaklął pod nosem.

Czy tam, gdzie tekst stoi w sprzeczności z powszechnie znanymi faktami, mógłbyś mi pomóc na tyle, żeby udało nam się z tego wykręcić? A jeżeli nie, to żeby chociaż nie można było mi udowodnić, że się mylę?

Heidl popatrzył na mnie, a potem wyjrzał przez okno na sine niebo, na którym zbierały się chmury, i stojące niżej przygnębiające betonowe bunkry Port Melbourne.

A jeżeli jest coś, co chciałbyś jeszcze dodać, to mi powiedz.

Znowu nadeszła ta chwila, Heidl znów popatrzył na mnie tępym wzrokiem, jak gdyby szukał w myślach kolejnej emocjonalnej maski, a później na jego twarz wystąpił gniew.

Czy jest coś, co chciałbym jeszcze dodać? – syknął. Ty i Paley nie słuchacie niczego, co mówię. Wybiegłeś przed szereg i skompilowałeś tę furę kłamstw. Chcesz, żebym się pod nimi podpisał? Nigdy w życiu nie powinienem był zawierać umowy z taką haniebną firmą.

I wtedy naprawdę mi dokopał.

Powinienem był zatrudnić prawdziwego pisarza.

Dostał małpiego rozumu, zrobił się niemożliwy. Zmęczył mnie, rozzłościł i obraził, bo od początku uważał mnie tylko za kolejnego idiotę, który uwierzy w każdą jego bzdurę.

Jesteś kłamcą, powiedziałem. Ale nic więcej mnie to nie obchodzi. Musimy tylko przebrnąć dziś przez ten tekst.

Piszesz powieści i mnie nazywasz kłamcą?

Nikt cię nie zamorduje, Ziggy, powiedziałem. Chyba że ja. Ale bankowcy? Sąd zamknie cię na bardzo długi czas. To będzie ich zemsta.

Oni chcą mnie zabić.

Chcą cię zabić powoli. Dlatego opłacają prawników, nie morderców. Możemy już pracować?

To taka sama historia jak z bankiem Nugan Hand.

Możemy pracować, Ziggy?

Zabili go.

Kogo?

Nugana. Frank Nugan został zamordowany.

4.

Wylatuję o siódmej, powiedziałem. Taksówka przyjedzie po mnie o piątej trzydzieści. Wtedy powinniśmy już mieć twój podpis na tym dokumencie, a ja skończę książkę na Tasmanii w przyszłym tygodniu. Zostało niecałe pięć godzin.

Heidl wciąż stał tyłem do mnie.

Nawet nie musisz tego czytać, powiedziałem.

Panika w gardle dławiła mnie jak piłka tenisowa. Minęło już południe, a my nie zweryfikowaliśmy jeszcze ani jednego faktu i nie zbliżyliśmy się ani na krok do podpisu Heidla na dokumencie stwierdzającym autentyczność jego wspomnień.

Niech sobie robią, co chcą, zwrócił się Heidl do szyby. Podniósł rękę i potarł sine ślady na szyi. Niech mnie poszatkują jak kapustę, ciągnął dalej, i wyślą w kawałkach w pudełku do mojej Dolly. Oni tam na mnie czekają.

Kto?

Może to ja jestem kozłem ofiarnym. Kapujesz?

O czym ty znowu mówisz? – zapytałem.

Ludzi smaży się czasem z bardziej błahych powodów, Kif, powiedział i odwrócił się. O to mi chodzi.

Co? Kto, Ziggy? CIA? Czy ci kucharze, smażący hamburgery w Hungry Jack's?

Może. Może bankowcy. A może i bankowcy, i CIA. Może nie. Wiedzą, że tu jestem. Że rozmawiam. Piszę.

Przykro mi, ale nie piszesz…

I mają wspólny powód. Widzę, że teraz mnie słuchasz, i tylko to się liczy.

Co?

To, kto zabił Franka Nugana. Próbuję ci wskazać zabójców.

Powiedzieć, że w tym momencie poczułem się zdruzgotany, to nic nie powiedzieć. Byłem pod każdym względem wykończony i wyczerpały mi się pomysły na to, w jaki sposób sztuczkami lub perswazją skłonić Heidla do ukończenia książki. Pracowałem nad nią dniami i nocami bez przerwy już

ponad cztery tygodnie, wyjąwszy półtora dnia, kiedy Suzy urodziła bliźniaki. Musiałem przez chwilę odpocząć, dać się ponieść Siegfriedowi i zastanowić się przez ten czas nad jakimś kolejnym podstępem, żeby wrócił do pracy. Zaryzykowałem skinięcie głową.

Zaczynasz rozumieć, Kif, powiedział Heidl.

Ale ja nigdy nie słyszałem o Franku Nuganie.

Właśnie o to mi chodzi. A o banku Nugan Hand słyszałeś?

Odparłem, że tak, bo było to łatwiejsze niż powiedzieć „nie", ale właściwie nic o nim nie wiedziałem, znałem tylko parę komentarzy Heidla i czytałem kilka wycinków prasowych z naszej teczki: podobno jakiś skandal, teorie spiskowe, że niby CIA doprowadziło do upadku lewicowego gabinetu Whitlama w 1975 roku nieco mądrzej niż rządu Allende w Chile czy Manleya na Jamajce. Byłem wtedy za młody, żeby naprawdę się interesować takimi sprawami.

To był australijski bank handlowy, powiedział Heidl. Na początku lat siedemdziesiątych założyli go w Sydney australijski prawnik, Frank Nugan, i były amerykański żołnierz zielonych beretów, Mike Hand. Tyle tylko, że nie był to właściwie australijski bank, nie? I teraz uważaj…

Dochodzi pierwsza, powiedziałem.

To była przykrywka CIA.

Chciałem cię zapytać o tę datę, którą…

Pracowało tam mnóstwo ludzi z Agencji, wpadł mi w słowo Heidl. Wystarczająco dużo szpiegów i byłych generałów, żeby mogli podbić niewielkie państwo. Doradcą prawnym tego malutkiego australijskiego banku został Bill Colby, dawny szef CIA. Dziwne, co? Było też wielu innych. Stanowisko prezesa objął Buddy Yates, emerytowany amerykański admirał. Ciekawe? I Dale Holmgren. Poznałem go w Laosie, porządny facet. Był szefem linii lotniczych CIA.

No to co? Pol Pot też nie okazał się szczególnie przyzwoitym człowiekiem, ale jeśli agencja odzyskiwania długów zajmie mój samochód, to nie znaczy, że odpowiadają za to Czerwoni Khmerzy. Posłuchaj, zobaczysz, że na stronie czterdziestej siódmej powiedziałeś coś, co się kłóci z tym, co mówisz na stronie…

Prali brudne pieniądze, zarobione na szmuglu heroiny z Indonezji, ciągnął Heidl, zagłuszając mnie, niepomny mojej obecności, jak deszcz nie zważa na słońce, a morze na piasek. I dokąd trafiła ta forsa? Prosto na konta CIA w Teheranie, żeby mogli tam prowadzić tajne operacje.

Podniosłem kartkę niczym jakiś inkryminujący dokument, na pytania o który Heidl musiał odpowiedzieć.

Posłuchaj, powiedziałem. Czy bank Tantalus otworzył wam drugą linię kredytową na trzydzieści siedem milionów dolarów w maju 1988 roku, czy...

Ale Heidl nawijał dalej i nie zwracał uwagi na moje prośby. Ignorując pytania, opowiadał szczegółowo, jak bank Nugan Hand wchodził w pranie brudnych pieniędzy, uchylał się od płacenia podatków dzięki znajomościom Nugana, a także Handa, który pracował dla CIA w Laosie oraz zajmował się handlem narkotykami i bronią.

Ziggy, jest po pierwszej. Mamy niewiele ponad cztery godziny, to wszystko.

Nugan Hand był wszędzie, powiedział Heidl. Sprzedawali Kaddafiemu materiały wybuchowe z zapalnikami czasowymi. Broń do Angoli, okręty szpiegowskie do Iranu. Potem przychodzi rok 1980 i bum! Znajdują Nugana zastrzelonego w jego własnym mercu, w Lithgow. Mike Hand znika z Australii, od tamtej pory nikt go więcej nie widział, wszystkie pieniądze zostały wyprowadzone z banku w ciągu kilku ostatnich miesięcy działalności i pozostało tylko pięćdziesiąt milionów długów. Kapujesz?

Ziggy, co to wszystko ma wspólnego z książką?

No, jeżeli nie rozumiesz, co ci w tej chwili daję, Kif, to nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

I znowu zapatrzył się w upiorny przemysłowy park Port Melbourne tego upiornego zimowego dnia, w zbliżającą się katastrofę betonowego budynku i nieba w kolorze betonu. Odezwał się cichym głosem.

Zrozumieją wszystko, jak znajdą mnie martwego.

Miałem go dosyć. Chciałem zabić Heidla, a o ile wiedziałem, nikt poza mną nie miałby na to ochoty. Niestety, była to robota, której nie chciał się podjąć nawet lojalny Ray. Wyczuwałem w głębi duszy, że całe to gadanie o śmierci stanowiło tylko kolejny miraż, który Ziggy wymyślał dla nas,

żebyśmy w nim żyli – grę, obejmującą niedoszłe zabójstwo wczorajszego wieczoru, igraszki z myślą o samobójstwie, o morderstwie, o glocku, rozkoszną kontemplację zagadek życia pozagrobowego i wielkich teorii spiskowych…

Nie byłem w stanie przełknąć fałszu tego wszystkiego, tych prowokacji wobec ludzi bezpośrednio zaangażowanych w sprawę Heidla, a także jego perwersyjnej ciekawości, specjalnie stawiał ich bowiem w ekstremalnych sytuacjach, żeby zobaczyć, jak się zachowają. Nie potrafiłem wyjaśnić sińców na jego szyi, ale wiedziałem, że to nie była żadna próba zabójstwa, że prawda jest o wiele bardziej przyziemna. I nie obchodziło mnie to. Uważałem po prostu, że celem tych bajeczek było uniemożliwienie mi skończenia pracy nad książką. A kiedy tak ciągle gadał, nienawidziłem go bardziej niż kiedykolwiek.

5.

Zamknij się, powiedziałem.

Odsunąłem swój fotel, przypominający obraz Francisa Bacona, i wstałem. Coś we mnie pękało, a może nawet działo się znacznie więcej – moja tolerancja, opanowanie i wyuczona przyzwoitość wyczerpały się i zlały w jedno: we wściekłość. Podszedłem do Heidla, który wciąż stał przy oknie.

Proszę cię, Siegfried, powiedziałem. Proszę. Po prostu się zamknij.

Odwrócił się gwałtownie. Przez jakiś czas patrzył na mnie ze skamieniałą uwagą jaszczurki obserwującej muchę. Potem nagle wstąpił w niego animusz i wydał mi się prawie zadowolony. Wszystkie oznaki jego podenerwowania i strachu zniknęły i przemówił nowym głosem, dźwięcznym i kojącym, głosem kierownika działu HR, zwalniającego z pracy kogoś, kim wyjątkowo pogardza.

Skąd w tobie ta cała negatywna energia, Kif?

Kurwa w dupę jebana, zamknij się, kurwa! – usłyszałem swój wrzask.

Zauważyłem, że nosisz w sobie gniew.

Skończmy po prostu tę pierdoloną robotę, dobrze?

Mógłbyś znaleźć pomoc, żeby kontrolować swoje emocje, Kif. Może mają tu kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać. Chętnie wspomnę o tym Gene'owi...

Wyciągnąłem drżącą rękę. Ostrzegłem Heidla, że mam już tego dość.

Zawsze można gdzieś znaleźć pomoc, Kif. Nie zapominaj o tym. To piękna i ważna rzecz. Dla ciebie i Suzy byłoby to...

Wtedy zacząłem krzyczeć, że jest leniwy, strasznie, kurwa, leniwy, i nic mi, kurwa, nie pomaga, ale w tym momencie chociaż raz musi, kurwa, pracować.

Zamarł, jak gdyby resetował swój umysł. Kilka chwil później pojawił się przede mną odziany znów w słuszny gniew niczym w nowy płaszcz. Zaczął na mnie krzyczeć prawie w ten sam sposób, jak ja na niego.

Chuj ci w dupę! – zawołał. Myślałem, że jesteś moim przyjacielem! Ufałem ci, a teraz co? Coś podobnego! Chuj ci w dupę!

Miałem ochotę go uderzyć. Właściwie chciałem mu zrobić krzywdę. Odsunął się ode mnie; ruszyłem za nim. Krążyliśmy wokół siebie. Wypełniała mnie lawina przemocy, szukającej ujścia. Gdyby podszedł dość blisko, uderzyłbym go. Mocno. Więcej niż raz. Byłem na to gotowy. Heidl nie miał o tym pojęcia.

A może miał, bo gdy się do niego zbliżałem, starał się trzymać poza zasięgiem moich ramion. Jak na faceta z nadwagą poruszał się wyjątkowo zwinnie. Nie zdziwiłbym się, gdyby mi powiedziano, że jest dobrym tancerzem.

Ty arogancki gówniarzu, wrzasnął, krążąc dookoła mnie. Dałem ci, kurwa, pierdoloną szansę! Za kogo ty się uważasz? Nic jeszcze nie zrobiłeś. Masz trzydzieści jeden lat i mienisz się pisarzem, ale nie napisałeś ani jednej powieści.

Poczułem, jak napinają mi się mięśnie twarzy.

Prawda? Mam rację, nie? A Suzy? Biedactwo. Wspiera cię, prawda? Kiedy ty udajesz sam przed sobą i przed światem, że masz talent. Że osiągniesz sukces.

Rzuciłem się na niego, ale zdołał się odsunąć.

Tylko że ty go nie osiągniesz, prawda, Kif?

Uciekł za stół konferencyjny i krzyczał teraz zza niego.

A ja cię przedstawiam Gene'owi Paleyowi! Ręczę za ciebie! Dałem mu słowo, że udźwigniesz tę robotę. A ty co? Czytałem to gówno, które napisałeś. Jest skandaliczne. Co ja mam teraz zrobić?

Ty leniwy dupku! – wrzasnąłem. Nic nie czytałeś. Nawet w takiej sytuacji nie chcesz zadać sobie trudu, żeby to przeczytać, co?

Krył się za stołem, aby utrzymać dystans między nami, krzyczał i przeklinał. Ale jego wściekłość nie wydawała mi się autentyczna. Nic w nim nie było autentyczne. Wykrzyczałem mu wszystko, co o nim myślałem: że jest tchórzem. Leniem. Kłamcą. Chciwcem. Manipulatorem. Że pieprzy głupoty. Że mamy mniej niż pół dnia na skończenie książki, inaczej jej nie będzie.

Wiedziałem już jednak, że jego przebiegłość, determinacja i podstępność znacznie przewyższają moją cierpliwość. Krążyliśmy po pokoju i wciąż krzyczeliśmy na siebie, ja jeszcze wścieklej niż przedtem, a jego naśladowanie mojej złości z każdą minutą stawało się coraz bardziej absurdalne. Naśladował mój gniew, ale nie potrafił skopiować mojego szaleństwa.

W końcu udało mi się złapać go za klapę marynarki. Drugą rękę zacisnąłem w pięść, gotowy zadać cios, gdy rozchyliła się jego niebieska dwurzędowa sportowa marynarka; kiedy nie chodził w przebraniu, ubierał się jak na drinka w jachtklubie albo na obiad w klubie rotariańskim. Pod jego pachą zauważyłem przewieszoną przez ramię czarną, skórzaną kaburę.

Tkwił w niej pistolet.

6.

Zwolniłem uścisk. Najwidoczniej równowaga sił pomiędzy nami została dziwnie zachwiana. Heidl podniósł wzrok znad mojej pięści; oczy i mordę miał wilgotne jak pies.

Zauważył moje spojrzenie.

Może się zorientował, że boję się, że mógłby użyć broni przeciwko mnie. Bo teraz się naprawdę obawiałem, że ma na tyle nie po kolei w głowie, żeby mnie zastrzelić. Poczułem się jak w sieci albo w pułapce i jak każdy w takiej sytuacji nie wiedziałem, jak się z niej wyplątać. Przez chwilę zastanawiałem się, czy moim jedynym problemem nie jest znane każdemu czytelnikowi zniecierpliwienie, wynikające z tego, że nie wiadomo, co będzie dalej, choć gdybym zachował spokój, po prostu przewrócił kilka kolejnych kartek i posunął się tylko trochę naprzód, wszystko stałoby się jasne i pokazałaby się droga ucieczki. Z narastającym przerażeniem zacząłem jednak zdawać sobie sprawę, że te leżące przede mną kartki są po coś, że ten pistolet jest po coś, i ogarnął mnie strach, że autorem wszystkich tych okoliczności jest Heidl, ja zaś rozumiałem tylko tyle i chciałem tylko tego, aby nie stać się częścią wymyślonego przez niego zakończenia.

Na twarz Heidla, znajdującą się wciąż blisko mojej, ponieważ ciągle trzymałem go za klapę, powrócił wyraz bardziej dla niego typowej obojętności. Znowu wydawał się oceniać sytuację.

Jesteś potworem, rzuciłem.

Kto walczy z potworami, powinien się strzec, aby walka nie uczyniła go jednym z nich.

Na litość boską, czy moglibyśmy po prostu...

Bo kiedy długo patrzysz w otchłań, otchłań zaczyna patrzeć w ciebie[6].

Co ty pleciesz?

Aforyzm sto czterdziesty szósty, powiedział.

Znowu ten twój ukochany Tebbe, kurwa jego mać?

Jego apostoł, Nietzsche.

Pierdolę Nietzschego, powiedziałem, ponownie przyciągając Heidla do siebie, pierdolę Tebbego i to, że ciągle, kurwa, udajesz, że niby jesteś taki germańsko mroczny, pierdolę te twoje bzdety o tym, że niby zostałeś skrzywdzony, i całe to gówno o CIA, Laosie i tym Franku, kurwa, Handzie. Jesteś zwyczajnym śmieciem, który miał szczęście, i teraz znowu je ma, bo trafił na mnie, bo ja dostaję tylko dziesięć kawałków, a ty dwieście pięćdziesiąt, ale to ja muszę odwalić całą robotę. Tobie zostaje wyłącznie

zaakceptować to, co napisałem, i potwierdzić autentyczność biografii, wtedy się od siebie uwolnimy.

Zrozumiałem jednak, że przegrałem. Odwróciłem wzrok, chociaż nie powinienem był tego robić. Należało patrzeć mu prosto w oczy i zmusić go do spuszczenia głowy. Jak psa. Puściłem go jednak i cofnąłem się.

Znowu wpadł w inny nastrój. Błyskawicznie odzyskał spokój. Być może czuł się szczęśliwy. Na pewno się uśmiechnął.

Jaki to był uśmiech?

Najgorszy: łagodny.

Najgorszy: mądry.

Chociaż raz milczał. Jego język wysunął się szybko z ust, polizał górną wargę, jak gdyby to była koperta, i zniknął.

7.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i sekretarka Paleya podała nam lunch – zimną spanakopitę, sałatkę grecką, bułeczki i ciasto. I chociaż było to dziwne, niezwykłe, zdumiewające, to siedzieliśmy i jedliśmy w spokoju. Wyglądało na to, że spanakopita jest zawieszeniem broni, które podpisaliśmy, ogłaszając wstrzymanie działań wojennych. Mimo to Heidl, który posilał się zwykle z przyjemnością, teraz jadł niewiele, skubnął tylko trochę spanakopity, a potem wyfiletował bułkę z kurczakiem z kurczaka i pomidorów i odłożył pieczywo na talerzyk. Przy jedzeniu znowu go poprosiłem, żeby podpisał poświadczenie autentyczności tekstu. Odpowiedział, że oczywiście podpisze, kiedy tylko odpowie szczegółowo na wszystkie moje pytania. Następne pół godziny spędził, rozmawiając przez telefon z Monassisem.

Zorientował się, jakie wrażenie zrobił na mnie pistolet – w każdym razie tak sądziłem – i zachowywał się teraz niemal wesoło. Nadal mieliśmy ze sobą na pieńku, ale szaleństwo minęło i moje zachowanie wydawało mi się niemal równie teatralne i nieszczere, jak jego.

Wróciłem do pracy, redukując swoje ambicje do poprawienia ośmiu najbardziej absurdalnych pomyłek. Kiedy wreszcie skończył rozmawiać, poprosiłem go o pomoc, podkreślając, że bez podpisanego poświadczenia autentyczności nie wypłacą mu kolejnych rat. Ale tym razem nawet pieniądze nie zrobiły na nim wrażenia. Spławił mnie kolejnym tebbeizmem („Akt twórczy to naprawa błędów, sama będąca jednym większym błędem") i wyglądał na zajętego jakąś inną, bardziej palącą kwestią. Jaką, pozostawało jednak dla mnie tajemnicą.

Tej twojej książki nie da się poprawić, drażnił się ze mną. Będziesz musiał wziąć teraz za to odpowiedzialność. Ale ponieważ jestem na miejscu, pytaj mnie o wszystko, co ci przysparza siwych włosów. A ja odpowiem, czy masz rację, czy nie.

Ale kiedy ponownie zacząłem zadawać mu pytania, Heidl znów nie odpowiadał w żaden sensowny czy choćby odrobinę rozsądny sposób, i tak ten dzień wlókł się dalej, rozciągnięta na kilka godzin chwila wyczerpania i porażki. Nie udawało mi się uzyskać jego opinii na temat żadnej sprzeczności w naszej historii, utrzymywał bowiem, że wszystko to są po prostu kolejne dowody na moją niekompetencję, a nie na jego kosmiczne oszustwo. Wciąż jednak śmiało potrząsał grzechoczącym workiem pokus i dygresji – a było w nim wszystko, począwszy od obowiązującej w ASO filozofii kierowania przedsiębiorstwem, aż po wskrzeszenie tajnej policji haitańskiej, Tonton Macoute, za pieniądze banku Nugan Hand. Wydawało mi się jednak, że nawet na te swoje obsesyjne tematy mówi zimno i ze znużeniem. Wyglądało na to, że chociaż był taki waleczny, miał ich już dosyć. W końcu sam zmęczył się „heidlowaniem" i o wpół do czwartej zabawa była skończona.

Odbył kolejną rozmowę telefoniczną, a kiedy ją skończył, oznajmił, że wychodzi na spotkanie z Monassisem i konferencję prasową. Potem wraca do domu, do Bendigo, przygotować przemówienie na konferencję audytorów, na której miał wystąpić następnego dnia. I życzył mi powodzenia w pracy nad „czyszczeniem" wydruku.

Ja niczego nie kończę, oznajmiłem. Nie widzę tu nic, co można byłoby skończyć.

Miałem go już powyżej dziurek w nosie, ale on mnie nie.

Przecież musisz, powiedział, podchodząc do biblioteczki i wybierając książki, które zamierzał ukraść. Jak inaczej wykonasz swoją pracę?

Po tych słowach drzwi do gabinetu otworzył Ray; popatrzył najpierw na mnie, a potem pokręcił głową, widząc, jak Heidl wkłada kilka książek do aktówki, zatrzaskuje ją, mija mnie i wychodzi.

Zostałem sam w tym upiornym pokoju. Nareszcie rozpętała się burza i szyby siekł wściekły deszcz. Kiedy wróciłem do biurka, zobaczyłem na nim formularz oświadczenia o autentyczności książki. Był niepodpisany. Wziąłem go do ręki. Wpatrywałem się w ten papier tak długo, aż stał się niewyraźny. Popatrzyłem na mój opatrzony starannymi notatkami wydruk, kawał ciężkiej roboty, która teraz okazała się na nic. Bez niezbędnych poprawek i podpisanego oświadczenia Paley nie będzie mógł opublikować tych wspomnień. Książka nie powstanie. Nie dostanę dziesięciu tysięcy dolarów. Nie będzie też dla mnie przyszłości jako pisarza. Po raz pierwszy odkąd zacząłem marzyć, by zostać człowiekiem pióra – ile miałem wtedy lat, siedem, może dwanaście, nie mogłem sobie przypomnieć – poczułem, jak moje marzenie się rozwiewa.

Byłem skończony.

8.

Wstałem. Chciałem po prostu wyjść. Mimo to postanowiłem najpierw spotkać się z Paleyem i zakomunikować mu, że z książki nici. Była to ponura perspektywa, wiedziałem jednak, że przyniesie mi ulgę i wyzwolenie. Chciałem jak najszybciej pojechać do domu, do Suzy, do Bo, do bliźniaków, do nowego początku.

Idąc aleją wstydu, jaką stanowił dla mnie korytarz prowadzący do gabinetu Paleya, myślałem tylko o jednym: że to już koniec.

Sekretarka powitała mnie radosnym uśmiechem.

Właśnie miałam do ciebie dzwonić, Kif. Twój lot został odwołany z powodu złej pogody.

Uznałem, że to okrutny, ostateczny cios, choć dobrze pasujący do powolnego rytuału śmierci, jakim był dla mnie ten dzień.

To był ostatni dzisiejszy lot na Tassie, powiedziałem.

Wiem! – odparła jak gdyby zadziwiona. Próbowałam znaleźć coś innego, ale pierwszy samolot, jaki mogłam ci zarezerwować, odlatuje jutro o siódmej trzydzieści. Przykro mi! – skrzywiła się w uśmiechu. Chcesz się zobaczyć z panem Paleyem? Obawiam się, że teraz ma spotkanie, ale jeżeli wrócisz, powiedzmy, za godzinę, będzie mógł...

Nie, odparłem. To nic ważnego.

Wróciłem do swojego gabinetu. Pozbierałem papiery, dyskietki i wyszedłem. Lało jak z cebra. Pojechałem do pubu, kupiłem piwo. Czas mijał, kupiłem drugie.

Potem jeszcze jedno i następne.

W mojej głowie powtarzały się te same ponure myśli. Heidl nie podpisał poświadczenia autentyczności, więc nie można było wydać książki. Chociaż nawet gdyby je podpisał, to i tak nie można było jej opublikować, bo nie miałem tego, czego potrzebowałem. Nie chciałem przyznać się do porażki przed Paleyem, wziąć tych swoich pięciuset dolarów, które mi obiecał w razie rezygnacji, i wrócić do domu. Ale czy miałem wybór?

Tego wieczoru u Sully'ego siedziałem samotnie przed telewizorem. Mój gospodarz wyjechał do swoich starych znajomych. Na regale z książkami, na pożółkłym tomiku wierszy Michaela Dransfielda znalazłem otwartą butelkę taniego ginu, nie było jednak nic, czym mógłbym go rozcieńczyć, tylko syrop pomarańczowy. Gin z tym syropem smakował jak mydło kuchenne zmieszane z cukrem i sodą oczyszczoną. Jak moje życie. Ale spełnił swoje zadanie. W wieczornych wiadomościach pojawiła się informacja o tragicznym wypadku – w pobliżu Lorne na Great Ocean Road wypadł z drogi samochód osobowy. Jedyny siedzący w nim człowiek, kontynuował reporter, kierowca, powszechnie znany w Melbourne biznesmen Eric Knowles, zmarł wkrótce po przewiezieniu do szpitala. Nalałem kolejną szklaneczkę ginu z syropem. A więc to tak, pomyślałem, chociaż raczej starałem się nie myśleć. W mojej upokorzonej, półprzytomnej głowie krążyły leniwie te same uparte myśli. Zadzwonił telefon. Nie odebrałem. Postanowiłem upić się jeszcze bardziej, porządnie

wyspać, spotkać z Paleyem, kiedy będę już w drodze na lotnisko, przekazać mu złe nowiny i zainkasować swoje pięć stów. Zamierzałem poprosić o pięć tysięcy, uzasadniając to tym, że wykonałem w dobrej wierze kupę roboty, wiedziałem jednak, że Gene po prostu położy rękę na umowie i przypomni mi, co podpisałem.

Wtedy to się skończy.

Znowu zadzwonił telefon, nalałem sobie jeszcze jeden gin, dodałem do niego ginu, wypiłem i zacząłem się zastanawiać nad swoją przyszłością. Ale nie było nad czym. Opróżniłem szklaneczkę i nalewałem właśnie nową porcję ginu z ginem, gdy telefon na stoliku w przedpokoju zadzwonił raz jeszcze. Poszedłem odebrać.

Dzwonił Ziggy Heidl.

9.

Dostałem twój numer od Raya, zaczął.

Pociągnąłem duży łyk alkoholu.

Powiedział, że z powodu burzy zamknęli lotnisko.

Znów napełniłem szklaneczkę.

Możesz wpaść jutro do mnie?

Nie miałem potrzeby, żeby cokolwiek mówić, wolałem napełnić sobie usta ginem.

Siedzę w zaciszu domowym, powiedział Heidl. Myślę, że tu pracowałoby się nam o wiele lepiej niż w wydawnictwie. Zrobimy kilka rzeczy i odpowiemy na wszystkie twoje pytania jak należy.

Mówił dalej, ale niewiele. Jak na siebie zachowywał się bardzo otwarcie. Był prawie pomocny. Podał nawet szczegółowe wskazówki dotyczące dojazdu, choć wydawało mi się, że prawdy szczegółu używał zawsze jako przykrywki dla większego kłamstwa. Skończyłem już jednak z takimi zabawami i chciałem jedynie położyć kres swoim mękom.

Odpowiedziałem, że nie przyjadę.

Zaczęliśmy się kłócić.

On: pieniądze, obowiązek, złożone obietnice.

Ja: indolencja, niemożliwość, bezsensowność.

Nie, oświadczyłem na zakończenie.

Jako przyjaciel.

Nie.

Potrzebuję twojej pomocy jako przyjaciela, żeby skończyć tę książkę.

A co z twoją konferencją audytorów? Wydawało mi się, że masz tam jutro wystąpić.

Ach, to! Zapomnij o tym. Ja już zapomniałem. Ale książka się liczy, Kif. Wiesz, było mi bardzo trudno zaakceptować swoje życie takim, jakie było, jakie jest.

Czyli nie wyjeżdżasz?

Że nie wyjeżdżam? A dokąd miałbym jechać? Nie. Rzecz w tym, Kif, że moim zdaniem ty jeden rozumiesz, w jakiej jestem sytuacji. Wiem, że nie było ci łatwo, ale mnie też nie. Proszę cię, przyjedź do mnie i skończmy tę cholerną autobiografię.

Przykro mi, odparłem i odłożyłem słuchawkę.

W tekście wszędzie było mnóstwo niejasności, znaków zapytania, pustych stron. Nic już nie wydawało mi się jasne i proste. Z przyzwyczajenia podszedłem do opuszczonego i martwego stołu w jadalni, przy którym pracowałem po nocach przez kilka ostatnich, ciężkich tygodni. Spojrzałem na swoje notatki, wróciłem do najnowszego wydruku i mimo że nie czułem się najlepiej, zacząłem tu i ówdzie coś wycinać, a gdzieniegdzie dodawać, napisałem kilka nowych zdań, po czym poprawiłem parę akapitów. Wpadłem w jakiś rozmarzony nastrój. Im więcej Heidla wymyślałem na kartce, tym bardziej stawała się Heidlem, a on mną – i potem stawałem się kartką, książka mną, a ja Heidlem. Pierwszy raz w życiu wyczułem tę straszliwą spójność, której tak pragnąłem jako pisarz, ale nigdy dotąd nie zaznałem. Wszystko robiło się coraz bardziej dwuznaczne: życie Siegfrieda, książka, moje poczucie tego, kim jestem i jak postępuję. Zdawałem sobie sprawę, że moja autorska powieść ucierpiała dlatego, że była nazbyt autobiograficzna, a teraz bałem się, że moja pierwsza autobiografia będzie za bardzo przypominać

powieść. Wszystko stało się niewyraźne, zniknęło, i kiedy wreszcie znów się złożyło w całość, nastał blady świt, a ja siedziałem za kierownicą nissana i znajdowałem się w drodze do Bendigo.

15

1.

Niektóre poranki są urzekające ze względu na światło, chmury, a przede wszystkim pożegnalny nastrój, jaki wywołują. Po zatoce Port Phillip przesuwało się kilka aluminiowych łodzi jak krople czarnego tuszu po jasności potłuczonego szkła. Taka powinna być książka. Patrząc na to światło, na te chmury – choć tylko przez kilka chwil – czułem się wolny. Wydawało mi się, że mógłbym napisać sto powieści, a i tak nie zdołałbym uchwycić ani ułamka uczucia, które na parę sekund zawładnęło mną tamtego dnia.

I nareszcie niczym się nie martwiłem, przejeżdżając przez długie podmiejskie osiedla, wśród barów sprzedających falafele, kafejek, wietnamskich restauracji, piekarni i sklepików spożywczych, rozkwitłych niczym bukiety w stojących przed nimi na ulicy plastikowych kubełkach. Minąłem plaże i palmy i wjechałem w mniej kolorowy, piekielny świat parków przemysłowych, bezludnych i cichych, które po jakimś czasie zastąpiły milczące farmy i potargany busz; wschodzące słońce sprowadziło mnie z autostrady, poruszałem się teraz wiejską drogą i wreszcie po kilku godzinach trafiłem na długi żwirowy podjazd, a w końcu przejechałem obok zaniedbanego aborygeńskiego ogrodu, sterczącego na erodującej łące niczym sprężyny i końskie włosie ze zniszczonej kanapy.

Nie poznawałem siebie w tym człowieku, który wysiadał z samochodu, żeby przywitać się z Heidlem przed szerokim domem z białych cegieł, wybudowanym w latach siedemdziesiątych i niskim jak oszczerstwo, z brązowymi oknami i dachówkami barwy palonej pomarańczy,

uśmiechałem się, mówiłem, że nie mogę się doczekać, żeby zacząć z nim pracować tutaj, w jego domu.

Poczułem, że coś ociera się o moją łydkę, spojrzałem w dół i zauważyłem błękitnego kota syjamskiego, który wygiął grzbiet w pałąk, ocierał się o moją nogę i mruczał. O ile wiedziałem, Heidl rzadko wchodził w kontakt fizyczny z ludźmi, teraz jednak oparł mi rękę na plecach i trzymał ją tam przez dłuższą chwilę. Oświadczył z uśmiechem, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

A ponieważ dobrze było się zgadzać, to się z nim zgodziłem. Czy ostatecznie krok po kroku w naszych spięciach, kłótniach i niezbędnych w pracy porozumieniach nie zaczęliśmy się zmieniać? Czy powoli nie zaczynaliśmy się do siebie upodabniać jak kolonista do kolonizowanego? Poczułem się tak, jak gdyby drzwi, na które od dawna napierałem, nieoczekiwanie się otworzyły, i zacząłem wpadać w ziejącą za nimi pustkę. Być może człowieka w sobie sprzedawałem za pisarza, sprzedawałem swoją godność czy dumę albo może nawet coś jeszcze bardziej fundamentalnego. Cokolwiek to było – kimkolwiek się teraz stawałem – tamtego ranka w Bendigo wydawało mi się, że ta transakcja może przynieść pożądany skutek.

Teraz jesteśmy kumplami, stwierdził Heidl.

Jego niemiecki akcent, chociaż, jak sądziłem, wyuczony, sprawiał, że zamiast podkreślać pierwsze sylaby, co robią Australijczycy, kładł nacisk na końcowe. „Teraz-sss” w jego ustach zdobiła wężowa wstęga. A słowo „kumpel” w latach osiemdziesiątych było już podejrzane, podobnie jak wiele innych rzeczy. Kryła się w nim sugestia przestępczego współudziału, jakaś groźba, wspólna wina. Nie jestem pewien co, ale nic dobrego. Jednak akcent Heidla już mnie nie denerwował. Po raz pierwszy czułem się przy nim swobodnie, jego obecność wprawiała mnie w pogodny nastrój.

A pogodny nastrój napawał mnie spokojem.

2.

Chcę, żebyś mi pomógł, Kif, odezwał się Heidl, wprowadzając mnie do sosnowej kuchni o katedralnym sklepieniu; tanie deski z sękami wysmarowane na poliestrowy połysk, lśniące jak folia spożywcza. Na cokolwiek poszło te siedemset milionów, Ziggy nie przetracił ich na dekorację wnętrz. Może dlatego ten niepozorny dom wydał mi się jeszcze jednym kamuflażem. Heidl zsunął małego rudego kota z kuchennego stołu i zaproponował, żebym usiadł.

Jako przyjaciel, powiedział.

Jasne.

To bardzo poważna sprawa. Nie jest trudna. Tyle tylko, że może się wydawać... Wiesz, niezwykła.

Przez chwilę rozmawialiśmy o niczym; ja wspomniałem o kilku pozbawionych znaczenia kwestiach osobistych, którymi, jak mi się wydało, mogłem się z nim bezpiecznie podzielić, na przykład że Sully wyjechał na kilka dni w Góry Błękitne na spotkanie z dawnymi przyjaciółmi. Heidl opowiadał, jak wozi dzieci do szkoły i że Dolly wybrała się na jeden dzień do ciotki w Castlemaine. Bulgotał niczym otwarta i niedopita butelka wina musującego – czyli coś, czemu nie należy do końca ufać.

Czekałem, aż sprowadzi rozmowę na te same tory, co zawsze: na tokso, Tebbego, Laos i firmę. Ale nie sprowadził. Tego dnia był uważny i pomijał wiele rzeczy milczeniem. Nalał nam kawy z ekspresu z papierowym filtrem. Poranne światło wpadało przez tylne okna, pod którymi leżało jeszcze kilka kotów. Sprawiał wrażenie szczęśliwego, nigdy dotąd nie widziałem go w takim stanie. Był niemal spokojny. Wbił we mnie te swoje psie oczy i zapytał, czy mógłbym mu oddać przysługę.

Jako przyjaciel, powiedział. Jako kumpel.

Oczywiście, odparłem, rezygnując z przyjęcia kawy w kubku z napisem DOLLY.

Kif, odezwał się Heidl, wylewając kawę do zlewu i wstawiając kubek do zmywarki. Chcę, żebyś mnie zabił.

Kiedy po jakimś czasie stało się oczywiste, że nie odpowiem, usiadł i mówił dalej.

Nie zostało mi już dużo czasu. Idą po mnie. I dopadną mnie, Kif. W tym rzecz, nie zdołam im umknąć. Wiesz, do czego są zdolni. Tamtego wieczoru miałem szczęście. Które może znowu się do mnie uśmiechnie. Może nawet jeszcze dwa albo trzy razy. Ale mnie szczęście musi zawsze sprzyjać w takiej sytuacji. A im wystarczy raz.

Wciąż milczałem.

No więc zrobisz to? – spytał takim tonem, jak gdyby chciał się dowiedzieć, czy wyskoczę do sklepu na rogu po mleko.

Co? – odparłem takim tonem jak kelner, który sprawdza, czy dobrze zrozumiał zamówienie.

Sięgnął za połę swojej czerwonej kurtki bejsbolowej i wyjął pistolet, który zauważyłem wczoraj. Miał porowatą kolbę z czarnego plastiku i właściwie przypominał zabawkę.

To glock, stwierdziłem niby obojętnie, jakby praca z ludźmi, którzy wyciągają broń przy porannej kawie, była dla mnie chlebem powszednim.

Tak jest, przytaknął. Nie wiedziałem, że się na tym znasz.

W ogóle nie znałem się na broni i domyślałem się tylko, że chodzi o ten sam pistolet, z którego Ray na polecenie Heidla uczył się strzelać, żeby go zabić.

No to pewnie umiesz się z tym obchodzić, powiedział, wyciągając magazynek z kolby. Podsunął mi glocka pod oczy teatralnym gestem iluzjonisty, który zaraz pokaże jakąś sztuczkę, odciągnął lufę i okazało się, że w komorze nie ma naboju. Potem wycelował w sufit i pociągnął za cyngiel, żeby zademonstrować, że nie padnie strzał. Te dramatyczne czynności sprawiały mu chyba przyjemność.

No tak, powiedział. Pokażę ci, co robić.

Wbijając swoje straszne psie spojrzenie w moje oczy, które nie miały dokąd uciec, skierował broń na siebie.

3.

Powoli wsunął brzydką, kwadratową lufę w usta, mierząc po skosie w tył głowy. Siedział przede mną w tej obscenicznej pozie, a w jego twarzy kryła się zawrotna nicość, większa niż największa pustynia czy największy ocean.

Minęło zapewne najwyżej kilka sekund, chociaż wydawało mi się, że trwało to znacznie dłużej – kilka minut, lat, dekad – zanim swobodnym ruchem wyjął z ust broń, której czarna metalowa lufa lśniła pianą śliny.

Nie bój się, Kif, powiedział cicho.

Wycierając glocka chusteczką higieniczną, zaczął się śmiać. Z kogo albo z czego, ze mnie, z siebie czy z całego świata, nie wiem po dziś dzień.

Nie zrobię tego, odparłem.

Taka prosta odmowa była nieadekwatna i wydała mi się niemal zgodą.

Nie ma mowy, powiedziałem.

Słyszał jednak, że mam niepewny głos, który mnie zdradza; wyczuwałem, że ulegam, że robię coś niebezpiecznego, przed czym ostrzegał mnie Ray: pozwalam mu się do siebie zbliżyć. Nie ma, kurwa, mowy, dodałem, gdy Heidl nadal się śmiał.

Ale to zabrzmiało jeszcze gorzej.

Jesteśmy przyjaciółmi, Kif? – zapytał. No przecież jesteśmy.

Skinąłem skołataną głową, jak miałem nadzieję, w asekuracyjny i niezobowiązujący sposób, wyczuwałem jednak, że jestem bezwolny, a nawet, że się zgadzam.

Musimy wziąć się do pracy, powiedział, uśmiechnął się z wielką, poczciwą radością, podniósł brwi, rozsunął usta szeroko jak wejście do lunaparku, i ten jego nowy dobry humor okazał się nie do zniesienia.

Kif?

Tak?

Jesteśmy przyjaciółmi.

Jasne, powiedziałem, otwierając tekturową teczkę z tekstem i niepodpisanym formularzem.

Kumplami?

Kumplami?

Kumplami, powtórzył.

Jasne. Jasne, że jesteśmy kumplami, Ziggy.

Nie byłem pewien, po co to powiedziałem. Ale powiedziałem, a każde kolejne przytaknięcie osłabiało mnie i wzmacniało jego.

No to mi pomóż, poprosił.

Jeżeli chcesz się zabić, odpowiedziałem, niemal się jąkając, to się zabij.

Proszę cię, Kif.

Po co chcesz mnie wmanewrować w tę sprawę?

Bo się boję, że sam ją spartolę, odparł. Po prostu. Boję się, że w ostatniej chwili skieruję lufę w niewłaściwą stronę i tylko się strasznie okaleczę, narobię krwawej miazgi, będę umierał powoli albo wcale nie umrę. I może będę musiał żyć dalej jak warzywo. Jestem tchórzem, Kif. Jestem przerażony. Trzymaj, powiedział.

Wyciągnął do mnie glocka, który leżał na płask w jego otwartej dłoni.

Nie bój się... Spójrz.

Podsunął mi ten okropny przedmiot pod nos. Wskazał bezpiecznik, zamontowany pośrodku cyngla jako osobna dźwignia, którą trzeba było pociągnąć wraz ze spustem, żeby wystrzelić.

W ten sposób, powiedział.

Nacisnął cyngiel obrzydliwym paluchem.

Odbezpieczam, powiedział.

Naciskam, dodał.

Spust trzasnął.

Heidl powtórzył kolejne czynności, pokazując, jak jednocześnie pociągnąć za cyngiel i bezpiecznik, powoli, jednym ruchem.

Jeszcze raz, powiedział, odbezpieczam.

Naciskam.

Trzaśnięcie.

A kiedy podał mi pistolet po raz drugi, okrywając chusteczką obciążające mnie jak dowód rzeczowy porowatą kolbę i cyngiel, ja podsunąłem mu

formularz poświadczenia autentyczności tekstu.

Podpisz to, powiedziałem.

4.

Dziękuję, odpowiedział teraz już cichym głosem. Dziękuję ci, Kif.

Gdybym go nie znał, mógłbym chyba pomyśleć, że mówi serio. Było to żałosne: patrzył na mnie z taką wdzięcznością, jak gdybym już go zabił.

Przećwiczmy to, powiedział.

Nie, odparłem, ale jakoś tak wyszło, że niby udało mu się mnie przekonać, i chociaż na nic nie wyraziłem zgody, trzymałem teraz pistolet w prawej dłoni.

No, powiedział, biorąc mnie za rękę i naprowadzając mój palec na spust. W ten sposób.

Było to niewymownie szalone, choć jeszcze bardziej szalone było to, że on chyba naprawdę chciał zostać zabity. Największy obłęd polegał jednak na tym, że uroił sobie, że to ja zostanę jego mordercą. Mimo to wszystko, co mówiłem, wydawało się coraz bardziej wskazywać na mnie jako winnego i łączyć z jego wariactwem.

Nie dzisiaj, Ziggy, powiedziałem, szukając w myślach jakiegoś sposobu na zmianę tematu i oddając mu broń. Wyglądało na to, że przyjmuje moją reakcję spokojnie, położył pistolet na stoliku między nami.

Ależ nie, odezwał się cicho, to musi stać się dzisiaj. Dolly wyjechała z dziećmi, Rayowi dałem wolny dzień, a ty powiedziałeś, że ten twój znajomy też wyjechał, więc nikt nie wie, że jesteś u mnie, prawda? To jaki dzień byłby lepszy? I jeżeli ty tego nie zrobisz, to kto?

Ray, odpowiedziałem, natychmiast żałując, że zdobyłem się na taką potworność.

To nie może być on, odparł Heidl. Zostałby pierwszym podejrzanym. Głównym. A potem miałby kłopoty i poszedłby siedzieć za morderstwo. Nie chcę tego. Ty też nie. Ale ty? Nikt nie wie, że u mnie jesteś, nikt nie będzie

cię podejrzewał. Mój murzyn, i zarazem dobry duch, pisze o duchach, zaśmiał się. Wiesz, teraz książka okaże się wielkim sukcesem.

Cała ta historia wydawała się wprawiać go w dobry humor.

Oczywiście, że wiesz, stwierdził. Sam mi to powiedziałeś!

Sięgnął ręką do pudełka z kolorowymi, przezroczystymi rękawiczkami z lateksu i podał mi parę niebieskich. Proszę, powiedział wesoło, weź je i poćwiczmy.

Spojrzałem na rękawiczki.

Proszę cię, powiedział. To następny etap.

Formularz, odparłem. Chcesz długopis?

Najpierw poćwiczmy, upierał się, kiedy wkładałem rękawiczki, i szczegółowo niczym w kiepskim filmie gadał dalej o tym, że kiedy już go zastrzelę, mam wsunąć mu glocka do ręki i położyć łuskę w miejscu, które wskaże mi przed śmiercią. Potem, tłumaczył zawzięcie, powinienem natychmiast wrócić do Melbourne, zgodnie z planem zostawić wieczorem samochód pod wydawnictwem i polecieć na Tasmanię. Nikt nigdy się nie dowie, że go odwiedziłem.

Czyli jesteś pewien, że nikt nie wie, że do mnie przyjechałeś?

Już ci powiedziałem, że...

Wydawcy? Paley?

Nie mówiłem o tym nikomu w wydawnictwie.

Pii Carnevale?

Nikomu.

Fantastycznie, stwierdził, wziął pistolet ze stolika, ponownie zwiesił głowę i niczym sprzedawca artykułów gospodarstwa domowego, prezentujący elektryczną szczoteczkę do zębów, pokazał mi, jak powinienem umieścić broń w jego ustach pod odpowiednim kątem.

Fantastycznie, fantastycznie, zamruczał wesoło. Teraz twoja kolej.

Wstał z krzesła i ukląkł przede mną. I po raz trzeci zrobiłem to, czego chciał, bo tak było łatwiej, niż gdybym tego nie zrobił, i ponieważ sądziłem, że w ten sposób kupuję sobie czas. Wziąłem pistolet do ręki.

Tutaj, powiedział, wskazując palcem swoje podniebienie.

Nie, odparłem wstrząśnięty, rozglądając się po kuchni. Nie tutaj.

I znowu to, co miało oznaczać odmowę, zabrzmiało jak zgoda.

Och, nie, odezwał się cicho. Nie, tutaj nie. To byłoby zbyt okropne. Zrobimy to gdzieś indziej, żeby oszczędzić Dolly i dzieciom tego strasznego widoku.

Nie, powiedziałem, tym razem bardziej stanowczo.

Nie lubisz mnie, co, Kif?

Nie miałem wyboru, mogłem odpowiedzieć tylko: Skąd, lubię cię, Siegfriedzie. Chodzi po prostu o to, że…

Lubisz mnie czy nie?

No wiesz, jesteśmy przyjaciółmi, ale po prostu nie czuję się swobodnie…

Jesteś moim prawdziwym przyjacielem?

Potrafił być bardzo okrutny. Ten mały czarownik bawił się nie tylko ze mną, ale i ze śmiercią, stawka została podniesiona niebotycznie, a przecież gra ciągnęła się w duchu gry – była prowokująca, pełna napięcia, blefów i powagi, choć jednocześnie Heidl jak gdyby mrugał okiem, dopuszczając mnie do swojego prywatnego żartu, jakim w istocie była ta cała sprawa. W tym duchu graliśmy dalej.

Bo jeżeli jesteś prawdziwym przyjacielem, to zrobisz to dla mnie, powiedział, klękając ponownie. Jesteś moim przyjacielem, Kif?

Motywowany bardziej zakłopotaniem niż jakimkolwiek innym uczuciem, podniosłem pistolet i wsunąłem mu go w usta. Coś otarło się o moją nogę i zamruczało. Przypomniałem sobie, co mi powiedział Ray o usytuowaniu lufy, i już bez polecenia ze strony Heidla ułożyłem ją na skos, najlepiej jak umiałem, aż oparła się o jego mięsiste podniebienie. Podniósł rękę i pokierował moją dłonią, żeby poprawić trochę pozycję glocka. Ręka Ziggy'ego okazała się nieprzyjemnie ciepła. Pociągnąłem za spust, żeby już mnie puścił.

Trzask.

Odgrywaliśmy tę pantomimę bez końca…

trzask

trzask

trzask

trzask

trzask

...aż wreszcie wyciągnąłem zaślinioną lufę z jego ust, a on zapytał, czy chcę się napić herbaty.

5.

Spokój Heidla był przerażający. Nie śmiałem jednak zgodzić się z nim co do dnia, w którym miałoby do tego dojść.

Nie, dziękuję, odpowiedziałem. Potem, sięgnąwszy do tekturowej teczki, wyciągnąłem upstrzony moimi odręcznymi notatkami wydruk, jak gdyby była to kamizelka ratunkowa.

Wytarł pistolet i schował go z powrotem do kabury pod pachą.

Ziggy, powiedziałem, mam tylko kilka pytań.

Pytaj, proszę, odparł, wycierając ślinę z kącika ust chusteczką do nosa. Zabrał się do parzenia herbaty, ale był bardziej skupiony na szczegółach swojej śmierci niż fikcyjnego życia. Napełnił sobie kubek z napisem SIEGFRIED. Duży szary pers zaczął dziwnie zawodzić u jego boku, kiedy Heidl zapewniał mnie, że jego śmierć zostanie uznana za samobójstwo. Popijając herbatę, powiedział, że napisał już list pożegnalny, że wszystko naprawdę przemyślał, ja tylko pomagam mu umrzeć, to jest akt łaski, od początku myślał, że jestem miłosierny, od pierwszego spotkania, zawsze uważał mnie za dobrego, litościwego człowieka.

Gadał dalej jak najęty, dlaczego bankowcy tak czy owak zabiją go albo już teraz, albo w więzieniu, i znowu o tym, o ile lepiej jest umrzeć jako wolny człowiek – czy ja nie wierzę w wolność? – i uciec, a w śmierci liczyć raczej na pomoc przyjaciela niż wroga, i że nie wierzy w samobójstwo, ale to musi wyglądać na samobójstwo, żeby opinia publiczna spojrzała krytycznym okiem na jego prześladowania... I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej, chaos jego argumentacji wciąż gęstniał, była oszałamiająca, nielogiczna i logiczna, spójna i niespójna, a im dłużej go słuchałem, tym bardziej te wywody wydawały mi się rozsądne, właściwie niepodważalne,

w głębi duszy po części sam tak myślałem, chociaż nie zgadzałem się z ani jednym argumentem Heidla.

Przypomniałem sobie, po co przyjechałem dzisiaj się z nim spotkać. Zanim dopił herbatę, udało nam się przebrnąć przez kilka stron wydruku, a nawet rozwiązać niektóre z poważniejszych problemów wokół na pozór zręcznie zaaranżowanych kłamstewek.

Po dobrej godzinie – dla nigdy nieskoncentrowanego Heidla był to niemal okres geologiczny – wstał, podszedł do przesuwnych szklanych drzwi na tyłach domu i wyjrzał na zewnątrz, a pod jego nogami kłębiło się stado kotów różnych maści i ras, małych, dużych, starych i młodziutkich.

Ze wzgórza roztacza się wspaniały widok, chciałbym ci go pokazać.

Koty zaczęły cicho mruczeć, chociaż nie wiadomo: ze zniecierpliwienia, wdzięczności czy po prostu z głodu.

Brzmi to jak wariactwo, ale kiedy stoję tam na górze, wydaje mi się, że pod moimi stopami rozpościera się cała Australia, która jakby promieniuje z tego wzgórza. Naprawdę bardzo chciałbym ci to pokazać.

Robiłem dalej notatki na wydruku, nie zwracając uwagi na implikację tej propozycji. Heidl westchnął, odwrócił się do mnie plecami i powiedział drzwiom, że zasłużyliśmy na przerwę, a spacer dobrze nam zrobi.

Drzewa tam na wzgórzu są niesamowite, dodał. Kora, którą zrzucają, zatrzymuje azot w ziemi dla następnego pokolenia eukaliptusów. Dosłownie słychać, jak się tworzą słoje. Widać, jak skrzydło kurawongi podtrzymuje niebo.

O ile wiedziałem, Ziggy nie interesował się światem pozaludzkim i nie miał dla niego jakichkolwiek uczuć, więc te jego gadki o urokach lasu, nieszczęśliwe połączenie fałszywej nauki i pseudopoezji, wydawały mi się sztuczne. Nie zgodziłem się na spacer, a Heidl chociaż raz zachował się dziwnie posłusznie, kiedy sprowadziłem rozmowę z powrotem na książkę.

Pracowaliśmy jeszcze przez dwie czy trzy godziny. Wykazywał zdumiewającą cierpliwość, a praca była niemal przyjemnością. W końcu porządkowaliśmy książkę – nareszcie, myślałem, nareszcie! Ziggy się rozluźnił, po jakimś czasie ja też. Nie rozmawialiśmy już o tej dziwacznej pantomimie zabójstwa i wydawało mi się, że Siegfried nie chce więcej wracać do tego szalonego, przerażającego przedstawienia. Był pomocny

jak nigdy, raz podszedł nawet do szafki i przyniósł kilka zabawnych listów od bankowców, dotyczących uczciwości ASO, a potem podał mi jakąś wyświechtaną książkę o „trefnej kasie", żebym lepiej zrozumiał to, co mówił na temat prania brudnych pieniędzy.

Dopiero później pojąłem, na czym polegało połączenie intrygi i łutu szczęścia, które stało za wydarzeniami tego dnia i wszystkiego, co miało niedługo nastąpić. Wolny dzień Raya, Dolly, która za namową męża wyjechała do rodziny, by „uciec od tego wszystkiego", i ta konferencja audytorów, na której rzekomo miał przemawiać Heidl – czy faktycznie zaplanowano ją na ten dzień? Ja też zostałem zmanipulowany, żeby przyjechać tutaj właśnie dzisiaj. Siegfried nie był jednak w stanie kontrolować wszystkiego i na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Podjął wielkie ryzyko, budując całą tę sytuację na przypadkowym odwołaniu mojego lotu, a w takich momentach przeszywał go dreszcz podniecenia, że potrafi nagiąć rzeczywistość do swojej woli.

Przygotowywał sobie tosty na późny lunch – ja nie byłem głodny – gdy w kuchni pojawił się tłusty bury kocur, usiadł na bufecie i zaczął mi się przyglądać. Potem nie mogłem zaciągnąć już Heidla do pracy; upierał się, żebyśmy poszli na „ten spacer", jak to ujmował. Zastosowanie zaimka wskazującego powinno było zabrzmieć jak ostrzeżenie, ale złożyłem je na karb osobliwej angielszczyzny Ziggy'ego. Próbował pochlebstwa, nacisków i błagania. Mówił, że „ten spacer" nie będzie niczym więcej jak tylko spacerem, i chociaż uważałem, że pomysł, abym to ja go zamordował, był z jego strony dziwaczną fanaberią, która już minęła, nie bardzo chciałem zostawać sam w buszu z Siegfriedem i pistoletem. Powtarzałem sobie, że chyba mnie nie zastrzeli.

Ale właściwie wcale nie byłem tego taki pewien. W gruncie rzeczy sądziłem, że może mnie zabić i że wszystko, co robił do tej pory, stanowiło wyrafinowany podstęp, który miał do tego doprowadzić. Nie potrafię więc właściwie wytłumaczyć, dlaczego jednak zgodziłem się na „ten" spacer. Może nawet na takim zaawansowanym etapie negocjacji nadal nosiłem w sobie arogancję pisarza: ostatecznie zakładałem, że to Heidl jest tematem dla mnie, a nie ja dla niego. W istocie nie miałem zielonego pojęcia, do czego naprawdę jest zdolny. Wbił sobie „ten spacer" do głowy,

był bardzo pomocny przy pracy, wręcz sympatyczny, uznałem więc, że muszę z nim tańczyć dalej.

Poza tym, zauważył raz jeszcze, rozsuwając szklane drzwi, przechadzka dobrze nam zrobi i odświeżeni będziemy mogli wziąć się do pracy po południu.

Kiedy zapinał ekspres swojej czerwonej kurtki bejsbolowej, powiedział, że kilka ważniejszych problemów z tekstem możemy przecież rozwiązać też po drodze. Skwapliwie obiecał, że zajmie się również pozostałymi kwestiami, a po powrocie podpisze poświadczenie autentyczności i inne niezbędne papiery, jeśli takie mam. Wydawał się wreszcie wolny od swoich obaw i zmartwień i popadł w nieomal radosny nastrój.

Idąc za nim, przecisnąłem się pod szklanymi drzwiami przez masę rojących się kotów, których mruczenie rozbrzmiewało teraz niczym krwawe crescendo, i wyszliśmy na zewnątrz.

6.

Poprowadził mnie przez łąkę z tyłu domu, która stopniowo przechodziła w samosiejkowy busz, porastający ziemię zniszczoną w czasie gorączki złota przed stu pięćdziesięciu laty. Weszliśmy na drogę dojazdową. Zimowe światło okazało się jaskrawe i silne, powietrze świeże, dzień był pełen wigoru, a Heidl rozmowny.

Wiesz, na czym polega twój problem, Kif? – zagaił, gdy idąc po tej dotkniętej erozją kamienistej bliźnie, znaleźliśmy się w pofałdowanej krainie cierpkiego eukaliptusa *redbox* i ich powykręcanych krewniaków z gatunku *ironbark*, o korze twardej niczym strzaskane stylisko od siekiery.

Na tym, że chcesz żyć, nie mając żadnych wrogów, powiedział. Myślisz, że jeżeli będziesz dobry i uprzejmy i nie będziesz mówił źle o innych, to nie narobisz sobie wrogów. Ale oni się pojawią, tylko ty po prostu jeszcze o tym nie wiesz. Oni wręcz już tu są, ci twoi wrogowie, tylko ty ich jeszcze nie spotkałeś. Możesz ich odszukać albo udawać, że nie istnieją, ale i tak cię znajdą. Wierz mi. Chcesz być jak pies, którego wszyscy lubią, nie

znajdziesz jednak na świecie takiego psa, którego ktoś nie miałby ochoty kopnąć albo zabić. Chcesz, żeby wszyscy byli twoimi przyjaciółmi. Dlaczego? Po co zawracać sobie głowę czymś takim?

Jego monologi stawały się coraz dziwniejsze, a wszystkie wiodły do czegoś, co wydawało mi się nieuniknione, chyba że odwróciłbym się i uciekł. Mimo to szedłem dalej i słuchałem, i z każdym krokiem wchodziłem z Ziggym coraz głębiej między otaczające nas drzewa o żylastych czarnych pniach, które wiły się i oplatały mnie, ocieraliśmy się o grona okrągłych liści, podzwaniających cicho na lekkim wietrze, mnóstwo maleńkich niebiesko-zielonych wisiorków, których nagle zrobiło się jakby za dużo i które były nazbyt poufałe, przy każdej sposobności chciały mnie dotykać. Heidl sprowadził mnie z drogi dojazdowej na ścieżkę, wchodzącą dalej w coraz bardziej klaustrofobiczny i męczący las.

Ludzie nie obawiają się śmierci, Kif, mówił. To życie nas przeraża. Boimy się, że umierając, zdamy sobie sprawę, że wcale nie żyliśmy. Śmierć ujawnia, że nie udało nam się żyć tak, jak powinniśmy. Ja tak nie umrę. Dostajemy krótką chwilę, żeby zabłysnąć, ale zapominamy o tym.

Dzień zaczęło przejmować we władanie ogniste, rozstrojone zimowe światło, które niebieski blask listowia przepędziło w cień. Padało między czarne drzewa, przez co ich pnie stawały się jeszcze czarniejsze i dziwniejsze, wyglądały jak tłum stojących, spalonych trupów. Plamiło nam twarze piegami, cętki światła tańcowały z ciemnością. Heidl podniósł głowę, słońce padało wprost na jego pulchną twarz, kiedy się uśmiechał, wydawało mi się, że jego policzek drga.

Ukradłem słońce, powiedział. Dusze, kradłem dusze. Pożerałem je w całości i nikt tego nie widział. Pożeram świat. Pożeram sam siebie. Nie rozumiem, czego Bóg chce ode mnie.

Odnosiłem wrażenie, że usiłuje wdrapywać się na słowa niczym tonący na podskakujące z falami deski, które mogą uratować mu życie, ale z każdym słowem, jakiego się chwytał, pogrążał się tylko coraz głębiej w bezdennym oceanie bezsensu.

Chodzę, jem, piję, myślę, odczuwam. Chcę, poznaję, boję się, marzę. Ale czy to ja, Kif? Ja? Chcę siebie.

Ta przemowa sprowadzała się właściwie już wyłącznie do specyficznego tonu, nie potrafię jednak powiedzieć, na czym polegała jego specyfika. Starałem się go zapamiętać jak najlepiej, w nadziei, że może znajdę coś, co potem będzie można ukraść do książki. Ale jak większość z tego, co było najciekawsze w samym Heidlu, nic z tego wyznania nie okazało się dla mnie przydatne w przyszłej pracy.

Wzgórze stawało się coraz bardziej strome i dobrze pamiętam, jak Ziggy powiedział, że nigdy nie starał się niczego kontrolować. Jego pomysł polegał na tym, by puścić wszystko na żywioł i zobaczyć, co się stanie.

No i co się stało? – spytałem.

Powstało pewne zamieszanie, odparł, ale mniejsze, niż można by się spodziewać. Ludzie się powtarzali, wskrzeszali stare porządki i hierarchie. Miałem nadzieję na więcej i po jakimś czasie dotarło do mnie, że człowiek zawsze jest skłonny być jakby mniejszy.

Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że Heidl jest umysłowo chory. Zaczął się plątać jeszcze rozpaczliwiej.

Chcę wielkości, powiedział. Chcę srać wielkością.

A w innym momencie oznajmił: Umieram tobą. I zachichotał.

Gdy dotarliśmy na szczyt, stanął przede mną w tym swoim wspaniałym obłędzie i czerwonej kurtce bejsbolowej.

Spójrz na mnie i kochaj mnie. Umieram od chwili narodzin.

Dziwnie szarpnął głową, popatrzył na mnie wstrząśnięty, jak gdybym pojawił się znikąd, jak gdybym był aberracją, i wyszeptał:

Czy dziwnie jest być tobą?

7.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na góry, zarośla i pola.

Powiedział: Pięknie.

Odparłem, że powinniśmy wracać do pracy nad książką.

Tak jest.

Ale może tylko pokręcił głową. Zawsze wspaniale stosował swoją metodę, niby się z kimś zgadzając, chociaż wcale się nie zgadzał. Była w nim w tej chwili jakaś kosmiczna desperacja, przybierająca postać przerażającej cierpliwości. Staliśmy bez ruchu, nie mówiąc nic więcej, przez jakieś pięć albo dziesięć minut. Może dłużej. Martwiłem się, że jeśli zostanę z nim za długo w tym miejscu, mógłby wrócić do tego swojego dziwacznego pomysłu, żebym go zastrzelił. Odczekałem minutę albo dwie, a może dwadzieścia – nie wiadomo, bo wszystko spowalniało i przyspieszało zarazem.

Książka, powiedziałem.

Coś go trapiło, niewykluczone, że więcej niż jeden problem. Kilka razy popatrzył na zegarek. Nawet nie próbował mi odpowiedzieć.

Na suchą ziemię nieznacznie popluwał deszcz.

I wtedy jakoś się to skończyło.

Wiedziałem, że muszę odejść. Heidl mnie przerażał. Prawdę mówiąc – a w tej niesamowitej ciszy mogłem stanąć oko w oko tylko z prawdą – byłem przekonany, że jeżeli zostanę, to z zapadnięciem nocy będę już martwy. Zrezygnowałem z przekonywania go, że trzeba wrócić do książki. Nie dlatego, że miałem dosyć materiału, brakowało mi go jeszcze bardzo wiele. Zrozumiałem już jednak, że nigdy nie zdobędę potrzebnych informacji. Podziękowałem za poświęcony mi czas i gościnność i powiedziałem Heidlowi, że muszę już jechać.

Na tę wiadomość jak gdyby się załamał. Zaczął mówić o tym, jaki jest samotny, jak wiele znaczy dla niego moja przyjaźń, jak bardzo żałuje, że tak mnie przestraszył tym swoim pistoletem i gadaniem, głupim, zwariowanym gadaniem. Twierdził jednak, że się boi, strasznie się boi tego, co może go czekać w więzieniu. Oczywiście nie chciał, żebym go zabił. Nigdy, właściwie nie; nie, tego nie chciał. Przemawiał przez niego strach. I nie chciał też popełnić samobójstwa. Ale strasznie boi się śmierci, tych ludzi, którzy po niego idą. Rozpłakał się. Wiedziałem, że nie powinienem się nad nim użalać. Potem w coraz bardziej chaotyczny sposób zaczął mówić o tym, że miał wizję.

Marzenie, powiedział, marzenie… Widziałem je! Przez chwilę było moje… To ja nim byłem, prawda? Ja. Nie obowiązywały mnie żadne zasady,

moralność, tajemnice. Przez krótką chwilę latałem nad ludźmi, poza ludźmi. Byłem światem, a świat stał się mną... Słuchasz mnie? Stał się mną, bo ja byłem nim, Kif, byłem, nie byłem jednak częścią ludzkości i nie wiązała mnie konieczność posłuszeństwa. Nie musiałem stosować się do ludzkich zasad, moralności, do niczego. Ukryłem się na widoku, udając, że jest mnie mniej, a przecież byłem coraz większy i większy, a więcej nigdy mi nie wystarczało. Nigdy.

Wygłosił jeszcze wiele podobnych pierdół.

Obojętnym ruchem wyciągnął z kurtki glocka, jak gdyby to był długopis. Myślałem, że mnie zastrzeli i że to już. Koniec.

Rozumiesz, Kif? – zapytał, wymachując pistoletem. Wiem, że rozumiesz, wiem o tym, wiem, że ty wiesz. Ja jestem wszystkim, co jest. Bóg to kaptur kata, jak powiada Tebbe. Możliwe. Ale ja jestem pętlą. Zdeptałem wszystko, co jak udają ludzie, jest im drogie. Będziesz miał ten swój koniec, którego chce Paley dla książki, moją śmierć, bo razem ze mną zostanie pogrzebana cała nikczemność świata. Ale my dwaj wiemy, że to nieprawda. Wiemy. Będę trwał.

Stał zwrócony plecami na północ, oświetlało go późnopopołudniowe zimowe słońce, dziwna czarna sylwetka w czerwonej aureoli.

Piekło roi się od duchów, które posłałem tam przed sobą i które wyślę po sobie, oświadczył.

Opuścił rękę i trzymał pistolet swobodnie na wysokości biodra. Trudno było powiedzieć, czy miało to oznaczać groźbę, czy zaproszenie. Słońce zginęło w chmurze, światło za Heidlem zblakło i zobaczyłem, że jego oczy patrzą na mnie, ale zalśniły zaraz i chyba skupiały się na czymś dalekim, tak odległym, że może nawet jeszcze się nie narodziło.

Świat spłonie. A dlaczego? Przeze mnie.

Nie mogłem oderwać wzroku od jego ramienia, ręki i palca, spoczywającego na bezpieczniku glocka.

Bo postawiłem się w centrum kosmosu. Ja. Ja jestem drogą, światłem i centrum świata. I to napawa mnie strachem.

Powiedziałem, że muszę już iść.

Jestem przerażony, Kif.

Heidl drżał.

16

1.

Uciekłem. Nie biegłem. Odwróciłem się, a ponieważ nie słyszałem głosu Heidla, odszedłem i odchodziłem coraz dalej. Idąc, czekałem na odgłos wystrzału, mogącego oznaczać moją lub jego śmierć. Próbowałem sobie przypomnieć lekcje fizyki z liceum. Czy jeśli usłyszę wystrzał, będzie to oznaczać, że mnie nie trafił, czy że sam się zabił? Czy można usłyszeć świst kuli, która cię zaraz zabije? Nie słyszałem jednak nic, tylko dudniące pulsowanie krwi w uszach.

Bałem się, że idzie za mną, żeby mnie zastrzelić. Schodząc ze wzgórza, rzucałem za siebie ukradkowe spojrzenia. Nikogo nie było. W połowie drogi miałem tego dosyć. Zatrzymałem się, odwróciłem i czekałem. I znowu nikogo, żadnego znaku, odgłosu, nikogo. Kiedy tak stałem, wypatrując jakiegoś ruchu w buszu, przyszło mi do głowy, że może Heidl sam się zastrzeli. Albo że już to zrobił. Albo że czeka, aż wrócę, żeby go zabić.

Powiedziałem sobie, że odebranie życia człowiekowi jest obrzydliwe, obmierzłe, odrażające. Powiedziałem sobie, że go nie zabiję. Ponieważ jednak przećwiczyłem to zabójstwo, nie będę udawał, że o tym nie myślałem. Zabicie Heidla stało się już dla mnie niemożliwe, mogłem więc rozważać taką ewentualność. Oczywiście w głębi duszy wzdragałem się przed tym nie dlatego, że mnie to przerażało, ale dlatego, że martwiłem się tym, że mnie złapią, osądzą i zamkną w więzieniu, że przez jego szaleństwo zmarnuję sobie życie. Prawdę mówiąc jednak, za każdym razem, kiedy myślałem o zastrzeleniu Ziggy'ego, ogarniało mnie wielkie

podniecenie – bo może otwierała się przede mną perspektywa wejścia w jego świat, świat, którym mnie prowokował i który mi podsuwał jako nadzieję, obietnicę.

Przyszłość.

Nie mogłem się zdecydować, czy go nienawidzę, czy podziwiam, czy jestem jego przyjacielem, czy wrogiem, czy chcę go uratować, czy ukatrupić. Starałem się trzymać jakiejś koncepcji – siebie, życia, czegoś, czegokolwiek. Ale jaka była ta koncepcja? Starałem się odzyskać równowagę, trzymając się książki. Starałem się myśleć, że książka wciąż jest możliwa. Byłem jednak w stanie myśleć jedynie o tym, że Heidl popełni samobójstwo i wtedy nie zostanie mi nic. Musiałem utrzymać go przy życiu, bo dla mnie liczyło się te dziesięć tysięcy dolarów, które mi mieli zapłacić. Ale żeby zapłacili, książka musiała być skończona, a formularz poświadczenia autentyczności tekstu podpisany.

Kiedy wpadłem na tę myśl, wykluczającą z rozważań osobowość Heidla i moją niechęć do niego – przed nienawiścią postawiłem bowiem egoistyczną troskę o samego siebie – zacząłem biec z powrotem ścieżką wśród eukaliptusów na szczyt wzgórza.

Myśl, że Heidl nie żyje, w jakiś sposób mnie popędzała, biegłem więc coraz szybciej. Musiałem wiedzieć, co z nim. Jednak już blisko szczytu straciłem cały pośpiech, moje przerażenie wyparowało, a zastąpił je strach, że wszystko to jest tylko wyrafinowaną pułapką, zastawioną przez Siegfrieda. Zwolniłem i skoncentrowałem się na uspokojeniu oddechu, usiłowałem iść cicho, uważając, żeby nie łamać gałązek pod nogami.

Niczym ramki klatek starego filmu w technikolorze drzewa o czarnych pniach dzieliły świat na niezliczone, prawie identyczne kadry, za którymi dostrzegłem migotliwą, czerwoną postać. Opadłem na kolana za kępą eukaliptusów.

Heidl powoli wyłonił się z pasiastego australijskiego światła niczym żywy miraż albo fala gorąca; chodził tam i z powrotem. Przystawał, odwracał się i robił kilka kroków w przeciwną stronę z taką determinacją i w takim skupieniu, jak gdyby wyliczał krokami miejsce ukrycia skarbu lub sekretnego grobu.

Po kilku minutach zacząłem powoli czołgać się ku niemu spiralnym ruchem. Byłem już w odległości jakichś stu metrów, skryty za krzakiem, kiedy się zatrzymałem.

Heidl dalej kręcił się w kółko przez jakiś czas, zanim przystanął. Mówił coś do siebie i wymachiwał rękami, byłem jednak za daleko, żeby zorientować się, co gada. W końcu wydawało się, że znalazł zaznaczone na mapie krzyżykiem miejsce, gdzie zakopano skarb. Przestał chodzić w kółko i ględzić, zastygł w bezruchu i zapatrzył się na widok, jaki to małe wzgórze dawało mu na coś, co jak sobie wyobrażał, jest Australią.

Trudno powiedzieć, co widział – nadzieję, porażkę, kraj, który potwierdził w końcu, że jako człowiek jest kompletnie bez znaczenia? A może widział coś za tym, jeszcze dalej, wszystko, co przedzierało się przez chmury i całą tę niespokojną ziemię? Cokolwiek oglądał, nie miał tego dosyć. Może chciał więcej. Może widział więcej. Może widział jutro. Kto mógł o tym wiedzieć? Wielki oszust stał przede mną samotnie, nieznany nikomu, również tym, którzy uważali, że go znają, czyli zwłaszcza mnie. Może pozostawał nieznany nawet samemu sobie.

Zwiesił głowę, sięgnął pod czerwoną kurtkę i znów wyciągnął glocka. Wpatrywał się w ten pistolet, jak gdyby nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział, jak gdyby było to coś, co jakimś magicznym sposobem pojawiło się przed chwilą w jego rękach i na co nie było żadnego wytłumaczenia. Kręcił dłonią to w jedną, to w drugą stronę, przyglądając się tej dziwnej broni i nowej mocy, jaką go obdarzała, jakby dopiero teraz zrozumiał, że to nie tylko żelastwo i porowata plastikowa kolba, ale coś innego, coś więcej. Wyprostował się i wyciągnął prawą rękę, w której trzymał glocka, podpierając łokieć lewą dłonią. Potem jednym pełnym wdzięku półkolistym ruchem – chyba jedynym takim, jaki kiedykolwiek widziałem w jego wykonaniu – sięgnął po pistolet i wsunął go sobie do ust. Odchylił głowę do tyłu, podniósł oczy ku niebu i ustawił lufę pod właściwym kątem.

Coś jakby pękło.

Heidl szarpnął się w górę i do tyłu z okrzykiem zdumienia. Nogi zaplątały się pod nim. Jego upadające ciało na króciuteńką chwilę wygięło się w kształt odwróconego znaku zapytania i osunęło na ziemię. Szamotał się trochę, rzucał i drżał spazmatycznie, australijski szaleniec. Nagle przestał i leżał już nieruchomo.

Zapomniałem, jak bardzo go nienawidziłem. Może w tym momencie go kochałem. Chciałem do niego podbiec. Nie ruszyłem się. Oddychałem z trudem. Bałem się, że to coś w rodzaju próby albo pułapki; czy jeśli do niego podbiegnę, trup wstanie i mnie zabije? Przestraszyłem się też, że jeśli nie podbiegnę, Heidl zerwie się na nogi, podejdzie tam, gdzie warowałem przy ziemi za karłowatym krzakiem, i zastrzeli mnie jak psa. Chciałem uciec, ale nie uciekłem; pomyślałem z przestrachem, że jeśli podejdzie mnie zastrzelić, nie będę się w stanie ruszyć i umrę pokornie jak cielę.

Ani drgnął.

Nabierałem pewności siebie.

Po nie mniej niż dziesięciu minutach powoli i ostrożnie zacząłem się czołgać w stronę Ziggy'ego. Z odległości czterdziestu metrów widziałem, jak nad jego głową zlatują się muchy i nurzają w szarej masie mózgowej i krwi, tworzących makabryczną owsiankę na korze i liściach eukaliptusowych.

Podniosłem się na czworaki, a kiedy byłem jeszcze bliżej, wstałem z kolan i szedłem dalej już tylko przygarbiony, gotowy skryć się, paść na ziemię i uciekać, gdyby Heidl wstał znienacka i zaczął do mnie strzelać.

Z odległości dwudziestu metrów zobaczyłem przerażającą ranę wylotową, która dotąd pozostawała niewidoczna. Ujrzałem krew, rozlewający się mózg i bestialską, poszarpaną, krwawą dziurę w głowie Siegfrieda – niebędącej już właściwie głową, bo brakowało jej części, jak gdyby kawałka układanki, który mógłbym podnieść i włożyć na miejsce, żeby znów była cała.

Po chwili stanąłem nad nim, mój rozerwany adidas znalazł się na wysokości jego głowy. Upstrzoną czerwonymi cętkami miazgę we wszystkie strony przebiegały małe czarne mrówki. Śmierdziało gównem. Zapomniałem o książce, forsie, która mi się należała, i o swojej złości na jego lenistwo i kłamstwa. W górze krążyła czarna kurawonga.

I to było najgorsze.

Bo jego oczy poruszały się, śledząc lot ptaka.

Heidl żył.

2.

Podmuch wiatru podniósł pokruszone liście i korę i poruszał gałęziami eukaliptusów z coraz głośniejszym szelestem. Ranny leżał na chwilowo rozszeptanym i ruchliwym piasku niemo i nieruchomo niczym rozpacz, a mrówki przez cały czas kontynuowały swoją nieśmiertelną robotę, pożerając rozbryźnięty mózg kolejnego stworzenia, które miało nadzieję, że się odrodzi po śmierci, i cierpliwie przyjmując teraz na siebie brzemię tokso, Tebbego, CIA oraz morderczych bankowców, dźwigały je bowiem z powrotem do mrowiska. Z ust Ziggy'ego wyciekła strużka krwi, ale nie było jej tyle, ile pokazuje się na filmach. Popołudniowe słońce spoczęło na pobliskiej kępie eukaliptusów. Panował spokój, a dzień był obezwładniająco piękny.

Dlaczego nie chciał umrzeć? Nie wydawał żadnych dźwięków poza jednym, który, jak się domyśliłem, świadczył o tym, że ma coraz większe problemy z oddychaniem, i który powoli przeszedł z cichego, przerywanego rzężenia w dziwny, straszliwy świst. Niekiedy następowała cisza i wtedy wydawało mi się, że nie żyje, myliłem się jednak, bo charkot i rzężenie za każdym razem zaczynały się na nowo. Chwilami jego oddech przechodził w coś w rodzaju chrapania, chociaż Heidl przez cały czas miał otwarte oczy.

Jego okropne spojrzenie nieprzerwanie utkwione było w kurawondze, krążącej wciąż wysoko, jak gdyby ptak nie chciał wzbudzać gniewu jego rany, tej przerażającej, rozłupanej głowy, z której wypływał mózg. Twarz Heidla – teraz już właściwie bardziej maska – wyglądała dziecinnie, jak z plastiku, jak nie do końca jeszcze ukształtowana. Nic w niej nie było. Całe jego życie przypominało jedną wielką nieudaną wyprawę poszukiwawczą. Można było odnieść wrażenie, że nigdy nie znalazł swojego prawdziwego *métier*, wspaniałości albo namiętności równie nieskończonej, beztroskiej, odurzającej i zagadkowej jak te rozległe ziemie u stóp śmiercionośnego wzgórza, na którego szczycie leżał, ziemie rozciągające się daleko, dalej, niż wynosiła odległość pomiędzy Londynem i Moskwą, chociaż nie przekraczały granic Australii, tworu równie absurdalnego jak Heidl, kraju, który, jak twierdził do samego końca, był miejscem jego urodzenia.

I może w jakimś sensie naprawdę stąd pochodził. Bo nie był to kraj zdolny do wiecznego samodoskonalenia, lecz nieskończenie sprzedajny. Nie istniało nic australijskiego, czego by Australia nie sprzedała, za każdym razem taniej niż ostatnio. W takim kraju Heidl powinien był zajść daleko – właściwie na sam szczyt. Na pewno się zastanawiał, dlaczego jego życie kończy się w taki sposób.

Chciałem z nim porozmawiać, bo chyba byłoby niegrzecznie nie odezwać się do człowieka w takiej chwili, ale myśl, że nasza rozmowa będzie miała teraz jakieś znaczenie, była idiotyzmem. Wiedziałem o tym, i wiedziałem również, że Heidl na pewno ma zbyt wiele rzeczy do powiedzenia albo że nie wie, jak wyrazić nawet najprostszą myśl.

To sen, chciałem powiedzieć, bo tak mi się wydawało. I wyczuwałem okropną pustkę świata, pustkę, przed którą możemy się bronić tylko dotrzymywaniem sobie towarzystwa. Nie wolno mi było jednak powiedzieć Heidlowi, że jestem przy nim, bo mógłby mnie źle zrozumieć i zabić, on zaś nie mógł mi powiedzieć, że jest przy mnie, bo tak naprawdę nie był. Co jest snem, a co rzeczywistością, oto był problem, oto było pytanie, i musieliśmy się pytać o takie rzeczy, bo może Heidl, umierając, poznał prawdę, a może poznałem ją ja, patrząc, jak umiera.

Nic nie powiedział, tylko dalej śnił albo myślał, albo śnił, że myśli, albo myślał, że śni. Trudno było to stwierdzić i nikt nie mógł tego wiedzieć. Mozaika kakadu o czubach w kolorze siarki ciągnęła po niebie migotliwy deseń białych skrzydeł, a z nimi oczy Heidla, aż do chwili, kiedy stado zniknęło i w górze powróciła błękitna pustka.

Dopiero wtedy usłyszałem ledwo dosłyszalny, skrzekliwy głos. Spojrzałem na ziemię i z przerażeniem przekonałem się, że należy do Heidla. Wpatrywałem się w jego wbite w niebo oczy, jego ledwo poruszające się usta, właściwie jeszcze bardziej rozedrgane, i każde słowo Ziggy'ego było teraz wilgotne, rozmiękczone, powolne i powleczone czymś śliskim – śliną? Krwią?

Zastrzel… mnie, wyszeptał.

Nie zrobiłem nic. Patrzyłem tylko. Nienawidziłem go. Patrzyłem mu w oczy i chciałem, żeby o tym wiedział. Nie jestem pewien, czy zrozumiał, a jeżeli tak, to nie wiem, czy coś go to obchodziło. Wydał kilka urywanych dźwięków, jakby się dusił, potem ucichł.

Wykończ mnie, powiedział albo tylko tak mi się wydawało.

Nie byłem pewien. Miał bardzo słaby głos. Każde zdanie było chrapliwym oddechem, beczeniem kozy. Znowu zaczął się dusić. Mogłem pobiec do domu i wezwać pomoc. Może nawet uratować mu życie. A przynajmniej mogłem go pocieszyć.

Nie chciałem go pocieszać. Nie chciałem go ratować. Wolałem, żeby umarł. Żeby prysnął czar. Wolałem się go pozbyć i uwolnić od niego.

Proszę, błagał.

Nie byłem nieczuły, ale wiedziałem, że muszę przezwyciężyć swoje uczucia.

Wy i te wasze książki, wy skurwysyny! – krzyknął nagle, jego głos na chwilę nabrał siły, Heidl jakby wypluwał te słowa. Jesteście najgorsi ze wszystkich! Nie znacie litości!

Jego prawa ręka podskoczyła w górę, otworzyła się niebieska dłoń, palce wyciągnięte i napięte, drżące, szukające czegoś… Ostatniej nadziei? Klątwy na nas wszystkich? Kogoś, komu można by zasalutować albo kogo można byłoby udusić? Ten gest był niezrozumiały i przerażający.

Ramię Heidla opadło z powrotem na ziemię. Jego czarne, psie oczy zaszkliły się okrutnie, a nozdrza zaczęły rozdymać gniewnie w innym rytmie niż drgający policzek. Głos przeszedł w szmer, słyszałem już tylko nieartykułowane pochrząkiwania. Może były to groźby albo przekleństwa. Może modlitwy, choć wątpię. Może nic. Ale wysiłek chyba wyczerpał jego siły i Heidl umilkł. Nie odwróciłem wzroku. A on dalej żył. Pozwoliłem mu wejrzeć w głąb mnie i pojąć wszystko, co czułem. Wydawało się, że mącą mu się myśli, gubią się w ciemnościach.

Nagle jego głowa zadrżała straszliwie, jak gdyby doznał przerażającego przeczucia albo oglądał jakąś nieznośną wizję.

Nadchodzi! – wysyczał. Nadchodzi!

Wytężyłem słuch, bo ciekawiło mnie, co jeszcze może powiedzieć. Ale to było wszystko. Dziesięć, piętnaście minut potem – a może jeszcze później, nie wiem – jego oczy przestały się poruszać. Tak jak i policzek.

Wtedy już wiedziałem, co się stało.

Nie ufałem mu nawet martwemu. Czekałem, nie śmiejąc się poruszyć. Ale moje ciało wyprzedzało myśli. Odwróciło się z wolna, zrobiło jeden

krok, potem drugi. I poszedłem dalej, krok za krokiem, niewyobrażalnie zmęczony. Nie dobiegł mnie wystrzał ani żaden inny dźwięk. Puściłem się biegiem i biegłem bez wytchnienia.

3.

Noc rzuciła się na mnie niczym płaszcz rabusia, napadającego ludzi na ulicy. Świat, w który wpadłem na łeb, na szyję, wypełniła smołą i światłami samochodów, gwizdem pędu przejeżdżających ciężarówek i aut osobowych. Skarga Heidla wprawiła wszechświat w złość; klaksony posyłały ostrzeżenia pod niebo, kiedy wyprzedzałem na ostrych zakrętach i przedzierałem się zygzakiem przez czarną przestrzeń w stronę miasta, parkingu wydawnictwa STP i morza, nad którym kilka godzin później leciałem samolotem, pogrzebany w lepkim brzuszysku nocnego nieba, gdy strugi odrzutowego ognia pchały mnie ku mojemu przeznaczeniu.

Przewiązany pasem bezpieczeństwa jak pakunek, odkryłem ze zdumieniem, że świat nic się nie zmienił, że drzemiący albo czytający ludzie wokół mnie są całkowicie zadowoleni z tego, że siedzą w towarzystwie kogoś takiego jak ja, i że samolot oraz mój fotel, drzewa, asfalt, pociągi drogowe i owce na pastwiskach, które mijałem zaledwie przed chwilą, głębokie, pocięte wąwozami potoki, nad którymi przejeżdżałem, i ponure rozpadliny betonowych ekranów dźwiękochłonnych, w które zanurzałem się po drodze do miasta, wyglądają zupełnie tak samo, jak wcześniej tego dnia.

Deszczołezki, chmurotusz, skrzydłojąkanie, mgiełka oddechu na plastikowej obudowie iluminatora.

Tak wiele wyglądało tak samo albo prawie tak samo, że można było sądzić, że i ja pozostałem taki sam, i jeszcze długo potem wydawało się, że nic się nie stało, nie zmieniło, ale ilekroć to wrażenie zaczynało się przeradzać w nadzieję, ogarniało mnie inne, silniejsze poczucie. Wszystko się zmieniło. Bo ja się zmieniłem. Bo stało się to, co się stało.

Głowozawrócony, duszowyjebany, życiozagubiony.

A jednak to, co się stało, nie było dla mnie jasne. Wróciłem tam, żeby mu pomóc – co nadal próbowałem sobie wmówić – czy po to, aby się upewnić, że nie żyje? Czy ja zabiłem Heidla, czy zabił się sam? A może wróciłem dlatego, że Ziggy chciał, żebym wiedział, że w końcu zdobył nade mną władzę, a ja zabiłem go zgodnie z jego życzeniem?

Samolot zadrżał i pomknął ku ziemi.

W taksówce, którą wziąłem na lotnisku w Hobart, unosił się mdlący smród świeżego kleju. Grało radio. Spiker powiedział, że Siegfrieda Heidla znaleziono martwego z raną postrzałową głowy.

Otworzyłem okno i łapczywie łykałem wpadające do środka powietrze. Łykałem je i łykałem, jak gdyby coś mną zawładnęło, zniewoliło, a ja nawet nie mogłem tego wyrzygać.

No i mamy kolejny krwawy dramat, powiedział kierowca.

Policja prosi o pomoc w dochodzeniu, ciągnął spiker, i chce rozmawiać z każdym, kto widział Heidla przed śmiercią.

Komu przyszłoby do głowy zrobić coś takiego? – zapytał taksówkarz.

Może mnie, powiedziałem, wskazując przed siebie. To znaczy, chciałem powiedzieć, że może mnie pan wysadzić zaraz za tym skrzyżowaniem, dzięki.

Wciąż słyszałem ten jego straszny ostatni szept, bezsensowne słowo, pełne jakiegoś niepojętego przeczucia, nadal syczące mi w uszach. Chciałem coś jeszcze dodać w odpowiedzi, ale było mi niedobrze po podróży samolotem, z niewyspania, ze strachu, a kiedy otworzyłem usta, żeby się odezwać, wypełniło je tylko pędzące powietrze. Próbowałem sobie przypomnieć słowo, którego użył Paley w czasie naszego pierwszego spotkania, i wreszcie wróciło do mnie, kiedy podjechaliśmy pod dom i wziąłem torbę podróżną od taksówkarza.

Nègres.

17

1.

Krążyłem po salonie tam i z powrotem z płaczącymi bliźniakami na lewym i prawym ramieniu, oglądając ostatnie wieczorne wydanie wiadomości, podczas gdy Suzy drzemała na kanapie. Ciągle Heidl i Heidl, nic innego. W samym środku materiału filmowego o ASO – śmigłowce, pożary, Heidl dekorowany Orderem Australii, defilady umundurowanych młodych mężczyzn, Heidl w kajdankach biegnący między dwoma rzędami dziennikarzy tego dnia, gdy ujęła go policja – zadzwonił telefon.

Myślałem, że to gliny, ale odezwał się Paley. Powiedział, że zachowali moją tożsamość w tajemnicy, żeby oszczędzić mi wścibstwa niemile widzianych mediów i żebym mógł dalej pisać.

Zamilkł w oczekiwaniu na moją reakcję. Nie odpowiedziałem. W tle słyszałem reportera, mówiącego, że na tym etapie policja niczego nie wyklucza, a jednocześnie bierze pod uwagę każdą ewentualność. Chciałem pokrzepienia, ale go nie dostałem. Odczuwałem niechęć. Byłem zdezorientowany. Na krawędzi. Czułem się winny. Przestraszony. Za dużo emocji.

Przepraszam cię na chwilę, powiedziałem. Podszedłem do telewizora i wyłączyłem go. Gene Paley chyba źle zrozumiał moje zachowanie, sądząc, że chcę ukryć przed nim smutek. Zastanawiałem się jaki. Właściwie nie byłem pewien, co czułem w tym momencie.

Rozumiem, że to musi być dla ciebie bardzo trudne, Kif.

Przyszło mi do głowy, że Paley wie, ale naturalnie nic nie wiedział. Chodziło mu tylko o książkę. Był wydawcą. Zawsze chodziło mu jedynie

o książkę. Ogromnie mi ulżyło. Po chwili ogarnęło mnie jednak rozczarowanie, że nie wie, że nawet nie podejrzewa, że nie zapyta. To ja, chciałem odpowiedzieć, „To ja!". Pomyślałem, że Gene z tymi swoimi wiotkimi ramionkami i okropnym, pokrytym czerwonymi pieprzykami ciałem jest głupi jak but, kompletnie skołowany, myli się, a twarz ma bladą jak śmierć.

Wszystko w porządku, odparłem. U mnie wszystko w porządku.

Widziałem jednak tylko drżące wargi Heidla, jego oczy i krążącą w górze kurawongę. Próbując podtrzymać telefon drugą ręką, zauważyłem, że mam ciągle brud za paznokciami, bo zaledwie kilka godzin temu czołgałem się przez busz.

„Dobry pisarz powinien mieć brudne ręce, Kif".

Dobrze ci idzie? – spytał Paley.

Jakoś idzie, odpowiedziałem.

Wyczuwałem, że coś się we mnie zmienia, rośnie, coś tak okrutnego i bezlitosnego, że aż się przeraziłem.

Ile już domknąłeś?

Może jedną trzecią.

A reszta?

On nie żyje, powiedziałem.

Paley umilkł po raz drugi. Wpadłem w złość, jak gdyby to on w jakiś sposób zmusił mnie do zrobienia tego, co zrobiłem, a teraz kazał mi się przyznać, że żadnej książki nie ma.

Przykro mi, powiedział. Wiem, że bardzo lubisz… Że lubiłeś… Siegfrieda.

Lubiłem? Bałem się, że coś, nad czym nie będę w stanie zapanować, przenika z moich piersi w kark i szyję i że trzęsą mi się od tego wargi.

Czy Siegfried… – powiedział Paley, zakaszlał i kontynuował. Siegfried… Zatwierdził chociaż jeden rozdział?

Może dlatego, że wydawało mi się, że powinienem zaproponować trochę nadziei nam obu, a może tylko sobie, w pewnym sensie dałem mu do zrozumienia, że zatwierdził. Na pewno nie powiedziałem, że nie. Nie

wiem, dlaczego skłamałem, ale skłamałem. Może po prostu chciałem, żeby Gene dał mi święty spokój i się rozłączył.

Podpisał formularz? – spytał natarczywie, podnosząc głos. Ten dokument, w którym mowa o tym, że powstała ostateczna wersja książki i że wszystko w niej jest zgodne z prawdą?

Świat mi ciążył i bardzo wiele rzeczy mnie irytowało.

A co ja przed chwilą powiedziałem?

No to doskonała wiadomość, Kif, najlepsza, jaka może być.

Problem, powiedziałem, nie polega na tym, że nie ma dokumentu, poświadczającego autentyczność ostatecznej wersji książki jako zgodnej z prawdą. Problem w tym, że nie ma żadnej ostatecznej wersji.

Rozumiem, Kif. Ale masz podpisany formularz.

Nikt już mi dzisiaj nie powie, jak wyglądało jego życie.

Śmierć to nie to samo, co kropka na końcu zdania, zauważył. To tylko myślnik na początku pustej strony.

W tym sęk.

Zapadła krótka cisza.

Popatrz na dobrą stronę tej sytuacji, powiedział Paley. Zapełnij tę pustą stronę.

2.

Rano śmierć Heidla była już najważniejszą wiadomością we wszystkich środkach przekazu. Przez cały dzień pozostał na pierwszym miejscu w informacyjnych programach radiowych i telewizyjnych, a o jego koneksjach i poglądach, które żywił od tak dawna i próbował rozpowszechniać, mówili wreszcie inni – komentatorzy, uczeni akademiccy, eksperci i dziennikarze. Wszyscy używali słów i nazw, które chciał upowszechnić: „Nugan Hand", „morderstwo", „CIA", „szpieg", „Allende", „spisek", „Whitlam", „zabójca", „zimna wojna", „tajne operacje". Gadali bez końca o „niejasnym charakterze" struktur ASO i wielu jej

działaniach, o defiladach organizacji paramilitarnych i chuj wie o czym jeszcze. Jak się zorientowałem, o niczym nie mieli pojęcia. Paley był wszędzie, cytowali jego wypowiedź, że Heidl zostawił po sobie szczere, opowiadające o całym swoim życiu wspomnienia, pełne sensacyjnych szczegółów, których Gene nie chciał jednak na razie ujawnić, chociaż go naciskano.

I bardzo dobrze, że nie chciał.

Bo ja w Hobart wciąż usiłowałem je wymyślić.

Za każdym razem, kiedy czytałem albo słyszałem coś nowego o Heidlu, wkurzałem się na Paleya za to, że dopilnował, aby media ze mną nie rozmawiały. Bo przecież czy nie było tak, że tylko ja znałem prawdę? I czy to nie ja powinienem podzielić się nią z Australią? Potem jednak moją próżność błyskawicznie zastąpiła panika. Policja, policja! Jest tylko kwestią czasu, zanim przyjdą mnie zgarnąć – i co ja im powiem? Miałem kluchę w gardle. Powtarzałem sobie w myślach tysiąc różnych historii i zrozumiałem, że muszę trzymać się najprostszej wersji, tej, którą opowiedziałem Suzy i której zakończenie było prawdą: że swój ostatni dzień w Melbourne spędziłem u Sully'ego, pracując nad książką, wieczorem odstawiłem nissana na parking wydawnictwa, wziąłem taksówkę na lotnisko i poleciałem do domu.

Będziesz musiał oddzwonić do Paleya i coś mu powiedzieć, stwierdziła Suzy przy śniadaniowej kawie – którą rozkoszowała się po raz pierwszy, odkąd zaszła w ciążę – kiedy jej wyjaśniłem, w każdym razie po części, jak wygląda sytuacja: że formularz jest niepodpisany, tekst nieskończony, a zagadka śmierci Heidla nierozwiązana, chociaż to prawie na pewno samobójstwo, które jak doskonale wiedziała, w ogóle mnie nie wzruszało.

Dobre w Suzy było to, że nie musiałem jej okłamywać – chyba tylko wtedy, kiedy naprawdę musiałem. Chciałem powiedzieć jej prawdę. Ale czas mijał, wzbierał, wirował i tworzył delty, które mnie wstrzymywały, posuwał się do przodu, a prawda, niegdyś pilna, odsuwała się i wkrótce zaczęła się wydawać równie niepotrzebna, jak bezcelowa, zginęła gdzieś w górze rzeki. Chciałem powiedzieć jej wszystko. Ale im dłużej nie mówiłem Suzy, jak było naprawdę, tym bardziej szczerość wydawała mi się niemożliwością. Poza tym tak czy owak, co to znaczy wszystko? To, co się stało? Nie było to dla mnie jasne. Było po prostu… niejasne.

Raczej z przyzwyczajenia niż w jakimś konkretnym celu czy z nadzieją udałem się na górę do swojego maleńkiego pokoiku wielkości szafy, który z każdym dniem wydawał się zmniejszać i robić jeszcze bardziej klaustrofobiczny. Dla Paleya i świata książka była gotowa. Kiedy przelazłem przez biurko i osunąłem się na fotel, żeby zacząć pracę, którą musiałem jak najszybciej sfinalizować, zrozumiałem, że tych kilka dni, jakie mi zostały na skończenie ostatecznej wersji, to o wiele za mało, abym mógł w niej zawrzeć wszystko, co chciałem. A przecież to, co tak bardzo trzeba było powiedzieć, stało się nieuchwytne. Nie mogłem nic wymyślić.

Sięgnąłem do plecaka. Uciekając poprzedniego dnia, zabrałem z domu Heidla wszystkie papiery, żeby mieć pewność, że nie zostało tam nic, co mogłoby mnie obciążyć. Wziąłem wydruk i tę książkę o praniu brudnych pieniędzy, którą mi dał. W tekturowej teczce z wydrukiem spoczywał na wierzchu niepodpisany formularz.

Dlaczego byłem tak głupi, żeby okłamać Paleya, mówiąc mu, że Heidl podpisał dokument? To było bez sensu. Może sprawiło wielką przyjemność Paleyowi, ale mnie niosło zgubę. Było to kłamstwo, a co gorsza, głupie i niepotrzebne. Okłamałem teraz także Suzy, i to kłamstwo było o wiele gorsze, bo coś przed nią ukryłem. Ale wokół kłamstwa, które sprzedałem Paleyowi, trzeba byłoby szybko wymyślić inne, należałoby zatem nimi żyć, oblepiłyby mnie jak kryształki soli. Przez krótki czas przerażało mnie to tak, że czułem się właściwie fizycznie chory.

Odczuwałem też jednak coś przeciwnego – prawie radość z tego, że robię coś, co wydawało się zarówno niebezpieczne, jak i wyzwalające. I kiedy tak siedziałem wciśnięty między te ściany, które otaczały mnie coraz ciaśniej, to połączenie niosło ze sobą dziwną ekscytację, dawało mi bowiem możliwość zakosztowania nieznanej dotąd wolności – możliwość prowadzenia zupełnie innego życia, zbudowanego na kłamstwie, które jak przypuszczam, właśnie podobało się Heidlowi.

Mimo to ten męczący stos kartek wyglądał zbyt przygnębiająco, by zacząć nad nim pracować. Postanowiłem zająć się czymś innym i otworzyłem pożegnalny podarunek Heidla, książkę o praniu pieniędzy. W prawym górnym rogu strony tytułowej widniało jego nazwisko, wypisane nieco dziecinnymi, pochyłymi i zbitymi ciasno kulfonami.

Przekartkowałem prezent, ale nie było w nim nic ciekawego ani istotnego. Wróciłem do wydruku.

Kilka minut później znów otworzyłem tę książkę na stronie tytułowej. Ujrzałem te same odręcznie napisane słowa – tylko że teraz wydawały się rozświetlone przez Boga. Wziąłem długopis. Na oczach Goliata, którego Caravaggio namalował z otwartą gębą, napisałem, starając się naśladować zwarty charakter pisma najlepiej, jak potrafiłem:

Siegfried Heidl

Pierwsza próba nie była zbyt udana.

Siegfried Heidl

Druga okazała się lepsza. Właściwie czułem, jak coś we mnie wstępuje. Pomyślałem o jego głosie, o przyjemności zapisania nie swojego nazwiska...

Siegfried Heidl

...jako własnego. Ściągnąłem z rękawa marynarki kłaczek kociego futra, wyrzuciłem go i podniosłem kartkę pod światło. Podpis zaczynał wyglądać całkiem nieźle.

Siegfried Heidl

Siegfried Heidl

Siegfried Heidl

Sięgnąłem po formularz, położyłem go ostrożnie na biurku, wpisałem o dwa dni wcześniejszą datę i podpisałem się w odpowiedniej rubryce...

Siegfried Heidl

3.

Zebrałem wydruk, schowałem do plecaka i poszedłem do Salamanki. Było cicho i wspaniale. Chodziłem po tych ulicach, zachwycając się pięknem rynsztoków i śmieci. Ludzie, których mijałem, wydawali się dla siebie wyjątkowo mili, a dzień sprawiał wrażenie nieoczekiwanie pogodnego i radosnego.

Wszedłem do Knopwood's, knajpy prawie zawsze pustej o jedenastej rano, i zamówiłem piwo. Wypiłem je z wdzięcznością i pomyślałem, że coś ze mnie wychodzi, chociaż jednocześnie wstępuje we mnie coś innego. Zamówiłem drugie piwo, usiadłem w kącie przy lepkim od brudu stoliku szachowym, wyciągnąłem wydruk i ułożyłem z boku w równiutki stos kartek.

Otworzyłem notes i jeszcze raz przeprowadziłem obliczenia. Miałem trzydzieści tysięcy nadających się do wykorzystania słów, a potrzebowałem jeszcze czterdziestu pięciu tysięcy, żeby osiągnąć minimum potrzebne do książki. Dałem sobie dwa dni na ostateczne poprawki, zostawało zatem dziewięć dni, a ponieważ czterdzieści pięć podzielić przez dziewięć równa się pięć, musiałem pisać pięć tysięcy słów dziennie. Wiedziałem jednak, na czym polega moja robota i kim teraz jestem, więc się do niej wziąłem.

Przeglądając to, co dotąd napisałem, robiłem notatki. Wszystko, co nie było jawnie zmyślone albo oczywiste, wydało mi się niewyobrażalnie nudne. Znowu wpadłem w rozpacz. Heidla już nie było, nie widziałem więc żadnej możliwości, żeby skończyć książkę. Widziałem wyłącznie pytania, na które musiałem znaleźć odpowiedzi – od drobnych szczegółów po obszerniejszą historię, którą powinien był mi opowiedzieć. Ale on nigdy nikomu już nic nie opowie. Nie miałem żadnych wiarygodnych informacji, których potrzebowałem, a nie było czasu, żeby porozmawiać z jego żoną czy bliższymi znajomymi, zresztą oni i tak najprawdopodobniej znali tylko różne kłamstwa.

W dodatku ten skromny materiał, którym dysponowałem, nie dawał się gładko wpasować w żadną znaną mi literacką konwencję wspomnieniową. Wizerunku Heidla nie można było przerobić na obraz Korporacyjnego Lidera, Oszusta ani Nawróconego Przestępcy. Nie był też Dobrym Człowiekiem, Który Pobłądził, ani Skrzywdzonym Prorokiem. Nie był żadnym z nich, a przecież przy różnych okazjach wydawał się być każdym – kolejno lub jednocześnie. Moim problemem było stojące przede mną zadanie: ulepić jedną, wiarygodną postać z człowieka, który dowolnego dnia mógł zostać księżną Dianą, Lee Iacoccą albo Papillonem. Albo całą tą trójką w jednym zdaniu.

Heidl nie był bowiem człowiekiem, który doszedł do wszystkiego sam, tylko kimś, kto stwarzał samego siebie przez cały czas. Rodził się wiele razy

i miał wielu rodziców, a jego geneza była równie mistyczna i proteuszowa jak starożytnych bóstw. Każde jego nowe wcielenie okazywało się bardziej tajemnicze niż poprzednie; Heidl spłodził Heidla, który spłodził Heidla.

A może – jak się dowiedziałem kilka lat później z jakiegoś telewizyjnego filmu dokumentalnego, który zawierał chyba sporo prawdy – Heidl zawsze był ten sam, tylko nosił różne nazwiska i opowiadał o sobie różne historie? Film przedstawiał dzieje jego nieustannej metamorfozy. Zaczynał od bawarskiego kanciarza Heinricha Froderlina, urzędnika, który pod koniec lat sześćdziesiątych w Monachium okradł bawarski wydział dróg i transportu na kilka milionów marek i przepadł bez wieści, po czym, jak można było sądzić, spłodził wiedeńskiego aferzystę Friedricha Tomka, ten zaś Tilmana Frodka, Frodek – Karla Friedlsona, a Friedlson – Siegfrieda Heidla. Był jak *Obcy – ósmy pasażer Nostromo*, tylko jeszcze straszniejszy, i kto mógł wiedzieć, z czyjej piersi – twojej czy mojej – wyłoni się następne pokolenie monstrualnego pasożyta i do kogo będzie tym razem podobne?

Wtedy jednak nadal nie mogłem pojąć, jak to jest możliwe, że kimkolwiek Heidl był, potrafił jeszcze raz skolonizować swoją ostatnią tożsamość i zmienić się w kogoś innego; został Siegfriedem Heidlem, by objąć stanowisko inspektora do spraw bezpieczeństwa w Australian Safety Organisation, anachronicznej organizacji dobroczynnej, która ledwo zipała już od lat trzydziestych, prowadziła plakatową kampanię społeczną i – przez krótki czas – produkowała filmy instruktażowe dla tokarzy, próbując ich nakłonić, żeby wkładali w pracy siatki na włosy.

Gdy Heidl do nich dołączył, cały personel ASO liczył pięć osób. Zadaniem Ziggy'ego – w czasach, kiedy nie obowiązywały jeszcze obsesyjne przepisy dotyczące bezpieczeństwa i higieny pracy – było jeździć do fabryk i warsztatów, w których wygłaszał krótkie pogadanki i udzielał rad, jak najbezpieczniej korzystać z drabiny, dźwigać duże ciężary i obsługiwać tokarkę. Przed tym udokumentowanym epizodem, poświadczającym istnienie Heidla, dla Heidla nie było żadnej historii Heidla, tylko jego opowieści o Heidlu, w takim kształcie, w jakim sam decydował się je przedstawiać, reinterpretować i zmieniać, co tydzień i co miesiąc.

Może tak to właśnie jest, jeśli człowiek żyje w stanie nieustannej transformacji, ale kompletny brak zainteresowania Ziggy'ego choćby kilkoma niepodważalnymi faktami z jego przeszłości stanowił poważny

problem dla mnie jako biografa. Życie dopuszcza chaos, książki muszą jednak udawać, że życie to ład.

Pewne tropy wydawały się prawdziwe – a przynajmniej nie wyglądały na jawny fałsz. Na przykład informację, że rok przed wstąpieniem do ASO Heidl pracował jako księgowy w rezerwacie dla Aborygenów w Kimberley, zdawała się potwierdzać fotografia z „Northern Territory News" (chociaż podpis pod nią, który mógł zawierać jego nazwisko, został oddarty) i niewyraźne zdjęcia polaroidowe, przedstawiające Ziggy'ego na piaszczystych, czerwonych drogach, porośniętych niskimi krzewami łobody, pod samotnym baobabem albo w bujnym lesie tropikalnym, opartego o czerwono-białego landcruisera.

Tak czy inaczej, każda jego nowa opowieść częściowo przeczyła poprzedniej, częściowo ją potwierdzała, a potem wymazywała je wszystkie jakaś kolejna historia. Pozostawał jedynie taniec narracji, gra polegająca na tym, że Heidl chciał zobaczyć, jak długo może sobie pozwalać na takie numery. Przekonał się w tej grze, że ludzie mają większe zdolności do samooszukiwania się i myślenia życzeniowego niż on do kłamstwa.

Nie jestem nawet pewien, czy aż tak często kłamał. Bo historie Siegfrieda nigdy nie były o nim, chodziło raczej o jego paranoje, którymi chciał się dzielić – związane z ASO, Spaceportalem czy Nugan Hand. Heidl, wielki twórca opowieści, był obecny we wszystkich swoich dziełach niczym Pan Bóg i jak Pana Boga nigdzie nie było go widać. Wyjątkowo pieczołowicie pielęgnował w społeczeństwie ludzkie pragnienie wiary. To właśnie dzięki niemu zdołał wyprowadzić siedemset milionów dolarów z australijskich banków – chociaż z innego punktu widzenia był to ich dar dla niego. W mroczniejszych chwilach myślałem, że Heidl jest winny znacznie gorszych zbrodni. Z jego aluzji na pewno można było wywnioskować, że ma na koncie morderstwo, chociaż trudno było mi w to uwierzyć.

Mimo wszystko potrafił zaskakiwać. Sprawiał wrażenie człowieka, który o wielu rzeczach nie ma pojęcia, ale od czasu do czasu dawał dziwne dowody na to, że tak nie jest. Kiedy raz zaczął mnie naciskać w sprawie Suzy i zbliżających się narodzin bliźniaków, powiedziałem mu, że to moje osobiste sprawy.

Pamiętam, jak odpowiedział, że po angielsku „osoba” wywodzi się z łacińskiego słowa „persona”, co oznacza maskę.

Czy właśnie tym jest osoba, Kif? – zapytał. Maską?

Jego maska – kiedy decydował się zadać sobie trochę trudu i wymyślić ją dla mnie – była niewiarygodnie nudną, przesłodzoną bajeczką o zwyczajnym człowieku, który kochał swoją żonę i dzieci, ciężko pracował i pomagał innym, o człowieku przyzwoitym, który własnymi rękami zbudował imperium na bezinteresowności, przedsiębiorczości i zdrowym rozsądku szarych obywateli w świecie owładniętym po większej części szaleństwem. Jak na kogoś, kto stworzył tak spektakularne kłamstwa na cudzy użytek, opowieść Heidla o sobie jako o kimś zupełnie nieciekawym należała do jego najbezczelniejszych osiągnięć.

4.

Kupiłem piwo, spiłem z niego piankę, otarłem usta i ponieważ nie wiedziałem, co robić, zabrałem się do pracy. Wziąłem pierwszą stronę, położyłem ją przed sobą i zacząłem pisać książkę na nowo, na marginesach. Pracowałem tak, jak się tego nauczyłem jako pomocnik murarza – bez przyjemności i cierpienia, bez nadziei, ale też bez rozpaczy i ambicji. Nie miałem nic do powiedzenia, przeczytałem jednak dość literatury australijskiej, żeby wiedzieć, że nie musi to być dla autora żadną przeszkodą. Wmurowywałem słowa obok siebie, zaczęły powstawać ich kolejne warstwy, rosły ściany, pojawiały się kąty, i powoli zaczęło formować się coś jeszcze mi nieznanego, ale już coś więcej niż tylko kupa bezsensownych zdań. Tu trzeba było przyciąć i dopasować kilka nowych słów, tam inne wyrazy należało usunąć albo przerobić, ale jeszcze inne, a pojawiało się ich coraz więcej, musiałem wymyślać, te zaś domagały się kolejnych słów i przyzywały je. W ten sposób – w osobliwym oddaniu pracy – pojawiło się powoli wydobywające się na powierzchnię dziwne i słodkie natchnienie pospolitego trudu.

Kiedy podszedłem do baru po następne piwo, barman zapytał, co robię. Powiedziałem mu.

Pisarz, tak? W życiu nie znałem żadnego pisarza. Ale uwielbiam Jeza Dempstera. Jego książki mogę czytać. Każdy może.

Pracowałem przy pubowym stoliku jak w coraz większej gorączce, zrobiłem przerwy tylko na lunch i piwo, a wyszedłem dopiero po południu, kiedy pub zaczął się wypełniać korposzczurami. Poszedłem do domu i przygotowałem podwieczorek dla Suzy, miała jednak mdłości i nie mogła jeść. Przewinąłem bliźniaki, wyczyściłem i wyprałem jedne pieluchy, drugie rozwiesiłem, a potem przeczytałem Bo jej ulubioną bajkę na dobranoc, tę o wilku i drwalu.

Późnym wieczorem zatkałem sobie uszy jasnopomarańczowymi stoperami, kupionymi w aptece, żeby nie słyszeć kłótni ćpunów za ścianą, i łyknąłem kilka speedów od Raya. Wycofany, a zarazem nakręcony, siedziałem długo w noc, by opracować napisany odręcznie w pubie tekst, pokrywający marginesy wydruku. Utworzyłem z niego nowy plik w komputerze i ogarniało mnie coraz większe podniecenie, zacząłem bowiem dostrzegać różne powiązania i układy, które wcześniej uszły mojej uwadze.

Uznałem, że umowa, jaką zawarłem z prawdą i Heidlem, który chciał, bym opowiedział jego historię w określony sposób, już wygasła. Zresztą i tak od początku była absurdalna. Postanowiłem działać, idąc za przykładem Ziggy'ego, czyli po prostu codziennie wymyślając książkę najlepiej, jak umiałem.

Po raz pierwszy mogłem pisać swobodnie, i chociaż słowa przychodziły mi z trudem, to przecież przychodziły, a po pewnym czasie, kiedy znalazłem w sobie człowieka amoralnego, mogącego udawać każde uczucie, aby nabierać ludzi, zaczęły przychodzić łatwiej. Przymierzałem różne emocje, jak Heidl, nosiłem je tak długo, jak długo były użyteczne, po czym przebierałem się w coś świeżego. Z siłą boskiej iluminacji uderzyła mnie też świadomość, że nie potrzebuję Heidla, aby o nim pisać. W końcu się od niego uwolniłem i wydawało mi się, że nareszcie mogę opowiedzieć jego historię uczciwie, chociaż teraz każde moje słowo było czystym wymysłem. Kiedy nie miałem już siły dalej pracować, sprawdziłem objętość rozdziału. Napisałem sześć tysięcy czterysta pięćdziesiąt dwa słowa.

Wtedy zrozumiałem, co miał na myśli Paley, mówiąc, że nieznajomość szczegółów życia Heidla działa na naszą korzyść. Jego śmierć stała się wyzwoleniem, pozwoliła mi stworzyć wyjątkową i wyrazistą postać z człowieka, który wcale nie był ani wyjątkowy, ani wyrazisty.

5.

W następnych dniach, zlewających się w jedną wielką plamę kawy, zgagi i osobliwego strumienia wyrazów, który jak wiedziałem, musiał mieć swój koniec, mimo że przez krótki czas wydawał się bezgraniczny, pozwalałem po prostu łączyć się jednemu słowu z drugim. Okazało się, że książka nabiera rumieńców, a moja opowieść zmienia się w pieśń nie dzięki wielkim aspiracjom, tylko małym szczegółom, i nie wskutek przytłaczającej ambicji, ale zwyczajnej determinacji autora, żeby wszystkie zdania brzmiały dobrze i mocno.

I z każdym kolejnym dniem pisałem coraz więcej. Książka nie wydawała mi się wspaniała ani nawet przeciętna. I nie obchodziło mnie to – nie mogło mnie obchodzić. Nie przejmowałem się tym, że może straciłem ambicję. Bo jednak była to książka, coś o wiele większego, niż udało mi się osiągnąć do tej pory. Martwiłem się tylko jednym: żeby wszystko grało, a kiedy nie grało, to martwiłem się tym, co powinienem zrobić, żeby grało. Tylko tyle. Przekonałem się, że to jest wszystko.

Nie chcę przesadzać. Nie byłem Borgesem ani Kafką. Nie byłem jak Joyce zajadający flaki w Le Polidor ani jak Tebbe „tebbujący" po swojemu czy robiący coś innego, kiedy jego życie wznosiło się ponad aliteracyjny aforyzm. U mnie dominowało życie jako życie; katastrofa od początku do końca. Pisałem w niemożliwym tempie, a jednocześnie naprawiałem połamane łóżeczka, przeczesywałem sklepy ze starzyzną w poszukiwaniu używanych wózków spacerowych i kołysek, odpowiadałem na ogłoszenia oferujące dziecięce foteliki samochodowe i starałem się ulżyć Suzy, przejmując od niej obowiązki związane z gotowaniem i sprzątaniem.

Sypiałem tylko wtedy, kiedy i gdzie mogłem – kilka godzin w nocy z Suzy, zanim bliźniaki, które płacz łączył w tandem zapaśników uprawiających wolną amerykankę, przejmowały łóżko we władanie, albo na dmuchanym materacu koło łóżka, gdy mnie już z niego eksmitowano, z głową opartą o biurko, albo leżąc pod biurkiem w ciągu dnia, jeżeli byłem zbyt zmęczony, żeby napisać choć jedno słowo więcej. Gdy pracowałem, Suzy starała się zajmować dzieciakami, praktycznie jednak nie mogła sobie dać rady, pomagałem jej zatem w coraz większej panice, z przerażeniem i niechęcią rejestrując każdą minutę straconą dla pisania. Ludzie pytali nas zdumieni, jak sobie dajemy radę. Odpowiedź brzmiała, że kiepsko, ale nie mieliśmy innego wyjścia, więc sobie radziliśmy.

Nie potrafiłem rozkoszować się tym, co powinno było być najwyższą rozkoszą. Irytowała mnie gadanina Suzy o chłopcach, a jeszcze bardziej się wstydziłem, że przyprawia mnie to o irytację. Moja żona miała wymizerowaną twarz, chodziła niewyspana i bardzo schudła; karmiła przecież dwoje małych dzieci. Była nieludzko zmęczona, mnie zaprzątały jednak inne myśli, które, jeśli chcecie, stały się moją obsesją: widziałem pełznące mrówki, krążące w powietrzu ptaki, czułem zapach mokrej ziemi i kory. Bardzo chciałem pozbyć się tych wizji, bo nie mogłem z ich powodu zająć głowy niczym innym. A im milsza była dla mnie Suzy, im bardziej się starała mnie ugłaskać, im częściej pytała, jak mi idzie książka, im więcej brała na siebie obowiązków domowych i im więcej czasu poświęcała dzieciom, żeby mi pomóc w pisaniu, tym bardziej popadałem w ponury i złośliwy nastrój, ponieważ nie mogłem jej powiedzieć, co myślę. Zresztą tak czy inaczej brakło mi na to słów.

Kłóciliśmy się – jak moglibyśmy się nie kłócić w takiej sytuacji? Potem musieliśmy po prostu żyć dalej, prać, sprzątać i karmić Bo oraz bliźniaki, ja dodatkowo pisałem przez cały dzień i długo w noc, czasami nawet do wczesnych godzin rannych, zdrowo nawalony speedem i desperacją, a do tego wszystkiego strasznie potrzebowaliśmy pieniędzy, więc w końcu sam nie wiedziałem, co mnie właściwie pcha do dalszego działania.

Któregoś dnia późnym wieczorem zadzwonił Ray z budki w Port Douglas, żeby mi powiedzieć, że dostał pracę na poławiaczu krewetek i pewnie nie będzie się odzywał przez jakiś czas. Słabo go słyszałem, jak gdybyśmy rozmawiali na odległość kilku tysięcy kilometrów – bo tak

właśnie było. Dodał, że dwa razy przesłuchiwała go policja, że nic im nie powiedział o glocku ani że Heidl chciał, żeby ktoś go zabił. Policji chyba wystarczyło to zeznanie, można było zatem mieć nadzieję, że na tym się skończy.

W całym zamieszaniu wokół śmierci Ziggy'ego czekałem oczywiście i na telefon od glin. Jego brak uważałem za niedbalstwo z ich strony, które mnie trochę dziwiło. Bardzo się bałem. Czasami potrzebowałem niemal nadludzkiej siły woli, by przezwyciężyć strach i znowu coś napisać. Ale nie zadzwonili do mnie, nie zostałem przesłuchany, a kwestia mojej bytności u Heidla w dniu jego śmierci nigdy nie wypłynęła, ponieważ – jak ciągle musiałem zapewniać samego siebie – nikt o tym nie wiedział.

Mimo to nie było ani godziny, żebym się nie martwił, że zatelefonuje do mnie jakiś policjant. I aby uprzedzić to, co wydawało mi się nieuniknione, czyli uciec do przodu, kilka razy już podnosiłem słuchawkę, zamierzając sam się do nich zgłosić i powiedzieć im… coś. Powiedzieć, że byłem u niego, ale… co jeszcze? Powiedzieć, że mnie tam nie było, ale… dlaczego? Po chwili odkładałem słuchawkę. Powtarzało się to kilkanaście razy. Podnosiłem słuchawkę i odkładałem ją. Myślałem, że dysponuję jakąś prawdą, którą mógłbym się podzielić z policją. Czym jednak w ogóle jest prawda? Potem nachodziły mnie inne wspomnienia, a ja z ulgą do nich powracałem. W takiej ucieczce kryła się niemal radość.

A później policja stwierdziła z całą pewnością, że nic nie rzuca podejrzeń na okoliczności zgonu Heidla. W kolejnych dniach zainteresowanie jego śmiercią zaczęło się zmniejszać i na jej miejscu zakwitły inne zdarzenia. Przypominało to ciąg matematyczny, od celebryty do anonimowości, sprawa Siegfrieda spadła najpierw z pierwszej strony na drugą, potem na czwartą, a każdego dnia kolejny artykuł o nim był o połowę krótszy. Pewnego razu znalazłem króciutki felieton, ukryty gdzieś w środku gazety na dole strony, którego autor zastanawiał się, co też Heidl mógł ujawnić w swoich mających ukazać się niebawem wspomnieniach. Powyżej widniała reklama pralek, a obok znacznie dłuższy artykuł o płatnym zabójcy z Melbourne. Moją uwagę zwróciło jednak zdjęcie: przedstawiało pizzerię Bertie's Pizza 'n' Pasta Takeaways z Glen Huntly. Jej właściciel, niejaki Alberto Ricci, został aresztowany i oskarżony o popełnienie czterech morderstw. Przykrywką dla jego właściwej działalności była

właśnie pizzeria, a zlecenia pozostawiano na automatycznej sekretarce. Doczytałem do końca tylko drugi akapit.

6.

Zaczęło się robić gorąco. Wcześniej myślałem, że pisanie polega na nadawaniu słowom precyzyjnego znaczenia, ale frajda wydawała się kryć w ich uwolnieniu, by mogły płatać figle i wyczyniać cuda, w obserwowaniu, jak popełniają akty niedyskrecji, i w tym zdziwieniu, jakie momentami budziły we mnie nieoczekiwany wdzięk i leksykalne objawienia. Mówiono mi, że słowa to lustra, dla mnie były jednak niby księżyce, które zmieniały wszystko w rtęciowym świetle w coś, co nadal balansowało na granicy tajemniczości. Nic się nie kleiło. Coraz częściej pozwalałem sobie na słowne wymyki.

Wydawało mi się, że znam się na pisaniu, lecz po pewnym czasie przekonałem się, że im bardziej przyznaję się do tego, czego nie wiem, tym bardziej zbliżam się do jakiejś prawdy. Brzydziłem się Heidlem, ale zostałem skazany na napisanie całej książki w jego imieniu, mając nadzieję doprowadzić czytelników do przekonania, do którego sam doszedłem: że ten człowiek – który był i jednocześnie nie był Heidlem, który był mną, a jednocześnie kimś innym – okazał się złem wcielonym. I musiałem zrobić to w taki sposób, żeby skłonić ludzi do czytania aż do ostatniej strony.

Siegfried każdego dnia umierał na moich oczach, a ja każdego dnia na każdej stronie przekornie go wskrzeszałem, z zemsty, triumfalnie, w zadziwieniu. Nie, syn nie zapomniał o ojcu, a ojciec nie potępił syna; czy nadal było ważne, kto jest kim? Bo teraz stanowiliśmy już świętą trójcę – temat, książka, autor – niezgłębioną i niepodzielną.

Heidl nie zatrzymał się, nie przestał zmyślać, chociaż już przecież nie żył – może nawet zmyślał więcej teraz, kiedy w rozmowach z nim nie musiałem weryfikować tych jego idiotyzmów, oburzających i absurdalnych opowieści, starając się jakoś pogodzić moje nowe kłamstwa ze starymi kłamstwami Ziggy'ego. Po śmierci bardziej niż kiedykolwiek mógł żyć

dzięki mnie, dzięki mojej książce, której naczyniami krwionośnymi były dziwne rytmy i pompatyczny kicz, bo on chciał być kiczem – oraz dzięki temu wspaniałemu tworowi, będącemu jednocześnie Heidlem i jego wymysłem, choć teraz również moim wymysłem i mną.

Byłem jak Święty Paweł na drodze do Damaszku.

Moja dezorientacja i gniew zniknęły; wyparowało wszystko, co dzieliło mnie od Ziggy'ego oraz prawdy o sobie. Widziałem, słyszałem i myślałem, ale nie tak, jak dawniej. Spędziłem całe życie w dolinie mgieł, które się teraz rozwiały i w końcu objawiły mi najgłębszą rzeczywistość, ani trochę nie przypominającą świata, który miałem dawniej za realny. Książka o Heidlu była moją historią, a ja stałem się kimś innym i wreszcie byłem sobą.

W ten sposób minęło jedenaście dni i dwanaście nocy.

A potem przyszedł koniec.

Wyjąłem jasnopomarańczowe zatyczki z uszu. O dach bębnił deszcz. Powinienem był wpaść w euforię, ale w gruncie rzeczy nic nie czułem i było mi z tym wystarczająco dobrze.

Wysłałem dyskietki pocztą; dwa dni później kupiony z drugiej ręki faks, który stał w moim maleńkim gabinecie, zaczął dygotać, wypluwając z siebie długą jak rolka papieru toaletowego, nieprzyjemnie błyszczącą wstęgę, pachnącą spaloną kredą, i zobaczyłem pierwszą z wielu zredagowanych już przez Pię stron książki z naniesionymi gęsto uwagami. Po tygodniu, zgodnie z harmonogramem, było po redakcji, a cztery dni później poleciałem do Melbourne, żeby przedyskutować kilka ostatnich kwestii; miały tam czekać na mnie szczotki do akceptacji, a nam pozostawało jeszcze tylko wybrać projekt okładki oraz ilustracje.

18

1.

Pia i ja minęliśmy na korytarzu drzwi do dyrektorskiego gabinetu, w którym – przez tak krótki czas, chociaż wydawał mi się bardzo długi – czułem się jak uwięziony na wieki. Ale to było jeszcze przed tamtą śmiercią, w innym świecie i życiu. Drzwi były otwarte. W środku ujrzałem dużego, otyłego, jak mi się wydawało, mężczyznę, którego fotografowano, jak kroi szynkę, leżącą na tym samym biurku, na którym Heidl jeszcze niedawno próbował sfabrykować swoje ostatnie już imperium złudzeń.

Jez Dempster, powiedziała Pia. Sesja zdjęciowa do jego nowej książki kucharskiej.

Myślałem, że pisze powieści.

Wypisuje czeki, które my zamieniamy na gotówkę. Gdyby robił odciski swoich pośladków, to też wpieprzylibyśmy je w okładki i próbowali wcisnąć ludziom, że to książka.

Książka! W końcu Heidlowi nie udało się zrobić nawet tego. A ponieważ nie miałem go już na karku, trochę mi ulżyło i jednocześnie poczułem się poniekąd jak zwycięzca, bo w pewnym sensie ja też napisałem książkę jak Jez Dempster, z której, chociaż dopiero od niedawna, byłem dumny. Rozglądałem się znowu po gabinecie, patrzyłem na biurko, na krzyczące kolorami fotele, które przypominały mi obrazy Bacona, na zaokienny widok mnożącej się rozpaczy, i moje dawne wrażenia uwięzienia i strachu wydawały się już tylko odległym wspomnieniem. Poczułem coś przeciwstawnego do żałoby, radosne odrodzenie. Pisałem autobiografię,

której bohater nie żył, i wiedziałem, że muszę odpowiadać tylko za logikę książki, a nie za obłęd jej domniemanego twórcy.

Przyciskając podajnik pod brodą i do piersi, Pia użyła projektora slajdów, który podtrzymywała obiema rękami, żeby otworzyć drzwi do pozbawionej okien sali konferencyjnej.

Masz ładne nowe buty, powiedziała, wskazując moje stopy, kiedy wchodziliśmy.

Podziękowałem, a gdy ustawiała projektor na końcu długiego stołu, znalazłem przełącznik, którym opuszczało się ekran z sufitu. Wcisnęła podajnik ze slajdami do projektora i powiedziała, że swojego ostatniego dnia w wydawnictwie Heidl zostawił je u niej razem z kilkoma zdjęciami. I wysypała na stół zawartość dużej żółtej koperty.

Ponury syf, stwierdziła.

I rzeczywiście, były to ponure fotografie: mieszanka konwencjonalnych zdjęć Heidla i jego rodziny, na odległość cuchnących latami siedemdziesiątymi – auta HQ holden kombi, bagażniki dachowe, obcisłe szorty, czapki turystyczne, łuszcząca się skóra i stare bryki z napędem na cztery koła zaparkowane gdzieś w buszu.

Wybraliśmy te foty, które rokowały najlepiej jako reprodukcje, i przeszliśmy do drugiej koperty. Te zdjęcia pochodziły już z czasów, kiedy Heidl pracował dla ASO – były tam fotografie promocyjne, robione przez zawodowców czarno-białe zdjęcia spadochroniarzy w powietrzu, podczas defilady i na ćwiczeniach pod okiem umundurowanego Ziggy'ego, który obserwował ich w trakcie tych czynności, wydawał rozkazy i uśmiechał się. Znaleźliśmy też robione na błyszczącym papierze odbitki korporacyjnych zdjęć członków zarządu ASO i Heidla z różnymi dygnitarzami – komendantami policji, lokalnymi i rządowymi politykami, ambasadorami i dyrektorami. Wybraliśmy te najmniej inkryminujące. Potrzebowaliśmy materiału ilustracyjnego, naprawdę ciekawych rzeczy było jednak niewiele. Wszedłem pod stolik, znalazłem gniazdko i włączyłem projektor. Pia zgasiła światło.

Zanim nauczyła się obsługiwać urządzenie po ciemku, minęło kilka minut. Gdy podajnik ruszył, okazało się, że kolorowe slajdy są równie mało interesujące jak zdjęcia, które przed chwilą oglądaliśmy – była to taka sama

nieobiecująca mieszanka amatorskich fotek rodzinnych i trochę ostrzejszych, ale równie nieciekawych zdjęć, robionych przez fotografów, którzy uwiecznili spadochroniarzy ASO wyskakujących z samolotów, wspinających się na platformy wiertnicze i gaszących pożary.

W twojej książce, powiedziała Pia, Heidl wydaje się ciekawszy, niż moim zdaniem był w rzeczywistości.

I może to jest prawda, pomyślałem, kiedy moja redaktorka pstrykała pilotem, połączonym kablem z projektorem, podajnik szemrał i trzeszczał, a na ekranie jeden nieefektowny obraz przechodził w drugi. Jeśli pominąć fakt, że Heidl wyczyścił kilka banków z siedmiuset milionów dolarów, to był równie nudny jak jego zdjęcia.

Ale przynajmniej trochę się wysilił, żeby to poskładać, powiedziałem. Te fotografie opowiadają jednak pewną historię.

Bo rzeczywiście tak było. Slajdy okazały się banalne, owszem, lecz cechowała je pewna spójność, którą w rozmowach ze mną rzadko udawało się Heidlowi osiągnąć. Ułożono je w określonej kolejności, od sympatycznego ojca rodziny przez pracownika ASO po człowieka czynu tkwiącego w centrum wydarzeń, aktywnego dyrektora firmy.

Wiem, że miał fioła na punkcie idei zła, powiedziała Pia. Ale może była to tylko przykrywka, mająca przesłonić wizerunek wstrętnego małego oszusta.

Kliknęła i ekran rozświetlił się jasną bielą. Nie było następnego slajdu. W stożku światła tańczyły pyłki kurzu.

Koniec przedstawienia, oznajmiła Pia. Nie ma nic więcej.

Wstałem i podszedłem do stołu, żeby wyjąć podajnik, a z niego tych kilka slajdów, które wybraliśmy do ewentualnego wykorzystania w książce.

Chyba coś jednak zostało, powiedziałem. Tu jest pusta przegródka, ale dalej jeszcze jeden slajd.

Pia znowu nacisnęła pilota, a w mojej głowie coś trzasnęło i obróciło się razem z podajnikiem. Wydało mi się, że wreszcie rozumiem Heidla, który niepokoił mnie i denerwował od tak dawna, którego co wieczór musiałem z siebie zmywać pod prysznicem i który – jak zdałem sobie sprawę – okazał się kimś o wiele mniejszym, niż myślałem. On nie był złym człowiekiem.

Zło to wielka idea, a prawda o Heidlu wyglądała znacznie bardziej przyziemnie. Był po prostu żałosny.

Podniósłszy wzrok znad podajnika, ujrzałem na ekranie zamazany obraz ciemnych drzew. Pia walczyła z ostrością, drzewa pochyliły się naprzód i równie szybko cofnęły, a potem uformowały w łagodny widok lasu deszczowego z jakimś tropikalnym drzewem pośrodku. Na drzewie coś wisiało.

Masz całkowitą rację, zwróciłem się do Pii. Heidl, wstrętny mały oszust.

Kif… zaczęła i natychmiast urwała.

Patrzyła prosto na ekran, bawiąc się ostrością w nagłym skupieniu, może w nadziei, że w ten sposób rozproszy to, co widzi, i zmusi obraz, by zmienił się w coś innego.

Spojrzałem z powrotem na ekran.

Nie pomogło. Żadna głębia ostrości nie mogła pomóc. Z niedowierzaniem podszedłem do drugiego końca stołu.

O mój Boże, wyszeptała Pia.

Na ekranie było widać zwisające z drzewa nagie zwłoki.

„Lasem jestem".

Stałem tuż przy ekranie, wpatrując się w niego uważnie.

„I nocą drzew ciemnych".

Trup był dziwnie zakrwawiony. Po kilku chwilach zrozumiałem dlaczego.

Jest obdarty ze skóry, powiedziałem.

Przyglądaliśmy się zdjęciu oskórowanych zwłok z niechęcią, fascynacją i obrzydzeniem, w milczeniu. Nie było wątpliwości: ktoś obłupił tego wiszącego człowieka ze skóry. Daleko z lewej strony kadru z trudem rozpoznałem coś, co najpierw wydało mi się dużym tropikalnym krzewem, ale kiedy przyjrzałem się uważniej, okazało się, że jest to nieostra, czerwono-biała maska toyoty landcruiser serii 55.

Mogliśmy dodać dwa do dwóch. Ale nie dodaliśmy.

Jeszcze dziś się nad tym zastanawiam. Dlaczego? Pewnie dlatego, że mieliśmy robotę do wykonania, a to nie było jej częścią. Dla nas, którzy byliśmy na tyle próżni, aby sądzić, że jesteśmy twórczy, taka możliwość

okazała się za trudna do wyobrażenia. Może to tylko jego ostatni przekręt zza grobu, ostatni żart z nas obojga? Może to nic, tylko jeszcze jeden pusty kontener. Próbowaliśmy sprowadzić go do małości książki, zamiast otworzyć się na wielkość życia. W każdym razie usiłowałem tak myśleć. Chcieliśmy zamknąć ten etap, a nie otwierać nowy; zgrabnego potwierdzenia naszych uprzedzeń, a nie ich obnażenia.

Heidl nie żyje, powiedziałem.

2.

Pia wcisnęła pilota, jak gdyby milcząco się ze mną zgadzając. Opadła przesłona. Podajnik obrócił się niezgrabnie. Ekran zbielał. Sala wokół nas została zalana jego lunarnym odbiciem, naga i surowa, przedstawiając całkiem oryginalny jeszcze wtedy widok, który dopiero miał stać się wszechobecny.

Funkcjonalne powierzchnie pomieszczenia, znikające pod stolikiem zagubione kable i białawe odcienie ścian zapowiadały przyszłość kosmicznej pustki. W tym rtęciowym świetle – z jego czystą praktycznością, z proszkowaną, matową, czarną stalą, z melaminą, laminatem i ognioodporną wykładziną, która rozpuszczała się w niemal kompletną abstrakcję – sala konferencyjna wyglądała na miejsce, gdzie ciężar teraźniejszości słabł, zwiększała się natomiast waga przyszłości.

Przebyłem kawał drogi z mojego nieszczęsnego gabinetu, a nawet z tamtego gabinetu z regałami z fałszywego drewna tekowego, i znalazłem się tutaj, w tym dryfującym królestwie, w zawrotnym świecie, będącym jednocześnie wszędzie i nigdzie, zarówno tamtego ranka tak dawno temu, jak i w przyszłości. Bezokienna pustka, w której siedzieliśmy wpatrzeni w wiszący ekran, wydawała się istnieć tylko po to, żeby pokazać nam ten jeden obraz. Było tak, jakbyśmy mieli w niej wędrować, w tej pustej nieskończoności, już na zawsze.

Samotni, bardzo samotni.

Wyczuwaliśmy te rzeczy, ale je ignorowaliśmy. Rozmawialiśmy przyciszonymi głosami zawodowców o tym, jak będzie wyglądał nasz ostateczny wybór zdjęć do książki. Żadne z nas nie wspominało więcej o slajdzie przedstawiającym obdartego ze skóry wisielca. Może musieliśmy za wiele znieść po śmierci Heidla albo za trudno było nam przyjąć do wiadomości, co to może znaczyć. Książka została skończona, a koniec to koniec, prawda?

Jeśli zdjęcie, które oglądaliśmy, nie pasowało nam do tego, co napisałem albo co myśleliśmy o Heidlu, no to po prostu nie pasowało i już. Jeszcze jeden niewypał. Potrzebowalibyśmy za dużo wyobraźni, kosztowałoby nas za dużo bólu, żeby myśleć o nim jako o kimś więcej niż kuriozum. Ale książka, którą z taką starannością skleciliśmy z Heidla i moich wymysłów, stała się teraz ewidentnie – dobrze to widziałem – jeszcze jednym unikiem, kolejną nieprawdą.

I ponownie Heidl wydawał się w pewnym sensie być tu z nami, prowokować nas albo robić nawet coś gorszego. Mój dobry nastrój ustąpił miejsca lepkiemu niepokojowi. Czy to zdjęcie było jego autorstwa, czy zrobił je ktoś inny? Jeżeli nie on, to gdzie mógłby zdobyć coś takiego? Ostatecznie mieliśmy 1992 rok, internet jeszcze nie istniał i niełatwo było znaleźć fotografię oskórowanych zwłok. Wynalazku, przesyłającego wam do domu ścieki złożone z największych koszmarów świata, nie traktowano jeszcze jako symbolu postępu. Dlaczego Heidl pod koniec opowieści o swoim życiu chciałby wsunąć akurat taki slajd do podajnika? Żeby udowodnić, że mimo wszystko jest mordercą? Że przez cały czas był Jagonem?

W snach przez pewien okres nawiedzał mnie obraz wisielca, w którym widziałem na zmianę Pię, Heidla albo samego siebie, a czasami siebie przemieniającego się w Heidla i odwrotnie. Może jak we wszystkich snach było w nich jednocześnie coś i nic; coś, jak sądziłem, ulotnego, ale czym wszyscy się stawaliśmy.

Pii udało się wyjść bez szwanku z trwającej dwa kolejne dziesięciolecia rzezi wydawnictw, bo zawsze znajdowała dla siebie w tym ciągle rzadszym lesie następne, wyższe drzewo, na które mogła się wspiąć. Wylądowała w końcu w Nowym Jorku, w Penguin Random House, u ostatniego

wielkiego wydawcy w ostatnim z wielkich europejskich miast amerykańskich i otoczeniu wszystkiego, co kiedyś uważaliśmy za ważne.

Wybiła się o wiele wyżej, niż sięgały nawet najdziksze ambicje Gene'a Paleya, publikowała sławnych pisarzy oraz dobrze opłacanych autorów drugorzędnych, zbierała nagrody, zmieniała działy, składała coraz więcej pozwów o zniesławienie, dawała coraz wyższe zaliczki, miała na koncie coraz więcej bestsellerów, arkuszy kalkulacyjnych i raportów wewnętrznych, aż wreszcie umarła w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, nie na demencję, której tak się bała, tylko na raka żołądka, nieszczęśliwa, bo jej życie nigdy nie sprowadzało się do niczego więcej poza firmowym biurkiem usłanym papierami, a potem zastawionym przez komputer pełen mejli, wiadomości i powiadomień, które zaczęły wyrastać z monitora, zaatakowały jej duszę i brzuch i wypuszczone na wolność, zabiły ją. Książki, które dawniej tak kochała, w końcu stały się nieszczęściem Pii i nie przyniosły jej żadnego pocieszenia.

A ja?

Ja jeszcze żyję.

Wróciłem wtedy do Hobart i czekałem na odpowiednią, choć mającą nigdy nie nadejść chwilę dla mojej powieści.

3.

Wychodząc z sali konferencyjnej, natknęliśmy się na Jeza Dempstera i Pia przedstawiła mnie temu wielkiemu człowiekowi. Jako pisarz po raz pierwszy poznałem drugiego pisarza. Pochlebiało mi to, a jednocześnie byłem przerażony.

Musicie koniecznie skosztować mojej szynki, powiedział Dempster, wprowadzając nas do gabinetu, w którym ostatnio wpatrywałem się w pistolet Ziggy'ego Heidla. Mam farmę w Otways, dodał. Był bardzo sympatyczny, w porównaniu z Heidlem okazał się niezwykle swobodny w obejściu. Świnie rasy wessex. Karmię je jak Hiszpanie, tylko żołędziami, i stąd taka szynka, pierwsza w Australii.

Jez Dempster wyprzedzał swój czas jako wykwintny rolnik tak samo, jak jego tusza; w ogóle wyprzedzał swój czas pod wieloma względami. Jego szerokie policzki pokrywał pieczołowicie przystrzyżony zarost, przypominający świeżo mielony pieprz na przygotowanych do smażenia skwarkach wieprzowych. Książka kucharska była rzekomo autorstwa wielkiego pisarza, przepisy pochodziły jednak od jego anorektycznego kucharza, Andaluzyjczyka, jak nam powiedział sam Dempster, po czym głosem dźwięczącym szczerością dodał, że kucharz za swoje anonimowe wysiłki otrzymał sowite wynagrodzenie.

To najlepsza książka, której nie czytałem, przyznał.

Chciał opowiadać o swojej hodowli świń i ponownie poczęstował mnie szynką. Długim nożem o cienkiej klindze – tak cienkiej, że w trakcie krojenia gięła się niczym papier – ukroił nieprawdopodobnie cienki plasterek i podał mi go na nożu. Patrzyłem na wiotkie mięso, różowe jak skóra.

Wystarczy, że raz spróbujesz, a nigdy już nie będziesz jadł innych szynek, stwierdził. Moje świnie mieszkają w pięknym ciemnym lesie, mają cudne życie i szybką śmierć.

Powiedział to takim tonem, jak gdyby chodziło o sakrament.

Cierpiała? – zapytałem, bo nagle wydało mi się to istotne. W mojej wyobraźni te wiszące na drzewie ludzkie zwłoki, które dopiero co widzieliśmy na slajdzie, zlały mi się w jedno ze świńskimi tuszami na rzeźniczych hakach.

Uśmiechnął się łagodnie, chcąc może zasugerować, że życie jest zbyt rozkoszne, by myśleć o takich sprawach.

Zdenerwowałem się. Chodzi mi o świnię, powiedziałem, bo w tym momencie stałem po jej stronie przeciwko Dempsterowi. Cierpiała? – powtórzyłem pytanie.

Puścił je mimo uszu i zaczął mnie pouczać, jak mam smakować i w którym miejscu trzymać mięso w ustach, żeby dobrze je pogryźć i wyssać.

Ludzie uważają, że szynka ze świń tej rasy nie jest najwyższej jakości. Z tej świni ci nie wyjdzie! – mówili. Ale to dlatego, że Hiszpanie nie próbowali dotąd wytwarzać szynki z wessexów. Nigdy! To jak z naszą

literaturą – Europejczycy i Amerykanie powtarzają, że powinniśmy się trzymać ich zasad, pisać jak oni, ale ja nigdy nie pozwoliłem im się zdominować. W Australii musimy mieć własną literaturę, nie uważasz, Keith?

Nic nie odpowiedziałem, ogarnęła mnie tylko niewysłowiona zgroza. W tym momencie trzymałem stronę świni nawet przeciwko literaturze, która wprawdzie zrobiła wiele genialnych rzeczy, ale nic dla tej świni ani dla jej wszystkich martwych już sióstr; stałem po stronie umarłych świń przeciwko literaturze australijskiej, przeciwko literaturze w ogóle, przeciwko kalkulacjom wydawców, przeciwko temu, co jest złe albo jeszcze gorsze, przeciwko moim własnym żałosnym ambicjom, które doprowadziły mnie do haniebnego współuczestnictwa w czymś ważnym, rozpaczliwym i nikczemnym.

Musiałem wiedzieć: czy ta świnia cierpiała? Dlaczego musimy cierpieć? Świnie i my, ludzie. Dlaczego zadajemy sobie cierpienia? Oczywiście nie odezwałem się jednak ani słowem.

Podrzucę ci jedno słowo na nowy wiek, powiedział Dempster. Miał błyszczącą, pobudzoną twarz, wciąż trzymał przede mną nóż i płat różowego mięsa. *Charcuterie*.

4.

Leżałem w łóżku z Suzy tej pierwszej nocy po powrocie do domu, książka gotowa, połowa z moich dziesięciu tysięcy dolarów wypłacona, druga połowa już za trzy miesiące, moja najbliższa przyszłość bezpieczna, powieść autorska wreszcie w zasięgu ręki; czułem zapach ciepła Suzy i zastanawiałem się, co to za emocje wypełniały mnie i ogarnęły w tym momencie? Jej cichy oddech we śnie, zapach jej pleców… Co to jest? Wydawało mi się, że to jest wszystko, wyczuwałem jednak, że czegoś mi brakuje, chociaż nie wiedziałem, czego chcę. To było wszystko, ale poza nami również istniało życie, i pragnąłem go, jakiekolwiek by było. Już wtedy wypływałem z naszej jedności, patrzyłem na nas z góry.

I nawet dzisiaj, gdy mieszkam poza Tasmanią, daleko od tej utrapionej wyspy, która nas wszystkich pożarła, myślę o nas obojgu, o tym, jak powstrzymały nas więzi, których ani ja, ani ona właściwie nie rozumieliśmy – o miłościach, które jednocześnie były niechęciami, o rodzicach i dzieciach, które przysparzały nam cierpień, nie tylko nas kochały, o wolności, która była też więzieniem, i o różnych formach piękna, które deformowały i torturowały mnie i Suzy. Tkwiła w tej wyspie jakaś moc albo słabość w nas, w każdym razie myśleliśmy, że nigdy nie uda nam się stąd wyrwać albo że nie powinniśmy tego robić, że wyjazd w jakimś sensie oznaczałby zdradę. I może to byłaby zdrada, może jest.

Może to zazdrość albo zawiść, chciwość albo głód, ambicja albo niezadowolenie z mojej strony – a może moja nieznajomość wszystkiego, co nie było literaturą. Niedostateczne, można by powiedzieć, zainteresowanie tym, co jest realne, co się liczy, czyli wszystkimi takimi problemami, które ludzie podobni do Suzy codziennie nosili w sobie, w swoich sercach, problemami, do których w najlepszym wypadku czyni się aluzje i które się opisuje, ale nigdy się ich nie nazywa.

Nie wiedziałem, jak zareagować, kiedy wcześniej tego wieczoru powiedziała, że mnie kocha; nosiła na twarzy wyraz wielkiego cierpienia, lecz w tamtym momencie miłość nie znaczyła dla mnie zbyt wiele i nie byłem pewien, czy kiedykolwiek miała jakieś znaczenie. Należałem do świata Suzy, powoli jednak stawałem się częścią innego świata, świata Heidla, i moja żona chyba domyślała się już wtedy, że opuszczam ją dla tej innej rzeczywistości, która była jak klin, topór, potężna bomba, druzgocąca wszystko na kawałki, niszcząca przedmioty i takich ludzi jak my.

Mimo to myślała najpierw, że chodzi o książki, i ja też – że wzywa mnie świat książek. „Chuj z tym!", powiedziałem sobie. Nic mnie to nie obchodzi. Jak gdyby był jakiś wybór. Jak gdybyśmy już przez to przeszli, jak gdyby było po wszystkim. Ale nie chodziło o książki. Chodziło o śmierć Heidla. O ten inny świat.

Zrobię dla ciebie wszystko, powiedziała. Będę stała przy tobie aż do śmierci. Wiem o tym.

Nie mogłem w to wątpić, wiedziałem, że od nikogo nigdy nie dostanę tak wiele jak od Suzy, ale że dla mnie to i tak za mało, że teraz nie wystarczy mi już nic. Chciałem coś odpowiedzieć, ale się powstrzymałem.

Wszyscy mówimy za dużo. O tym, co czujemy, chociaż nic nie czujemy, o tym, co myślimy, chociaż nic nie myślimy; szukamy przyczyn i znaków tam, gdzie ich nie ma. Budujemy światy z przyczyn i skutków, sądząc, że dzięki temu znajdziemy wyjaśnienie i zrozumiemy je, przerażeni światem, rządzonym przez przypadek i chaos. Staramy się przekonywać innych i samych siebie. Myślimy, że wszystko powinno być inaczej. Myślimy i myślimy, ale w myśleniu nie ma żadnej mądrości. Poznajemy i poznajemy, w poznaniu nie ma jednak żadnego spokoju. A kiedy nie możemy znaleźć mądrości ani spokoju, mówi się nam, że powinniśmy przyjąć to beztrosko i zachować pogodę ducha. A jeżeli nie ma też żadnej wiedzy, spokoju i pogody ducha? Dręczyło mnie to pytanie.

Kilka dni później Suzy powiedziała coś, czego, jak szybko pojąłem, wcale nie chciałem usłyszeć.

Odejdź. Życie jest za krótkie.

Nie było w tym żadnego pocieszenia. Chociaż później pojawiły się jeszcze inne powody, od tej chwili byliśmy już skończeni. Ale nasz związek rozpadał się od początku.

5.

Wydawnictwo wreszcie przysłało książkę, która strasznie mi się nie spodobała. Nie spodziewałem się, że potraktuję ją aż tak krytycznie. Dostałem pudło z dwunastoma egzemplarzami autorskimi i postawiłem je na naszym stole kuchennym. Krążyłem wokół niego przez godzinę albo więcej, od czasu do czasu wychodziłem na dwór, wracałem i przyglądałem się paczce z uczuciem, w którym ostatecznie rozpoznałem strach. Wydawało mi się to upokarzające. Rozciąłem taśmę klejącą i otworzyłem pudło. Biografie Heidla leżały zapakowane w pocięte gazety. Wyjąłem jeden egzemplarz. Od patrzenia na niego i trzymania go w ręku trochę mnie zemdliło. Być może mdłości wywołała nieunikniona poufałość – przypominająca nieuchronny posmak zepsutego kurczaka, który zostaje w ustach, gdy w brzuchu narasta sprzeciw – jaka łączyła mnie z Heidlem

z czasów naszej współpracy, poufałość, którą zmywałem z siebie w trakcie długich posiedzeń pod prysznicem co wieczór u Sully'ego, starając się wyczyścić z Siegfrieda i uspokoić żołądek.

Nie podobała mi się okładka z gazetowym zdjęciem jego rozerwanej na pół twarzy, która nawet w śmierci jednocześnie istniała i nie istniała; nie podobał mi się niepewny projekt okładki, sugerujący po części thriller, a po części książkę wspomnieniową; nie podobał mi się niepewny wygląd całości, równie mgławicowy jak sam Heidl. Spodobała mi się tylko jedna – jedyna – rzecz, chociaż wcześniej ze wszystkich sił walczyłem o coś wręcz przeciwnego; otóż moje nazwisko jako autora zostało przeniesione z okładki na grzbiet, gdzie i tak umieszczono je drobnym, ledwo czytelnym drukiem: SIEGFRIED HEIDL przy współpracy Kifa Kehlmanna.

Ulgę szybko zastąpiła panika, gdy zrozumiałem, że bez względu na to, jak małych liter użyto, moje nazwisko i tak będzie kojarzone z tą książką – którą jeszcze niedawno chciałem posiąść w każdy możliwy sposób. Bałem się, że zostanę nieuchronnie zhańbiony takim tandetnym i miernym dziełem, w którym wszystko było wyjątkowo mierne i tandetne – miękka, lakierowana okładka, fałszywie sugerująca dreszczowiec, tani papier, szorstki jak ręcznik kuchenny, dużo światła na marginesach i odstępów, żeby rozdąć cienką, nieprawdopodobną opowieść do rozmiarów dużego i przekonującego dramatu. Wspomnienia Heidla wyglądały dokładnie na taką publikację, jaką natychmiast się stały – bezwartościową, efemeryczną, jednorazową. Do zapomnienia. Jedyny rozgłos, jaki miała uzyskać, był efektem działania organizacji o nazwie Nie Kupuj Książek Oszustów, które w innym przypadku uznałbym zapewne za obraźliwe. Mogli sobie jednak oszczędzić zachodu: biografii Heidla i tak nikt nie chciał kupować.

Nie sprawdziło się powiedzenie Paleya, że jeśli chcesz sprzedawać, musisz opowiadać, chociaż może właściwie nie stworzyłem żadnej opowieści. Przewracając stronice, które kosztowały mnie tyle trudu, dostrzegałem tylko miszmasz kłamstw i własnych wymysłów i wydawało mi się, że ani razu nie zdołałem ich przekonująco przekuć w wiarygodną historię. Moje pisanie – byłem na tyle próżny, by nadal martwić się takimi rzeczami – okazywało się na przemian ponure i wymijające, miejscami brzmiało niczym zagłuszone nagranie, miejscami zaś jak nieudana egzaltacja, ale złudnego celu, jaki stanowiło dla mnie uczynienie życia

Heidla na tyle fascynującą lekturą, aby czytelnik dotrwał do jej końca, nie udało mi się osiągnąć. Krótko mówiąc, książka okazała się porażką.

Odłożyłem ją z powrotem do pudła. Bo oglądała kreskówki. Bliźniacy płakali. Suzy, która właśnie ich nakarmiła, opadła z sił. Zmieniłem chłopcom pieluszki, zapiąłem ich w fotelikach, zaniosłem razem z pudłem egzemplarzy autorskich do samochodu, pojechałem na wysypisko McRobies Gully i wyrzuciłem książki na jego zboczu. Mewy wzbijały się w górę i opadały jak zaskoczony popiół z wygaszonego ogniska.

Bliźniacy usnęli w samochodzie i spali, kiedy wróciłem do domu. Zaniosłem ich do pokoju i postawiłem foteliki przed piecykiem, chociaż ogień zgasł. Suzy poszła z Bo do parku. Zbliżała się wiosna. Nie wiedziałem jeszcze, że nie zostanę pisarzem. Bo literatura też już się dla mnie skończyła, nie mogłem jednak wiedzieć, co się zaczęło.

Najdalej za godzinę chłopcy się obudzą. Przyniosłem trochę drewna, żeby rozpalić ogień, ale było wilgotne i nie chciało się zająć. Posprzątałem w kuchni, wróciłem do salonu i usiadłem, pilnując śpiących braci przed zimnym piecykiem. Patrzyłem na nich bez końca, przerażony czekającym nas wszystkich bólem.

6.

Dzięki pieniądzom za wspomnienia Heidla udało się nam, prowadząc oszczędne życie, kupić mi sześć miesięcy czasu na pisanie powieści. Powiedziałem sobie, że teraz to ja, nie on, zostanę autorem swojego życia. Omyliłem się jednak. Wydawało się, że Heidl zza grobu wciąż pisze moją historię, że mój los to przepowiednia w formie opowieści, którą ludzie mogą przeczytać w jego wspomnieniach, a potem przemknąć nad tą chwilą w drodze do końcowej kropki i wyrzucić książkę.

Małżeństwo ćpunów za ścianą wszczęło kolejną awanturę, a ja raz jeszcze włożyłem stopery do uszu i narzuciłem sobie dyscyplinę, której się nauczyłem, pisząc przez sześć tygodni wspomnienia Ziggy'ego. Słowa i strony zaczęły się sumować i wkrótce powieść przyjęła ostateczny kształt.

Ale słowa mojej książki były niczym: nie mówiły nic, nic nie znaczyły, same były nicością. Skończyłem pisać w defetystycznym nastroju. Wszystko, czego pragnąłem, zostało ukończone, nie zaznałem jednak nawet najmniejszej satysfakcji.

Wydrukowałem powieść w sześciu egzemplarzach i każdy z osobna przewiązałem zielonym sznurkiem, który akurat miałem w domu, nie wiążąc go w kokardkę, tylko na węzeł beczkowy – trudny, mało znany, skomplikowany węzeł; nauczył go mnie ojciec, poławiacz skorupiaków. Jeden egzemplarz wysłałem na konkurs na debiut powieściowy, a resztę do różnych wydawców. Pierwszy na mojej liście był Gene Paley.

Trzy miesiące później ogłoszono finalistów i zwycięzcę konkursu, ale moja powieść nie została w żaden sposób wyróżniona. Nie traciłem wiary, chociaż stawało się coraz mniej jasne, w co wierzę. Minęło kilka kolejnych miesięcy, żaden wydawca nie przysłał mi odpowiedzi, a mnie trzykrotnie nie udało się dodzwonić do Paleya. Dostałem tylko krótki liścik od asystentki redaktora z TransPacu z podziękowaniem za nadesłany tekst. Wprawdzie moja powieść nie spełnia oczekiwań wydawniczych firmy, życzą mi jednak powodzenia i wszystkiego najlepszego.

Napisałem list do Paleya. Ku mojemu zdziwieniu, odpisał. Nie licząc nieco figlarnej wersji zwyczajowej w tamtych czasach formułki wydawniczej („wprawdzie podziwiamy Pańską książkę, nie widzimy jednak możliwości jej publikacji w takiej postaci, która mogłaby okazać się komercyjnie korzystna dla Pana jako pisarza i dla nas jako wydawców"), dodał jedno nieco więcej mówiące zdanie: „Twoja powieść nie wpasowuje się w żadną znaną szkołę pisarstwa australijskiego". List utrzymany był w uprzejmym tonie, czym przygnębił mnie tylko jeszcze bardziej.

Kilka tygodni później otrzymałem przesyłkę, zaadresowaną moim charakterem pisma. Dopiero kiedy ją otworzyłem i zobaczyłem wydruk własnej powieści, zrozumiałem, co to jest – organizatorzy konkursu dla debiutantów zwrócili mi mój tekst, bo tak się robiło w tamtych latach, jeśli uczestnik dołączył do zgłoszenia zaadresowaną i opatrzoną znaczkiem kopertę. Położyłem żałosny stos kartek na stole. I dopiero wówczas zauważyłem, że są złączone tym samym zielonym sznurkiem, którym je przewiązałem przed wysyłką.

Podniosłem wydruk ostrożnie niczym niewypał, odwróciłem do góry nogami i zaraz znowu kartą tytułową na wierzch, przyjrzałem mu się podejrzliwie pod kilkunastoma różnymi kątami i odłożyłem z powrotem na stół. Nie wierzyłem własnym oczom.

Przesuwałem palcem po sznurku, dopóki nie dotknąłem węzła – tego samego, którego użyłem, przewiązując wydruk, kiedy szykowałem go na konkurs. Ścisnąłem supeł palcami.

Minęło kilka chwil, zanim dotarło do mnie, co to oznacza.

A potem wybuchła bomba i zmieniła mój świat w wirujący pył. Nikt nie rozwiązał tego węzła. Nikt nie przeczytał mojej powieści. Nikt nie chciał jej przeczytać.

Pisarz to ktoś, kto ma czytelników.

Nie byłem pisarzem.

Ciągle przechowuję gdzieś ten egzemplarz, chociaż nie wiem gdzie. Jest nadal zawiązany tym samym sznurkiem i na ten sam węzeł, który przetrwał znacznie dłużej niż moje marzenia. Może powieść znajdą moje dzieci, przeglądając rzeczy osobiste ojca, kiedy go już nie będzie, i przeczytają stronę albo dwie, zanim się poddadzą. A może się nie poddadzą. Teraz rozumiem, że fabuła mojej książki – opowieść o tonącym człowieku, któremu przed oczami przesuwa się całe jego dotychczasowe życie – nie była oryginalna ani atrakcyjna. Była to książka młodzieńca. A śmierć – Heidla albo postaci w niewydanej książce – no… Śmierć to po prostu śmierć. Nie powieść. To tylko kropka na początku pustej kartki, czekającej, aż ktoś ją zapisze.

Poszedłem do miejscowego baru. Próbowałem się upić, zapić, przepić, rozpić, żeby zapomnieć o porażce. Nie udawało mi się, bez względu na liczbę piw. Byłem skończony i wiedziałem o tym.

7.

Zadzwonił Ray. A może nie zadzwonił. Wydaje mi się, że chyba nie kontaktował się ze mną prawie przez cały rok. Nikt nie wiedział, gdzie jest,

aż wreszcie pojawił się pewnego dnia. Był wczesny wieczór, stanął w moich drzwiach z wielką butlą porto i paczką czekoladowych herbatników. Bo skakała na trampolinie, a Ray i ja znowu piliśmy razem i znowu razem jej pilnowaliśmy. Byliśmy jak stare małżeństwo, które nie pamięta nawzajem swoich imion, jak nieznajomi, którzy przez całe życie pozdrawiali się skinieniem głowy, nie wiedząc o sobie absolutnie nic.

Ray uciekł na północ i przez pół roku pracował w zatoce na trawlerze do połowu krewetek w towarzystwie pewnego małżeństwa i kakadu imieniem Sandy, z którą się zaprzyjaźnił. Miała podcięte skrzydła i kiedy morze się burzyło, próbowała sfruwać z poręczy i relingów, za każdym razem nieuchronnie, jak twierdził, lądując na stalowym pokładzie, po którym ślizgała się dupą, często rozrywając sobie odbyt, który Ray smarował jej wazeliną. Poza tym i krewetkami, jak powiedział, niewiele się działo. Nie chciał z nikim rozmawiać i zamknął się w sobie. Miewał koszmarne sny. Występował w nich Heidl, ale właściwie nie Heidl, tylko zielony śluz, który pokrywał całe ciało Raya i którego Ray nie potrafił zmyć, chociaż bardzo się starał. W Margaret River poznał miłą, sympatyczną dziewczynę. Którejś nocy przyśniło mu się, że przelatuje nad przełęczami górskimi i ląduje na pięknej zielonej łące. Dziewczyna jednak w końcu zaczęła przejawiać chęć rozmowy z nim i zadawała mu różne pytania, więc jak to określił, wymiksował się z tego związku. Dlaczego ludzie zawsze chcą tyle gadać? – zapytał.

Wygląda na to, że ta laska była w porządku, powiedziałem.

Była, odparł Ray, tylko za dużo gadała.

To nie jest najgorsze.

A co ja jej mogłem powiedzieć? Już, już zaczynałem się czuć jak orzeł, kurwa, ale za każdym razem, kiedy mnie zmuszała do ględzenia, zmieniałem się z powrotem w kakadu z przyciętymi skrzydłami i poranioną dupą.

Wygląda jednak na to, że dobra z niej była kobieta.

Może i była, ciągnął Ray, ale za dużo gadała, więc się wymiksowałem z tego związku.

Dlaczego ty chociaż przez chwilę nie potrafisz utrzymać się jednej kobiety? – spytałem, kiedy było już widać dno flaszki porto.

Nie dawała mi spokoju pytaniami. No to mówiłem jej tak: twój problem polega na tym, że wydaje ci się, że istnieją jakieś odpowiedzi.

Potem opowiedział, jak jego ojciec upijał się i bił matkę, po czym przywiązywał ją i Raya do stołu i jego też bił. Pewnego razu, kiedy Ray miał już szesnaście lat, ojciec znowu wrócił do domu pijany i znów zaczął bić matkę, i wtedy syn mu się postawił.

Zrobiłem z chuja miazgę. Myślałem, że go zabiję. Miałem ochotę go zabić. Już nigdy więcej jej nie tknął.

A teraz? – zapytałem.

Nie chcę skończyć jak mój stary. To wszystko. Jak za bardzo się zaangażuję, to ruszam dalej, żeby nie zmienić się w kogoś takiego jak on. Żeby nie robić takich rzeczy jak ojciec.

Nigdy mi o tym nie opowiadałeś.

Może to niedobrze. Może w życiu nie chodzi o nic więcej, co?

Nic o tym nie wiedziałem.

Popatrzył na mnie jak na największego idiotę na świecie.

A co w tym ciekawego?

Miał szalone oczy, żywa elektroda w jego głowie znowu zaskwierczała.

Co tu jest do opowiadania, kurwa?

Poczułem jej swąd.

19

1.

Opowiadanie o tym, co było dalej, można by zacząć od psa, który wbiegł na nasze podwórko, a potem złapał i zagryzł papugę Suzy. Moja żona uwielbiała tę aleksandrettę tak, jak ja jej nie cierpiałem; był to samiec, połyskliwe zielone ptaszysko, które za każdym razem, gdy się do niego zbliżałem, dziobało mnie do krwi. Przy Suzy zachowywał się jednak spokojnie jak marionetka. Zaginała jego długie pióra ogonowe, tworząc z nich kółeczka, a on rozdawał jej delikatne pocałunki. Na polecenie mojej żony toczył też piłeczkę pingpongową po stole. Przeczesywał dziobem jej włosy i gładził je delikatnie, siedząc na ramieniu swojej pani, kiedy oglądała telewizję.

Wyrwałem dziwnie bezwolne ciało martwego ptaka z zaślinionej psiej paszczy, a Suzy zaczęła płakać i nie mogła przestać. Obejmowałem ją tej nocy w łóżku, ale była jak otwarta rana, niepocieszona z powodu smutku, który wydawał mi się przesadzony. Podcięła ptakowi skrzydła, żeby mógł spacerować po ogrodzie, ale nie odlecieć. Dlatego winiła siebie za jego śmierć, ciągle myślała o tej nielotnej papudze, o tym, jak próbowała uciec psu, niezdarnie podskakując, aż w końcu znalazła się w jego pysku. Powolne, gwałtowne drżenie ciała Suzy przeszywało moje plecy, kiedy starałem się zasnąć. Śmierć papugi wydawała się wywoływać w duszy mojej żony smutek całego świata i nie było nic, co mogłem zrobić, żeby ją uspokoić.

Kupimy nowego ptaka, powiedziałem w ciemność.

Tylko że... Nie wiem.

Będziemy go mogli oswoić, dodałem.

My, powiedziała Suzy.

Znowu wstrząsał nią szloch.

Na litość boską, Kif! My!

Może to właśnie wtedy zaczął się szalony niepokój w moim brzuchu, zamieszanie, ból w bebechach, moje jelita zrobiły się ciężkie i te sensacje nie dawały mi spokoju. Chwilami stawały się tak dokuczliwe, że prawie nie mogłem oddychać. Nie miałem pojęcia, skąd się wzięły. Musiałem się skupić i przestać się ruszać, bo inaczej chyba upadłbym na podłogę. A jakaś siła, jakiś ciężar napierał na moją pierś ze wszystkich stron, miażdżąc mnie, jak gdyby świat stał się zbyt ciężki i potężny, żebym mógł go powstrzymać jeszcze choć chwilę dłużej. I teraz już nie wpatrywałem się dłużej z góry w oczy umierających, tylko fizycznie pokonany i bezwładny patrzyłem na żywych. Musiałem po prostu się trzymać, a myśli, marzenia i nadzieje podnosiły się we mnie niczym kamienie, które musiałem zwrócić, by mnie nie zadławiły. Wyrzygiwałem więc trochę gorzkiego śluzu do umywalki albo toalety, po czym wracałem chwiejnie na najbliższy fotel czy kanapę.

Co ci jest? – zapytała kilka wieczorów później, kiedy wzięła mnie pod ramię, objęła i spróbowała położyć do łóżka. Mój Boże! Kif, dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Co mi jest? – pomyślałem. Dlaczego nic jej nie powiedziałem? Czego to nie mogłem jej powiedzieć? Język dygotał mi w ustach, kiedy próbowałem znaleźć słowa, które wytłumaczyłyby ten zgięty wpół znak zapytania, szarą pulpę, mrówki, trzeszczącą korę, drżące wargi…

Musisz mi powiedzieć, Kif.

Nie mogłem jednak nawet znaleźć słów, żeby opisać krążącą w powietrzu czarną kurawongę, bo im uważniej się jej przyglądałem, tym głębiej wciągała mnie w spirale swojego lotu.

Bo inaczej to, czego mi nie chcesz powiedzieć, zabije cię, Kif, wiem o tym! Zabije!

Więc próbowałem się trzymać, dla niej, dla siebie, dla nas, ale mój uścisk przez cały czas stawał się słabszy, a uścisk Heidla mocniejszy. Przebijałem

Suzy wzrokiem na wylot. Widziałem przyglądającego mi się Heidla. I nie chciałem nic powiedzieć.

Obudziłem się w nocy w pustym łóżku. Zacząłem szukać Suzy i znalazłem ją w ogrodzie za domem; usnęła w śpiworze na trawniku. Obudziła się nagle i uśmiechnęła na mój widok.

Popatrz, powiedziała i wskazała niebo. Trudno uwierzyć, jakie nieprawdopodobne są dzisiaj gwiazdy.

Bo moja żona naprawdę w nie wierzyła. Wierzyła, można powiedzieć, w coś, co nazywała „ślicznością" rzeczywistości. W ten sposób broniła się przed światem, który pod bardzo wieloma innymi względami oferował takim ludziom jak ona bardzo niewiele – niewiele wykształcenia, perspektyw, coraz słabsze nadzieje. Godziła się ze światem w sposób, na jaki mnie zapewne nie byłoby stać. Jest w rzeczywistości pewna słodycz, która może okazać się nieznośna dla osób mniej życzliwie usposobionych do świata, irytować ludzi o mniejszej wiedzy, lekceważących realność jako pozbawioną znaczenia i ciężaru. Chyba mogłem zaliczyć siebie do takich osób. A dusza Suzy była transcendentna. Może właśnie tego nie byłem w stanie znieść. Bardzo mi brakowało tego, co miała moja żona, nie potrafiłem jednak tego udźwignąć.

Gwiazdy, Kif... Nie do wiary, są nieprawdopodobne.

Nie wierzyłem w gwiazdy. Suzy nosiła w sobie lato, ale ono już minęło.

2.

Opowiadając natomiast to samo w inny sposób, można by powiedzieć, że zostałem kłamcą, że zaniedbałem i opuściłem Suzy. I to też byłaby prawda. Ale może po prostu nie umieliśmy utrzymać naszego związku.

Mógłbym zacząć tę wersję, mówiąc, że przez pewien czas chodziłem z tego powodu jak wściekły, doskwierała mi też jednak codzienność, bo przede wszystkim musiałem na nas zarabiać. Wróciłem do pracy fizycznej, lecz trafiła mi się pewna szansa, kiedy zadzwonił do mnie znajomy Pii, scenarzysta z telewizji. Szukał materiałów źródłowych do serialu, którego

akcja miała się rozgrywać na Tasmanii. Umówiliśmy się na drinka i spodobały mu się moje pomysły, zaproponował więc, żebym przez weekend napisał treatment serialu. Nie miałem pojęcia, co to jest treatment, i napisałem tylko opowiadanie, które nie zostało wprawdzie wykorzystane, ale zrobiło na tym scenarzyście pewne wrażenie.

Jeden krok prowadził do drugiego. Parę razy – z polecenia tego samego faceta – proponowano mi chałtury w telewizji. Brałem je. Były lepiej płatne niż fizyczna harówka. I nawet je polubiłem. Nadal hołdowałem przekonaniu, że jestem powieściopisarzem i że kiedy zarobię trochę forsy, wrócę do pisania książek. Byłem jednak coraz mniej pewny siebie. Być może przeznaczeniem powieściopisarzy, którym brak pewności siebie, jest praca dla telewizji. Literaci, twierdzący, że są sumieniem narodu, okazują się zwykle kurtyzanami gotówki, i ja chyba po prostu należałem do nich. Poza tym czasami zadawałem sobie pytanie, czym jest książka w porównaniu z nieżyjącym człowiekiem? Taka myśl wydawała mi się osiągnięciem – innego zresztą na swoim koncie nie miałem. Kiedy nie znałem życia, zapewne próbowałem pisać po to, aby je poznać. Ale teraz już znałem. W każdym razie na tyle, by nie zawracać sobie głowy pisaniem.

Poza tym dla każdego Tasmańczyka, który chciałby być traktowany poważnie jako pisarz, istniała naturalna i nieprzekraczalna granica, co szefowa zespołu scenariuszowego jasno dała mi do zrozumienia już pierwszego dnia w swoim gabinecie. Tasmański pisarz, parsknęła. To oksymoron czy nazwa dla pospolitego idioty?

Zrozumiałem więc, że będę musiał wkładać różne maski, jeżeli chcę wykonywać swoją robotę niezauważony i bez opinii oszusta i blagiera. Jak się okazało, telewizja była dla mnie idealnym kamuflażem.

Piąłem się w górę – najpierw pisałem dowcipy do wieczornych programów satyrycznych, aż w końcu zacząłem brać zastępstwa scenariuszowe w telenowelach, przez pewien czas będących największą dumą Australii. I znowu jeden krok prowadził do drugiego; zostałem szefem zespołu scenariuszowego i pracowałem w Sydney nad emitowanymi od lat telenowelami, po czym zrobiłem następny krok naprzód i w górę i wziąłem się do pisania miniseriali.

Obudziwszy się pewnego ranka w nowo zakupionym apartamencie w Bondi, za który przepłaciłem – mieszkanie było ekskluzywne, a cena

wariacka – zdałem sobie sprawę, że mój największy talent w życiu to swoista przeciętność, która idealnie nadawała się do australijskiej telewizji z tamtych lat. Znalazłem swój *métier*. Telewizja była tyranią, tyran oznaczał pieniądze, a ja nie posiadałem się ze szczęścia, że mogę żyć w jego złotej klatce. Wykonywałem pracę, która dawała wszystko, czego mogliby chcieć młodzi ludzie – kupę forsy, sporo seksu, trochę sławy i zapomnienie w robocie.

W tamtych latach telewizja składała się głównie z reklam, które chciały być sztuką, chociaż telewizja chciała być reklamą. Zauważyłem, że w latach dziewięćdziesiątych telewizja w Australii była jeszcze mniej pewna siebie niż ja. Rozmawialiśmy – ach, jak dużo rozmawialiśmy! – o tym, że chcemy robić wielkie, nowatorskie programy. Nasze prawdziwe zdolności polegały jednak na tym, że pokornie dostosowywaliśmy swoje pomysły do konwencji, jakich wymagali od nas reklamodawcy za pośrednictwem agentów, producentów wykonawczych i redaktorów zamawiających, i wszyscy oni mieli *droit du seigneur* do każdego scenariusza. Pisaliśmy śmieci i jak to w Australii, im gorszej jakości była nasza praca, tym więcej dostawaliśmy nagród i chodziliśmy w tym większych girlandach pochwał. Jawnemu samochwalstwu z naszej strony nie było końca.

Robota była w równym stopniu męcząca, jak idiotyczna, ale czegoś się w niej nauczyłem. Po dwóch latach przeszedłem do produkcji, w której mniej więcej – chociaż raczej więcej – siedzę do dziś. Zapewne widzieliście kilka moich programów i nawet zdążyliście już o nich zapomnieć. Nie szkodzi. Ja też je zapomniałem. Inaczej niż w przypadku mojej pamiętnej powieści, która nie pasowała do żadnej znanej szkoły pisarstwa australijskiego, tu ciężko pracowałem, żeby moje programy zawsze były ewidentnie australijskie, czyli żeby od razu można było wyrzucić je z pamięci.

Nie jest to wcale takie przygnębiające wyznanie, jak można by sądzić. Przeciwnie, w ten sposób uwolniłem się od myśli o nieśmiertelności i geniuszu, które kojarzyły mi się z literaturą. Telewizja była sztuką zmieniania pieniędzy w światło, a światła w pieniądze. Stanowiła tak czarodziejski krąg szmalu, że nawet Heidl nic podobnego sobie nie wymarzył. W telewizji mogłem dobrze wykorzystać bardzo wiele z tego, czego mnie nauczył. Nie twierdzę jednak, że kogoś oszukiwałem. Pytam

raczej: a co nie jest oszustwem? Gdzie leży granica, po której przekroczeniu twoja praca albo przedsiębiorstwo znajdą się po stronie zła? Którędy ona przebiega? Chciałbym to wiedzieć. Naprawdę. Heidl wiedział, a w każdym razie tyle wiedział na pewno. Byłem próżny, myślałem więc jak on. Ale nie za często. Bo często bym się mylił.

Wtedy chciałem odnieść sukces i przypuszczałem, że o to w życiu chodzi. Później zmieniłem zdanie. Życie polega na popełnianiu błędów, stwierdził kiedyś Ray. Można mieć tylko nadzieję, że nie poniesiemy ich konsekwencji. Żyć znaczy ponosić porażki, ponieważ ciągle pokonuje nas coś większego od człowieka, i może czegoś się na tych porażkach uczymy, chociaż płynąca z takiego doświadczenia nauka jest najważniejszą przyczyną naszej przegranej. Doszedłem do przekonania, że może jedynym celem życia jest nauczyć się rozumieć miarę swojej osobistej klęski.

3.

Dzieci zostały w Hobart z Suzy. Rozumieją – tak jak ja – że już wiele lat temu uwolniłem się od ich ciężaru, którego inną nazwą jest być może miłość. Coś mimo wszystko pozostaje: uczucie, jakieś wspomnienia – głównie wymyślone – może przyjaźń. Albo nadzieja. Nie można jednak nosić tego razem z tym, co głębokie i mroczne, z tym, co gęsto i mocno pulsuje w nadgarstkach i sercu i budzi cię, wybijając nocami przerażające marsze śmierci, co nie przestaje krzyczeć jak rozdzierane ciało i miażdżona blacha. To coś to nie my. Ta świadomość wykracza poza gorycz moich dzieci i mój smutek. Ja nie umiem być dla nich ojcem, a one nie potrafią być dla mnie dziećmi. Nie twierdzę, że los nie bywa okrutniejszy – weźmy na przykład chrześcijańskiego studenta w północnej Kenii, sumatrzańskiego orangutana w strefie ścinki drzew albo muzułmańskiego uchodźcę w dowolnym zakątku świata – ale czasami widzę jakiegoś młodego mężczyznę, który bawi się ze swoimi dzieciakami, i ta radość – jego radość – napełnia mnie poczuciem tak ogromnej straty,

że wydaje mi się, że zacznę spadać w jej nieskończoną pustkę i nigdy się nie zatrzymam.

Jeśli chodzi o Suzy, to podobno miała kilka przygód, ale z nikim nie związała się na dłużej, w przeciwieństwie do mnie, choć często zmieniałem partnerki. Tebbe powiada, że tylko kaleka siedzi w jednym miejscu. Była we mnie jakaś dziecinna potrzeba, najpierw pociągająca, a w końcu odpychająca, ukojenia, towarzystwa, współpasażera w codziennej podróży przez noc i wszystkie wynikające z niej koszmary.

Potrzeba bycia przytulanym, jak sądzę. Bycia…

Ale jestem coraz mniej tego pewien.

Podziwiałem siłę Suzy, jej odwagę, jasno wytyczone granice i otwartą wielkoduszność życia, jakie prowadziła, bo wydawało mi się silniejsze i mądrzejsze od mojego. To, że ludzie żałowali mojej żony, a mnie zazdrościli po rozstaniu, było komiczne. To, że litowali się nad nią, sądząc, że to mnie się powiodło, a nie jej, było wzruszające. Prawda wyglądała bowiem tak, że moje wspaniałe domy, domki na plaży, łazienki, kuchnie, kolejne partnerki i wystrój wnętrz, znane zarówno czytelnikom pism o architekturze, jak i o celebrytach, zmieniały się ciągle po to, żebym mógł zapełnić wewnętrzną pustkę.

Bez skutku. Stawała się coraz większa, czarniejsza i bardziej przerażająca. Byłem jak tamten żółw z opowieści Raya. Nie umiałem przestać żyć, nawet kiedy odrąbano mi ręce i nogi i odebrano wszelką nadzieję.

4.

Nastał nowy wiek, wieże WTC padły łupem fikcji, która stała się morderczą rzeczywistością, a ja piąłem się w górę w świecie telewizyjnych reality shows, w którym tworzyłem fikcję. Magazyn „TV Week” okrzyknął mnie „geniuszem gatunku *sui generis*”. Pracowałem nad wieloma koszmarnymi projektami, od seriali o współlokatorach, remontach mieszkaniowych i kulinariach po programy o dietach wyszczuplających, podczas gdy świat

robił wielkie wojny z małych fikcji, a straszliwa rzeczywistość konfliktów zbrojnych stawała się przekleństwem coraz większej liczby mieszkańców Ziemi. Z upływem lat przeszedłem od dewelopmentów scenariuszy do dewelopmentów projektów, od dewelopmentów projektów do produkcji, od producenta do producenta wykonawczego i od producenta wykonawczego do wspólnika w firmie produkcyjnej. Potem założyłem własną firmę, a kiedy wreszcie odsprzedałem ją Amerykanom, objąłem stanowisko dyrektora australijskiej filii ZeroBox Entertainment.

Starzeję się, ale kobiety w moim życiu – niektóre z tych związków były poważne, inne nie; ostatnie raczej nie – pozostają średnio w wieku trzydziestu pięciu lat. Wydaje mi się to tak samo dobre i nic nieznaczące jak reszta mojego życia.

I znowu Tebbe: w naszych namiętnościach jest coś niewyczerpanego, kochamy kogoś na śmierć i życie tylko po to, żeby się przekonać, że to życie daje nam możliwość kochania jeszcze bardzo wielu innych osób. Boimy się, że miłość do innych ludzi czyni nas niestałymi i płytkimi, i nie pojmujemy, że może właśnie zdolność do takiej miłości jest w nas tym, co nieskończone i najlepsze.

W każdym razie tak dokładnie myślę, gdy okazuje się, że muszę o tym myśleć. W pracy w telewizji dobre jest to, że rzadko sprzyja ona autorefleksji.

Moja ostatnia kobieta odeszła, bo zapomniałem o jej trzydziestych ósmych urodzinach.

Kim ty jesteś? – wrzasnęła w czasie naszej decydującej kłótni. Kim?

Nie miałem pojęcia. Była druga w nocy. Pracowałem, starając się znaleźć odpowiedź dokładnie na to pytanie, siedziałem bowiem właśnie nad wspomnieniami, które w tej chwili czytacie, i nie odpowiedziałem.

Kim? – zapytała znowu, wyciągając rękę, by zamknąć klapę mojego laptopa, ale nie pozwoliłem jej na to.

No właśnie, kim byłem?

Tak bardzo chciałabym ci wierzyć, Kif, powiedziała. Wydaje mi się jednak, że nie mogę ufać ani jednemu twojemu słowu. Kocham cię, powiedziała. Mój słodki mężczyzno. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się wtedy stało?

Już ci powiedziałem.

Czytałam, co napisałeś.

Tak było… Jak napisałem.

Naprawdę? W tej twojej historii ciągle coś się zmienia.

Nie, wcale nie.

Napisałeś, że Heidl cię prosił, żebyś go zastrzelił. Że stałeś nad nim, kiedy umierał, a on ci się przyglądał. Tak napisałeś. Ale mnie zawsze mówiłeś, że poszedłeś na to wzgórze, żeby go obserwować, a Heidl w ogóle nie wiedział, że tam jesteś.

Było tak, jak napisałem, powtórzyłem.

Patrzyłem, jak odciąga długą zasłonę z okna, sięgającego od podłogi do obitego listwami wysokiego sufitu.

Nie wierzę ci, powiedziała.

Po rozpościerającym się przed jej oczami morzu przebiegało księżycowe światło, padało na samochód i meble ogrodowe pod pomnikowym eukaliptusem z boku; wszystko było jasnosrebrzyście oświetlone z jednej strony i zdublowane z drugiej przez wielkie, czarne cienie, które zdawały się większe i prawdziwsze niż posrebrzone obiekty.

Myślałam, że cię znam, powiedziała. Ale nie znam cię wcale.

Przede mną na ekranie widniało jedno słowo: Heidl.

Skasowałem je powoli, litera po literze.

Heid

Hei

Chcę mieć dziecko, powiedziała.

He

Z tobą, Kif. Zawsze tego chciałam.

H

Kif!

|

Rozparłem się na fotelu, patrząc tępo w mrugający kursor, i moje ręce wróciły na klawiaturę.

Kim jesteś? – zapytała, a ja usłyszałem narastającą panikę w jej głosie.

„Heidl”, napisałem znowu.

Kim? – nie dawała za wygraną. Kim?

„...wędrując przez ten niedostateczny labirynt dwudziestu sześciu liter, pytam tylko o jedno”.

To ty zabiłeś Heidla? Nie miałabym o to do ciebie pretensji.

„Zapamiętaj mnie, Kif, swojego wroga, który pożarł twoją duszę”.

Ale chciałabym ci wierzyć.

Niczego jednak nie słyszałem. Jestem pisarzem. Patrzyłem na monitor jak na słowa, wzory, kształtujące się przede mną żywoty.

To byłoby nasze dziecko, Kif, powiedziała.

A ja dalej mordowałem swoją pamięć, próbując się nauczyć żyć na nowo.

„Nasza pierwsza sprzeczka dotyczyła jego narodzin”, napisałem.

20

1.

Używałem sobie w dobrych czasach, w dwóch złotych dekadach, używałem aż miło, bawiłem się, robiłem pieniądze i straciłem prawie wszystko poza nimi. Było jednak przyjemnie i nie mogę narzekać. Nie oceniam sam siebie, i to jest mądre, bo inaczej sprawiałbym wrażenie człowieka, któremu czegoś brakuje. Zdarza się, że doznaję ogromnego bólu, jest jednak coraz mniejszy, kiedy opuszcza mnie kolejna kobieta, a coraz większy, choć rzadki, gdy spotykam jednego albo obu swoich synów. Jest w nich coś dobrego. Wybaczcie, ale dobroć – ich dobroć – zdumiewa mnie i wzrusza. Powtarzam sobie, że szlachetność i bezinteresowność odziedziczyli po matce, i ta myśl mnie pociesza.

Lecz kiedy wracają do swoich domów, czasami coś mnie jakby ściska i miażdży. Opadam z sił, mogę najwyżej siedzieć i nie panikować, nie potrafię stwierdzić, co mi jest, ale znowu słyszę własne tętno, jak gdyby krew napierała, żeby ze mnie ujść i wyzwolić się, jak gdyby moje ciało – albo po prostu ja sam – stało się jakimś niegodziwym więzieniem, i wówczas boję się nade wszystko tego, że chłopcy swoją dobroć mają także po mnie, że i we mnie było kiedyś coś dobrego, ale straciłem to coś, odrzuciłem ze wzgardą, przehandlowałem albo zrezygnowałem z tego w jakiś inny sposób, zatracając zarazem ważną cząstkę siebie. Wiecie, to jest możliwe. Można stracić ważną część samego siebie. I nie da się jej odzyskać. Nigdy. Zostaje puste miejsce, człowiek jest wtedy jak pacjent, który pokonał raka, ale stracił rękę, wątrobę lub pierś. I to puste miejsce nie ma nazwy. A może ma, tylko że boicie się ją wyszeptać. Coś dobrego. Coś,

co potem znika. Jak gwiazdy na niebie. Jak ptak w psim pysku. Jak dziecko w bajce, które pożera wilk.

2.

Cokolwiek ludzkiego miał kiedyś w sobie Heidl, już dawno uległo atrofii, kiedy go poznałem, i zwiędło też teraz we mnie; gdy zmuszam się do uśmiechu, w odpowiedzi to Heidl uśmiecha się do mnie w lustrze. Czasami, chociaż tylko przez chwilę, boję się nawet, że drga mi policzek. Przeznaczenie, tak jak telewizja, uprzywilejowuje powtórzenia, wszystkie opowieści potrzebują podobieństw, wzorców, muzyki symetrii i kontrastów, i dzisiaj zdaję sobie sprawę, że zrobiłem w życiu niewiele więcej ponad powtórzenie życia Heidla. Na swój skromny sposób, sprzedając kłamstwa jako rzeczywistość, mam jednak świadomość, że stałem się po prostu jeszcze jednym oszustem.

Na spotkaniach producenckich i w trakcie wystawnych obiadów przestawałem czasem słuchać, rozglądałem się po tych wszystkich kramarzach i naganiaczach, nakręconych bankowcach i sprytnych producentach, usiłujących sprzedać swój kolejny pomylony pomysł, i wspominałem w duchu Ziggy'ego Heidla.

Jego groteskowa osobowość była potworna, niemal zdeformowana, kaleka. Jestem jednak przekonany, że pod nieustanną gadaniną Siegfrieda ukrywało się znacznie ważniejsze milczenie na takie tematy, których nigdy nie chciał poruszać. Wyczuwałem zrodzoną z rozpaczy i samotności zgrozę tak przerażającą, tak absolutną i uniwersalną, że sprowadzała się dla niego do zła, którego nie mógł uniknąć, ale które musiał zaakceptować z zapierającą dech oczywistością i pokorą. Kiedy było trzeba, rozwodził się długo o dobroci, etyce i moralności, tyle że w zimnym i przywiędłym języku. Wtedy w jego absurdalnych słowach pojawiały się nieskończone zmęczenie i rezygnacja, przypominające modlitwę przed orgią. Spotykałem później mężczyzn i kobiety, próbujących go naśladować, tym

ludziom jednak czegoś brakowało – wiary? Osamotnienia? Pożądania? Szaleństwa?

Zastanawiam się czasem, czy Heidl nie był jedynym prawdziwym człowiekiem, jakiego w życiu poznałem.

Próbowałem uwolnić się od niego wiele lat temu, ale z wiekiem przekonuję się, że jest mnie mniej w taśmach, a teraz w cyfrowych kopiach moich dawnych programów telewizyjnych, więcej natomiast w nim – w tym, co mi mówił, czego mnie nauczył, a zwłaszcza w jego przestępstwach, które dzisiaj stały się również moje. Być może jego występki i moje programy to jedno i to samo. Odszedłem od wspomnień Ziggy'ego już dawno temu i zrobiłem mnóstwo innych rzeczy – programów rozrywkowych tak znakomitych, że sprzedawałem ich formaty na cały świat: były to na przykład wyścigi dla ludzi chorych na bulimię, zawody dla chorych na raka i tym podobne rzeczy, ale wszystkie te pomysły to tak naprawdę propozycje Heidla – i teraz już wiem, dlaczego miał nade mną taką władzę jak nikt inny.

Weźmy mój ostatni *succès de scandale,* program *Bo umrę*. Kręcimy go w Chinach, gdzie nie obowiązują właściwie żadne zwyczajowe zasady etyczne ani znane nam prawa, i jest to mój największy hit. Życiowy. Pomysł jest bardzo prosty. Ludzie pragnący umrzeć i ci, którzy chcą pomóc zejść z tego świata swoim kochanym bliskim, zapisują się do tak zwanego Klubu Czarnego Asa. Każdy kolejny odcinek zaczyna się w sali gier, wystrojem i przyćmionym oświetleniem przypominającej knajpy na promenadzie Bund w Szanghaju przed drugą wojną światową. Sześcioro uczestników gra tam w tak zwaną grę wyzwolenia. Ci, którzy dostaną dwa czarne asy – asa pik i trefl – wygrywają: as pikowy będzie poddany eutanazji, treflowy jej dokona. Są oczywiście jeszcze inne szczegóły, program polega jednak głównie na tym, i muszę powiedzieć, że nawet ja sam jestem przyjemnie zaskoczony zainteresowaniem widzów i reklamodawców. Poza tym właściwie mógłbym powiedzieć, że jest to mój najbardziej autobiograficzny program.

3.

Dwa lata temu umówiłem się na ploty z Pią Carnevale. Pojechałem do Stanów służbowo i jak miało się okazać, widziałem ją wtedy pierwszy i ostatni raz po tamtym poranku w sali konferencyjnej.

Wiesz, powiedziała, mam takiego fryzjera. Świetny facet, gej. Ma na imię Cherry. Chodzę do niego raz w tygodniu, nie dlatego, że naprawdę muszę, tylko po to, żeby… Ach, wstydzę się.

Mów, powiedziałem.

Pia zaprosiła mnie do zimnej i pustawej jak na Nowy Jork restauracji nad rzeką Hudson. Gdzieś przed Village, niedaleko Village albo za Village – nie wiem. Może było to w Brooklynie. Właściwie nigdy nie nauczyłem się topografii Nowego Jorku i jego wiecznie zmieniającej się hierarchii społecznej, w której to miasto więziło samo siebie. Pia pochyliła się ku mnie nad stolikiem.

Żeby mnie dotykał, powiedziała.

Wybuchnęła śmiechem, cofnęła się, odwróciła wzrok, a potem ukradkiem znów spojrzała na mnie.

To chyba kretyńskie, co?

Czyżby? – zapytałem.

Straciła swoją dawną, pełniejszą figurę, w średnim wieku zrobiła się koścista, chuda jak szczapa na wzór niezależnych, uprawiających wolne zawody nowojorskich kobiet; ufarbowała włosy na czarno i miała lśniące, wystające zęby. Jej kolorowe, nieco kalejdoskopowe stroje ustąpiły miejsca ciemniejszym ubraniom wyższej jakości i w lepszym guście, ale trochę pozbawionym charakteru. W rozmowie była jednak taką samą Pią, jaką zapamiętałem.

Jak Cherry myje ci głowę, podtrzymuje ją tak delikatnie, że czujesz się nieważki. Całe twoje ciało traci ciężar i on o tym wie. Nie wiem, skąd, ale wie.

Pomyślałem o czymś innym, mniej szlachetnym.

To ciekawe, powiedziałem.

Chyba po prostu chodzi o miły dotyk. Raz w tygodniu przez kilka minut nie muszę dźwigać ciężaru swojej głowy.

Ten Cherry ma dużo klientek?

No, nie jestem jedyna. W tym mieście mieszka sporo samotnych kobiet. Czasami wydarza się coś w twoim życiu, któregoś wieczoru budzisz się w ciemności i wiesz, że tak już będzie. Że jesteś sam i od tej pory już będziesz.

Paskudny jest ten koktajl, powiedziałem.

Chyba za dużo wypiłam, stwierdziła Pia.

Naprawdę paskudny.

Też tak się czasem czujesz? – zapytała.

Często się tak czułem.

Nie, odpowiedziałem, po czym z uśmiechem skinąłem na kelnera i zamówiłem dwa kolejne koktajle. Pia zakryła swoją szklankę dłonią.

Czujesz się taki samotny, że płacisz komuś obcemu, żeby cię dotykał?

Teraz przyszła moja kolej na odwrócenie wzroku, spojrzałem na bar, na jego już przebrzmiałą glazurę jak kafle w przejściu podziemnym, na twarze, na ludzki wir.

Co, Kif?

Gwar obcych głosów na chwilę mnie przytłoczył, ale słowa Pii go przecięły.

Są takie dni, kiedy wydaje mi się, że chcę umrzeć, powiedziała. W spokoju. Myślę, jaka byłabym szczęśliwa, gdybym umarła. Gdybym była martwa jak kamień. Wściekle martwa.

Podeszła do nas kobieta, która okazała się jedną z jej autorek, i przywitała się z nami, ratując mnie przed kłopotliwą odpowiedzią. Nazywała się Emily Coppin, po chwili odeszła porozmawiać z jakimś innym znajomym przy barze, a Pia szepnęła mi, że ta pisarka „ma koneksje" z „ziomalami" z Brooklynu.

Reklamujemy ją jako „jeden z głosów pokolenia", powiedziała. Ho ho.

Odparłem, że Pia ma na pewno dużo szczęścia, że pracuje w Nowym Jorku – chociaż właściwie wcale tak nie myślałem – i spotyka tyle niezwykłych osób. Odpowiedziała, że tak do końca nie jest, że poznaje

wprawdzie wielu ludzi i trochę ich zna, musi być jednak szczera i przyznać, że tylko kilku z nich to nietuzinkowe osobowości, a przyjaciół wśród nich nie ma wcale. Jest na to takie miejscowe określenie, „przyjaźń transakcyjna".

Wybuchnęła serdecznym śmiechem, gulgocząc gardłowo.

Masz „transakcyjnych przyjaciół", powiedziała, i tym razem roześmialiśmy się oboje.

Co to znaczy? – spytałem.

Że oni wykorzystują ciebie, a ty ich. Właściwie to nie jest żadne określenie, tylko straszliwa myśl. Tak straszliwa, że w gruncie rzeczy nikt nie widzi, jaka naprawdę jest straszna. Ludzie nie mają nawet dość odwagi, żeby ją nazwać po imieniu.

Napad rabunkowy? – zaproponowałem.

Gwałt za obopólnym przyzwoleniem, odpowiedziała.

No tak.

Urwała, potoczyła wzrokiem dookoła i jak gdyby nad czymś się zastanawiała. Po pewnym czasie znowu zwróciła głowę w moją stronę, wbijając we mnie wzrok, który nie przynosił mi nawet najmniejszej ulgi.

4.

Chciała rozmawiać o tym, co się wtedy stało, ale ja sam wiedziałem coraz mniej na temat tamtych wydarzeń. Na szczęście wróciła Emily Coppin ze swoim znajomym, jakimś brodatym młodzieńcem, którego rolą, jak się wydawało, było zgadzać się pod każdym względem z Emily Coppin – a dla Emily Coppin wszystko miało znaczenie tylko o tyle, o ile wiązało się z Emily Coppin.

Zapytałem, nad czym teraz pracuje.

Nad autobiografią. Wszyscy piszą dzisiaj autobiografie. Knausgård, Lerner, Cusk, Carrère. Wszyscy najlepsi pisarze prowadzą literaturę w jakieś nowe rejony.

Pia wtrąciła się uprzejmie, żeby mi powiedzieć, że trzeci tom wspomnień Emily trafił w tym tygodniu na listę bestsellerów „New York Timesa".

Gratuluję, powiedziałem. To niewiarygodne.

Jak to się stało, że pisanie powieści zaprowadziło mnie na ślepą uliczkę? – zapytała Emily.

Mówiła jak na prezentacji reklamowej. Spojrzenia prosto w oczy, zdecydowane ruchy, a pytania stanowiły tylko pretekst do chwil dłuższego, udawanego namysłu.

Bo powieść jest już martwa. Wszyscy o tym wiemy, to oczywiste.

Dobiegała chyba trzydziestki, miała dziwną twarz, charakterystyczną dla tych nowojorczyków, którzy walczą o miejsce w hierarchii społecznej – była w niej jakaś żywiołowa erozja, sprawiała wrażenie przedwcześnie postarzałej, ale starała się wyglądać jak nastolatka. Na lewym ramieniu powyżej łokcia nosiła gustowny tatuaż, kręgi drutu kolczastego, z którego wyrastały czerwone róże, ozdobę udającą, że jest skazą, cichy symbol zamożności. Najwidoczniej pisarka zawarła ze światem umowę, na mocy której uznawano ją za atrakcyjną, chociaż przy bliższym poznaniu wspaniałość Emily ograniczała się do śliczności zadbanej lalki i wielkookich spojrzeń ulubienicy całego pałacu, małpki kapucynki. Mówię to, co mówię, ale może była naprawdę piękna, tylko mnie po prostu wtedy bardzo się nie spodobała. Na pewno uważała, że w jej ograniczonym doświadczeniu życiowym zawiera się cały wszechświat. I chyba nie miała poczucia jego nietrwałości. Nie wiem.

To jakby ściema, zmyślać różne historie, które niby wyjaśniają świat, mówiła. Fabuła, postaci, poszedł Marek na jarmarek. Na samą myśl o jakimś wymyślonym bohaterze, który robi wymyślone rzeczy w wymyślonej historii, chce mi się rzygać. Naprawdę mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie przeczytam więcej żadnej powieści.

Powieści odbierają rzeczywistości siłę, stwierdził brodacz.

Wsunęła sobie dwa palce głęboko do ust i zacharczała gwałtownie. Brodacz śmiał się serdecznie. Emily odwróciła się i spojrzała na niego przeciągle. Wokół jej głowy latała bzycząca muszka.

Goń się, Luke, powiedziała, usiłując odpędzić owada.

Brodacz ucichł. Emily wróciła do tematu, a ja po raz pierwszy zwróciłem uwagę na jej oczy; miały matowy kolor starych ślimaczych muszli.

Wszyscy chcą pisać w pierwszej osobie. Wszystko, co mamy, to autobiografia. Czy w tych reality shows, które robisz, nie chodzi ci właśnie, no wiesz, o autobiografizm?

Nie mam pojęcia, co robię, powiedziałem. Po prostu jadę każdego ranka do pracy i zmyślam wszystko, jak leci.

No to tu się różnimy, stwierdziła Emily. Bo ja nie zmyślam nic. Nienawidzę wymyślonych opowieści. Jak wszyscy. Słyszeliśmy je już kiedyś, co do jednej. Dziś powinniśmy oglądać samych siebie.

To znaczy robić sobie takie literackie selfie, powiedziałem.

A co jest złego w dobrym selfie? – odparła Emily.

Brodacz ponownie się zaśmiał, a ona znów zwróciła na niego takie spojrzenie, jak gdyby był eksponatem w muzeum historii naturalnej.

Luke jest narcyzem, któremu się powiodło, powiedziała. Wspaniały seks oznacza w jego ustach, że patrzę, jak wali konia. Ma równie wielu naśladowców, jak fanów. Mówi im o wszystkim. Im więcej mówi, tym więcej dostaje lajków. Im więcej dostaje lajków, tym więcej mówi.

Pia nachyliła się do mnie.

Życie Luke'a jest dla Marka Zuckerberga tym, czym były równiny pełne bizonów dla magnatów kolejowych.

Brodacz się rozpromienił.

Opublikuj. Udostępnij. Umrzyj, powiedział i uśmiechnął się.

Dużo się od niego nauczyłam, stwierdziła Emily. Znowu machnęła ręką, opędzając się przed muchą.

Gdzieś przy kwaśnym mojito, które nie było właściwie żadnym mojito, tylko jakimś nieco skwaśniałym konkoktem, zwanym „specjalnością zakładu", koktajle mojito były już bowiem *passé*, rozmowa zeszła na temat niedawnego zniknięcia dwóch małych dziewczynek, sióstr, cztero- i sześciolatki. Ktoś użył słowa „zło". Nie pamiętam kto.

Zło? – powiedziała Emily. Ejże, nie mówcie mi tylko, że wierzycie w zło.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się. Miała wiele zdecydowanych poglądów na wiele spraw. Nie byłem już pewien, jakie ja mam poglądy.

To nie jest kwestia wiary, odpowiedziałem.

Rozumiem cię doskonale, odparła Emily. Nie jest. Ale zło jako takie nie istnieje, prawda? Jest ideą, to wszystko. No bo czym ono jest? Nie można go przecież zobaczyć ani dotknąć.

Brodacz się z nią zgodził. Emily kiwała mądrze głową.

I w tym rzecz, ciągnęła dalej. Wydaje mi się, że istnieje coś jakby środowisko, przyczyny, brak szacunku. Prawda? Jakby biologia? Zmienność neuronów. Ale zmienność neuronów to jeszcze nie zło. Jeśli ci się coś takiego przydarzy, to jest straszne, ale no wiecie, seryjny morderca? Wariactwo. Tylko że to właśnie tak jest, nierównowaga chemiczna, jakiś niewypał przekaźników neuronowych… Awaria w zupie mózgowej. Tylko czy niesmaczną minestrone nazwiecie złem?

Nie, odpowiedziała Pia. Gruzłowatym keczupem.

Dokładnie o to mi chodzi. Dziękuję, Pia.

Chciałem opowiedzieć Emily o tych obdartych ze skóry zwłokach, które widziałem na zdjęciu. O tym, kim może się stać człowiek. O bajkach, które czytałem kiedyś Bo. Ale to było niewytłumaczalne. Niepoznawalne. Niewymowne jak autobiografia. Udało mi się powiedzieć tylko tyle, że się z nią nie zgadzam.

Zło jest pojęciem relatywnym, Kif, stwierdziła Emily, wbijając we mnie stanowcze spojrzenie. Jej przypominające muszle oczy zrobiły się bardziej matowe i odległe niż wcześniej, dwa wiry w kolorze chodnika.

Tak sądzisz?

Tak mówi nauka. Zło jest po prostu starym judeochrześcijańskim konceptem filozoficznym. Jest tym, o czym mówimy, kiedy rozmawiamy o białym bogu: czarnym diabłem.

Brodacz się uśmiechnął. Emily też. Ostatecznie była amerykańską pisarką, jej cel to pocieszanie, odpowiedzi, pewność, wiedza i postaci, których pochodzenie oraz psychika dają się sprowadzić do zgrabnego wyjaśnienia i końcowego osądu – Emily Coppin, jeszcze jedna gramatyczka moralna.

A co ja mogłem powiedzieć? Że bałem się dawniej i boję się również dziś, że coś się stało, coś się dla mnie zmieniło i nic nie jest już takie jak kiedyś? Że coś we mnie pękło, a ja razem z tym czymś?

Ale co ja mogę wiedzieć na ten temat? – zapytałem, rozkładając ręce. Jestem tylko telewizyjnym producentem australijskich reality shows.

Nie była to jedna z tych „wzruszających epifanii", jakie zapewne tak dobrze pisała Emily, ale coś, co jak widziałem, uznała za jeszcze lepsze. Ponieważ uczyniła z naszej rozmowy zawody, które wygrała, naturalny porządek rzeczy został przywrócony. Ręka brodacza wystrzeliła w powietrze, zamknęła się, a potem otworzyła i wtedy wypadła z niej rozgnieciona mucha. Emily wybuchnęła śmiechem i odeszła od nas razem ze swoim brodaczem na drugi koniec baru, do grupki znajomych stojących wokół pewnego znanego aktora, który opowiadał jakieś anegdotki.

5.

Wydaje mi się, że 1992 rok minął tak niedawno, powiedziałem, zerkając w tamten koniec baru. Ale dzisiaj rządzą nami ludzie, których wtedy nawet nie było jeszcze na świecie.

Mam identyczne wrażenie, powiedziała Pia, czas wtedy jakoś nagle i szaleńczo przyspieszył. Płynął szalenie szybko. Raptem wszystko się zmieniło. Ludzie byli nieprzytomnie optymistyczni, twierdzili, że czas pędzi do jakiegoś konkretnego celu. Właściwie nie wiedzieli do jakiego, ale chodziło o to, że do celu. Gdyby ich przycisnąć o ten cel, wymamrotaliby coś takiego, jak na przykład demokracja.

Wolność, powiedziałem.

Pia się uśmiechnęła.

No. Coś w tym guście. Najważniejsze było to, że wszystko gnało naprzód tak gwałtownie, że czas miał się zatrzymać. Koniec historii.

Raczej jeden z jej lepszych żartów.

Oczywiście, powiedziała. Rzecz w tym, że wydawało się nam, że zdobywamy świat, chociaż w rzeczywistości traciliśmy coś bardzo ważnego. Pamiętasz te slajdy? Czasami myślę sobie, jak by to wyglądało, gdyby puścić je w odwrotnym kierunku i przyjrzeć się życiu Heidla od końca do początku.

Przypomniały mi się spłowiałe kolory tamtych kodachromów i ja też ujrzałem teraz rozedrgane zdjęcia spadochroniarzy, ustępujące miejsca coraz młodszej rodzinie, włosom rosnącym Heidlowi na głowie i landcruiserowi z czerwono-białą maską, przed którym jego żona i dzieci pozowali do fotografii.

Może tak właśnie było, powiedziała znów Pia. Nikt nie widział, że to wcale nie jest postęp, tylko regres. Nikt nie widział, że zaczyna się albo powraca jakiś rozkład, powszechna zapaść wartości, będąca też pierwszym znakiem akceptacji nowej przemocy i niesprawiedliwości.

Powinnaś chodzić do tego Cherry'ego dwa razy w tygodniu, powiedziałem.

Zmierzyła mnie swoim redaktorskim spojrzeniem; jeszcze nie skończyła. Miałem słuchać, nie mówić.

To, co okazało się takie szokujące, Kif, to jednak nie była przemoc ani niesprawiedliwość, tylko nasza akceptacja przemocy i niesprawiedliwości jako zjawisk naturalnych. A z nią przyszła też kultura solipsyzmu, pandemia samotności, polityka nienawiści. Zaproszenie do współtworzenia różnych morderczych historii, które w końcu wszystkim nam coś odebrały.

Nie lubiłem myśleć o przeszłości ani teraźniejszości w taki sposób, jak Pia.

Ten czas można porównać do śpiączki, uzupełniła. Która trwała ponad dwadzieścia lat.

Nie wiedziałem, dlaczego nie możemy po prostu wymieniać się opowieściami, śmiać się i cieszyć ze wspólnego wieczoru. Nie podobało mi się, że Pia jest aż taka nabuzowana. Spróbowałem skierować rozmowę z powrotem na Cherry'ego.

Chuj z Cherrym. Chcę pogadać o tym, co mnie dręczy, Kif. Gdyby świat mógł wymarzyć sobie przyszłość w postaci jednego człowieka, to czy uważasz, że marzyłby o Ziggym Heidlu?

Nie zgadzałem się z tym, co mówiła. Nie mogłem się z tym zgodzić. Musiałem wierzyć, że Heidl był tylko człowiekiem. Bo jak zestawić przestępstwa drobnego kryminalisty z ogólnym załamaniem, zapaścią tak potężną, że jej zarysy jeszcze dziś są rozmazane? Z jakąś straszliwą

przemocą, która szła na nas wszystkich? Może nie chciałem wierzyć, że w ogóle nastąpiła jakaś zapaść. Dlatego nie zgodziłem się z nią, stwierdziłem, że to, co mówiła, wydaje się bardzo amerykańskim pomysłem, a Heidl nie był opowieścią amerykańską, tylko australijską.

A co to jest opowieść australijska? Roześmiała się. Albo niemiecka? Albo amerykańska?

Nie, powtórzyłem, nie zgadzam się, i nie dodałem już nic więcej, bo może miała rację, a może nie, rzuciłem więc jeszcze tylko jakiś żart i zamówiłem kolejne drinki.

Wtedy zapytała, czy pamiętam ten ostatni slajd.

6.

Powrócił do mnie w nieprzyjemnym pędzie – ostre światło nadawało mięśniom silnie różowy odcień, a pasmom podskórnych żył makabrycznie błękitny.

Przypominam sobie, że długo patrzyliśmy na tego rozkołysanego trupa, nie dlatego, że chcieliśmy, tylko dlatego, że byliśmy zbyt wstrząśnięci, by nie patrzeć. Oczywiście zwłoki się nie kołysały – nie mogły, był to przecież nieruchomy kadr.

Pia wspomniała, co czuła wtedy w tej sali konferencyjnej – że coś w niej zadrżało. Albo że to sala się porusza, a może nawet świat poza nią.

Wiedziałem, co miała na myśli, mówiąc, że wokół nas krążyło w tamtej chwili coś wielkiego – może historia, przyszłość, nasze dusze albo wszystko razem – i że zrobiło się jej niedobrze od tego chwilowego olśnienia, które zniknęło niemal tak szybko, jak zostało dane również mnie.

Przyglądaliśmy się uważnie temu zdjęciu, mówiła. Pamiętam, że podszedłeś nawet do ekranu, żeby się dobrze przyjrzeć.

Zamówiłem dwa spritze z aperolem, który zawsze pomaga mi uciec przed takimi rozmowami. Ale Pia miała wiele do powiedzenia, może już dawno chciała powiedzieć to, co na obcej ziemi obrasta odciskami i co

nosimy w milczeniu, dopóki nie spotkamy kogoś z tego odległego czasu i miejsca – z naszego pierwszego kraju – i mylimy się, sądząc, że przynajmniej tej osobie możemy przekazać w końcu to, co nieprzekazywalne.

Bo nie możemy.

Mimo to, schyliwszy lekko głowę, kontynuowała z dziwną i wyjątkową determinacją, jakiej nigdy dotąd w niej nie widziałem.

Miałam nadzieję, że to, co oglądamy, to jakaś mistyfikacja.

Wrócił kelner, żeby nas poinformować, że nie mają aperolu, ale że robią „mistrzowski" koktajl negroni według własnego przepisu.

Pia powiedziała, że najpierw wydawało się jej, że może to wina projektora albo naszych oczu, i pomyślała, że ten obraz zmieni się w coś innego, łagodnego i niewywołującego sprzeciwu.

Dwa razy wszystko jedno co, byle nie negroni, poleciłem kelnerowi.

Zastanawiałam się, czy to nie sen na jawie, ciągnęła Pia.

A ja pomyślałem, że może tak właśnie było – że to był sen o świecie, w którym coś się skończyło, a zaczynało się coś innego, niewyobrażalnego, coś, przeciwko czemu pozostawaliśmy bezsilni i nie mogliśmy działać, tylko obserwować, czekać, aż się obudzimy i zaczniemy przeraźliwie krzyczeć, nie zdając sobie sprawy, że w rzeczywistości zostaliśmy skazani na nigdy niekończący się koszmar, na świat, w którym jedno serce nie wiedziało, jak dotknąć drugiego.

Pia spojrzała na mnie wzrokiem pełnym czułości. Takim, jakim patrzą ludzie, kiedy rozumieją, że kogoś tracą. Takim, który często myli się z miłością. Pochyliła się i położyła dłoń na mojej ręce.

Widziałem, że chce coś z siebie wyrzucić; że jest to dla niej ważne i że nic, co powiem, nie odwiedzie jej od tego zamiaru.

Mogę coś powiedzieć, Kif?

Oczywiście.

Nic mnie to nie obchodzi, naprawdę. Na twoim miejscu chyba postąpiłabym tak samo.

Nachyliła się jeszcze bliżej, wpatrując się we mnie z dziwną intensywnością. Musiała minąć chwila, zanim zrozumiałem, co odczuwa.

Podziw i rozpacz, pół na pół. Zauważyłem, że w zmarszczkach wokół jej oczu zbierają się łzy. Odchyliła głowę do tyłu i zamrugała dwa albo trzy razy.

Myślę, że to ty go zabiłeś. Ale zła nie można zabić. Prawda?

Widziałem, że niezachwianie wierzy w to, co mówi, i że ta wiara ma dla niej istotne znaczenie.

Tak, odpowiedziałem. Zła nie można zabić.

21

1.

Wszyscy, których spotykałem tego wieczoru, byli obcy. Twierdzili, że mnie znają, witali się ze mną czule jak ze starym, serdecznym przyjacielem, ale ja miałem problemy, żeby ich rozpoznać. Umęczone ciała tych ludzi były wzdęte i paradoksalnie zapadłe w sobie, twarze dziwnie zwiotczałe. Z początku wydawało mi się, że wszyscy noszą maski – groteskowo przekrzywione, często z przyklejonym na stałe wyrazem zdumienia. Erozji uległo wszystko, co powierzchowne. Coś się stało, ci ludzie o tym nie wiedzieli, a teraz było już po wszystkim. Jak na Sądzie Ostatecznym, cnoty i grzechy zostały zredukowane i zapisane w pomarszczonych obliczach, mętnych, wodnistych oczach lub krostowatej cerze. Obejmowali mnie sflaczałymi ramionami, mieli zapadnięte i dziwnie suche policzki, znajdowali się w specyficznym nastroju, przyjęli pewną postawę, którą mogę określić tylko jako pełną znużenia zgodę na swój los. A kiedy tej nocy zobaczyłem swoje odbicie w szybie pubu, z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że czas nie oszczędził również mnie, osądził mnie tak samo jak ich i niewątpliwie potępił jak wszystkich w sali. Minęło zbyt wiele lat, i teraz byłem kimś innym.

Powrotu nie będzie.

Spojrzałem w stronę baru, ale nie rozpoznałem jasnoskórego niemal jak albinos mężczyzny, który człapał w moim kierunku, uśmiechając się radośnie i podnosząc ręce na powitanie. Trudno byłoby go rozpoznać nawet gdyby nie upływ czasu. Był jakby niższy, szyję miał owiniętą szalikiem, czapkę narciarską na głowie. Kompletnie łysej. Nie miał też rzęs

ani brwi, bo po sześciu chemioterapiach, jakie do tej pory przeszedł, stracił owłosienie. Ray nawet w śmierci pozostał zdeklarowanym zwolennikiem nadmiaru.

2.

Poleciałem na ten jeden wieczór do Hobart. Przeklętego, prymitywnego, zasranego Hobart. Pożegnanie Raya – on wybrał miejsce spotkania – odbywało się w jasno oświetlonej, wielkiej jak stodoła piwiarni, w której jedynym sympatycznym elementem wystroju były stoły bilardowe. Padał śnieg z deszczem, chwilami tłukący o szyby i zamazujący samochody na ulicy w rozpuszczające się tęcze.

Ray wyglądał jak umierający żółw – miał wyłupiaste oczy i twarz naznaczoną chorobą nowotworową, a jego wielka pierś przypominała pudło od mandoliny. Ale nie to najbardziej mnie w nim zaskoczyło. Szokujące były jego łagodność i dobry nastrój.

Jestem o wiele milszym facetem niż kiedyś, powiedział. A to dobrze dla Meg.

Meg była jego nową partnerką i Ray martwił się już tylko o nią. Odniosłem wrażenie, że przy niej odnalazł także samego siebie.

Dba o moją wagę. Jak chudnę, to karmi mnie takimi okropnymi koktajlami proteinowymi, żebym przytył. Więc jestem o kilka kilogramów lżejszy, chociaż ciągle za gruby tam, gdzie nie potrzeba.

Roześmiał się i wtedy nasze spojrzenia spotkały się po raz pierwszy. Był w nadzwyczajnie dobrym humorze, mimo że wszystko doskonale rozumiał. Onkolog wysłał go do psychologa, który chciał przedyskutować z Rayem jego lęki i zmartwienia.

Nie mam żadnych zmartwień, powiedział mu Ray. Za sześć miesięcy umrę.

Swojemu rakowi dał na imię Tassie.

Leniwy z niego skurwysyn, powiedział. A podobno jest strasznie agresywny. Lekarze jeszcze nie widzieli takiego przypadku. To tasmański tumor, powiedziałem im. Działa jak wszystko w tym kraju, tylko raz w tygodniu, i nawet wtedy nie tak, jak powinien, bo nie za bardzo mnie boli.

Te sześć sesji chemioterapeutycznych miało, jak mi powiedział, czysto paliatywny charakter. Chciał żyć tak długo, jak tylko będzie mógł, ale wiedział, że mimo wszystko umrze. Dali mu czas do grudnia.

Myślę jednak, że zrobię lepszy wynik, powiedział. Może nawet o jakieś cztery miesiące. A może jeszcze więcej. Ale jest już po mnie.

„Co żyje, jest tylko rodzajem tego, co martwe, i to bardzo rzadkim".

Zaśmiał się. Często się śmiał tamtego wieczoru – ze szpitali, lekarzy i z samego siebie. I gadał, głównie o Meg, z którą zamieszkał na rok przed rozpoznaniem choroby.

Wiesz, co mi naprawdę ryje beret? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej. Ludzka dobroć. Jebane zło rozumiem. Ale Meg?

I nie mógł przestać się śmiać, że spotkało go takie szczęście, za jakie najwyraźniej uważał spotkanie z Meg, że życie jest takie cudowne, a zarazem takie oszukańcze, a także z tego, co mu zostało dane i co tak szybko los miał mu zabrać na zawsze. Zachowywał się tak, jak gdyby stojąc oko w oko ze śmiercią, udało mu się ją w pewien sposób przekroczyć.

Kiedy się śmiał, poczułem jego cuchnący oddech, odór chemikaliów i słabszą od nich woń przesłodzonego rozkładu. Za każdym razem, kiedy mruczał „Meg", z jego ust wydzielał się stęchły, metaliczny smród.

W ogóle brzydko pachniał. Ale może to był tylko mój starzejący się nos. Świat pachnie inaczej, kiedy człowiek jest młody. I ludzie pachną inaczej, a młodzi inaczej odbierają zapachy. Teraz wieczorami często ściągam z sieci piosenki z mojej młodości. Mam nadzieję, że słuchając ich, raz jeszcze choć na chwilę poczuję zapach tamtych ludzi, miejsc i czasów – pełnych miłości, radości, zazdrości, strachu i zamieszania – które dzisiaj wydają mi się ważne, bo chyba są, no tak, właśnie, moim życiem.

Nie wiem, skąd ten związek między dźwiękami i zapachami. Ale on istnieje. Słucham nie po to, żeby usłyszeć świat, tylko po to, żeby go powąchać. Rzadko się to udaje. Mimo to zapachy – w tych rzadkich

przypadkach, kiedy potrafię je wyczarować z przeszłości – byłyby, jeśli zdołałbym je przekazać, daleko lepszym materiałem do trafnej i pełnej rekonstrukcji tamtych czasów niż słowa. Zrozumielibyście wtedy, jaki byłem w młodości. I jeszcze inne rzeczy. Suzy okazałaby się intensywnym zapachem. Może jak drzewo po deszczu. Nasze dzieci wydzielałyby woń wilgotnych zwierząt. Dawniej wszystko pachniało, a każdy zapach stanowił osobny wszechświat. Nawet droga przed naszymi drzwiami wejściowymi rano, nawet asfalt i odurzający, przynajmniej dla mnie, zapach rozlanego oleju.

Meg powiedziała mi, że właściwie nawet podoba się jej chemiczna woń, którą wydzielam, oświadczył Ray. Bo kiedy jej zabraknie, powiedziała, to…

Ale nie skończył. Odwrócił głowę, a gdy znów na mnie spojrzał, był już uśmiechnięty.

Wiesz, co mnie trzyma przy życiu?

Nie.

Wtedy, kiedy czuję się naprawdę chujowo?

Nie.

Wyobrażam sobie kobiece cycki.

I roześmiał się, bo powiedział prawdę, a zarazem idiotyczne kłamstwo, był to bowiem obraz piękna i wulgarny żart, a ponieważ nie mógł przeciwstawiać się już światu pięściami, został mu tylko śmiech.

Myślisz, że Meg marzy o kutasach? – spytałem.

Mam nadzieję, odparł. Jeżeli marzy o moim.

Puścił do mnie oko; jego powieka wyglądała obscenicznie niczym biała skóra salamandry.

Kiedy pójdę na dno, ty jeden będziesz wiedział, co widzę, Kif.

I chociaż przez chwilę wydawało mi się, że znowu czuję zapach Raya z młodości.

3.

Kiedy wychodziłem pół godziny później pod kłamliwym pretekstem, że mam telekonferencję z dyrektorami kablówki z Los Angeles, Ray nieoczekiwanie się wzruszył.

Przyjechałeś! Nie umiem ci powiedzieć, ile to dla mnie znaczy, stary.

Był autentycznie wzruszony. Nie wiem dlaczego. Po Heidlu nasze drogi się rozeszły, choć może to raczej moje życie pękło, załamało się albo ruszyło gdzieś indziej. W ostatnich dziesięciu latach widziałem Raya tylko raz, i to przypadkiem, na głównym deptaku Bondi Beach. A teraz patrzył na mnie z taką otwartością, że musiałem odwrócić wzrok. Nabył gdzieś typowej dla starszych ludzi szczerości, a co gorsza, nauczył się zaufania. Nie ma innego sposobu, żeby to powiedzieć: czułem się w jego obecności niezręcznie.

Myślę o tych wszystkich latach, które spędziłem z Heidlem, powiedział. Robiliśmy różne rzeczy. Prawdziwe.

No, odparłem. Prawdziwe.

Staliśmy przy wejściu. Na sali było duszno, ale i zimno, bo kiedy otwierały się i zamykały drzwi, do środka wpadały podmuchy chłodu, ostre powietrze.

Miał wizję. Znaczy Ziggy. Niewielu ludzi je miewa. To poważna sprawa. Ci jebani idioci dzisiaj… Co oni wiedzą?

Nic, odparłem.

Właśnie. A Ziggy dużo wiedział, stary. Dużo.

Znowu zobaczyłem Raya i Heidla razem; Ray czujnie wypatrywał potencjalnego zabójcy, bo przecież nie wiedział, że jestem już na miejscu.

Kochaliśmy go, powiedział.

Tak, odparłem. Ludzie go kochali.

Znałeś go.

Wymyśliłem, ale to nie to samo.

Lubił cię na pewno na swój sposób… Widziałem to. Inaczej nie zatrzymałby cię przy sobie.

A miał inne wyjście? – spytałem.

Chuj wie. Znałeś go równie dobrze jak my wszyscy. Może nawet lepiej. Nie?

Myśl, że to możliwe, jawiła mi się jako przerażająca. Starałem się o tym nie myśleć. Chciałem powiedzieć, że nie, ale spojrzenie Raya… Jego urzeczone oczy (Urzeczone kiedy? I przez kogo?) wydawały się całkowicie skupione na moich ustach, zmuszając je, żeby tańczyły zgodnie z jego wolą, z jasnooką wiarą.

Ja go… – powiedziałem, szukając jakiegoś delikatniejszego sformułowania, ale oczy Raya ciągle się we mnie wwiercały. …Nie chciałem tego, ale ja…

Podziwiałeś go, powiedział Ray.

Podziwiałem?

Czy naprawdę było aż tak źle? – spytał. Odpowiadam w ten sposób, kiedy ktoś mnie pyta o tamte czasy. Czy to źle, że tworzy się miejsca pracy, zatrudnia ludzi, ratuje komuś życie? Trudno coś takiego krytykować.

Tak, odpowiedziałem.

Ogarnęło mnie uczucie bliskie paniki – ta żałosna sala, fluorescencyjne oświetlenie, zimno, upał, obcy ludzie strofujący się nawzajem przy grze w bilard: co oni mogli o tym wszystkim wiedzieć?

Tak, powtórzyłem. Trudno to krytykować.

A to, co robił Heidl, to było coś takiego, to była taka postawa, jakiej nam dzisiaj trzeba.

Obawiałem się bezrzęsych oczu Raya, był w nich jakiś wilgotny blask, rozpaczliwe pragnienie, jak przypuszczam, żeby się czegoś uchwycić – jakiegoś sensu, nadziei – ale wszystko się rozsypywało. Szukał nadziei, żeby żyć albo chociaż móc powiedzieć, że żył.

Tak, powiedział, ty to rozumiesz! Wiem, że tak, bo robisz w telewizji i w ogóle. Spójrz chociażby na politykę! To hańba.

Tak jest, odpowiedziałem, chociaż nie miałem pojęcia o polityce. W miarę jak się starzałem, coraz bardziej zdumiewało mnie to, że kiedy odkręcasz kran, płynie z niego woda pitna, a gdy naciskasz przełącznik,

zapala się światło. Zważywszy na to, jaka jest natura ludzka, były to niemałe osiągnięcia, według mnie zasługujące na prawdziwą wdzięczność.

Potrzeba nam dzisiaj takiego faceta jak Ziggy, ciągnął Ray. Kogoś, kto coś robi i potrafi to zrobić. Nie dla siebie. Dla innych. Dla nas. Owszem, Heidl wyruchał kilka banków… Ale przecież banki ruchają nas. Więc może należałoby znowu je wyruchać. Wiesz, Heidl imponował ludziom. Wystarczyło spojrzeć na to, co osiągnął. Uświadomić sobie, że nie robił tego dla siebie. Gdybyś zobaczył jego dom, przekonałbyś się, że nie była to żadna wystrzałowa rezydencja.

Pod koniec pracy nad książką zobaczyłem takie jedno zdjęcie, powiedziałem. Zaszokowało mnie.

No widzisz. To dlatego ludzie do niego ciągnęli. Widzieli w nim siebie.

Tak myślisz?

Absolutnie, powiedział Ray. A ty nie?

Czy ja widziałem w nim siebie?

Debeściak, stwierdził Ray.

Tak, odparłem. Debeściak.

No widzisz? Ty to rozumiesz! Ziggy był wielkim człowiekiem.

Mówił dalej o Heidlu i powolny, jakby nieco rozmazany głos Raya zaczął się mieszać w mojej głowie z łopotem skrzydeł kurawongi, tnącej powietrze na niebie…

Dawał przykład, ciągnął Ray. Heidl był – szukał właściwego słowa – ideą.

I może po to, żebym nie przestał go słuchać, dodał: Taką, jaką macie wy, pisarze.

Tylko którzy pisarze mogli się pochwalić takimi osiągnięciami jak Heidl? – zastanawiałem się. W porównaniu ze zmyśleniami Ziggy'ego wszystkie wielkie książki były amatorszczyzną. Czarował swoimi bujdami finansistów, rujnował banki handlowe, paraliżował sądy i zafascynował cały kraj. A jednak nazwiska pisarzy żyją, a nazwisko Heidla popadło w niepamięć, i nawet annały niesławy dawno już pozbyły się jego biografii na rzecz prostszych, bardziej brutalnych i banalnych opowieści o bandytach i mordercach, o próżności ludzi, którzy nie mogli nikogo niczego nauczyć.

Ideą, tak, powiedziałem. Heidl chyba był ideą.

Czasami wydaje mi się, że to się dzieje teraz, że Heidl stoi przede mną, powiedział Ray. Podniósł rękę i zaraz ją opuścił. Widzę go. Pedro Morgan twierdzi, że widział Ziggy'ego w zeszłym roku, jak wychodził ze sklepu na Gold Coast.

Chciałem uciec z tej knajpy.

Podobno bardzo schudł, dodał Ray.

Nie wątpię. Chcesz drinka?

Nie wolno mi pić.

To wezmę ci jeszcze colę, powiedziałem.

Ale jak wypiję coś więcej, to się posikam w majty, powiedział, podnosząc opróżnioną do połowy szklaneczkę jakiegoś napoju. Odstawił ją, wbił we mnie dziwne spojrzenie i powiedział: Czasami zastanawiam się nad jego śmiercią.

Wpatrywał się we mnie karykaturalnymi, okrągłymi, mętnymi oczami. Podmuchy nocnego powietrza siekły je tak, że zaczęły łzawić. Chyba nie zdawał sobie z tego sprawy, a jeżeli zdawał, nie zwracał na to uwagi.

Nad tym, jak umarł.

4.

Chyba tak, jak chciał, odpowiedziałem.

Odszedł wolny, zauważył Ray, jak gdyby miało to jakiekolwiek znaczenie. Pałały mu policzki.

Nic o tym nie wiem.

Widziałeś go przed śmiercią, powiedział Ray. Widziałeś to.

Może i tak.

Pamiętasz ten dzień? Ostatni dzień w wydawnictwie?

Nigdy go nie zapomnę.

Czyli znasz prawdę.

Prawdę?

Mógł zostać wielkim człowiekiem, przywódcą. Wierzyliśmy w niego.

Potrafił przekonać ludzi, żeby robili różne rzeczy, fakt.

To rzadkość, powiedział Ray. Dar.

Ray. Muszę ci coś powiedzieć. Moim zdaniem Heidl…

Nie dokończyłem. Musiałem to jednak z siebie wyrzucić, nie było innego sposobu.

…To znaczy… No, Heidl chyba zabił tego księgowego. Garretta. Bretta Garretta.

Chodzi ci o tego buchaltera?

No, o buchaltera. Według mnie Heidl go zabił.

Nieprawda.

Skąd możesz wiedzieć?

Bo ja to zrobiłem.

Spojrzeliśmy sobie w oczy.

Zastrzeliłem go.

Nie byłoby prawdą powiedzieć, że na te słowa zaczęło mi się cisnąć do ust wiele pytań, bo była to raczej odpowiedź, której zawsze się bałem. Ray patrzył mi prosto w oczy z całkowitym zaufaniem. To było okropne.

Właśnie tak, stary, powiedział bardzo cicho.

Dlaczego? – zapytałem.

Nie ma żadnego dlaczego. Zrobiłem to i już. Heidl chciał, żebyśmy pojechali zapolować na dzikie świnie. Mówił, że Garrett mu bruździ. Że go szantażuje. Nie wiem. Miał dużo do powiedzenia. A ja nigdy nie byłem na takim polowaniu.

A potem?

Co znaczy potem? Potem powiedział, że sam się zajmie zwłokami. Zostawiłem to jemu. Nie wiem, dlaczego tak to się skończyło. Wiesz, że on jakoś tak po prostu prowadził człowieka krok za krokiem, aż wreszcie byłeś taki skołowany, że nie wiedziałeś, dokąd ani po co idziesz?

Zadrżałem.

I robił to tylko po to, żeby sprawdzić, do czego cię może nakłonić? W jakim stopniu może cię kontrolować?

Pokręciłem głową.

No, ale taki już był. Pierwszy raz pojechałem wtedy do Gulf Country. Przedziwna dżungla, kurwa. Jebany deszcz. Jebane błoto. Czułem się jak gówno, jak zero. Śmieć. Zawsze tak o mnie mówił.

Kto? Heidl?

Nie, odparł z niedowierzaniem. Mój stary. Zawsze powtarzał, że jestem do niczego. A Ziggy sprawiał, że się czułem… dobrze. Wiesz? Że jestem kimś. Ale bałem się go. Powiedział, że muszę to dla niego zrobić. Dla niego. Rozumiesz, Kif. Wiesz, jak potrafił naciskać.

Odpowiedziałem, że jeśli dłużej postoimy na tym zimnie przy wejściu, to prędzej umrze na przeziębienie niż raka. Chyba mnie nie usłyszał.

No więc naciskał na mnie. Mówił do mnie „stary", kurde, i w ogóle. Jak gdybym musiał to zrobić. Że niby tak mu pomogę. Chcesz znać szczegóły? Mogę ci je podać. Ale ty nie chcesz szczegółów. Nikt ich nie chce, tylko gliny i wścibskie baby. Zresztą co znaczą szczegóły? Strzeliłem do gościa, upadł, wstał oblepiony takim zielonym błockiem, więc oddałem jeszcze jeden strzał. To wszystko. Potem odszedłem i po południu poleciałem do domu. Rzecz w tym, że kiedy pociągnąłem za spust, sprawiło mi to…

Wargi Raya zadrżały, a jego twarz – teraz niewiele więcej niż polakierowana łzami zwierzęca mordka i bezwłose powieki – wyglądała tak, jakby zobaczył ducha, którym był on sam.

Sprawiło mi to przyjemność, wyjąkał w końcu.

Kręcił głową, jak gdyby z niedowierzaniem, przerażeniem albo rozpaczą, głębokie bruzdy na jego pooranej twarzy srebrzyły się wilgocią. Mówił dalej.

Naprawdę, Kif. Zawsze chciałem, żebyś o tym wiedział. Poczułem, że wreszcie zrzuciłem z siebie ten ciężar, że coś się zmieniło, że w końcu jestem wolny, jak gdybym wreszcie postawił się prześladowcy. Ale chuja tam. Z tego zdałem sobie sprawę później. Chuja i chuj. I zrozumiałem, że Heidl mnie też zabije, jeżeli kiedykolwiek komuś o tym powiem. Czułem się coraz gorzej. I naprawdę się zastanawiałem, czy nie zabić też Heidla,

miałem ochotę go sprzątnąć, ale on przecież na to właśnie liczył. Więc się nie zgodziłem. Po Garretcie już nie. Rozumiesz?

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

Gdybym go zabił albo pomógł mu popełnić samobójstwo, już zawsze miałby mnie w garści.

Ray opowiadał jakby moje życie.

Nie rozumiem tego, Kif. Właściwie nie myślę o tym, chyba że teraz, kiedy rozmawiam z tobą na ten temat. Najpierw sprawia ci to przyjemność, potem masz okropne poczucie winy, a po jakimś czasie nie czujesz właściwie nic. Nic. Garrett był martwy, zanim do niego strzeliłem.

Chciałem uciec od Raya, wybiec z tego nieszczęsnego baru na pluchę i polecieć jak najszybciej do domu.

Byłem tylko narzędziem, powiedział Ray. Jak pistolet albo kula.

Dręczyły mnie okropne wyrzuty sumienia, chociaż nie bardzo wiedziałem dlaczego.

Nadal pamiętam wszystkie dobre rzeczy, które Heidl zrobił i mówił. I może tak naprawdę tylko one się liczą.

Nie mogłem się zdobyć na to, żeby powiedzieć Rayowi, co ja zrobiłem.

To ty jesteś inteligentem, kurwa. Powiedz mi, Kif. Dobre uczynki coś znaczą. Prawda?

Wyszedłem wkrótce potem. Czy moje milczenie też było klątwą Heidla? Jednak nawet dziś, po wielu latach, jestem coraz mniej pewien, co zrobiłem wtedy na tym wzgórzu. To za trudne, nie potrafię ogarnąć wszystkich elementów, żeby ułożyć je w całość. I jest mi lepiej, kiedy nie próbuję.

Nie spałem dobrze tej nocy. Przez duchotę w pokoju hotelowym albo niewygodną poduszkę. Obudziłem się, choć może tylko śniło mi się, że się obudziłem, przerażony, pościel była mokra, biła ode mnie woń zgniłego piżma. Otaczała mnie samotność tysięcy rannych ptaków, zdychających zwierząt, trupów wiszących na drzewach, leżących pod kołami aut albo na korze i liściach. W bezlitosnym szaleństwie, poszukując pomsty, napierały na mnie, okrywały moje ciało, wciągały coraz dalej w swoją ciemność, spychały w dół i na dno i dławiły, wpatrując się tępo w dal.

22

1.

W końcu oprzytomniałem całkowicie i w mroku tego pokoju hotelowego myślałem tylko o Heidlu, o tym, że może był na swój sposób przyszłym przywódcą, liderem następnej epoki i jej dopiero świtających obsesji, i że jak wszyscy wielcy przywódcy miał w sobie pewną pokorę i zawsze skupiał się na aktualnie stojącym przed nim zadaniu – na ocaleniu, kradzieży, oszustwie, zawłaszczeniu cudzej tożsamości, zakłamaniu albo dominacji.

Śmiem twierdzić, że niektóre z jego postępków zostaną potraktowane jak przestępstwa – niewątpliwie sądy w tamtych czasach szykowały całe taczki słów, żeby tego dowieść – ale mnie się jednak wydawało, że byłby to werdykt słaby i niewystarczający, chociaż to, jak można by kiedykolwiek bezstronnie ocenić Ziggy'ego, przechodzi moje pojęcie.

W mroczniejszych chwilach tej nocy zastanawiałem się, czy to nie ja byłem największym wyzwaniem, a także ostatnim i może najbardziej niezwykłym osiągnięciem Heidla. Udało mu się namówić mnie do tego, co zrobiłem, ale odpowiedzialność za swoją śmierć przyjął na siebie – a to nasuwa niebywałe pytania! O to, kim jesteśmy i na co nas jeszcze stać. I było to jego wielkie końcowe zwycięstwo!

Nigdy nie spotkałem nikogo, kto bardziej zasługiwałby na miano geniusza.

Ja jednak zawsze ulegałem próżności i może to ona po prostu skusiła mnie znowu. Może Heidl już wiedział, że gra jest skończona. Może był tchórzem. Trudno jednak nie dostrzec w jego biografii, jak i w moim późniejszym życiu – w naszych podobnych zachowaniach, zdolnościach,

sztuczkach i przejawach buty – pewnej ciągłości. Chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że się kompletnie zmieniłem, że w tamtych czasach byłem kimś całkiem innym i że to, co kiedyś wydawało mi się cudzym życiem, widzę dziś jako własne. W każdym razie Heidl wciąż jest przy mnie – może w pewnym momencie stał się mną, a może, co gorsza, my wszyscy staliśmy się nim. Kto to może wiedzieć?

Być może ze wszystkich ludzi to właśnie geniusz jest najbardziej sobą.

Naciągnął kilka banków na siedemset milionów, ale wkrótce potem świat został oszukany na o wiele, wiele więcej, szwindel okazał się rozbrajająco podobny, oszuści wyciągali forsę z kontenerów tak pustych, że wręcz nieistniejących – ze śmieciowych obligacji, nieudokumentowanych pożyczek, z instrumentów pochodnych. Niektóre kontenery miały swoje nazwy, jak Enron, Lehman Brothers, Northern Rock i Bear Stearns. Oklejano je konosamentami, informującymi rzekomo, co się w nich przewozi: topniejącą gospodarkę, wzbierającą falę, która podnosiła wszystkie statki, wdechowe okazje, wydechową ekonomię i demokrację dla wszystkich. I tak dalej i dalej, a każdy kontener z daleka wydawał się imponujący jak obietnica „dobra".

Z bliska były to już jednak tylko rdzewiejące czarne dziury.

W filozofii Heidla tkwiła pewna ewidentna prawda, której później nikt nie śmiał nazwać po imieniu. Siegfried zdumiewał się, jak bardzo ludzie pragną w coś wierzyć – jego zdecydowana pogoń za tym ich pragnieniem prowadzona była może jako osobliwy eksperyment, żeby zobaczyć, kiedy taka wiara może się wreszcie załamać, co jest ją w stanie skruszyć – i odkrył wielki pewnik: otóż wiara nigdy się nie załamuje. Przeciwnie, jak odkryli potem dżihadyści, każdy obłąkany sprawdzian tylko ją wzmacnia, nawet gdy kończy się śmiercią, zwłaszcza samobójczą.

W pewnym momencie na świecie rozpętał się pożar, który miał pochłonąć nas wszystkich. Czas nudzi się, być może nawet sam sobą, i niewykluczone, że nasza złośliwa przyszłość była już wtedy z nami. Domy, miasta i państwa obróciły się w pustynie, tych, których opuściło szczęście, poddawano torturom, mordowano niewinnych, topiono dzieci, oszołomieni ludzie pogrążyli się w żałobie, a wokół narastał strach. I może na tym polegał prawdziwy błąd Heidla, który zresztą popełniamy wszyscy: sądzimy, że życie jest sprintem, a nie maratonem. Gdyby Heidl dobiegł do

dwudziestego pierwszego wieku zwyczajnym truchtem, mógłby zniszczyć nawet kilka krajów, nie tylko swoją firmę i parę banków inwestycyjnych.

Och, wiem, że nie był pierwszy i że daleko mu do największych przestępców korporacyjnych. Mimo to wydaje mi się, że nie ja jeden uważam, że Siegfried zasługuje na coś lepszego – na więcej, jeśli chcecie określić to w ten sposób. Ludzkość nie jest zdolna do wspólnych marzeń, ale gdyby była, czy marzyłaby o Ziggym Heidlu, jak zapytała Pia? Kto to może wiedzieć? Kto mógłby udzielić odpowiedzi na takie pytanie? Ale o wszystkim, co się zdarzyło po Heidlu, powiem tylko tyle: nic mnie już nie zdziwi.

2.

Widziałem wyłącznie jego zachodzące mgłą oczy wpatrzone w niebo, lecz gdy podniosłem wzrok, w górze nic nie było, a kiedy spojrzałem z powrotem na ziemię, na Hobart, na Tasmanię, na swoje życie, na wszystkich, których znałem, na cały śmiech, całą przyjaźń, serdeczność i miłość, na wszystko, co już dawno zniknęło wraz ze służalczą głupotą, nienawiścią i idiotyzmem, który rządził Tasmanią, wyspą głupoty, niczym swoim lennem, okazało się, że tutaj też nic nie ma – i nigdy nie było.

Dzień po pożegnaniu Raya siedziałem w wynajętym samochodzie, chciałem wyjechać, ale z każdą wyspą-więzieniem jest tak samo, dlatego wyspy tak idealnie nadają się na więzienia – zawsze można dokądś pójść, ale nie można uciec. Dali mi jakiś jasnokolorowy kabriolet; kiedyś pogardzałbym zarówno takim samochodem, jak i sobą w roli jego kierowcy. Nigdy jednak nie twierdziłem, że nie zmieniam poglądów. Zadzwoniłem do Huwa, jednego z bliźniaków, był jednak zajęty i nie miał czasu, żeby się ze mną spotkać, a Henry, jak mi powiedział, wyjechał z miasta. Nasze relacje są ciepłe, mimo – a zarazem dlatego – że mieszkamy daleko od siebie. A Bo…

Bo umarła.

Wspominałem wam o tym? Wydaje mi się, że tak. Chociaż nigdy nie mówię na ten temat. Nie mogę przestać o tym myśleć. Miała dwadzieścia lat, wypadek samochodowy. Nie byłem w stanie mu zapobiec. Nie rozmawialiśmy ze sobą od kilku lat, już nie pamiętam od ilu. Wciąż mam jej szczotkę do włosów. Biorę całą winę na siebie. Zginęła osiem lat temu. Jej włosy: czarne i lśniące niczym ptasie pióra.

Siedząc w tym wynajętym samochodzie, znowu wyczuwałem nieznośny ciężar zbierających się wokół, napierających na mnie martwych stworzeń. A ponieważ odlot mojego samolotu został przełożony i musiałem zabić rano czas, na przykład szukając możliwie największej przestrzeni, żeby znów trochę odetchnąć, wjechałem na szczyt góry, wznoszącej się nad Hobart, z której roztacza się widok na znaczny fragment południowej części wyspy. A może pojechałem w to miejsce dlatego, że tam wydawała się prowadzić mnie droga. Prawdę mówiąc jednak, nie oglądałem dróg ani mojego Hobart, jeszcze bardziej zasranego niż kiedyś, bo na przykład w miejscu, w którym szosa wiodła w górę za miasto, kolejna koniunkturka budowlana pozostawiła po sobie tylko więcej małych, brzydkich wrzodów dla oka. Starałem się niczego nie oglądać.

W młodych latach Ray i ja często wchodziliśmy, a czasami wbiegaliśmy na ten szczyt dalekimi szlakami. Wbiegaliśmy! Dzisiaj to już nie do pomyślenia. Co za radość, jakie to wszystko było cudowne. Piękno w naszych oczach. Wszystko, co widzieliśmy, skrzyło się wspaniałością. Jakie to było śliczne, jakie cudowne. Nie wierzyliśmy, że coś równie pięknego może należeć do nas. Nie mieliśmy nic, ale mieliśmy coś takiego. Nie dało się tego wytłumaczyć. Nie wiedzieliśmy, że to piękno to my.

Uczyniliśmy ze świata filozofię zgodnie z tym, jak go doświadczaliśmy – jego plaż, morza, lasów tropikalnych, dzikich rzek i góry, która była naszą ścieżką do nieba, wydającego się wysysać ze skały monumentalną nieczułość, oraz kamieni, sprowadzających z nieba łagodną obojętność olśniewającej jasności. A jak okazało się wbrew temu, czego nas uczono, w naszym dzikim świecie nie byliśmy wcale biernymi niewolnikami przeznaczenia, opisywanymi przez historię jako wiecznie gorsi, mniejsi. Nie. Odkryliśmy, że mamy wolność wyboru na każdym kroku, podejmując każdą decyzję, i cała nadzieja jest nasza, bo żyje w nas i pozostanie tak długo, dopóki o niej nie zapomnimy.

Dlaczego zatem zapomnieliśmy? Co się stało? Dlaczego przehandlowaliśmy naszą wolność? Czy zakręciło nam się od niej w głowie, czy zatraciliśmy się w niej, czy byliśmy jej niegodni, czy się jej baliśmy? Nie wiem. Mając dwadzieścia lat, postanowiliśmy żyć. A potem? Potem dokonaliśmy innego wyboru.

Potrafiliśmy tylko szybko biegać, śmiać się i biegać jeszcze szybciej i szybciej, po skałach, po wielkich głazach na szlaku Zig Zag, który stawał się coraz bardziej stromy, dziki i niedostępny, w upale, w śniegu; biegaliśmy, dyszeliśmy, poszczekiwaliśmy, płonęliśmy, wznosiliśmy się i biegaliśmy dalej, bez ustanku. Dzikość, którą odczuwaliśmy wszędzie dookoła, była potężna, niemal przytłaczająca. Za górskim szczytem leżało ciągnące się na zachód i południowy zachód wyspy pustkowie, którego spokoju nie zakłócała żadna droga ani osada, można było tamtędy wędrować przez dziesięć dni, nikogo nie spotkać i nie oglądać niczego poza tym światem, aż wreszcie doszłoby się do rozszalałego morza. Biegaliśmy i biegaliśmy i w pewnym sensie byliśmy niczym, a przecież zarazem wszystkim. Było to niepojęte. Nieprzekazywalne. Dawało się przebiec i wyśmiać. Ale nie opisać. Słowa były i są niezdatne do przekazania tego wszystkiego, co wtedy czuliśmy, co wiedzieliśmy i co utraciłem. Były częścią tych wrażeń, ale i klatkami w poszukiwaniu ptaka.

A my byliśmy ptakami latającymi wyżej, szybciej i mocniej.

3.

Pojechałem tam. Ale nie było jak kiedyś. Dzikość zniknęła. Najpierw nieciekawe duże drzewa, potem mniejsze, później krzaki, a kiedy samochód wjechał jeszcze wyżej, kamienie.

Niedaleko parkingu na szczycie stał taras widokowy, z którego widziało się Hobart i okolice. Nie było jednak ani jednego tarasu, z którego można by spojrzeć w przeciwnym kierunku, na niegdyś wspaniałe odludzia, gdzie drwale częściowo wycięli, a częściowo spalili las napalmem, pozostawiając resztę tej ziemi w męczarniach, bo uschła i została wypalona w nowym

stuleciu, kiedy las tropikalny ustąpił miejsca przyszłości: podmokłej pustyni, mchom, tundrze i wilgotnemu, noszącemu ślady ognia żwirowi.

Panowało tak przejmujące zimno, że idąc na taras kamienistą ścieżką, zabijałem ręce. Na szczycie spotkałem tylko niskiego faceta z psem gończym bez jednej łapy i troje chińskich turystów z kijkiem do robienia zdjęć selfie. Słynny widok okazał się tandetny i zwyczajny. Przyglądałem się nudnym opisom na tabliczkach, na których zaznaczono i nazwano najbardziej charakterystyczne punkty krajobrazowe; starałem się, jak sądzę, wypełnić w ten sposób bijącą w oczy pustkę.

Bo i ja nie rozmawialiśmy ze sobą od jej siedemnastych urodzin. Nie wiem dlaczego. Jakaś kłótnia… Nie pamiętam jednak, o co poszło. Suzy, Bo i ja – chyba tak. Powinieneś zrozumieć, powiedziała mi potem moja była żona, że dzieci nic do ciebie nie mają. Po prostu są, jakie są.

Istnieją ludzie wolni. Ja też byłem wolny, tylko wcześniej o tym nie wiedziałem. Byłem wolny i zamieniłem wolność na coś innego. Dlaczego Ray i ja nie mogliśmy biec dalej? Dlaczego nie mogliśmy usiąść znowu w tej maleńkiej kuchni z Suzy, Bo i bliźniakami? Dlaczego? Dlaczego Bo umarła, a ja żyję? Dlaczego to wszystko zniknęło? Wyparowało? Potrzebowałem po jej śmierci znaleźć jakiś sens, żeby dalej żyć. Błagałem o cel, o powód, wyjaśnienie, ideę. Nie było jednak żadnej, a mimo wszystko żyłem. Taka jest straszna prawda. Żyłem, żyłem i żyłem.

W dole rozpościerały się przede mną miasto, przeszłość, przyszłość, lotnisko. Mieszkający tam moi synowie nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego. Tam umierał Ray. Tam spoczywała moja umarła córka. Chciałem powrotu męki tego dzikiego świata za moimi plecami, bardziej poranionego niż my, żeby przebiegł w pędzie koło mnie, stoczył się z góry i zasłonił to wszystko. Pragnąłem, żeby ten straszny, obojętny świat wtoczył się na mnie, zmiażdżył, a potem zniszczył wszystkich w końcowej agonii. Żeby zabrał nas z powrotem do chwili upokorzenia. A nade wszystko chciałem tu powrócić, być wdzięcznym, okazać tę wdzięczność i zaznać ukojenia.

Czekałem tak strasznie długo.

Ciemne chmury przesunęły się nad szczyt, a potem zbiły w jedną pod moimi stopami. Przyglądałem się mroczniejącemu niebu w poszukiwaniu

nadziei. Pragnąłem usłyszeć w sobie niemal całkiem już zapomniany dźwięk.

Byłem Adamem, czekającym na wejście do Jego Miasta.

Wiedziałem jednak, że nigdy do niego nie wejdę.

Czarna kurawonga, szukająca padliny na morenie, spojrzała w górę, jej głowa powoli kręciła się wokoło, jak gdyby odpowiadając na ruch wielkiego koła zamachowego boskiego zegara. Bursztynowymi oczami pochwyciła stulecie, które zostało zepsute, zanim się zaczęło, i wyskrzeczała koniec czasu.

Nikt mi nie powiedział, że umarłem.

4.

Dlaczego?

Nie ma żadnego „dlaczego".

Ledwo pamiętam, jak to się odbyło. Szczegóły… no, może je zmyślam. Właściwie nie wiem nic więcej. Pamiętam tylko jedną, ostatnią rzecz; te dziwne ostatnie słowa.

Patrząc jednak na całą tę historię z perspektywy czasu, często popadam w zadumę. Dlaczego zgodziłem się dokonać egzekucji? Dlaczego kiedy Heidl wcisnął mi pistolet, nie wypuściłem glocka z ręki, nie oddałem mu go albo nie odłożyłem? Ale nie ma żadnego „dlaczego". Zrobiłem to, co zrobiłem. Zrobiłem, zrobiłem, zrobiłem, i za każdym razem im dalej szedłem ścieżką Heidla, tym lepiej pojmowałem, że później też zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda. Tworzyła się między nami jakaś więź zaufania, umowy albo porozumienia, coś głęboko ludzkiego, i jej zerwanie wydawało mi się niegodziwością – zdradą, jeśli chcecie. Może nie chciałem denerwować Ziggy'ego. Powiedzieć „nie" wydawałoby mi się przejawem złego wychowania – rozumiałem, o co chodziło Rayowi – chamstwem, bo nie powinno się przerywać marszu człowieka ku śmierci jedynie z tego powodu, że może skończyć się śmiercią. O wiele łatwiej było się na nią zgodzić i powiedzieć „tak". To zawsze łatwiejsze wyjście.

W każdym razie coś się wtedy zmieniło, nie ja decydowałem, tylko on, szliśmy tą skalistą dróżką ku zapomnieniu, Heidl prowadził, a ja szedłem za nim; „ja", które rozpaczliwie pragnęło wyrwać się na wolność, tylko nie wiedziało w jaki sposób.

Chciałem napisać książkę. Tak sobie powiedziałem. I to wszystko. Tylko że wtedy wszystkim była dla mnie ta książka. I może pomyślałem, że to, co zrobiłem tamtego dnia, pomoże mi ją napisać. Albo że to było „doświadczenie", najbardziej iluzoryczny mit sztuki, ten nonsens, którego granicę powinniśmy rzekomo przekroczyć sami, żeby poznać świat, chociaż prawdę o wszystkim znajdujemy, jedynie wkraczając w głąb siebie.

Tebbe: poszukiwanie doświadczenia to kłamstwo, głoszące, że takie życie, jakie prowadzimy, jest czymś gorszym.

Ale chuj z Tebbem.

Zastanawiam się czasem, co przyniesie przyszłość. Tylko że nie ma na to odpowiedzi. A raczej, jak przypuszczam, jest ich wiele.

Nie myślę jednak zbyt często na ten temat. Szczerze mówiąc, prawie wcale. Powinienem powiedzieć, że żałuję.

Pamiętam tylko jego ostatnie słowa.

Nadchodzi! Nadchodzi!

Niczego nie żałuję.

Przypisy

[1] Przekład Leona Ulricha (wszystkie przypisy tłumacza).

[2] Ned Kelly (1854–1880) – stracony na szubienicy australijski bandyta, przywódca The Kelly Gang, który z czasem stał się legendą i niemal bohaterem narodowym. W czasie obławy policyjnej, kiedy go pojmano, miał na sobie domowej roboty zbroję, chroniącą przed kulami z ówczesnej krótkiej broni palnej.

[3] *Tako rzecze Zaratustra* (przekład Wacława Berenta).

[4] Cytaty (nie wszystkie dokładne) z dzieł Nietzschego pochodzą kolejno z *Ecce homo* (przełożył Leopold Staff), *Zmierzchu bożyszcz* (przełożył Stanisław Wyrzykowski), *Antychrysta* (przełożył Leopold Staff), *Wiedzy radosnej* (przełożył Leopold Staff), *Poza dobrem i złem* (przełożył Stanisław Wyrzykowski) i *Tako rzecze Zaratustra* (przełożył Wacław Berent).

[5] William Maxwell Perkins (1884–1947) – genialny amerykański redaktor, odkrywca i doradca m.in. Ernesta Hemingwaya, F. Scotta Fitzgeralda, Thomasa Wolfe'a i Jamesa Jonesa.

[6] Friedrich Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, przeł. Stanisław Wyrzykowski.